

Nan Ryan

Bóg Słońce

# CZEŚĆ PIERWSZA

## Rozdział 1

Nagi Indianin stał w słońcu.

Nazywał się Tonatiuh, czyli Bóg Słońce w języku plemienia jego matki, potężnych Azteków. Pasowało do niego to imię. Tonatiuh wyglądał jak młody bóg, stojąc na skalistym brzegu rzeki Puesta del Sol, a jego smukłe ciało lśniło wilgocią w jasnym, pustynnym słońcu.

Jedyną ozdobą, jaką nosił, był złoty medalion, zwisający z jego szyi na ciężkim, złotym łańcuchu. Niezrównany Kamień Słoneczny spoczywający na smagłej piersi lśnił i migotał za każdym poruszeniem.

Brunatna twarz Tonatiuha była gładka, piękna i niewinna jak twarz dziecka. Błyszczące, czarne oczy spoglądały ciepło i przyjaźnie, nos był prosty, o rozdętych nozdrzach, znamionujących namiętną naturę. Usta szerokie i doskonale w zarysie miały kształt zmysłowych warg jego ojca, kastylijczyka Don Ramona Rafaela Quintano.

Tonatiuh odrzucił głowę do tyłu, potrząsnął gęstymi kruczymi włosami i poczuł, jak cienkie strumyki wody spływają mu wzdłuż kręgosłupa aż na pośladki. Przecierając długie, ciemne, sklezione wilgocią rzęsy, zwinnie zeskoczył na kamienie i wyciągnął się na nich, pozwalając słońcu spijać krople wilgoci z jego piersi, brzucha i długich nóg. Leżał zupełnie nieruchomo, ramieniem zakrywając oczy i rozkoszując się gorącym dotykiem promieni słonecznych na nagiej skórze.

Uśmiechnął się z leniwym zadowoleniem. Ten zakątek nad Puesta del Sol był jego zazdrośnie strzeżoną, ukrytą przystanią. Nikt inny o nim nie wiedział. To było jego własne, sekretne sanktuarium, miejsce, którego nikomu nie pokazywał i nie pokaże. Rzeka wiła się tu, przechodząc w stromy wodospad, który wlewał swe wody do naturalnie ukształtowanego basenu. Jakimś cudem ze skalistych brzegów wystrzelała gęsta, soczysta roślinność, ocieniając tryskający białą pianą wodospad i kryształową tafle jeziora. Powyżej, tam, gdzie teraz leżał, wystawał ogromny nawis skalny, tworząc wspaniałe miejsce do odpoczynku i medytacji lub cichej drzemki w ukryciu przed palącym teksaskim słońcem.

Jednak tego gorącego, czerwcowego poranka Tonatiuh nie miał czasu ani na drzemkę, ani na medytację. Odchylił ramię przesłaniające mu oczy i spojrzał na rozpalone słońce. Niedługo znajdzie się wprost nad jego głową. Gdy stanie w zenicie, on musi być na prywatnej stacji

kolejowej Orilla, w najstrojniejszym powozie Sullivanów, by oczekiwać na przyjazd południowego pociągu z San Antonio.

Tym właśnie, zdążającym na zachód pociągiem ma przybyć Amy Sullivan, jedyna córka patrona. Wraca do domu po pięciu latach spędzonych w jakiejś luksusowej szkole dla dziewcząt. Już od tygodnia obaj ojcowie, cała służba oraz pomocnicy mówili tylko o tym. Wielkie przyjęcie na jej cześć miało się odbyć jeszcze tego samego wieczoru, a przyjezdni goście od rana zaludniali pokoje gościnne ogromnej hacjendy Orilla.

Słońce nagle schroniło się za chmurę. Cień padł na gładki kamień, na którym leżał Tonatiuh. Młodzieniec usiadł. Jego ciemne oczy pomroczniały nagle, gdy powrócił fragment zapomnianego snu.

Pojawiła się znowu. Długie, ciemne włosy spływały jej na plecy, dziwny, powiewny, uroczysty strój okrywał smukłe ciało. Stała w nogach jego łóżka, pokazując mu kilka cyfr.

Piątka i trzy szóstki: 5, 6, 6, 6. Nie. To było 6, 6, 5, 6. Nic więcej. Tylko te cyfry. A potem po prostu opuściła jego sen.

Nad jego głową, po zasnutym chmurą niebie krążył jastrząb. Tonatiuh poczuł nagle, jak zimny dreszcz wstrząsa jego nagimi ramionami. Zadrzał bezwiednie, nieoczekiwanie zmieszany.

Jastrząb odleciał. Chmura przepłynęła. Rozpalone słońce wyrzało znowu, ogrzewając strwożoną duszę i zmarznięte ciało Tonatiuha. Sen i cyfry odleciały wraz z jastrzębiem, a kąciki oczu Tonatiuha zmarszczyły się w uśmiechu.

Otoczył ramionami podkulone kolana, a jego myśli znowu wróciły do Amy Sullivan. Przypomniawszy sobie pospolicie wyglądające dziecko - chude, piegowate i jasnowłose, o zawsze bosych i brudnych stopach, o kolanach i łokciach niezmiennie podrapanych do krwi.

Mała Amy. Była jedyną osobą, która nazywała go Tonatiuhem. Nawet jego własny ojciec mówił do niego Luiz. Walter Sullivan, patron, pomocnicy, wszyscy nazywali go Luiz. Służący też zwracali się do niego tym imieniem, podobnie jak mieszkańcy miasteczka.

Był Luizem Quintano dla wszystkich z wyjątkiem pięknej, azteckiej księżniczki, która nadała mu imię Tonatiuh. I małej Amy.

Tonatiuh nagle poderwał się na nogi. Wspiął się na palce i stał tak, balansując przez minutę, po czym opadł z powrotem na pięty. Splótł palce z tyłu głowy, wygiął do przodu biodra, wciągnął brzuch i

odetchnął pełną piersią, wciągając w płuca suche, pustynne powietrze z twarzą zwróconą ku ognistemu bogu, którego imię nosił.

Pochylił się z westchnieniem, podnosząc z ziemi mały strzęp dobrze wyprawionej, miękkiej skóry, który służył mu jako przepaska biodrowa. Kiedy jego nagość została już okryta, a rzemień starannie związany na lewym biodrze, Tonatiuh gwizdnął cicho i ukochany ogier natychmiast zjawił się przy nim.

W oknie wlokącego się pociągu, który pracowicie wił się na zachód poprzez nie kończącą się pustynię południowo - wschodniego Teksasu, siedziała piękna, młoda dziewczyna i uśmiechała się. Pomimo upału, kurzu i monotonnego krajobrazu przesuwanego się powoli, mila za milą, Amy Sullivan promieniała szczęściem.

Pięć lat!

Pięć długich lat nie widziała tej cudownej ziemi kwitnących kaktusów, tańczących burz piaskowych, bezlitosnego upału i rozżarzonego słońca. Wychyliła się z otwartego okna pociągu i odetchnęła głęboko, rozpoznając znajomy zapach krzewów gumowca.

Pisnęła z radości, gdy kilku obdartych vaqueros, śmiejąc się i pokrzykując po hiszpańsku, zrównało się z pociągiem, wyrzucając lassa wysoko ponad głowy, jakby chcieli złowić lokomotywę.

Amy radośnie zerwała z głowy nowiutki słomkowy kapelusik i zamachała nim do roześmianych kowbojów. Jej serce skoczyło z radości, gdy zbliżyli się na tyle, że mogła dostrzec wypalone na końskich zadach piętno SBARQ.

Vaqueros z Orilli!

- To ja, Amy! - krzyknęła do nich. - Amy Sullivan! Wracam do domu!

Doświadczeni jeźdźcy ściągnęli wodze, aż ich wierzchowce stanęły dęba i w wesołym pozdrowieniu zerwali z głów sombrera. Amy odpowiadała im klaskaniem w dłonie i posyłaniem całusów, dopóki obaj nie zwolnili i nie zawrócili.

Wciąż uśmiechnięta westchnęła radośnie i usiadła. Pociąg jechał już przez ziemie Orilli! Była znowu na rancho. Za godzinę znajdzie się w domu. Czy bardzo się zmienił? Cóż, potężny, dobroduszny tatko wciąż będzie ją rozpieszczał, a dwaj starsi bracia będą o to zazdrośni. A Don Ramon Quintano znów będzie opowiadał niewiarygodne historie o azteckiej księżniczce, która kiedyś była jego żoną. A jego

syn, Tonatiuh, znowu nie zwróci na nią uwagi. Dokładnie tak jak dawniej.

Wciąż się uśmiechała. Nic nie szkodzi. Niezły był z niej bachor, zanim pojechała do Nowego Orleanu. Nie mogła mieć do Tonatiuha pretensji, że nie chciał, by wciąż deptała mu po piętach. Który dwunastolatek zniósłby obecność włóczącej się za nim jedenastoletniej dziewczyny?

Amy spróbowała wyobrazić sobie, jak wygląda Tonatiuh w wieku siedemnastu lat. Nie widziała go od tak dawna. Nieraz nie mogła przypomnieć sobie jego twarzy. Czy go rozpozna? Czy Tonatiuh rozpozna ją?

Podskok pociągu wyrwał ją z zadumy i usiadła prosto. Zwalniali. Wiedziała, że oto nadeszła ta chwila. Za parę sekund zejdzie na peron, gdzie przywita ją tatko. Wstawała już z miejsca, ale zgrzyt hamulców zmusił ją do zatkania uszu rękami. Pociąg zatrzymał się z nagłym wstrząsem, rzucając nią o puste siedzenie.

Z bijącym sercem wyszła z przedziału i pobiegła do wyjścia, podskakując w miejscu, zanim konduktor otworzył drzwi. Uśmiechnięty tragarz podbiegł i podstawił jej pod nogi drewniany stopień, po którym mogła zejść na peron.

- Orilla, panno Sullivan - oznajmił niepotrzebnie, podając jej rękę. - Pani być w domu.

Amy nie odpowiedziała. Nie mogła.

W czasie, gdy tragarz znosił na drewnianą platformę za jej plecami kufry, walizy i pudła na kapelusze, Amy Sullivan stała w gorącym teksaskim słońcu u wjazdu na prywatną stację kolejową. Stała i wpatrywała się w milczącego mężczyznę, który wyszedł jej na spotkanie.

Był wysoki, szczupły i niesamowicie przystojny. Nosił miękkie, płowe spodnie, mocno przylegające do smukłych bioder i długich nóg. Jasnożółta, samodzielowa koszula bez kołnierzyka, rozpięta pod szyją, opinała szerokie ramiona. W rękach miał ciemne sombrero, a smagłe palce niedbale trzymały szerokie rondo.

Granatowoczarne włosy lśniły w południowym słońcu, a oczy, niemal równie ciemne, emanowały ciepłym, dziwnie pociągającym blaskiem.

Tonatiuh.

Nieruchomy jak posąg Luiz Quintano przyglądał jej się natarczywie. Spodziewał się ujrzeć dziecko, a stała przed nim zupełnie dorosła, młoda osoba. Wysoka, smukła i ekscytująco piękna. Spod słomkowego kapelusza wymykały się lśniące, jasne włosy, okalające miłą, owalną twarz uroczą masą drobnych loczków. Jej oczy były niebieskie jak czyste niebo Teksasu, a usta, pełne i wilgotne, zdradzały ukrytą wesołość. Wysmukłe ciało okrywał stylowy kostium z różowego lnu, uwydatniający zadziwiająco rozkwitłe kształty.

Pociąg popęzł dalej, pozostawiając ich sam na sam.

Wciąż stali nieruchomo, przyglądając się sobie z dziwnym, niewytłumaczalnym napięciem.

Wreszcie Amy przerwała zaczarowane milczenie:

- Zabierzesz mnie do domu, Tonatiuh? - zapytała z uroczym uśmiechem.

Zrobił krok w jej kierunku. Jego głos brzmiał cicho i miękko, gdy powiedział:

- Tylko wtedy, jeśli zechcesz tam pojechać.

Amy z zaskoczeniem skinęła głową.

Podszedł jeszcze bliżej, tak że teraz mogła widzieć silne pulsowanie jego gładkiej, smagłej szyi i gorący płomień w czarnych oczach. Wtedy uśmiechnął się czułym, chłopięcym uśmiechem.

- Witaj w domu, Amy - powiedział. - Stęskniliśmy się za tobą.

## Rozdział 2

- Mam nadzieję - odezwał się Luiz, obejmując dłońmi smukłą kibić Amy i ostrożnie podsadzając ją na przednie siedzenie lśniącego, czarnego landa - iż nie jesteś zawiedziona, że patron nie wyszedł ci na spotkanie.

Usiadł obok niej i spojrzał wprost w jej oczy.

- Czy wyglądam na zawiedzioną? - spytała odważnie, czując, jak płoną jej policzki.

Ciemne oczy Luiza rozszerzyły się. Z trudem przełknął ślinę.

- Nie... Wyglądasz... Wyglądasz... - urwał w pół słowa. Odwrócił wzrok i pośpiesznie odwiązał długie, skórzane lejce z rączki hamulca.

Dotknęła jego ramienia.

- Mów. Jak wyglądam?

- Bardzo pięknie - odparł, nie patrząc na nią, ale Amy mogłaby przysiąc, że jego ładna, oliwkowa twarz pokryta była rumieńcem.

Cała drżąca z cudownego podniecenia, które niewiele miało wspólnego z powrotem do domu, Amy zdołała wszakże wykrztusić podziękowanie. Luiz przemówił cicho do koni i powóz ruszył, wzniecając kołami tumany kurzu długo wiszące w nieruchomym, suchym powietrzu.

Amy, z dłońmi złożonymi na kolanach, dyskretnie zerkała na klasyczny, męski profil pod ciemnym sombrero. Patrząc na długie, gęste rzęsy, wysokie, skośne kości policzkowe i pełne usta o doskonałym rysunku zaczęła nagle zastanawiać się, czy w życiu Tonatiuha była już jakaś kobieta. A może kobiety.

- Dziś wieczorem odbędzie się powitalna fiesta na twoją cześć - powiedział, zwracając ku niej twarz. Pochwycił jej zachmurzone spojrzenie. - Coś nie w porządku?

Amy potrząsnęła głową.

- Nie. Nic się nie stało. Będiesz na moim przyjęciu, prawda?

- Jeśli chcesz, żebym tam był - odpowiedział Luiz i uśmiechnął się nagle. Był to męski, zmysłowy uśmiech, który wyrażał przekonanie, że Amy naprawdę chce go tam ujrzeć. A także, że on sam bardzo chciał tam być.

- Oczywiście, że chcę cię... - Amy umyślnie zrobiła pauzę i dodała z właściwym sobie, urokliwym i sprytnym uśmieszkiem:

- ... widzieć na moim przyjęciu.



I zadrżała na widok mrocznego płomienia, jaki trysnął z hebanowych oczu.

W bibliotece na piętrze grubościennej, różowej hacjendy Orilla, za sosnowym biurkiem, siedział jasnowłosy mężczyzna o przenikliwym spojrzeniu błękitnych oczu. Przed nim leżał otwarty dziennik, oprawny w brązową, wytartą skórę, a na gładkiej powierzchni blatu piętrzyły się porzrzucone kupki monet. Wskazujący palec mężczyzny przesuwiał się wzdłuż długich kolumn czarnych cyfr, które wypełniały białe kartki zeszytu. Długie rzędy sum przywiodły na szerokie wargi mężczyzny uśmiech zadowolenia.

Po drugiej stronie dużego pokoju, rozparty leniwie na długiej kanapie, spoczywał inny jasnowłosy mężczyzna. W dłoni trzymał do połowy opróżniony kieliszek bourbona z Kentucky, obute stopy wyciągnął przed siebie i także się uśmiechał.

Bracia Sullivan - Baron przy biurku, Lucas na kanapie - w pełni wykorzystali fakt powrotu siostry do domu. Długo oczekiwany przyjazd spowodował w Orilli niemało zamieszania, a to bardzo im obu odpowiadało. Kiedy na rancho przyjeżdżało tylu znakomitych gości, cała służba musiała być w pogotowiu - od najmłodszych chłopców meksykańskich, obsługujących powozy i dogładających koni, do sędziwego czarnego kucharza, którego barbecue znane były w całym Teksasie. Zajęci byli absolutnie wszyscy.

Najstarszy z Sullivanów, Walter, wraz z Don Ramonem Quintano, współwłaścicielem Orilli, z wdziękiem prowadził popołudniową przejażdżkę grupy dygnitarzy. Były to same znakomitości z gubernatorem Teksasu i gubernatorem stanu Chihuahua. Właśnie w tej chwili wyłącznie męskie towarzystwo zwiedzało ogromne pastwiska Orilli, na których pasły się liczne stada bydła i koni.

Walter Sullivan usilnie nalegał, aby obaj dorośli synowie towarzyszyli mu w przejażdżce. Baron odmówił w imieniu obydwu.

- Wcześniejsze zobowiązania - wyjaśnił bez przeprosin. - Innym razem, tato.

Baron ledwie zaczekał aż ostatni jeździec zniknie za wysokimi, białymi bramami rancho i natychmiast zwrócił się do młodszego brata z uśmiechem:

- No i co, Lucas? Jesteś gotów rzucić okiem na księgi bankowe tego starego, śmierdzącego bękarta?

- Na co czekamy? - odparł Lucas, biorąc szklanekę i napoczętą karafkę whisky.

W tym samym czasie, gdy wytworni goście galopowali poprzez pustynię a ich damy odpoczywały w zaciszu chłodnych, mrocznych pokojów Orilli, kiedy służby zajęci byli gotowaniem i przystrajaniem domu na wieczorne przyjęcie, Baron siedział za biurkiem ojca, licząc stosy monet. Przeglądał księgi wyjęte z sejfu ściennego, skrytego za naturalnej wielkości portretem dawno zmarłej matki.

- Jezu, Lucas, niedługo będziemy parą całkiem bogatych sukinsynów. - Niebieskie oczy Barona zabłyśły radośnie na widok ogromnych sald w bankach El Paso del Norte, San Antonio, Pecos, a nawet w małym miejscowym Banku Ranczerów w Sundown.

Lucas skinął głową, pociągając długi łyk whisky.

- Ile, Baronie? Ile będziemy warci?

- Miliony - odparł brat. - Jeżeli Don Ramon przeżyje ojca, możemy zaoferować mu pewną sumkę, spłacić go...

Lucas znowu przełknął trunek.

- No, nie wiem. Ten mały Hiszpan to sprytny facet. Nie byłbym taki pewien...

- Ja jestem - uciał Baron. - Kiedy przyjdzie czas, wyjaśnię dokładnie temu donowi, że ani on, ani jego galancikowaty indiański synalek nie są mile widziani w Orilli. To go przekona, żeby zabrać swojego Luiza, trochę gotówki i zniknąć.

- Myślisz, że zdołamy zgarnąć również część Amy? - Lucas wyszczerzył zęby jak drapieżne zwierzę.

Baron wstał z krzesła. On także się uśmiechał.

- Już nad tym pracuję.

- Już? Jakim cudem? Przecież ona jest tylko dzieckiem. Nie możesz...

- Jest dorosłą kobietą i czas, żeby zaczęła myśleć o małżeństwie.

- Baron zebrał pieniądze, rachunki i księgi bankowe, i zaniósł je na powrót do sejfu.

- Mam dla niej wspaniałego męża - rzucił przez ramię. Lucas zachichotał na cały głos. Wiedział, że Baron mówi o ich wspólnym znajomym, Tylerze Parnellu. Tyler, podobnie jak oni, lubił dobrą zabawę i razem spędzili niejedną szampańską noc w knajpach i burdelach po obu stronach granicy.

- Pewnie, wesoło byłoby mieć za szwagra starego Tylera. Problem w tym, że on nie ma nic: ani ziemi, ani pieniędzy.

- No właśnie - Baron palcem wskazującym ustawił kombinację zamka i zawiesił portret na swoim miejscu, zwracając się twarzą do brata. - Perspektywa jedwabnego życia w Orilli powinna nakłonić Tylera do pojęcia naszej siostry za słodką oblubienicę.

- Cóż, może masz rację, ale jak skłonimy Amy, żeby powiedziała „tak”?

- Zdaje się, że kobiety lubią Tylera. Zaprosiłem go dzisiaj w nadziei, że odkryje naszą siostrzyczkę.

- Amy musiałaby być o wiele ładniejsza niż przed wyjazdem z Teksasu - zachichotał Lucas. - Inaczej słaba nadzieja, by zauważył ją jakikolwiek mężczyzna.

- To prawda. Ale niejeden chętnie dostałby w ręce Orillę - przypomniał mu Baron.

- Boże drogi, o tym nie pomyślałem. Ktoś mógłby ożenić się z naszą słodką siostrzyczką tylko po to, żeby dorwać się do ranca.

- Trafiłeś w sedno, braciszku - Baron okrążył biurko i oparł się o nie. - Tyler Parnell musi ożenić się z Amy. Potrafię nim pokierować. Amy oczywiście przepisze ziemię na męża, a już ja go od niej uwolnię. Jak długo starczy mu pieniędzy na whisky i ładną meksykańską dziewczynę, nie będzie się skarżył.

- Ani on, ani ja - zaśmiał się Lucas. Baron uśmiechnął się w zamyśleniu.

Walter Sullivan prowadził swego ulubionego srokacza lekkim wzniesieniem, które ciągnęło się skrajem pastwiska. Kapelusz zsunął na czoło, mrużąc niebieskie oczy od bezlitosnego słońca. Dumnym gestem opalonej dłoni wskazał gościom ogromne stado longhornów, które pasło się poniżej, na płaskowyżach porośniętych trawą.

Walter Sullivan i jego srokacz byli jak ta wyschnięta ziemia. Szeroka, czerstwa twarz Sullivana, zmarszczki w kącikach oczu, głęboka bruzda między brwiami, spalone słońcem policzki i ostro zarysowany podbródek przypominały topografię nagiej pustyni. Starzejący się, mocno zbudowany, twardy i niezłomny moralnie człowiek posiadał ten sam pierwotny wdzięk co jego kraina.

Wielki srokacz, na którym siedział, był koniem szybko nogim, o szerokiej piersi, dzielnym, inteligentnym i niezwykle wytrzymałym. Jego ośmioletnie ciało nosiło ślady życia w twardym otoczeniu,

podobnie, jak ciało jego pana. Piętno SBARQ wypalone na zadzie nie było jedyną blizną srokacza. Połowę prawego ucha stracił, kiedy został zaatakowany przez panterę. Głęboką bliznę na boku zawdzięczał płonącej strzale Apacza - bandyty. Jego nogi pokrywały rany od długich, ostrych liści leghuguilli, kaktusa występującego jedynie na ponurych pustyniach Chihuahua.

Koń i jeździec doskonale pasowali do tej okolicy. Obaj ją kochali, obaj tu wyrosli i tutaj pewnie przyjdzie im umrzeć.

Obaj bez słowa skargi przyjmowali wszystko, co im niosło życie.

Współwłaściciel Orilli, srebrzystowłosey, wciąż jeszcze przystojny Don Ramon Rafael Quintano był równie niezłomny i równie nieskory do skarg jak jego teksaski partner. Spokojny i flegmatyczny pracował u boku Sullivana od wielu pałających teksaskich słońc, ale w wieku pięćdziesięciu lat wyglądał zadziwiająco młodo, jak wtedy, gdy jako trzydziestoletni grand podbił serce szesnastoletniej azteckiej księżniczki. Jego kastylijska twarz nie nosiła śladów zmarszczek, ciało było smukłe i dobrze umięśnione, a zachowanie pełne spokoju i pewności siebie.

Don Ramon kochał Orillę. Na ziemi była tylko jedna istota, którą miłował bardziej: jego jedyny syn, Luiz. Silny, inteligentny i przedsiębiorczy młodzieniec napawał ojca dumą, Don Ramon był wdzięczny losowi, że gdy jego dni na tym świecie dobiegną końca, Orilla przejdzie w ręce syna - jedynaka.

Za każdym razem, gdy Don Ramon dosiadał klaczy pełnej krwi spoglądał, spod szerokoskrzydłego sombrera, na daleko rozciągające się pastwiska, jego hiszpańskie serce przepęłniała radość. Połowa wszystkiego, co znajdowało się w zasięgu wzroku, a i poza nim, należało do niego i do jego syna. I będzie należało do syna jego syna.

Lando dotarło do wysokiej, białej bramy rancho Orilla, a wtedy Amy poprosiła Luiza, by się na chwilę zatrzymał.

Indianin usłuchał chętnie. Uśmiechnął się pobłaźliwie, kiedy, zaledwie powóz zdążył się zatrzymać, Amy poderwała się, zdjęła z głowy słomkowy kapelusik i rozpostarła ramiona w szerokim, radosnym geście.

Na grubej belce jasno lśniły w słońcu, wielkie na dwie stopy, kute srebrne litery, które tworzyły napis Orilla.

Amy z radosnym śmiechem wyciągnęła dłoń, jakby chcąc dotknąć liter. Jej ręce wciąż jednak były osiem, a może dziesięć stóp niżej, nawet teraz, kiedy stała w landzie.

- Spadniesz i zrobisz sobie krzywdę, Amy - przestrzegł Luiz i wyciągnął ramię, dla równowagi obejmując ją w pasie.

Amy obróciła się w jego silnym uścisku i spojrzała w dół z uśmiechem.

- Nie spadnę. Ty na to nie pozwolisz - powoli opadła na siedzenie powozu z dłońmi na jego dłoniach i wyrazem całkowitego zaufania w oczach.

- Nigdy na to nie pozwolisz - spojrzała w jego niezgłębione czarne oczy. - Prawda, Tonatiuh?

- Nigdy - odparł z dumną zaciętością. Jego dłonie zaborczo zacisnęły się wokół jej talii. Niezwykła, zaskakująca siła ukryta w długich, szczupłych palcach wyrwała z gardła Amy nagłe westchnienie zdumienia i radości. Doznała trudnej do określenia przyjemności, gdy Luiz, nie wypuszczając jej z objęć, przysunął się bliżej, tak blisko, że jego twarz znalazła się o cal od jej oczu.

Dumne rysy złagodniały nagle. Uśmiechnął się i miękko powiedział:

- Nigdy, Amy.

### Rozdział 3

Na naturalnym wzniesieniu, u końca drogi obrzeżonej hiszpańskimi palmami sabel, rozpościerała się szeroko hacjenda Orilli. Oprawne w ołów okna lśniły w popołudniowym słońcu jak drogocenne kamienie. Ukończona latem 1841 r. imponująca posesja, wraz ze swymi osiemnastocalowymi, jasnoróżowymi ścianami, dachem z czerwonej cegły i polerowanymi, kamiennymi podłogami była niewątpliwie najwspanialszą budowlą w promieniu setek mil.

Dom zbudowany był w kształcie podkowy i zapewniał absolutną prywatność dwu rodzinom. W ten sposób w głównej części hacjendy znajdował się nie jeden, lecz dwa przestronne salony, zwane „salas” i dwie długie jadalnie.

Identyczne skrzydła, rozciągające się w tył ku stajniom i zabudowaniom gospodarczym, zawierały nie tylko gigantyczne apartamenty gospodarzy, lecz także po dziesięć pokoi gościnnych każde. Sullivanowie zajmowali wschodnie skrzydło skierowanej ku południowi hacjendy, Quintano - zachodnie.

Każdy z głównych pokoi znajdujących się na parterze, w tym także ogromna sala balowa o dębowej posadzce, otwierał się na przepiękne podwórze, gdzie ciemnoskórzy ogrodnicy troskliwie hodowali rośliny z samego serca pustyni. Miriady kaktusów kwitły przez okrągły rok, za dnia zachwycając żywymi plamami purpury i żółci, a w romantyczne, ciepłe noce upajały egzotycznym bukietem zapachów. Pomiędzy krzewami jukki i wysokimi centuriami porozstawiano ławeczki z żelaznej koronki.

Tuzin służących zajmował się domem i ogrodami. Siedemdziesięciu pięciu kowbojów i vaqueros pracowało na bezkresnych pastwiskach. Ogromne, wapnowane stajnie mieściły sto koni, zaś pozostałe cztery setki tych zwierząt pasły się na różnych pastwiskach Orilli. Wielkie stada longhornów - trzydzieści dwa tysiące według ostatniego spisu - objadały trawy tobosa i chino ze zboczy odległych gór.

W miarę zbliżania się do kamiennej struktury wznoszącej się pośród nagiej, bezdrzewnej ziemi, Amy znów poczuła, jak bardzo tęskniła do Teksasu i Orilli. Przysięgając w duszy, że już nigdy nie opuści tego miejsca, starała się zapamiętać wszystko jak najdokładniej, czując, że jest to jeden z najważniejszych dni w jej życiu.

Chciała pamiętać wszystko do najdrobniejszego szczegółu. Gorące słońce na twarzy. Widok hacjendy w obramowaniu błękitnego nieba. Wyraz oczu Tonatiuha, gdy ujrzał ją wysiadającą z pociągu. Siłę jego dłoni wokół jej talii.

Co to za dzień? Piąty... Nie, nie. Szósty. Szósty dzień czerwca. Szósty czerwca 1856.

Pięcioletni Manuel Ortega, dzierżący straż na frontowym patio, dostrzegł lando na podjeździe. Podekscytowany syn głównego kucharza Orilli wpadł do domu z krzykiem:

- Madre, madre, senorita przyjechała. Przyjechała!

Wszyscy porzucili swoje zajęcia i wybiegli na zewnątrz. Baron i Lucas Sullivan, drzemający beczynn timer w salonie na parterze, spojrzeli po sobie, wstali i niespiesznie podążyli na kamienne patio. Koła landa zachrzęściły na owalnym podjeździe. Luiz szybko zeskoczył, rzucił wodze stajennemu i obrócił się, aby pomóc Amy wyjść z powozu.

Uśmiechnęła się do niego szeroko, gdy postawił ją na ziemi, chwyciła jego dłoń i radośnie pociągnęła go na podwórze i frontowe schody.

Kiedy wbiegli na ocienione patio, Amy przystanęła i puściła dłoń Luiza. On zatrzymał się także. Został z uśmiechem, na skraju kamiennej platformy, patrząc, jak Amy biegnie do swoich braci. Służba, rozpromieniona i szwargocząca między sobą po hiszpańsku, stała w pełnej szacunku odległości czekając, aż bracia Sullivan powitają siostrę.

- Cudownie być w domu! - wykrzyknęła dziewczyna, muskając ustami policzek Barona i zwracając się ku Lucasowi. - Tęskniliście za mną?

- Mała Amy? - głos Lucasa był pełen niedowierzania. - To naprawdę ty?

Zaledwie ufając własnym oczom Baron Sullivan skrzętnie ukrył zaskoczenie:

- Oczywiście, że to nasza mała Amy - powiedział, uśmiechając się swobodnie. - Nie zmieniła się aż tak bardzo.

Spoglądając nad głową Amy na milczącego indiańskiego młodzieńca machnął ręką, jakby chciał go odegnąć.

- To wszystko na razie, Luiz. Pedrico i Armond zajmą się bagażami. Na pewno masz coś do roboty.

Luiz skinął głową, zirytowany tą bezceremonialną odprawą. Nie spodziewał się niczego innego. Nigdy nie był w przyjaznych stosunkach z braćmi Sullivan, którzy odmawiali mu traktowania jak równego sobie i byli zadowoleni, mogąc obejść się z nim jak z jednym ze służących. Postępowali jednak w ten sposób jedynie w czasie nieobecności ojca i patrona.

Zaczął się wycofywać, gdy Amy podbiegła do niego i lekko dotknęła jego ramienia.

- Do wieczora?

- Tak. Do wieczora - zapatrzony w Amy Luiz nie dostrzegł nienawistnego spojrzenia lodowato niebieskich oczu Barona Sullivana.

Promieniała szczęściem.

Suknia była uszyta z białej koronki. Szeroka falbana wokół głębokiego dekoltu odsłaniała młeczne ramiona, gładkie, szczupłe plecy i wypukłość wysokiej, pełnej piersi. Połyskująca szarfa z jasnoróżowej tafty, której końce sływały aż do ziemi, podkreślała smukłą talię. Obfite spódnice składały się z rzędów szerokich, koronkowych falban, utrzymywanych na sztywnej halce. Pantofelki uszyte były z białej skóry koźlecej, pończoszki z czystego, białego jedwabiu. Złociste włosy Amy, rozdzielone pośrodku, z jednej strony przytrzymywała delikatna perłowa klamra, a za lewym uszkiem tkwił jaskraworóżowy kwiat.

Była sama w swojej sypialni.

Magdalena i Rosa pomogły jej w ubieraniu, po czym wycofały się dyskretnie, powtarzając nieustannie, że jest „muy bonita”. Miała taką nadzieję. Chciała być tej specjalnej nocy naprawdę bardzo ładna. Pragnęła, aby Tonatiuh przekonał się nareszcie, że nie jest już dzieckiem. Że jest kobietą.

Pukanie do drzwi sypialni sprawiło, że Amy zapomniała, iż jest kobietą.

- Tatusiu! - zawołała radośnie i pomknęła przez pokój.

Walter Sullivan, w swym najlepszym ubraniu, stał w przedpokoju, zapatrzony w córkę, której nie widział od pięciu lat. Ogromny mężczyzna wydawał się być oszołomiony. Patrzył na Amy, jakby była obcą osobą.

- Tatusiu, tatusiu! - krzyczała wesoło dziewczyna, zarzucając mu ramiona na szyję. - Tak bardzo za tobą tęskniłam!



Wielkie, stwardniałe od ciężkiej pracy dłonie powoli powędrowały w górę i objęły ją w taliu tak lekko, jakby była z kruchej porcelany. Zdumione niebieskie oczy zmrużyły się ze szczęścia, gdy rozentuzjasmowana młoda kobieta zasypała pocałunkami jego spalone słońcem policzki.

- Kochanie moje - wykrztusił wreszcie, delikatnie odsuwając ją od siebie. - Nigdy w życiu nie marzyłem... Mój Boże, Amy, ależ ty wyrosłaś.

- Tak! Czyż to nie cudowne? - chwyciła obiema dłońmi jego rękę i pociągnęła go do środka. - Zostań ze mną przez chwilę, tatusiu, zanim zjedziemy na dół - jej świetliste błękitne oczy były pełne błagania.

- Ależ oczywiście, kochanie. Naturalnie - powiedział, wciąż w zdumieniu potrząsając siwiejącą głową.

Amy poprowadziła go od razu do fotela obitego brzoskwiowym aksamitem, zmusiła, by usiadł i szybko przysiadła na niskim stołeczku u jego stóp. Przez następne dziesięć minut, gdy pokoje na dole zapemniały się gośćmi a muzyka, która dochodziła aż na piętro, ojciec i córka na nowo zawierali znajomość.

Walter Sullivan żałował, że nie wyszedł na stację. Rola gospodarza udaremniła ten projekt. Amy rozumiała to doskonale i zapewniła go, że wszystko jest w porządku. Pytał o zdrowie swojej siostry, ciotki Meg. Amy powiedziała, że ciocia ma się doskonale, ale bardzo płakała przy pożegnaniu.

Opowiedziała ojcu o przyjaciółach, o szkole i o Nowym Orleanie.

Wreszcie ojciec z uśmiechem musiał podnieść dłoń i przerwać tę pasjonującą opowieść. Przypomniawszy Amy, że na dole czekają goście, a przyjęcie wydane jest na jej cześć.

Zerwała się ze swego stołeczka.

- Tak! Jak wyglądam? Czy dobrze? Potężny ranczer podniósł się i ujął rękę córki.

- Tak ślicznie, że twój stary ojciec aż się boi twej urody - pocałował ją w czoło i wyprowadził z pokoju.

Amy, z ręką na jego ramieniu, wkroczyła do sali balowej podniecona i szczęśliwa.

Jak przez mgłę słyszała wywołane ich wejściem podniesione szepty, widziała wpatrzony w siebie oczy. Podczas gdy z uśmiechem i

wdzięcznym skłonieniem głowy przyjmowała powitania i komplementy, jej oczy niespokojnie przebiegały tłum gości.

Dopiero, gdy ojciec poprowadził ją na wypolerowany parkiet taneczny, zobaczyła jego.

Stał samotnie i z dala od innych, w głębi sali balowej, pod jednym z dwojga wiodących na podwórze ciężkich, rzeźbionych drzwi. Miał na sobie uroczysty, czarny strój i koszulę z cienutkiego, białego jedwabiu. Pod szyją starannie zawiązał purpurowy szal, a kwiat w klapie był w tym samym jaskrawym kolorze. Czarne włosy gładko szesał do tyłu, odsłaniając wysokie czoło. Hebanowe oczy lśniły mocno w świetle świec, padającym z kinkietu na ścianie, tuż nad jego lewym ramieniem.

Te błyszczące, czarne oczy wpatrzone były w Amy.

- ... i nie mogłem uwierzyć w to, co zobaczyłem - kończył Walter Sullivan, mówiący coś do swej roztargnionej córki.

Amy z trudem oderwała wzrok od Luiza.

- Przepraszam, tatusiu. O czym mówiłeś? Walter Sullivan uśmiechnął się.

- Kochanie, mówiłem tylko, że wciąż nie mogę się przyzwycząić do zmian, które w tobie zaszły. Zapukałem do twych drzwi oczekując spotkania z moją małą Amy, a kiedy zamiast niej zobaczyłem piękną młodą damę... to było zbyt wiele dla mego starego serca...

- Wybacz mi, tato. - Lucas Sullivan, już podchmielony o tej wczesnej porze, stał wpatrując się w nich z uśmiechem. Towarzyszył mu wysoki, zamożnie ubrany mężczyzna o szerokich barach i niedbale zaczesanych ciemnych włosach. Jego grube wargi właśnie rozszerzały się w uśmiechu.

- Amy, chciałbym, żebyś poznała Tylera Parnella. - Klepnął Tylera w ramię. - To moja urocza siostra, panna Amy Sullivan.

- Można? - zapytał Tyler Parnell i, nie czekając na odpowiedź, zręcznie chwycił Amy w ramiona i pociągnął na środek sali.

Walter Sullivan wściekle zmierzył wzrokiem młodszego syna.

- Nie chcę, żeby ten człowiek kręcił się koło Amy, rozumiesz?

- Dlaczego nie, tato? To jeden z niewielu kawalerów do wzięcia w Sundown.

- Parnell jest bezwartościowym, leniwym pijakiem - prychnął Walter Sullivan. - Niewart jest przebywać z moją córką w jednym

pokoju! - z irytacją rozejrzał się wokoło. - A gdzie jest Baron? Nie wypada, aby mój syn tak się spóźniał.

Lucas wyszczerzył zęby.

- Spodziewam się go na dole lada chwila. Powiedział, że musi się czymś zająć.

Niebieskie oczy Waltera Sullivana rozbłysły z irytacją:

- Czy przypadkiem nie miał na myśli jakiejś kobiety? Nagle skrzywił się, odwrócił i odszedł, torując sobie drogę w tłumie gości.

Synowie gorzko go rozczarowali. Żaden z nich jeszcze się nie ożenił. Obaj nie lubili pracować. Nie mieli najmniejszych skrupułów. Lucas nigdy nie oddalał się zanadto od butelki, a Baron - od kobiety. Walter Sullivan obawiał się, że mogą przynieść mu wstyd przed zgromadzonymi gośćmi i dlatego, na wszelki wypadek, udał się na poszukiwanie swego pierworodnego. O ile znał Barona, ten włóczył się pod księżycem z czyjąś córką, ukochaną lub żoną.

- Nie możemy, nie tutaj. Nie tak.

- Najbezpieczniejsze miejsce na świecie.

- Baron, dom jest pełen ludzi. Przyłapią nas - pani Boyd J. Calahan odwróciła głowę, żeby uniknąć jego pocałunku. - Mogłeś przyjść po południu, kiedy nie było Boyda. Tak, jak obiecałeś...

- Chciałem, skarbie, ale nie mogłem - Baron ujął dłonią podbródek kobiety, odwrócił ku sobie jej twarz i pocałował.

Para stała w gościnnym pokoju na górze, gdzie kilka minut wcześniej senator Boyd Calahan pozostawił swoją żonę, aby dokończyła toalety. Prosił, by się pospieszyła. Zaledwie jednak senator zszedł ze schodów, przez balkon do pokoju dostał się Baron, wciąż jeszcze w swym niedbałym stroju.

- Cóż, straciłeś okazję - Marta Calahan wydeła usta i zepchnęła jego dłoń ze swojej piersi.

- Nie mówisz serio - mruknął Baron, ściągając w dół głęboko wycięty gorset i odsłaniając jej lewą pierś. Opuścił głowę, obsypując pocałunkami nagie ramię.

- Najzupełniej - odparła pani Calahan, drżąc pod gorącymi pieścizotami. - Chcę, żebyś odszedł i zostawił mnie w spokoju.

Baron podniósł głowę. Jego lodowato niebieskie oczy spojrzały na nią oskarżycielsko. Opuścił ręce i wzruszył ramionami.

- Doskonale. Może następnym razem, kiedy odwiedzisz Orillę - odwrócił się i skierował w stronę drzwi.

- Cóż... Zaczekaj... ja... - odziana wyłącznie w koszulę pani Calahan przebiegła pokój, zastępując mu drogę i opierając się plecami o drzwi. Zaszczyciła go zmysłowym uśmiechem i, bawiąc się zapięciem jego rozchylonej koszuli, powiedziała:

- Nie powinieneś tak łatwo rezygnować... Baron odsunął jej dłoń.

- Pani Calahan - odezwał się chłodno. - Nie mam czasu na igraszki. Ponieważ jednak pani uparła się grać małą, rozkapryszoną spryculkę, wychodzę, ot, co!

- Baronie, nie! - Marta Calahan zarzuciła mu ramiona na szyję i przyłgnęła do niego swym przepysznym ciałem. Czterdziestoczteroletniej żonie senatora ogromnie pochlebiał fakt, że jest przedmiotem pożądania o szesnaście lat młodszego od niej, przystojnego młodzieńca. Chociaż czuła przywiązanie do bogatego i szanowanego męża, ukradkowe chwile ekstazy przeżywała w ramionach tego właśnie namiętnego blond Adonisa.

- Proszę... Kochaj mnie. To było tak dawno... minęło już sześć miesięcy od twego pobytu w San Antone.

Baron uśmiechnął się nareszcie. Zsunął dłonie ku jej talii, a potem przeniósł je na jędrne pośladki.

- No, już lepiej - mruknął.

Jego palce mocniej zagłębiły się w sprężyste ciało. Podniósł ją i ułożył na łóżku.

- Rozbieraj się - poleciał i zaczął rozpinać koszulę. W kilka sekund oboje byli nadzy.

- Jesteś po prostu okropny - wyszeptała, kiedy rozsuwał jej uda. - Gdybyś miał choć trochę szacunku dla mnie, nie nalegałbyś, żebym się z tobą kochała właśnie teraz, kiedy mój mąż jest na dole...

- Ależ moja droga Marto, to nieprawda. Czuję do ciebie głęboki szacunek - mruknął Baron i zręcznie wszedł w nią. - Bardzo głęboki...

- Och, tak... tak... głęboki, kochanie... - westchnęła małżonka senatora Calahana.

Był nieszczęśliwy.

Bardziej nieszczęśliwy niż kiedykolwiek w życiu.

Luiz Quintano nie ruszył się ze swego miejsca obok drzwi, a jego ogniste czarne oczy ani na moment nie opuściły młodej kobiety w sukni z białej koronki.

Już po raz trzeci tego wieczoru Amy była w ramionach Tylera Parnella, który przyciskał ją coraz mocniej i coś szeptał jej do ucha.

Po raz pierwszy w swym siedemnastoletnim życiu Luiz Quintano doświadczył bólu i rozpaczę zazdrości. Jego serce boleśnie ścisnęło się w piersi.

Palce drżały z pragnienia dotknięcia białego ciała Amy. Ramiona pulsowały tęsknotą, by trzymać ją w objęciach. Ale nie dotknie jej, nie obejmie. Nie umie tańczyć.

Przeklinając się za to, że jest takim niezręcznym, prostackim głupcem, Luiz nie wytrzymał. Okręcił się na pięcie i wybiegł na zewnątrz. Miał wrażenie, że za chwilę się rozchoruje. Zerwał z szyi dławiący go czerwony szal i rozpiął jedwabną koszulę.

- Za gorąco w środku? - elegancko ubrany Don Ramon wyszedł z mroku z długim cygarem w palcach. Jego białe zęby zaśmiały się w świetle księżyca.

Luiz wepchnął pięści głęboko w kieszenie spodni i przytaknął, zwieszając głowę. Nie miał ochoty na rozmowę, nawet z ojcem.

- Przejdźmy się trochę - zaproponował Don Ramon. - Razem pooddychamy nocnym powietrzem.

Wolnym krokiem ruszyli szeroką aleją wiodącą przez wonny ogród. Don Ramon mówił cichym, spokojnym głosem; syn słuchał niechętnie.

- Seniorita Amy wróciła dopiero dzisiaj, Luiz. Każdy chce się nacieszyć jej towarzystwem. Kiedy inni odejdą, będzie jeszcze mnóstwo czasu - Ramon Quintano przystanął i spojrzał na wyższego od siebie syna. - Być jej przyjacielem. Tego chcesz, prawda?

Grube brwi uniosły się pytająco.

- Tak - odparł Luiz. - Chcę, żebyśmy zostali przyjaciółmi. Don Ramon uśmiechnął się znowu i dotknął policzka syna.

- I będziecie przyjaciółmi. Dobrymi przyjaciółmi. A teraz chodź do środka. Jeszcze nic nie zjadłeś, ja też nie...

Don Ramon odrzucił cygaro i obaj Quintano wrócili do domu. Na ogromnym, udrapowanym białym lnem stole, rozłożone na srebrnych półmiskach, czekały potrawy, których przeznaczeniem było zarówno olśnić oczy, jak i skusić podniebienie. Ogromne, wędzone szynki i platy pieczeni wołowej. Indyki i kaczki, ostrygi i krewetki. Importowane wędzone ryby, pasztety, kawior. Puddingi, lody i świeże owoce w śmietanie.

Ale Luiz nie miał apetytu. Napełnił porcelanowy talerzyk, żeby zrobić przyjemność ojcu. W chwilę potem podał go służącemu,

zaledwie tknąwszy jedzenia. Przepraszając, odszedł na bok. Z powrotem do sali balowej, na swoje miejsce przy drzwiach.

Amy była nieszczęśliwa.

Bardziej nieszczęśliwa niż kiedykolwiek w życiu.

Wieczór był nieodwracalnie zepsuty. Luiz nie zaprosił jej do tańca. Wirowała opętąnczo w wielu męskich ramionach, również gubernatorskich. Nie objęły jej tylko te ramiona, których naprawdę pragnęła.

Jej naga skóra tęskniła do dotyku ciemnych palców Luiza. Całe ciało pulsowało pragnieniem jego objąć. Po raz kolejny zamknięta w pułapce krepująco ciasnego uścisku Tylera Parnella, Amy błagalnie spojrzała na Luiza i poczuła się zmrożona chłodem jego wyrazistych oczu. Wydawał się daleki i nieosiągalny, jak gdyby sama myśl o zatańczeniu z nią tak go nużyła, że po prostu zrezygnował.

Amy westchnęła smutno.

Nic się nie zmieniło. Minęło pięć lat, a wszystko pozostało jak przedtem. Tonatiuh wciąż uważał ją za kłopotliwe dziecko. To bardzo bolało. Szczególnie, że właśnie tego popołudnia wydało jej się, iż ujrzał ją w zupełnie nowym świetle. Myślała... miała nadzieję...

- Amy, przyszedł mi do głowy wspaniały pomysł - szepnął Tyler Parnell, muskając wargami jej ucho. - Ukradnę kieliszek szampana i urządzimy sobie spacer przy księżycu.

- Nie - odpowiedziała szybko. Raz jeszcze spojrzała na Luiza i nagle zmieniła zdanie. Posłała Tylerowi Parnellowi jeden ze swych najwdzięczniejszych uśmiechów.

- Dobrze. Chodźmy - zdecydowała.

W chwilę potem wyszli na zewnątrz. Parnell jednym ramieniem obejmował talię Amy, w drugiej dłoni trzymał kieliszek szampana. Dostrzegł ich Walter Sullivan i jego wielka dłoń zacisnęła się na szklance z trunkiem, a błękitne oczy zasnuła troska.

Baron Sullivan stał po przeciwnej stronie sali, czarując swobodnie grupkę rozentuzjasmowanych samiczek. On także dostrzegł wyjście Tylera i Amy, a jego niebieskie oczy zabłyśły zadowoleniem.

Ale najwymowniejsze ze wszystkich było spojrzenie czarnych oczu młodego Indianina o złamanym sercu.

## Rozdział 4

W południe następnego dnia wszyscy stwierdzili, że pieczony wół starego Ezawa był najsmaczniejszym i najdelikatniejszym mięsiwem, jakie kiedykolwiek udało mu się przyrządzić. Stary Murzyn, promieniejąc radością, przyjmował komplementy, prostował ramiona i wysoko unosił głowę.

Nawet damy przyszły po dokładkę pikantnej, soczystej wołowiny. Ocieniając parasolkami jasne twarze, wykrzykiwały, że nim nadejdzie wieczór nie będą w stanie zmieścić się w wymyślne balowe suknie. Potężni mężczyźni raz po raz wracali do dymiącego, barbecue, nie zważając na palące słońce i własną tuszę.

Amy Sullivan prezentowała nabyte w Nowym Orleanie maniery, okazując radość, której nie czuła i apetyt, którego nie miała. Wiedziała, że poczciwy ojciec pragnie, aby jej powrót do domu był doskonały pod każdym względem. Trzymając na kolanach talerz pełen sałatki z ziemniaków i mięsa, jadła niewiele, plotkowała i śmiała się z dziewczętami i paniami w cieniu wschodniego patio.

Nawet wołowina Ezawa nie miała smaku dla młodej, zawiedzionej kobiety. Amy spała niewiele i czuła się teraz zmęczona i roztargniona. Z całego serca pragnęła, by wszyscy ci ludzie zniknęli. Albo chciała po prostu odstawić talerz na bok i umknąć w chłodne zacisze własnego pokoju.

Upływały właśnie dwadzieścia cztery godziny od chwili, gdy wysiadła z pociągu. I przez cały ten czas nie była w stanie zapomnieć trzepotania długich, ciemnych rzęs Tonatiuha, pięknego kształtu jego pełnych warg i dotknięcia jego ciepłej dłoni.

Amy raz jeszcze uważnie zlustrowała wzrokiem gwarny skwer za patio. Jej ojciec, stojąc nad parującym barbecue, rozmawiał właśnie z senatorem Calahanem i Dougiem Crawfordem, młodym rancherem z sąsiedztwa. O parę stóp dalej, niedbale oparci o kamienną obmurówkę studni, Lucas i Tyler Parnell sączyli bourbona. Tyler uparcie obdarzał ją tęsknymi spojrzeniami i Amy z dreszczem niesmaku odwróciła wzrok. Po ostatnim nocnym spacerze miała nadzieję już nigdy nie znaleźć się sam na sam z panem Tylerem Parnellem.

Głęboki męski głos, który mieszał się z kobiecym szczebiotem zmusił ją do spojrzenia w najodleglejszy kąt patio. Baron, w błękitnej bawełnianej bluzie, rozpiętej na piersi i w obcisłych spodniach z bawolej skóry, siedział w kucki pomiędzy dwiema roześmianymi

kobietami. Jedną z nich była pospolita, niezamężna córka kupca, drugą - śliczna, pochodząca ze Wschodu narzeczona właściciela banku Sundown. Obie były w oczywisty sposób oczarowane.

Amy potrząsnęła głową i kontynuowała poszukiwanie. Nie dostrzegła jednak twarzy, którą tak bardzo pragnęła ujrzeć. Zauważyła jedynie ojca Tonatiuha, Don Ramona, który z wdziękiem odprowadzał do domu jakąś starszą damę. Delikatna staruszka czepiała się jego zgiętego ramienia, a Don Ramon uprzejmie dostosowywał swój krok do jej wolnego dreptania.

- Wybaczcie mi na chwilę - Amy odstawiła swój talerz i poderwała się z miejsca, wychodząc na spotkanie zbliżającej się pary.

- Czy mogę pomóc? - zapytała słodko.

- Och, Amy, jakaś ty troskliwa! - powiedział Don Ramon, gdy Amy ujęła starszą panią pod drugie ramię. - Pani Cassidy, to Amy Sullivan. Pamięta ją pani?

Wodniste oczy starej kobiety zamrugały i Amy wyczytała w nich jedynie zakłopotanie.

- Kto? Kto to jest? Amy uśmiechnęła się.

- Ależ, pani Cassidy, to ja, Amy. Córka Waltera Sullivana. Babcia Cassidy zmarszczyła brwi.

- Córka Waltera? Walter Sullivan miał córkę? Myślałam, że miał samych synów.

Don Ramon i Amy wymienili spojrzenia ponad siwą głową babci. Wprowadzili staruszkę do domu. Amy poprosiła, aby Don Ramon zaczekał chwilę i zaprowadziła wiekowego gościa do pokoju. Pomogła babci Cassidy położyć się do łóżka, zasłoniła okna i zanim na palcach opuściła pomieszczenie, staruszka chrapała już w najlepsze.

Don Ramon czekał na nią w gabinecie z orzechową boazerią. Z założonymi na plecach dłońmi stał przed półką wypełnioną oprawnymi w skórę tomami. Na widok wchodzącej dziewczyny odwrócił się z uśmiechem.

- Jesteś miłą i troskliwą młodą damą, Amy.

- Nieprawda - odparła szczerze. - Chciałam po prostu porozmawiać z panem.

Uniosła spódnicę z bladożółtego płótna i ostrożnie skierowała się ku niemu.



- Dlaczego go nie ma? Dlaczego nie przyszedł na barbecue? Don Ramon wzruszył ramionami, wciąż uśmiechając się pogodnie.

- Luiz nie czuł się dobrze dziś rano. Prosił, by go usprawiedliwić. Uważam, że powinien przyjść.

- Jest chory? Dlaczego pan od razu nie powiedział? Czy mogę go odwiedzić? Może czegoś potrzebuje...

Odwróciła się, chcąc odejść, ale Don Ramon delikatnie ją zatrzymał.

- Źle mnie zrozumiałaś. Luiz nie jest chory. Wybrał się na przejażdżkę i niedługo wróci. Nie rób sobie kłopotu.

- Przejażdżka? Dokąd? Dokąd pojechał?

- Nie pytałem, a on mi nie powiedział. Amy westchnęła.

- Chcę... chcę... Och, sama nie wiem, czego chcę! - wyraz rozpaczony, który nagle pojawił się w jej ślicznych błękitnych oczach był podobny do tego, który ujrzał wczoraj w ciemnych źrenicach swego syna. Amy odwróciła się i odeszła zgnębiona. Poruszony Don Ramon spoglądał w ślad za nią. Bardzo pragnął pomóc, ale wiedział, że nie potrafi.

Pozostał w zaciszu gabinetu. Usiadł w ulubionym fotelu, rozmyślając o Amy i Luizie. Obawiał się, że właśnie rodzi się pomiędzy nimi romans. Wszystko na to wskazywało.

Westchnął ciężko. Jego uśmiech znikł nagle. On byłby zadowolony, gdyby ta para pewnego dnia się pobrała, ale co powie na to patron? Wprawdzie Walter Sullivan wydawał się szczerze lubić Luiza, ale mógłby nie życzyć sobie zięcia mieszanej krwi.

Oboje byli tak młodzi i niewinni. Nie wiedzieli nic o życiu i jego pułapkach. Miał nadzieję, że dojrzeją, zanim zaczną poważnie myśleć o wyborze towarzysza życia. Luiz miał tylko siedemnaście lat, a Amy właśnie skończyła szesnaście.

Zielone oczy Don Ramona przymknęły się, na jego twarzy pojawił się błogi uśmiech. Ach, jakimież hipokrytami stajemy się z wiekiem!

Jego myśli, budząc wspomnienia, podążyły ku innemu przyjęciu, innej piękności i innemu czerwcowi sprzed dwudziestu lat.

Nie chciał iść na to spotkanie. Kiedy jednak późny czerwcowy zmierzch zapadł nad Mexico City, Don Ramon Rafael Quintano, przyodziany w wieczorowy strój, wysiadał z lśniącego powozu przed pałacem Chapultepec.

W dłoni w białej rękawiczce trzymał zaproszenie z tłoczonymi w zlocie literami. Wręczył je lokajowi, który poprowadził go długim korytarzem na szeroką galerię, która znajdowała się dokładnie nad gigantyczną salą balową.

Niejedno kobiece serce zadrżało, gdy smukły, przystojny Hiszpan przystanął, nonszalancko przyglądając się zgromadzonym gościom. Ale to jego serce zabiło mocniej, gdy spojrzał na najpiękniejszą dziewczynę na balu.

Była wysoka i smukła, a jej czarne, proste włosy spływały na biodra. Miała na sobie długą szmaragdowozieloną szatę, obrzeżoną złotymi pasami i zapiętą na ramieniu - po aztecku. Złote naramienniki pieśczośliwie obejmowały smukłe, nagie ramiona. Ciężki złoty łańcuch na szyi podtrzymywał duży, złoty dysk spoczywający w zagłębieniu pomiędzy piersiami. Delikatne przeguby dłoni pokryte były bransoletami ze złota i nefrytu, a małe stopy kryły się w sandałach wysadzanych drogimi kamieniami.

Oczarowany Don Ramon zszedł po marmurowych schodach i skierował się w stronę tajemniczej, egzotycznej piękności. Jej czarne, podługne oczy błyszczały blaskiem niemal porażającym, a rubinowe wargi były jak owoce dzikich jagód.

Zanim dotarł do nieznajomej, poczuł, że drży. Jego gospodarz, Presidente Antonio Lopez de Santa Anna stał obok tajemniczej piękności i dokonał prezentacji.

Don Ramon spojrzał w czarne, fascynujące oczy młodej azteckiej bogini, Xochiquetzal, dziedzicznej księżniczki i w prostej linii potomkini pierwszej Xochiquetzal.

Był wykształconym człowiekiem i dobrze wiedział, co oznacza to nazwisko. Drogocenny Kwiat. Uosobienie piękności i miłości, bogini kwiatów. Do nikogo bardziej nie pasowało takie imię.

Pokochał ją od razu. A przy tym był pewien, że i ona go pragnie. Sama myśl o długich tygodniach, może miesiącach oczekiwania, zanim zdoła ją zdobyć i posiadać, sprawiała romantycznemu Latynosowi ból.

Ale bogini Xochiquetzal nie była podobna do innych, młodych kobiet obecnych tej nocy w pałacu. Robiła to, na co miała ochotę i nikomu nie musiała się spowiadać. Nie stosowała się do żadnego protokołu i nie przestrzegała żadnych norm obyczajowych.

I tak właśnie, szokując gospodarzy, ujęła dłoń Ramona i w milczeniu powiodła go do ogrodu. Tam szesnastoletnia bogini zwróciła się ku oszołomionemu Hiszpanowi, otoczyła smukłymi ramionami jego szyję i podała mu do pocałunku piękną twarz.

Pocałował ją więc, a gdy ich rozgrzane wargi rozstały się, przemówiła:

- Widziałam twe przybycie w gwiazdach i w zadymionym zwierciadle. Wiem tylko, że musimy się pobrać, ale... - westchnęła

- ... nie mogę ci obiecać, że pozostanę z tobą na zawsze.

- Czy to ma znaczenie? - udało mu się wykrztusić schrypniętym głosem. - Pragnę cię na zawsze lub na tak długo, jak długo zechcesz być moja. Wyjdź za mnie jutro, mi querida.

- Nie - odparła spokojnie. - To musi stać się dzisiaj. Stary padre czeka na nas w pałacowej kaplicy. Chodź.

Podczas gdy goście tańczyli w ogromnej sali balowej Chapultepec, w pałacowej kaplicy odbywała się cicha ceremonia ślubna. Don Ramon Rafael Quintano pojął za żonę aztecką księżniczkę Xochiquetzal. W chwilę potem Xochiquetzal powiodła pana młodego po marmurowych schodach do ogromnej, luksusowej sypialni.

I tam, w jasnym świetle meksykańskiego księżyca, wlewającego się do pokoju przez wysokie pałacowe okna, panna młoda - jak we śnie - zsunęła z siebie suknię, bransolety, naramienniki i sandały.

Naga, tylko w złotym medalionie, ujęła w dłonie ciężki złoty dysk i powiedziała do męża:

- Oto, mój mężu, jest dokładna podobizna wspaniałego Kamienia Słonecznego, który niegdyś ozdabiał Wielką Świątynię Huitzilopochtli na głównym placu Tenochtitlan. Twarz, którą widzisz pośrodku przedstawia Boga Słońce.

Don Ramon skinał głową w milczeniu.

- Czworo mniejszych bogów wokół Boga Słońce to bogowie ziemi, wiatru, ognia i wody - pozwoliła, by lśniący dysk opadł z powrotem na jej piersi. - Nasz syn będzie nosił imię Tonatiuh na cześć Boga Słońce.

Stała tam naga i piękna, tak zaskakująco śmiała, że jej zazdrosny małżonek poczuł nagle ukłucie bólu. Płonącym wzrokiem, chłonąc jej obnażoną urodę, zaczął zastanawiać się nad dziewictwem żony. A wówczas ona uśmiechnęła się i podeszła do męża, ujmując obie jego

ręce. Obróciła je dłońmi ku górze i kolejno ucałowała, po czym jedną położyła na swej nagiej piersi, a drugą między udami.

- Twe ręce są jedynymi, które kiedykolwiek mnie dotknęły, Ramonie. My, Aztekowie, jesteśmy narodem o głębokiej moralności. Jestem dziewicą. Tak, jak twe pojawienie się było przepowiedziane w gwiazdach, rozkazem bogów przysłałam do ciebie nietknięta. Nigdy w życiu nie pocałowałam mężczyzny. Czy teraz nauczysz mnie, jak mam cię kochać?

Uszczęśliwiony małżonek opiekuńczo objął ją ramionami:

- Si, mój drogocenny kwiecie. Nauczę cię, moja kochana, jedyna...

Nazajutrz małżonkowie umknęli z gorącego, parnego miasta i na pozostałe długie, cudowne miesiące lata zaszyli się na szmaragdowym meksykańskim wybrzeżu. A kiedy nadeszła jesień, Don Ramon zabrał żonę daleko, daleko na północ, na mały skrawek hiszpańskiej ziemi, ślubny podarunek od rodziny.

Tam wybudował dla niej mały dom z suszonej na słońcu cegły, a potem zapoznał ją z najbliższymi sąsiadami: wielkim jasnowłosym Teksańczykiem Walterem Sullivanem, jego żoną Beth i młodszą siostrą Waltera, Meg.

Sullivanowie byli przyjaźnie nastawieni i chętnie przyjęli rodzinę Quintano.

Przez jakiś czas Quintano żyli szczęśliwie na tej smutnej, opustoszałej ziemi. Ale życie nie było tu łatwe. Don Ramon nie miał szczęścia w gospodarowaniu na bezpłodnym gruncie. Żona Ramona, piękna Xochiquetzal, nie mogła tu uprawiać nawet kukurydzy, a cóż dopiero kwiatów, które tak kochała.

Bogini do tej pory nie zaszła w ciążę i co miesiąc wylewała gorzkie łzy rozczarowania. Minał rok, potem drugi i trzeci.

Pewnego gorącego sierpniowego wieczoru 1838 roku Don Ramon wrócił do skromnego domu po męczącym dniu i zastał swą piękną żonę promieniejącą szczęściem. Oznajmiła mu, że na wiosnę zostanie ojcem. Pili maderę ze srebrnych kubków i kochali się w promieniach zachodzącego słońca.

O wschodzie 17 kwietnia 1839 roku Xochiquetzal zaczęła rodzić. Przerażony małżonek chciał natychmiast wezwać doktora. Powstrzymała go. Nie będzie potrzebowała lekarza. Błagał, by pozwoliła mu chociaż wezwać senorę i senoritę Sullivan. Nie. Nie

chciała dzielić swego szczęścia z obcymi. On, jej mąż, odbierze dziecko.

Ramon, śmiertelnie przerażony, skinął tylko głową, zapalił lampy i przygotował się na najdłuższą noc swego życia. Jego nieustraszona bogini nie przejawiała lęku. Uśmiechała się, nuciła i porządkowała chatę, jakby byli na najwspanialszych wakacjach.

O północy zdjęła z siebie ubranie, na jej piersi lśnił jedynie Słoneczny Kamień. Niespiesznie wykapała się przy świetle świec. Naga, ułożyła się na czystej, białej pościeli, plecami wsparta na poduszkach podciągnęła ku górze kolana i bosymi stopami zaparła się w materac.

Gdy rozdzierające bóle zaczęły pojawiać się regularnie, wyrzuciła ramiona za siebie, dłońmi objęła cylindryczne kolumnienki mosiężnego łoża i od tej chwili nie wydała już ani jednego jęku.

Podczas gdy Don Ramon przykładał chłodne kompresy na wykrzywioną bólem twarz żony, na jej szyję i wilgotne od potu, ciemne włosy, Xochiquetzal w rodzimym narzeczu Nahuatl spokojnie wzywała swych dawnych bogów. Przerażony małżonek nie rozumiał języka Azteków i nieraz zastanawiał się, czy nie są to modlitwy przygotowujące na śmierć.

Poród przeciągał się do wczesnych godzin poranka. Don Ramon był bardzo zatroskany. Zaglądał w zamglone bólem czarne oczy ukochanej, widział strugi potu spływające po pełnych piersiach, ogromnym brzuchu i długich, szeroko rozrzuconych nogach.

Kwietniowe słońce wzeszło, a Xochiquetzal wciąż siedziała na łożu wijąc się w bólach, niezdolna wydać dziecka na świat. W południe wciąż jeszcze walczyła, osłabiona, ale nie pokonana. Czując, że Bóg karze go zapewne za jakiś popełniony wcześniej i dawno zapomniany grzech, Don Ramon był pewien, że jego żona i nie narodzone dziecko umrą.

Po południu upał panujący w zamkniętej sypialni stał się nie do zniesienia. Mokra koszula i spodnie Don Ramona kleiły się do muskularnego ciała, pot spływał z jego gęstych włosów wprost w zielone oczy. Pozostawał przy łożu, kochając tę cierpiącą kobietę mocniej niż własne życie, przysięgając w duchu, że gdy wyda ostatnie bolesne tchnienie, on będzie jej towarzyszył w śmierć. Jej oczy już się zamykały, godzina nadchodziła.

Słońce zniżało się ku zachodowi. Gorące, duszne powietrze zaczęło się ochładzać. Czarne oczy Xochiquetzal otwały się nagle. Uśmiechnęła się do zdumionego męża. Blask zachodzącego słońca oblał jej nagie, lśniące ciało bladopomarańczowym blaskiem.

Ostatkiem sił, sprężając osłabione bólem mięśnie, oznajmiła triumfalnie:

- Czas nadszedł.

I tak się stało.

Tonatiuh urodził się w chwili, gdy słońce mówiło ziemi dobranoc. Kiedy niemowlę wykrzykiwało powitanie ze światem, jego szczęśliwa, zmęczona matka zapadła w błogi sen, a ojciec bez zażenowania wylewał łzy radości i wdzięczności.

Dziecko miało cztery miesiące, gdy Don Ramon, po powrocie do domu pewnego wieczora, nie zastał ani synka, ani żony. Pojechał natychmiast do Sullivanów, przypuszczając, że jego bogini dokuczyła samotność.

Ale meksykańska służąca przyjęła go w drzwiach oznajmiając, że senora Sullivan właśnie dowiedziała się, iż na wiosnę zostanie matką. Senora i senorita Meg opuściły dom dziś rano. Pojechały do Nowego Orleanu i pozostaną tam aż do narodzin dziecka.

Don Ramon zawrócił. Wściekły, ruszył na poszukiwanie żony i syna poprzez wysuszone koryta rzek, poznaczone kaktusami płaskowyże i spieczone słońcem równiny.

O zachodzie słońca dostrzegł coś błyszczącego na szczycie bazaltowej skałki. Niespokojnie zawrócił swego wiatronogiego wierzchowca i pognął w tamtym kierunku.

Tonatiuh, głodny i spalony słońcem, leżał na płaskim szczycie skałki wydzierając się wniebogłose. Był nagi, a na cienkiej szyjce miał ciężki złoty łańcuch. Na gołym brzuszku spoczywał złoty Kamień Słoneczny, a pod ciemną główką - złożony arkusz dziwnie wyglądającego papieru.

Ramon podniósł synka. Tuląc go w ramionach rozwinął papier. Był to cienki, podobny do materiału arkusz kory drzewa figowego. Rozpoznał go. Takiego papieru używali Aztekowie przed ponad pięciuset laty.

Ostrożnie rozwinął go i zaczął czytać:

Ramon...

- Ramon.

- Co? - Don Ramon zaskoczony zamrugał oczami i uśmiechnął się.

- Przepraszam - powiedział, podnosząc się z miejsca. - Błądziłem myślami w przeszłości.

Walter Sullivan śmiał się od drzwi.

- Miłe miejsce na spędzanie czasu, ale nie można tam żyć, amigo. Chodź, zebraliśmy się już w pokoju do gry w karty.

## Rozdział 5

Mówili, że Pedrico więcej potrafi zobaczyć jednym okiem niż inni dwójkiem.

Jednooki Pedrico Valdez był w Orilli chłopcem do posług, jeszcze przed narodzinami Amy. Od służby dowiedziała się, w jaki sposób ten zwinny, cichy mężczyzna stracił lewe oko.

Zaledwie wyrosły z wieku chłopięcego, mieszkając samotnie w Paso del Norte, uległ urokowi ślicznej śpiewaczki z kantyny. Wszystkie zarobione pieniądze wydawał na podarki dla ciemnowłosej kobiety o czerwonych wargach. Chciał nawet ożenić się z uroczą Angeliką, swym aniołem, ale ona tylko roześmiała się i obiecała powiedzieć „tak”, gdy Pedrico skończy dwadzieścia lat.

Niestety, jego Angelika nie była aniołem. Pewnej gorącej nocy przystojny nieznajomy przyjechał do miasta, wkroczył do kantyny i posiadał płoche serce śpiewaczki.

Zazdrosny kochanek Angeliki, Pedrico, wyzwiał na pojedynek człowieka, który skradł mu ukochaną. Wywiązała się walka. Obcy wyciągnął nóż. Pedrico był bezbronny. Stracił lewe oko i ukochaną; pozostawiono go w parku jako zabitego.

Walter Sullivan znalazł go i zawiózł do lekarza, a potem do Orilli na rekonwalescencję, która przeciągnęła się w stały pobyt. Ocalałym okiem już nigdy więcej nie spojrział na kobietę, choć niejedna śliczna pokojówka z Orilli uważała, że ten smukły, spokojny mężczyzna z czarną opaską jest bardzo pociągający.

Zranione serce Pedrica wciąż należało do Angeliki.

Patrona obdarzał najgorętszym oddaniem.

Tego ciepłego czerwcowego poranka Pedrico, z tacą ze śniadaniem na rozpostartych palcach, delikatnie zapukał do drzwi sypialni Amy. Wypowiedział przy tym magiczne słowa, które tak bardzo pragnęła usłyszeć:

- Proszę wstać, seniorita Amy. Wszyscy goście już odjechali. Odczekał chwilę, a kąciki jego ust pod cienkim wąsem uniosły się lekko w uśmiechu.

W kilka sekund później ciężkie rzeźbione drzwi uchyliły się i wyjrzała zza nich zaspana twarz dziewczyny.

- Jesteś pewien, Pedrico?



Skinął głową i mijając ją wszedł do pokoju. Postawił tacę na stole, po czym odsunął ciężką draperię. Jasne światło słonecznego poranka wdarło się do wnętrza.

- Senator i pani Calahan odjechali o wschodzie słońca - oznajmił z uśmiechem. - Nie ma już gości w Orilli.

- Dzięki niech będą dobremu Panu - odparła Amy, wiążąc pod szyją satynowe wstążki szlafroka i siadając po turecku na rozrzuconej pościeli. - Wreszcie trochę czasu dla siebie!

Pedrico skinął głową, nalewając kawę z błyszczącego srebrnego czajnika:

- Czy to znaczy, że nie należy panience przeszkadzać? - podszedł do niej i podał filiżankę gorącej czarnej kawy.

- Dokładnie tak - odrzekła.

Czuła jednak coś dziwnego, a kiedy w jego spojrzeniu pochwyciła zdecydowany błysk humoru, zapytała:

- Co się dzieje? O czymś mi jeszcze nie powiedziałaś. Pedrico wyszczerzył zęby.

- Pewien niecierpliwy młodzieniec czeka na panienkę na dole, ale jeżeli tak...

- Kto?

- Luiz Quintano.

Amy natychmiast oddała mu filiżankę.

- Tonatiuh jest tutaj? Teraz? - Z rozszerzonymi radością oczami wyskoczyła z łóżka. - Pedrico, ty diable! Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Mówię teraz, seniorita. Luiz przyszedł zapytać, czy panienka nie wybrałaby się z nim na przejażdżkę. Co mam mu odpowiedzieć?

- Powiedz, że tak! - Myślami wybiegała już naprzód, zastanawiając się, co włożyć.

Wybrała piękną spódnice do konnej jazdy z kremowego zamszu i kosztowną, zupełnie nową bluzkę z żółtego jedwabiu. Musiała wyglądać jak najlepiej.

- Oczywiście, że chcę pojechać z Tonatiuhem.

- Tak właśnie myślałem - odparł Pedrico, mrugając do niej swym jedynym okiem. - Czeka na wschodnim patio.

Luiz Quintano niecierpliwie krążył po kamiennej posadzce wielkiego patio. Miał spocone dłonie, a żołądek podchodził mu do

gardła Wstał o wschodzie słońca, tak bardzo pragnąc ujrzeć Amy, że nie mógł już zasnąć.

Zanim się położył, starannie przygotował sobie ubranie, na następny dzień, wybierając strój, w którym miał nadzieję wyglądać bardziej po męsku i trochę stateczniej. Kiedy jednak ubierał się o świcie, wszystko wyszło jakoś inaczej, zupełnie idiotycznie.

Przebrał się z niesmakiem. A potem jeszcze raz. A kiedy jego ogromna, wyłożona ciemną boazerią sypialnia tonęła w rozrzuconych ubraniach, włożył dokładnie to, co przygotował wieczorem.

Teraz, zdenerwowany i pełen wątpliwości, żałował, że nie ubrał się w coś innego, mniej rzucającego się w oczy. Powinien był pozostać przy znoszonych spodniach z jeleniej skóry i starej koszuli. Amy pomyśli, że jest próżny. Albo, co gorsza, że się przed nią popisuje. Oczywiście, o ile w ogóle zejdzie na dół. Może przecież nie zejść.

Może po prostu roześmiać się i powiedzieć Pedrico, że ostatnią rzeczą na świecie, na jaką ma ochotę, jest przejażdżka z siedemnastoletnim, nudnym Indianinem.

Przed jego oczami pojawiły się zniechęcone obrazy: Amy unoszona w ramionach ugrzecznionego Tylera Parnella, wirująca z nim na parkiecie. Amy roześmiana, potrząsająca jasnowłosą główką, wsłuchana w szepty Parnella. Amy, uczepona ramienia Parnella, mijająca Luiza w ogrodzie zalanym światłem księżyca.

Ciemne oczy Luiza przymknęły się w rozpacz.

Amy Sullivan nie zejdzie, nie pojedzie z nim na spacer. Był żalonym durniem, jeżeli sądził, że będzie inaczej. Zrobił z siebie widowisko. Wszyscy się teraz dowiedzą. Pedrico opowie to całej służbie. Stanie się pośmiewiskiem Orilli.

To się nie może stać. Nie pozwoli na to. Obrócił się na pięcie, pragnąc jak najspieszniej opuścić miejsce swej klęski i podążył ku wysokiemu żywopłotowi na skraju patio.

Gdy znalazł się poza nim, odetchnął z ulgą. Odszedł zaledwie kilka kroków, gdy usłyszał jej głos. Wzywała go po imieniu:

- Tonatiuh, przepraszam, że tak późno, ale... - Amy wybiegła na patio i przystanęła, zaskoczona. - Tonatiuh?

Poruszony żywopłot zwrócił jej uwagę. Podniosła oczy i ujrzała Luiza. Stał nieruchomo, na szeroko rozstawionych nogach i patrzył wprost na nią. Ona także przyglądała mu się bez słowa.

Miał na sobie błękitną jak niebo, bawełnianą koszulę z długimi rękawami i ciemnobrązowe spodnie, okrywające aż po czubki kowbojskie buty. Wzdłuż zewnętrznych szwów wąskich nogawic biegł rząd srebrnych ćwieków. Smukłą talię opinał pięknie pleciony pas. Dłonie okrywały rękawiczki z zamszu miękkiego jak aksamit, a pod szyją Luiz zawiązał ciemnoczekoladową kokardę.

Granatowoczarne włosy lśniły w słońcu.

- Amy - wyszeptał jej imię.

Nie: „Dzień dobry, Amy”. Nie: „Miło cię widzieć”. Tylko „Amy”. Sposób, w jaki wypowiedział to jedno słowo napełnił ją takim samym dziwnie podniecającym uczuciem jak w dniu, kiedy wyjechał po nią na stację.

Ruszył ku niej. Jego ogromne, meksykańskie ostrogi dźwięczały w rytmie jej serca. A kiedy stanął tuż przed nią, dojrzała w jego oczach zwątpienie.

- Ja... pomyślałem sobie, że może zechcesz przejechać się ze mną - zaczął. - Ale jeśli nie chcesz... cóż, mogę...

- Proszę cię - przerwała unosząc dłoń. Pragnęła go dotknąć, ale zabrakło jej odwagi. - Zabierz mnie. Chcę pojechać z tobą, Tonatiuh.

Wtedy uśmiechnął się. Tak nieoczekiwanie, ciepło i olśniewająco, że wstrzymała oddech. Zamrugwała radośnie, gdy ujął ją pod ramię i szybko poprowadził poprzez patio do przejścia w żywopłocie.

- Osiodłałem konie. Na wszelki wypadek.

Amy uśmiechnęła się i, spoglądając na jego brunatną twarz, zastanawiała się, jak w ogóle mógł wątpić, że z nim pojedzie. Ale nie odezwała się ani słowem. Uszczęśliwiona i podniecona pozwoliła młodzieńcowi poprowadzić się przez skwer aż do tylnej bramy, gdzie czekała para osiodłanych koni.

- Wybrałem dla ciebie karą klacz, ale jeżeli wolisz...

- Chcę ją - powiedziała szybko Amy, okiem znawczyni obrzucając karą klacz z białą gwiazdką na czole. Tonatiuh, ona jest piękna.

Promieniał radością i dumą. Objął dłońmi talię Amy, podsadzając ją na czarne, okute srebrem siodło. Przerzucił wodze nad karkiem klaczy i z uśmiechem podał je dziewczynie, podczas gdy jego dłoń leniwie bawiła się strzemieniem.

- Pamiętasz jeszcze, jak się jeździ konno? - zapytał przekornie, po raz pierwszy od tygodnia czując ulgę w sercu.

- Złap mnie, jeśli potrafisz - wyzywająco odpowiedziała Amy. Obróciła posłusznego wierzchowca, dotknęła jego boków obcasami pozbawionymi ostróg i od razu ruszyła galopem.

Luiz stał jeszcze przez chwilę, obserwując, jak piękna dziewczyna oddała się od niego. Jej śmiech napełnił go szczęściem tak wielkim i nowym, że poczuł lęk.

Chwytał wodze stalowoszarego ogiera i skoczył na siodło. Lekko dotykając ostrogami boków ogromnego zwierzęcia popędził za roześmianą, złotowłosą dziewczyną.

Szary ogier bez trudu dogonił czarną klacz. Luiz był doskonałym jeźdźcem, w wieku dwu lat po raz pierwszy dosiadł konia. Od dwunastego roku życia trenował rasowe konie Orilli, a patron twierdził, że jest najlepszym jinete na rancho. Luiz był z tego bardzo dumny i cieszył się, gdy doświadczeni jeźdźcy z Orilli traktowali go jak równego sobie.

Teraz ściągnął wodze. Jechał u boku Amy i dostosowywał krok swego wierzchowca do swobodnego kłusa karej klaczy. Posłał dziewczynie wesoły uśmiech, a potem oboje bez słowa, strzemień w strzemień, opuścili krąg ceglanych zabudowań Orilli, kierując się na północny wschód, gdzie piaszczysty grunt wznosił się lekko.

Daleko na horyzoncie pojawiły się wzniesienia, urastając w zielone wzgórza, na końcu których widniały za błękitną mgiełką góry Guade lupe. Nad nimi wznosił się ostry szczyt El Capitan. Czyste jak kryształ powietrze sprawiało, że góry wydawały się ludzko bliskie.

Słońce paliło im twarze, wiatr drażnił oczy, a oni pędzili galopem poprzez ogromne pustynie, nie zwracając uwagi na coraz większy upał. Jechali wciąż dalej i dalej, a zupełną ciszę wokół maćił jedynie tętent kopyt końskich uderzających w spaloną słońcem ziemię.

Amy czuła się silna i szczęśliwa, i zaczęła się zastanawiać, jak wiele czasu zajęłoby im dotarcie do samych gór. Odwróciła się w siodle, chcąc zapytać Luiza, ale ten dał jej tylko znak, by jechała dalej. Skinęła głową i posłusznie popędziła karosza.

Odjechali już dość daleko od Orilli. Poruszali się teraz po terenie wzniesionym o wiele stóp powyżej położenia hacjendy, która znajdowała się na samym dnie pustyni. Kępa topoli po lewej uzmysłowiła Amy, że znajdują się w pobliżu rzeki.

Luiz potwierdził to, gdy się zatrzymali.

- Chciałbym ci teraz pokazać moje ulubione miejsce nad rzeką. Nikt inny o nim nie wie - powiedział wskazując na północny wschód.

- Nie powiem nikomu - zapewniła go Amy, zadowolona, że zechciał podzielić się z nią swoim sekretem.

- Wierzę ci - stwierdził z takim przekonaniem, iż poczuła jeszcze większy przyływ radości.

- To jeszcze ze cztery mile w górę rzeki, Amy. Gdybyś chciała zaczekać do jakiegoś chłodniejszego dnia, nie mam nic przeciwko temu.

- Nie chcę czekać. Zabierz mnie tam od razu.

Ruszyli wzdłuż krętego koryta rzeki, wspinając się coraz wyżej. Kiedy dotarli do miejsca przeznaczenia, Luiz zwinnie zeskoczył z konia, odrzucił wodze i zdjął Amy z grzbietu karej klaczy. Przyglądał się dziewczynie, rozbawiony wyrazem zdumienia na jej twarzy. Wiedział, że jest rozczarowana. Ze zmarszczonymi brwiami przypatrywała się kępie wysokich wierzb przed nimi, po czym zwróciła się ku niemu i, chwytając uchem słaby szelest ściekającej wody, spojrzała pytająco.

- Zamknij oczy - polecił, podniecony jak dziecko.

Ujął ją za rękę i poprowadził pomiędzy wysokie wierzby i topole. Wewnątrz pierścienia drzew obrócił ją i postawił przed sobą, ostrożnie ustawiając na skraju gładkiego, płaskiego kamienia.

Znowu obrócił ją lekko, aby, kiedy tylko otworzy oczy, ujrzała wodospad.

Odetchnął głęboko i powiedział:

- Teraz, Amy.

Ledwie mogła uwierzyć w to, co widzi przed sobą. Stali w małej zatoczce porośniętej soczystą zielenią. Głębokie, czyste jezioro w dole było stale zasilane przez pianistą kaskadę. Brzeg rzeki porastało dzikie kwiecie i winorośl.

Niepojęte, że taki skrawek tropikalnego raju mógł uchować się w samym środku rozpalonej pustyni Chihuahua.

Jej oczy, rozszerzone zdumieniem, zwróciły się ku Luizowi.

- Ja chyba śnię. Nie możemy przecież stać nad jeziorkiem koło wodospadu.

- Ale stoimy - zapewnił ją. - Jest ono na tyle głębokie, że mogę skakać ze szczytu tego wielkiego głazu - pokazał jej ogromny nawis skalny obok wodospadu.

- Pływasz tutaj?
- Tak.
- Zazdroszczę ci.

Usiadła na trawiastym brzegu i objęła kolana ramionami. Luiz usiadł obok.

- Nie musisz. Możesz tu pływać - zawahał się, po czym dodał:
- Ze mną...

Amy spojrzała na niego. Zajrzała w jego czarne, wyraziste oczy i nagle zaczęła się zastanawiać, dlaczego był dla niej tak miły i uprzejmy, skoro przez cały tydzień zachowywał się jak gbur.

- Dlaczego ignorowałeś mnie na przyjęciu? - zapytała wyniośle.

- Ani razu ze mną nie zatańczyłeś. Zraniłeś moje uczucia. Przez jego twarz przemknął bolesny skurcz. Spojrzał na spokojny nurt rzeki, po czym głośno przełknął ślinę i wyznał jej prawdę:

- Nie umiem tańczyć.
- Nie umiesz... I z tego powodu...?
- Tak! - wybuchnął, a jego storturowane spojrzenie spoczęło znów na jej twarzy. - Nie umiem tańczyć! Jestem niezręczny i...

Przerwał mu nagły wybuch śmiechu Amy. W jego czarnych oczach pojawił się płomień gniewu.

- To cię tak śmieszy?
- Tak. Nie czujesz, że to śmieszne?
- Nie bardzo - spojrzał na nią z ukosa. Koniuszkami palców dotknęła jego napiętej twarzy.

- Tonatiuh, naprawdę uważasz, że obchodzi mnie, jak tańczysz? Chwyciła jego dłoń w swoje dłonie i czule przytuliła doń policzek.

- Myślałam, że nie chcesz tańczyć ze mną. Nie rozumiesz? Myślałam, że to moja wina.

- To była wyłącznie moja wina - jego gniewna twarz stopniowo łagodniała, ale nie mógł sobie odmówić dodania: - Nie jestem Tylerem Parnellem.

- Wiem - odparła. - Bardzo mnie to cieszy. Uwolniła jego rękę, ale wciąż przyglądała mu się ciepło. Luiz nie był jeszcze przekonany.

- Założę się, że gdyby teraz był tu z tobą to... to pocałowałby cię. Amy spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie zrobiłby tego. Nie pozwoliłabym mu, tak samo, jak nie pozwoliłam mu wtedy w ogrodzie - uśmiechnęła się i dodała miękko: - Ale tobie pozwolę się pocałować, Tonatiuh.

- Oczywiście, jeśli będziesz chciał - dodała wstydliwie.

- Pragnę cię pocałować, ale... - westchnął ciężko - ... ale widzisz, to tak jak z tańczeniem. Całować też nie umiem. Nigdy dotąd nie pocałowałem dziewczyny.

- Cieszę się - odparła Amy. - Mnie też nikt dotąd nie pocałował. Nauczmy się tego razem - ufnie podniosła ku niemu oczy. - Prawda?

Luiz zaśmiał się jak mały chłopiec.

- Oczywiście.

Serce waliło mu w piersi, gdy zdejmował zamszowe rękawiczki i rzucił je obok na ziemię. Kiedy zwrócił się ku Amy, dziewczyna wstrzymała oddech. Brązowe, szczupłe palce ujęły jej twarz.

Nie miała pojęcia, co powinna zrobić z rękami, więc tylko oplotła nimi jego przeguby.

Czarne oczy przez chwilę przytrzymały jej spojrzenie, po czym zsunęły się do jej warg. Pod tym badawczym wzrokiem usta Amy zaczęły drżeć, a płuca zdawały się bliskie eksplozji.

Ale wtedy on uśmiechnął się ze zrozumieniem i cichym, miękkim głosem powiedział:

- Oddychaj, kochanie.

Amy skinęła głową i odetchnęła z wdzięcznością, a potem oboje wybuchnęli śmiechem. Gdy wreszcie uspokoili się, roześmiane czarne oczy Luiza pociemniały. Pochylił się, lekko uniósł podbródek Amy, i pocałował ją.

Ich nieśmiałe wargi zaledwie musnęły się, niewinnie i niepewnie, i natychmiast cofnęły. Ale ten krótki, wstydlivy pocałunek był dla młodej, naiwnej pary słodko podniecający.

Zdumiony jego cudownością Luiz poczuł się nagle silny, opiekuńczy i zaborczy.

- Amy, to nie wystarczy, że jestem pierwszym mężczyzną, który cię pocałował.

- Nie? - spojrzała na niego szeroko rozwartymi oczami. Jego czarne, ogromne źrenice błysnęły ogniem, gdy starannie modulowaną angielszczyzną, z lekkim śladem obcego akcentu, powiedział:

- Muszę być także ostatni.

Amy szybko otworzyła usta, żeby go o tym zapewnić, ale jego ciepłe wargi zamknęły je długim, czułym pocałunkiem. Dziewczyna westchnęła tylko, czując, że on i tak o tym wie.

Jej pierwszy. Ostatni. Jedyny.

## Rozdział 6

Grube mury hacjendy smażyły się w czerwcowym słońcu. Okiennice szczelnie zamknięte przed upałem sprawiały, że budowla przypominała ogromnego wielookiego potwora.

Wewnątrz panowała cisza, zmacona jedynie tykaniem zegara w dolnym holu. Sjesta, obyczaj wzięty od południowych sąsiadów, bardzo łatwo przyjął się wśród ludności zamieszkującej pustynne obszary południowego Teksasu.

W Orilli zarówno rodzina, jak i służba najgorętszą część dnia spędzała w półmroku sypialni, a sen był ich jedyną obroną przed okrutnym popołudniowym upałem.

Jeden tylko mieszkaniec Orilli dawno temu odkrył ciekawszy sposób spędzania dusznych teksaskich popołudni. Baron Sullivan zwalczał wściekły upał własnym żarem. Nikt bardziej niż on nie cieszył się sjestą.

To było latem - w roku śmierci jego matki i przeprowadzki do nowo wybudowanej hacjendy. Został wynajęty cały komplet nowej służby. Magdalena Torrez i jej malutka, czteroletnia córeczka właśnie przybyły z miasteczka. Magdalena miała służyć jako pokojówka na piętrze.

Baron natychmiast ją zauważył. Zafascynowany jej dużymi, miękkimi piersiami, które podskakiwały pod bawełnianą bluzką, zaczął się zastanawiać, jak wyglądałyby bez ubrania. A potem rozmyślać, jak mógłby się tego dowiedzieć.

Odpowiedź przyszła pewnego sierpniowego popołudnia, gdy, niespokojny i znudzony, leżał w mrocznej sypialni walcząc z bezsennością. Nagle się uśmiechnął. Wstał z łóżka, podszedł do drzwi i wyszedł na korytarz. Rozejrzał się uważnie i, nie widząc nikogo, skierował się wprost do pokoju ojca. Otworzył ciężkie, rzeźbione drzwi i ujrzał, że pan domu, nagi do pasa, leży na plecach w głębokim uśpieniu. Baron cicho podszedł do mahoniowego biurka i otworzył górną szufladę. W samym jej kącie leżało małe pudełeczko pokryte błękitnym aksamitem.

Uchylił wieczka i z satynowej otuliny wydobyl błyszczący diamentowy wisior, który Walter Sullivan podarował narzeczonej w dniu ślubu. Baron schował wisior do kieszeni, zamknął pudełko i włożył na miejsce. W kilka sekund później był już na korytarzu.



Cicho zszedł po schodach na tyły domu, do pomieszczeń dla służby. Zatrzymał się przed pokojem Magdaleny Torrez. Nasłuchiwał przez chwilę, po czym wszedł do środka.

Wyteżając wzrok w półmroku, ujrzał po drugiej stronie pokoju, na wielkim łożu koło okna, spokojnie śpiącą Magdalенę i jej córeczkę Rosę. Przyglądał się im przez chwilę z uśmiechem. Jego śliczna Magdalena miała na sobie tylko bawełniany kaftanik i spódnicę z falbankami. Ramiączko kaftanika zsunęło się jej z ramienia i jedwabście brązowa wypukłość pełnej piersi stanowiła bardzo kuszący widok.

Równie kuszący był widok gładkiego, jędrnego uda, wyłaniającego się spod skreconej, wysoko zadartej spódnicy.

Baron niechętnie oderwał wzrok od zmysłowej kobiety. Podeszedł bezszelestnie do małej sosnowej szafki, na której leżało pudełko z przyborami do szycia. Otworzył je i włożył do środka diamentowy wisior. Pospiesznie wrócił do swojego pokoju. Wyciągnął się na łożku i uśmiechnął sennie do swoich myśli.

Wiedział już, że to ostatnia monotonna sješta, którą musi przetrzymać.

Obudził się następnego dnia dość późno. Pozostali domownicy dawno już zjedli śniadanie i rozeszli się. Zanim zszedł na dół umyślnie oderwał guzik od koszuli. Z guzikiem w dłoni ruszył na poszukiwanie Magdaleny Torrez.

Znalazł ją ścierającą kurze. Nie słyszała, kiedy nadchodził, toteż powitał go widok jej okrągłych, wysoko uniesionych w górę pośladków, podczas gdy ona sama wymiatała kurz spod niskiego parapetu okiennego.

Na dźwięk swojego imienia Magdalena poderwała się, odwróciła i uśmiechnęła.

- Ach, senor Baron - powiedziała z ukłonem. - Będzie pan sam jadł śniadanie. Wszyscy już wyszli - przepraszająco wzruszyła ramionami.

- Nie szkodzi - odparł Baron. - To właśnie ciebie szukałem - pokazał jej guzik z masy perłowej. - Czy możesz mi to przyszyć? To jedna z moich ulubionych koszul.

- Och, si, si - odpowiedziała radośnie potakując. - Już to robię.

- Jesteś bardzo miła, Magdaleno - stwierdził Baron. Zakłopotana, wzięła guzik z jego ręki i wyszła z salonu. Podążył za nią korytarzem. Magdalena zatrzymała się przed drzwiami do swojego pokoju.

- Zaraz przyjdę - oznajmiła.

Ale Baron wcisnął się za młodą kobietą do jej sypialni. Kiedy zamknął za sobą drzwi, ciemne oczy Magdaleny zabłyśły. Pospiesznie podbiegła do szafki, gdzie trzymała pudełko z przyborami do szycia. Baron stanął tuż za nią. Uśmiechał się do niej, gdy nerwowo otwierała pudełko w poszukiwaniu nici.

- Ależ, Magdaleno, co... co to jest?

Baron sięgnął do pudełka i wydobył lśniący brylant. Oplatając delikatny łańcuszek wokół palców pozwolił, by migoczące cacko kołysało się przed nosem zdumionej Magdaleny.

- J - ja nie... mam pojęcia - wyjąkała. Baron spojrzał w twarz Magdaleny.

- To należało do mojej matki! Ukradłaś diamentowy wisior mojej matki - na jego obliczu pojawił się wyraz bolesnego zdumienia. - Jak mogłaś, Magdaleno? Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiliśmy?

- Nie! - zawołała, potrząsając ciemną główką. - N - nie wiem... skąd on się tu wziął. Ja... ja nigdy... Jestem niewinna, senor Baron. Musi mi pan uwierzyć, musi...!

- Nie wierzę - odparł. - Nie wierzę ci, i ojciec też ci nie uwierzy.

- Madre de Dios - jęknęła. - Musi mi uwierzyć. Nigdy nie zrobiłabym czegoś aż tak okropnego.

- Więc co naszyjnik mojej matki robi w twoim pudełku z przyborami do szycia?

- Nie... nie wiem. Proszę mi pomóc, och, Dios, proszę mi pomóc...

- To okropne - zaczął Baron, jakby głośno myśląc - W Teksasie złodziei zamykają do więzienia. Nie mogę...

- Więzienie! - jęknęła. - Nie, nie. Moja maleńka Rosa. Co stanie się z moim maleństwem? Błagam pana, proszę nie mówić patronowi. Nie mogę stracić tu miejsca.. To jedyny dom, jaki mam, jaki ma moja mała córeczka. Czy pozwoli pan, żeby znowu chodziła głodna?

- A ty? - zapytał nagle łagodniejszym tonem.

- Nie - zaszlochała. - Nie, proszę powiedzieć, co mam robić, proszę mi pomóc, błagam!

- Może zdołam ci pomóc, Magdaleno.

- Tak? - zawołała, chwytając go za ramię. - Och, senor Baron, będę taka wdzięczna, zrobię wszystko, żeby się panu odwdzięczyć.

Tylko czekał na te słowa. Wiedział, że ją ma. Magdalena Torrez przybyła do Orilli bez grosza, bezdomna i owdowiała po ubogim, wiecznie pijanym peonie.

Uśmiechnął się do zrozpaczonej kobiety.

- Wszystko, słodka Magdaleno?

- Wszystko - odparła, nie troszcząc się o to, czego może od niej zażądać, jak długo jej maleńka Rosa będzie miała dom i jedzenie.

- Zajmę się tym dla ciebie - powiedział Baron. - Włożę go tam, gdzie był i nikt na świecie nie dowie się, co się stało. To będzie nasz sekret.

- Gracias, gracias. Pan jest taki dobry, panie Baron. - wyszeptała.

Tego samego popołudnia, podczas gdy cały dom pogrążony był w sennej ciszy sjęsty, Magdalena Torrez cichutko weszła po schodach i stanęła tuż przed drzwiami sypialni Barona.

Otworzyła je bez pukania, szybko weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi, opierając się o nie plecami. Po drugiej stronie obszernego pokoju, niedbale rozwalony na łóżku spoczywał Baron Sullivan.

Pierś i nogi miał nagie. Ubrany był jedynie w ciemne spodnie. Z rękami pod głową obrócił się powoli i uśmiechnął.

- Chodź tutaj, Magdaleno. Potrząsnęła głową i pozostała na miejscu.

Zachichotał i zsunął się z łóżka, podchodząc do niej z wyciągniętą dłonią. Ujęła ją posłusznie, a on powoli przyciągnął ją ku sobie. Objął ją ramionami i wiedział już, że znalazł raj. Dotknięcie jej dużych, miękkich piersi, brzucha i mocnych ud było ogromnie ekscytujące.

Natychmiast przyszła mu do głowy myśl, że jeszcze lepiej będzie, jeśli sam ją rozbierze. Uniósł ręce i zsunął bluzkę z jej ramion.

- Proszę - wyszeptała z rozpaczą. - To brzydko, senor Baron. Jest pan jeszcze chłopcem. Szesnaście lat, ciągle nino. Dziecko.

- Więc zrób ze mnie mężczyźną, Magdaleno - powiedział miękko, a kiedy wciąż jeszcze usiłowała walczyć, dodał: - Chcę być twoim mężczyzną, a ty będziesz moją kobietą.

Po chwili znalazła się naga w jego łóżku. I była tam co popołudnie przez szesnaście lat. Z początku kochała się niechętnie, ale później wstyd spowodowany ich romanssem został zagłuszony przez zupełnie inne uczucie. Miłość.

Magdalena zakochała się i uczyniłaby wszystko, aby go zadowolić. Lubił to, tak samo, jak lubił Magdaleny. Była ładniutka, namiętna, zawsze dostępna. Jego własna niewolnica miłości, gotowa zaspokoić każdy kaprys.

Spędzili razem kilka dobrych lat, więc ciężko mu było zakończyć sprawę. I tak pozwolił, aby romans trwał o wiele dłużej, niż go to podniecało. Wreszcie nie miał wyboru.

Koniec nastąpił pewnego wrześnieowego popołudnia. Nasycony, leżał w upale, a jego oczy ślizgały się po nagim, spływającym potem ciele Magdaleny. Zmieniła się bardzo od pierwszego popołudnia. Kiedyś była rozkosznie pulchniutka, teraz stała się tłusta. Jej twarz, niegdyś gładka, a teraz ze zmarszczkami widocznymi nawet w półmroku. Lśniące, czarne włosy gęsto przetykane były srebrnymi pasmami.

Baron ziewnął i przeciągnął się.

- Odejdź, Magdaleno i nigdy nie wracaj - powiedział. Spojrzała na niego zranionym, pytającym wzrokiem.

- Nie wracać? Ale dlaczego, querido?

- Dlaczego? - przedrzeźniał ją, wyciągając dłoń, by ująć nią ciężką, zwisającą pierś. - Popatrz na siebie - palcem oskarżająco powiódł wokół jej ciemnego sutka. - Jesteś tłusta.

- Schudnę - zawołała z nadzieją w głosie. - Dla ciebie znowu stanę się piękna, querido. Zobaczysz...

- To nic nie da. Jesteś dla mnie za stara. Ileż ty masz lat, Mag? Czterdzieści pięć? Pięćdziesiąt?

- Wiesz, że w zeszłym miesiącu skończyłam czterdzieści!

- Wszystko jedno, to i tak za dużo. Boże drogi, kobieto, przecież ja mam dopiero dwadzieścia osiem lat! - ziewnął znowu.

- Idź, skarbie. Jestem zmęczony i chcę się zdrzemnąć. Magdalena w milczeniu wstała i ubrała się. Widać było, że serce jej pęka. Był jej wdzięczny za to, że należy do kobiet, które płaczą tylko w samotności. Dobra, stara Mag. Ma więcej klasy niż niejedna światowa dama.

Teraz, leżąc samotnie w swoim pokoju w to parne, lipcowe popołudnie, mile wspominał chwile spędzone z Magdaleny. Pewnie zateęskniłby już za nią, gdyby jeszcze w tym samym tygodniu nie znalazł sobie kogoś na jej miejsce.

Drzwi uchyliły się, wyrywając Barona z rozkosznego rozmarzenia. Do środka weszła uśmiechnięta młoda kobieta.

Zamknęła drzwi za sobą i stanęła na środku pokoju, prowokacyjnie zrzucając z siebie ubranie pod jego uważnym spojrzeniem.

Nago podeszła do łóżka, pochyliła się, musnęła ustami jego brzuch, potem wyciągnęła się obok niego. Miętko przesunęła dłonią po jego ramionach, a on rozgorączkowanym wzrokiem pożerał jej małe piersi, płaski brzuch i silne nogi.

Ogarnięty pożądaniem, wsunął się pomiędzy jej uda. Jak pierwszego popołudnia, wślizgując się w nią czuł przyjemną zwartość jej ciała.

Podniecała go. Ulga nie dawała na siebie czekać. W chwilę potem opadł na nią i w kompletnej ciszy słychać było jedynie jego przyspieszony oddech.

Kiedy się uspokoił, usłyszał na zewnątrz oddalający się tętent kopyt końskich po ubitej ziemi.

Zaciekawiony, zsunął się ze swej kochanki i podszedł do drugiego okna. Ujrzał parę jeźdźców oddalającą się ku północnemu wschodowi. Jeden z nich dosiadał czarnej klaczy, drugi stalowoszarego ogiera. Jednym była dziewczyna o rozwianych blond lokach, drugim - młodzieniec o włosach czarnych jak północne niebo.

Oczy Barona zwęziły się z niesmakiem. Stał nago przy oknie, czekając, aż Amy i Luiz znikną za horyzontem. Wrócił do łóżka i zatrzymał się w jego nogach z rękami skrzyżowanymi na piersi.

- Moja maleńka siostrzyczka na przejażdżce z tym Quintano - zmarszczył brwi. - Znowu!

Kobieta na łóżku uniosła się na łokciu.

- Kochanie, oni są pełni energii. To oczywiste, że nie chcą spędzać wszystkich letnich popołudni w sypialniach.

- O tak. Mogę sobie wyobrazić, jak je spędzają.

- Nie, Baronie. Nie można tak mówić.

- Żadnych „Nie, Baronie” - opuścił ramiona i okrążył łóżko.

- Wiem cholernie dobrze, że ten ciemnoskóry Aztek włazi między białe jak lilie nogi mojej siostry.

Kobieta potrząsnęła ciemną głową i poklepała materac obok siebie. Baron usiadł, a ona żartobliwie ugryzła go w ramię.

- Czy to coś innego, kiedy ty włączysz między moje?

- Całkowicie - odparł. - Powinienem zabić tego bękarta.

- Mmm - pocałowała go w szyję, po czym pochyliła twarz i zaczęła muskać wargami jego pierś. - Moja matka zabiłaby ciebie, gdyby się o nas dowiedziała.

Baron pogłaskał ją po głowie.

- Nieprawda. Twoja matka mnie lubi - pociągnął ją na materac.

- Magdalena zawsze mnie lubiła - pocałował ją. - A ja lubię ciebie.

- A ja cię kocham, Baronie.

- Och, jakie to słodkie, Roso - westchnął, gdy dotknęła go ciepłymi dłońmi - Tak... Och, tak, Rosa... Rosa... Moja mała Rosa.

## Rozdział 7

Młodzi jeźdźcy galopowali tymczasem poprzez spalony słońcem teren wprost w rozedrgane fale upalnego powietrza pustyni. Nawoływali się ze śmiechem, pełni radosnego oczekiwania na popołudnie nad chłodną wodą rzeki Puesta del Sol.

Pomimo że spieszyli się do swego intymnego, ocienionego raj, oboje niemal równocześnie poderwali konie dopiero, gdy przekroczyli piaszczysty nasyp dzielący ich od Orilli.

Luiz wyraźnie się popisywał. Na polecenie jego szary ogier stanął dęba, rozdymając chrapy i przebierając w powietrzu nie podkutymi przednimi kopytami. Luiz poluzował wodze i, przywierając do długiego końskiego ogona, zsunął się w tył po zadzie aż na ziemię. Teraz wypuścił z rąk ogon, prześliznął się między tylnymi nogami wierzchowca i przesunął pod jego brzuch. Nagle wyrzucił nogi w przód i stanął, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, wprost pod tańczącym na tylnych nogach i wściekle rżącym ogierem.

Amy siedziała w siodle karosza, przyglądając mu się z mieszaniną podziwu i przerażenia. Odetchnęła z ulgą, kiedy chłopak niespiesznie odstąpił na bok, na ułamek sekundy zanim potężne kopyta opadły z powrotem na ziemię.

Zganiła go natychmiast, choć spodobał jej się efektowny pokaz.

- Tonatiuh, nie chcę, żebyś robił takie rzeczy. Boję się - wyszeptała.

Zbliżył się z szerokim uśmiechem, zdjął ją z siodła i spokojnie postawił przed sobą. Smukłym ciałem przyparł ją do końskiego boku i spojrzał w zatroskaną twarz dziewczyny:

- Stary Malpais nie zrobi mi krzywdy - powiedział, pochylając ciemnowłosą głowę i muskając usta Amy przekornym pocałunkiem. - A ty?

Zaczerpnęła powietrza, podniecona zapachem jego rozgrzanego słońcem ciała.

- Nigdy - wyszeptała, przechylając głowę do tyłu i opierając ją o gładką skórę siodła. Uniosła ręce i objęła jego prężną talię. - Nigdy cię nie skrzywdzę, Tonatiuh.

Uśmiechnął się.

- Ani ja ciebie.

Spojrzał na Amy uważnie, co zmroziło i przeraziło ją zarazem. Długie, ciemne palce zagarnęły bawełnianą tkaninę bluzki, delikatnie zmuszając Amy do wspięcia się na palce.

Jego usta znajdowały się zaledwie o cal od jej twarzy, złoty łańcuch błyszczał wokół smagłej szyi.

- Mogę? - zapytał.

Amy nerwowo wysunęła koniec języka i zwilżyła suche wargi. Pragnęła tego pocałunku tak gorąco jak on.

- Tak. O, tak.

Westchnęła z rozkoszą, gdy jego gładkie, ciepłe wargi spoczęły na jej ustach. Gdy jego język delikatnie przesunął się wzdłuż jej zaciśniętych warg, westchnęła jeszcze głębiej. Przymknęła oczy i rozchyliła usta. Język przeniknął do nich błyskawicznie, wyprawiając zadziwiające rzeczy w ich wrażliwym wnętrzu.

Serce Amy waliło jak oszalałe. Długi pocałunek trwał i stawał się gorący jak lipcowe słońce. Palce zaciskały się na jej bluzce, napinając materiał na piersi. Kolano Luiza wśliznęło się pomiędzy jej uda i twarde jak stal mięśnie przycisnęły ją w sposób, który musiał być niestosowny, skoro poruszał właściwe struny.

W trakcie pocałunku Amy przyszła do głowy szalona myśl. Tonatiah rzeczywiście był Bogiem Słońce. Jej Bogiem Słońce. Bogiem Słońce, który porażał ją swą jasnością, palił gorącem. Niebezpieczne słoneczne bóstwo powodujące wrzenie krwi w jej żyłach i oszalałą gorączkę, ogarniającą jej osłabłe z upału ciało.

Namiętna para młodych ludzi szybko uczyła się całowania. Tęskne, powolne pieszczoty nie bardzo przypominały wstydlive i nieśmiałe dotknięcia warg pierwszego dnia nad rzeką. Po sześciu tygodniach pocałunki przestały im wystarczać. Amy pozostawała po nich drżąca i pełna niezaspokojonej tęsknoty, a Luiz storturowany i nieszczęśliwy.

Wreszcie chłopak podniósł ciemnowłosą głowę. Jego pierś gwałtownie wznosiła się i opadała, szyja w rozcięciu koszuli lśniła od potu. Czarne oczy były pełne pożądania.

Amy, również poruszona do głębi, oplótła ręce wokół jego talii i z trudem przełknęła ślinę, czując, jak ogarnia ją niebezpieczne osłabienie.

Luiz oparł swoje czoło o czoło Amy.



- Chyba lepiej, żebyśmy już pojechali nad wodę - powiedział. Jego palce nareszcie rozluźniły uchwyt.

- Myślę, że dam radę - odparła bez tchu, nie otwierając oczu. Podniósł głowę, uśmiechnął się i ucałował jej przymknięte powieki.

- Zaniosę cię tam, najdroższa.

Ostrożnie uwolnił się z jej objęć i, trzymając ją mocno w pasie, wyprostował zwisające wodze karej klaczy.

Teraz poniósł Amy w kierunku szarego ogiera. Podsadził ją na siodło i sam wskoczył za nią. Szybko przywiązał wodze klaczy do łąku. Klacz i szary ogier posłusznie ruszyły poprzez nagą pustynię.

- Czy teraz lepiej?

Wtulona w jego ramiona objęła łąk palcami i mocniej przytuliła się do Luiza.

- O wiele lepiej - wyszeptała z westchnieniem. - Z tobą zawsze czuję się dobrze. I bezpiecznie, tak bardzo bezpiecznie - z uśmiechem spojrzała na niego.

- Bezpiecznie? - powtórzył. - Ach, querido, nie jestem tego tak zupełnie pewien. Jesteś taka piękna, taka kusząca. Mój ojciec mawia: „La mujer es como el vidrio, siempre esta en peligro. Kobieta jest jak szkło” - w ciągłym niebezpieczeństwie”.

Amy zaśmiała się:

- Nawet, gdyby to była prawda, groźba istniałaby tylko wtedy, gdybyś mnie rzucił. Ale tego nie zrobisz?

Roześmiał się i natychmiast spoważniał.

- Amy, jeżeli jedno z nas zostanie odrzucone i zapomniane, to będę ja.

- Nie! Nie mów tak. Nigdy cię nie opuszczę. Nigdy cię nie zapomnę.

Uśmiechnął się, zadowolony, szczerze pragnąc jej wierzyć. A kiedy się odwróciła, zasypując jego twarz pocałunkami, nie po raz pierwszy pomyślał, jak cudownie będzie poślubić ją i żyć razem na tej wspaniałej, dzikiej ziemi, którą oboje kochali i która będzie do nich należeć.

Czuł się najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi. Dwie najwspanialsze rzeczy, które może ofiarować życie, będą kiedyś należały do niego. Amy. I Orilla.

Zakochani dotarli do kępy wierzb strzegących ich zakątka nad rzeką i ze śmiechem ścigali się, kto pierwszy zrzuci ubranie i wskoczy do wody.

Pod siodłem Amy ukryła obcięte do kolan stare spodnie do konnej jazdy i grubą, bawełnianą koszulę. Te rzeczy służyły jej do pływania.

Teraz pozostały tam, gdzie były.

Kilka tygodni wcześniej, pewnego upalnego popołudnia, Luiz zapytał ją:

- Czy obrazisz się, jeśli nie będę pływał w tych ciężkich spodniach i koszuli? - wymownie szarpnął szwy nogawek.

Amy potrząsnęła głową, zastanawiając się, co może nosić pod spodem. On tymczasem zdjął koszulę, rozpiął ciężkie, grube spodnie i zsunął je z bioder. Stał odziany jedynie w skąpą zamszową przepaskę biodrową.

Amy, tuląc w ramionach własny strój kąpielowy, przyglądała mu się otwarcie. Wydawało się jej cudownie niezwykle, że pierś i nogi miał równie ciemne jak twarz.

Nieraz widziała ojca, pospiesznie myjącego się w kuchni. Jego twarz, szyja i muskularne ramiona były ciemne od słońca, ale pierś, zawsze skryta pod koszulą, pozostała biała. Tonatiuh, w przeciwieństwie do jej ojca, nie miał włosów na piersi. Był gładki i piękny, smukły w biodrach. Szeroki, lśniący tors zwięźlał się w muskularne żebra i płaski, twardy brzuch. Kości ud pod miedzianą skórą wydawały się bardzo silne. Krótka przepaska nie ukrywała jędrnych, opalonych pośladków.

Amy oblała się rumieńcem jak niewinna panienska, którą przecież była, nagle zdając sobie sprawę, że najbardziej fascynuje ją ta część jego ciała, którą zaledwie skrywa wąska przepaska. Gdy spojrzała na cienki rzemyk zawiązany na nagim biodrze, poczuła, że jej twarz płonie. Pomyślała, iż jednym szybkim szarpnięciem luźno związanego węzła Tonatiuh mógłby zostać zupełnie obnażony.

Szybko przeniosła zakłopotane spojrzenie na jego twarz.

- Ja... - wyjąkała. - Ja... ach... idę włożyć... mój...

- Nie. - powstrzymał ją. - Masz na sobie bieliznę, prawda?

- Oczywiście!

- Więc dlaczego nie możesz w niej pływać? Słońce wysuszy ją przez kilka minut.

Stała chwilę, patrząc na niego, niezdecydowana. Trudno było myśleć jasno, mając przed oczami wysokiego, opalonego i niemal nagiego Boga Słońce.

- Tak, sądzę, że mogę to zrobić.

Luiz uśmiechnął się i wyciągnął rękę, dotykając jej policzka.

- Pójdę do wody, zanim się rozbierzesz. Skinęła głową.

- W porządku.

Ale nie odszedł. Stał dokładnie tam, gdzie przedtem. Amy upuściła trzymane w dłoniach ubranie i odwróciła się tyłem. Drżącymi rękami rozpiniała bluzkę i wysuwała ramiona z rękawów. Schyliła się i zdjęła buty, potem pończochy. Wyprostowała się znowu.

Stała przez chwilę, wciąż niezdecydowana, czując na plecach jego spojrzenie i zastanawiając się, czy nie powinna natychmiast ubrać się z powrotem. Jej dłonie powędrowały do zapięcia spodni. Rozpiąć je było łatwiej, aniżeli zapiąć, więc skoro już to zrobiła, nie pozostało nic innego, jak zdjąć z siebie tę część garderoby.

Wsunęła kciuki za pasek i, kilkakrotnie poruszając na boki zgrabnymi biodrami, uwolniła się od spodni, nie zdając sobie sprawy, że Luiz, bacznie obserwujący każdy jej ruch, doskonale bawi się tym przedstawieniem.

Odwróciła się powoli i szeroki uśmiech igrający na wargach chłopaka zbladł nagle. Stała przed nim w pantalonach i bawełnianej koszulce obrzeżonej wstążkami i koronką, z najbardziej uroczym wyrazem wstydu, jaki udało mu się do tej pory zobaczyć na jej ślicznej buzi. Wąziutkie ramiączka koszulki i głęboko wycięty gorset odsłaniały delikatny dekolt barwy kości słoniowej, łabędzią szyję i smukłe ramiona. Materiał mocno opinał jej wysokie, pełne piersi, a umiejętnie wszyta koronka osłaniała je jedynie częściowo.

Wąska szarfa pantalonów była starannie zawiązana wokół smukłej talii. Przejrzysta koronka obrzeżała nogawki już od połowy uda - najbardziej prowokacyjny i śmiały strój, jaki potrafił sobie wyobrazić. Smukłe, obnażone nogi były długie i białe, a uda tak jędrne i wspaniale uformowane, że od patrzenia zaschło mu w gardle.

- Ch - chyba lepiej będzie, jeśli teraz pójdziemy do wody? - zapytała.

- Im szybciej, tym lepiej - potwierdził.

Teraz, w upalne lipcowe popołudnie szybko rozebrali się do bielizny i raźnie wspięli stromą, pokrytą dzikim winem ścieżką aż na

ogromny, płaski nawis nad wodospadem. W ciągu kilku sekund znaleźli się w palącym słońcu, wysoko nad głębokim, chłodnym jeziorkiem.

Luiz zaczekał aż Amy splecie złociste włosy w gruby warkocz i upnie je niedbale na czubku głowy. Spojrzała na niego, mrużąc oczy:

- No, już. Nurkujemy? A może wolisz, żebym skoczyła pierwsza?

- Mam lepszy pomysł - oznajmił, przyklękając na gładkiej skale.

- Wejdź mi na ramiona i skoczmy razem.

- Dobrze - szybko zgodziła się Amy.

Okrzyknęła go, objęła ramionami jego szyję, a nogami - biodra. Luiz wsunął ramiona pod jej kolana i wstał, unosząc ją wysoko. Śmiała się głośno, kiedy podchodził do krawędzi skały, ustawiając się dokładnie na brzegu, tak, że palce jego stóp znajdowały się w powietrzu.

- Trzymaj się mocno - ostrzegł i skoczył.

Amy wrzeszczała przez całą drogę na dół. Uderzyli w gładką, chłodną wodę i zanurzyli się pod powierzchnią, niemal do kamienistego dna jeziorka. Amy przyłgnęła do pleców Luiza, oplatając go nogami. Natychmiast poderwał się ku powierzchni, chwycił Amy, okręcił i ucałował jej roześmiane, mokre usta, po czym znowu rzucił ją do tyłu.

Przez chwilę igrali radośnie w zimnym, orzeźwiającym nurcie, ścigając się od brzegu do brzegu, walcząc i nurkując pod powierzchnię. A potem przyszły pocałunki i radosna, popołudniowa igraszka w wodzie przeistoczyła się w poruszające do głębi, zmysłowe poznawanie siebie, które mogło doprowadzić jedynie do jeszcze większej frustracji.

Albo do spełnienia.

## Rozdział 8

Jej gładkie, zaczesane do góry włosy wciąż jeszcze miały jasnozłoty odcień. Ani jeden siwy kosmyk nie szpecił ich lśniącej urody. Wysoka, giętka sylwetka była dziewczęco smukła. Błada, owalna twarz nie nosiła śladów zmarszczek, cera była tak samo świeża i bez skazy jak wówczas, gdy była próżną teksaską pięknoscią.

Zdradzały ją jedynie oczy.

Miss Margaret Ann Sullivan, ogólnie szanowana stara panna z Nowego Orleanu, wciąż jeszcze była uważana za przystojną kobietę. Jej oczy nie straciły odcienia jaskrawego błękitu, jednak w ich głębi koloru indygo czaiło się wymowne spojrzenie; wiedza o życiu, którą nabywa się jedynie przez cichy smutek, przychodzący z upływem lat, ze stratą młodzieńczych marzeń. Milcząca afirmacja własnego losu kogoś, kto już swoje przeżył.

Od dwudziestego trzeciego roku życia Margaret Sullivan mieszkała w komfortowym odosobnieniu luksusowego dwupiętrowego domu przy wysadzonej drzewami Charles Avenue w czarującej dzielnicy Garden.

Dom był jej własnością. Dostała go w prezencie od starszego brata, Waltera, gdy jako dwudziestoczteroletnia kobieta opuszczała Teksas latem 1838 roku. Teraz mijały właśnie jej czterdzieste pierwsze urodziny. Wszystkie minione lata spędziła właśnie tutaj, w białym domu skrytym za ogrodzeniem z misternej stalowej koronki.

Do Teksasu nie powróciła nigdy.

Przez ponad dziesięć lat Margaret Sullivan zajmowała się pracą badawczą w dziale genealogii biblioteki uniwersytetu w pobliskim Tulane. To nie znaczy, że potrzebowała pieniędzy. Walter Sullivan był bardzo bogatym człowiekiem i zadbał, aby jego siostra miała dobrą opiekę.

Margaret spędzała w bibliotece całe dni, ciesząc się swoją pracą. Lubiła to zajęcie, bystrych młodych studentów i miłą przechadzkę na odległość trzech domów, dzielących ją od porośniętego dzikim winem budynku uniwersytetu.

Lubiła mieć powód, aby co rano wstać z łóżka.

Każdego popołudnia z wybiciem trzeciej Margaret Sullivan zakładała kapelusz i rękawiczki, otwierała parasolkę i szła do domu. Schodząc po schodkach otaczającej budynek galeryjki codziennie

odmawiała krótką modlitwę, by po wejściu do przedsiionka zastać list leżący na srebrnej tacy na stole w holu.

Jeśli listu nie było, szła natychmiast do swojego pokoju u szczytu schodów, przebierała się i schodziła na dół. Wchodziła do zalanego słońcem gabinetu z zasłonami z pokrytego koronkowym haftem białego i perłowego adamaszku, z puszystym szarym dywanem z Brukseli i perłowym kominkiem z importowanego karraryjskiego marmuru. Siadała na pokrytej jedwabiem kanapie i czekała.

W kilka minut później do pokoju wchodziła jej gosposia, Stella z błyszczącym srebrnym serwisem do herbaty. Stawiając tacę na stoliczku przed Margaret, starzejąca się czarna kobieta wzruszała potężnymi ramionami i mruzczała przepraszająco:

- Nie ma dzisiaj listu, panienko Meg. Margaret uśmiechała się.

- Może jutro.

- Tak, psze pani, jutro - i dodawała smutno: - Tak tu cicho naokoło, jak panienka Amy pojechała do Teksasu. O, tak, bardzo cicho. Za cicho jak dla mnie.

Mrucząc pod nosem, wycofywała się do kuchni, a Margaret leniwie popijała herbatę.

List pojawił się pewnego lipcowego popołudnia, kiedy dotarła do domu znużona spacerem w wilgotnym i gorącym powietrzu Luizjany. Wzrok jej padł na białą kwadratową kopertę zapisaną drobnym, ładnym pismem i natychmiast poczuła, że wraca do życia.

Z uśmiechem zdjęła rękawiczki i kapelusz, rzuciła je bez troski na stół i chwyciła list. Jak młoda, podniecona dziewczyna przysiadła na drugim stopniu okrytych dywanem schodów i niecierpliwie rozerwała kopertę

Ciociu Meg,

Czy w Nowym Orleanie jest tak samo gorąco, jak w Orilli? Mam nadzieję, że nie, ponieważ takie lato jak tegoroczne z pewnością zabiłoby Twoje prześliczne begonie.

Och, Ciociu, wydaje mi się, że od czasu, kiedy opuściłam Nowy Orlean minęły wieki. Czy potrafisz dotrzymać sekretu? Wiem, że i tak musisz go dotrzymać. Przynajmniej na razie.

Pamiętasz, co opowiadałam Ci o Tonatiuhu, jak mnie zawsze ignorował i udawał znacznie starszego, choć jest między nami tylko rok różnicy?

No więc to się zmieniło. On też się zmienił. Jest teraz mężczyzną i to lak przystojnym, że dech zapiera w piersi!

Ciociu Meg, my się kochamy! Czy to nie cudowne? Nigdy przedtem nie byłam taka szczęśliwa, ale proszę nie mów nic Tatce. Wiesz, jaki on jest, zaraz zacząłby przekonywać, że jesteśmy za młodzi i jeszcze nie wiemy, czego naprawdę chcemy. Ale my wiemy. Chcemy siebie.

Nie mówiłam nikomu, Tonatiuh też nie. Wszyscy myślą, że jesteśmy po prostu przyjaciółmi i chyba tak jest na razie najlepiej.

Muszę kończyć. Pedrico jedzie do Sundown i mam zamiar poprosić go, żeby mi wysłał ten list. A poza tym, za chwilę mam jechać z Tonatiuhem do Sunset River. Jeździmy tam pływać każdego popołudnia.

Tak za Tobą tęsknię! Przyjedź tu, do Teksasu i Orilli. Tutaj jest Twoje miejsce.

Twoja kochająca bratanica, Amy.

Margaret z uśmiechem opuściła list. Ostrożnie złożyła go z powrotem i wsunęła do koperty. Weszła na schody prowadzące do jej sypialni, minęła ciemnoróżowy dywan i podeszła do białych, żaluzjowych drzwi prowadzących na mały balkon. Rozsunęła je i głęboko zaczerpnęła w płuca wilgotnego, gorącego powietrza.

Odwróciła się i położyła list na biurczku z drzewa różanego, po czym wzięła go znowu do ręki. Usiadła, otworzyła list i przeczytała go jeszcze raz, a potem jeszcze raz. Już się nie uśmiechała.

Przycisnęła papier do piersi, a jej błękitne oczy przybrały wyraz zatroskania. Czy nie powinna natychmiast napisać do Waltera, aby baczej pilnował Amy? Nie. Zdradzenie powierzonego sekretu nie byłoby w porządku wobec Amy. Poza tym to chyba nic wielkiego, zwykle dziewczęce oczarowanie, wynikające ze zbyt długiej rozłąki dwojga dzieci.

A gdyby związek ten okazał się poważny i trwały, byłoby to chyba najlepsze rozwiązanie. Z tego, co opowiadał Walter, w okolicy nie było porządniejszego i lepszego człowieka niż Don Rafael Quintano ani grzeczniejszego i ciężiej pracującego chłopca niż Luiz.

Margaret Sullivan miała nadzieję, że dobrze robi zachowując milczenie. Liczyło się tylko szczęście Amy. Bóg jeden wie, jak bardzo nie chciała, by życie Amy potoczyło się tak jak jej własne.

Zimne, samotne Boże Narodzenia, kiedy wszyscy inni zbierali się w gronie rodzinnym. Duszne letnie noce spędzane w szerokim łożu przewidzianym na dwie osoby. Ciągące się w nieskończoność niedzielne popołudnia. A kiedy nad zatoką rozszaleje się tropikalna burza, gdzie są ramiona, które osłonią przed niebezpieczeństwem?

Sama. Zawsze sama. Jedząc, śpiąc, śmiejąc się i płacząc. Sama.

Margaret Sullivan przyzwyczaiła się już, nie przeszkadzało jej to. Ale dla Amy pragnęła czegoś lepszego. Amy powinna otrzymać całe szczęście, którego jej odmówiono. Piękne, bogate życie, którego kobieta nie może przeżyć bez mężczyzny. Bez własnego, kochającego mężczyzny.

W kilka godzin po tym, jak ujrzął Amy i Luiza odjeżdżających w skwar lipcowego popołudnia, Baron Sullivan wybrał się na poszukiwanie ojca. Znalazł Waltera Sullivana w bibliotece na górze, usadowionego za sosnowym biurkiem. Nie był sam. Naprzeciw niego siedział Don Ramon, który spokojnie palił długie cygaro i przeglądał księgi rachunkowe Orilli. Baron zeszywniał na jego widok. Nigdy do końca nie oswoił się z faktem, że Orilla należała także do Hiszpana. Wiele razy słyszał opowieść, jak to Don Ramon przyszedł do jego ojca i złożył mu propozycję:

- Przeprowadzę tu moją wodę, a ty podzielisz się swoją ziemią.

Baron uważał, że Walter Sullivan stracił na tej transakcji. Powinien był zabrać wodę Quintano i zatrzymać ziemię. Irytowało go, że zielonooki Hiszpan i jego syn - mieszaniec uważają się za równych Sullivanom. Dla niego nigdy tak nie było i nie będzie.

Walter Sullivan podniósł głowę, kiedy jego starszy syn wkroczył do biblioteki.

- Tak? O co chodzi, Baronie?

Młody człowiek przeszedł przez pokój.

- Ojcze, muszę z tobą porozmawiać na osobności.

- O co chodzi?

Baron obejrzał się na Hiszpana.

- To sprawy rodzinne, ojcze. Don Ramon podniósł się uprzejmie.

- Con permiso...

- Nie, nie, siadaj, Ramonie - zawołał Walter. - Dopiero przyszedłeś. - Skończymy za godzinę - zwrócił się do Barona.



- Ale to nie może czekać - odparł Baron. Rzucił na Hiszpana jeszcze jedno, pełne wyrzutu spojrzenie. - Może to i lepiej, że pan tu jest. To, co mam do powiedzenia dotyczy zarówno papy, jak i pana.

Walter Sullivan zrobił zaskoczoną minę:

- Mów zatem.

- Luiz i Amy wymykają się razem, kiedy wszyscy śpią podczas sjesty. Widziałem ich już kilka razy. Dziś także opuścili rancho.

Walter Sullivan odchylił się do tyłu i skrzyżował ramiona na piersi. Twardo zarysowany podbródek wysunął do przodu, jego twarz pokrył rumieniec gniewu.

- Nikt się stąd nie wymyka, może z wyjątkiem ciebie. Boże drogi, jest przecież lato. Dzieciaki jeżdżą do Puesta del Sol pobrodzić w wodzie.

Baron przeniósł wściekle spojrzenie z ojca na Don Ramona.

- To znaczy, że wiedzieliście o tym? Pozwoliliście jej odjechać?

- Co się, u diabła, z tobą dzieje, chłopcze? Oczywiście, że pozwoliłem jej odjechać. Znasz jakiś powód, dla którego nie powinienem tego robić?

- Tak, znam. Jak sądzisz, co oni naprawdę tam robią?

- Przed chwilą ci powiedziałem. Zdejmują buty i...

- Założę się, że zdejmują nie tylko buty. Radzę ci, lepiej połóż temu kres, zanim twoja drogocenna córka nie straci wianka. - O ile już nie jest za późno - dodał ze złośliwym uśmiechem.

Walter Sullivan gwałtownie opuścił ramiona i podniósł się z fotela.

- Jeżeli jeszcze raz powiesz coś podobnego, wyrzucę cię z domu! Odejdiesz z Orilli! Nie tylko obrzucasz błotem swoją siostrę, ale podajesz w wątpliwość honor syna mojego przyjaciela. Nie pozwolę na to, słyszysz? Powinieneś go przeprosić!

Don Ramon zrobił uspokajający gest dłonią.

- To nie jest konieczne. Walter wściekle potrząsnął głową.

- Ależ Amy i Luiz to najmiłsza para dzieciaków na świecie, ani przez chwilę nie martwiłem się o nich - wstał zza biurka i podszedł do syna. - Jeżeli wspomnisz im choć słówko, będziesz miał ze mną do czynienia. Zrozumiałeś?

Baron skinął głową, a jego oczy stały się lodowate.

- Oczywiście, papo. Rozumiem.

- A teraz wynoś się stąd i przestań sprawiać kłopot innym

- skrzywił się za plecami odchodzącego syna, powrócił do swego fotela i usiadł ciężko.

- Przepraszam cię za niewybaczalne grubiaństwo Barona.

- Przymknął oczy i znów je otworzył. - To moja wina. Rozpuściłem chłopaków, zamiast nauczyć ich ciężkiej pracy. Powinienem był ich wychować tak, jak ty wychowałeś swojego Luiza.

- Amigo, któż może powiedzieć, co jest właściwe? Jeżeli mądrze wychowałem syna, to być może stało się tak dlatego, że obaj pochodzimy z kraju, w którym wie się, co to bieda, w którym wielu ludzi oddało życie za mały skrawek ziemi.

Sullivan skinął głową.

- Cóż, zazdroszczę ci. Twój syn nigdy nie traktuje służby z góry, choć jesteś bogatym i wpływowym człowiekiem. I ciężko pracuje, nie tak jak moi dwaj leniwi potomkowie.

Don Ramon uśmiechnął się z zadowoleniem i przypomniał:

- Luiz jako dziecko był nieznośnie arogancki i zarozumiały, jeśli sobie przypominasz. Aż pewnego dnia zażądał cennego konia, którego kupiłem w Kentucky. Chciał, żebym mu go podarował. Dostał go, a oprócz niego tuzin innych zwierząt. Powiedziałem mu, że musi je karmić, poić i oporządzać - roześmiał się, wspominając z rozczuleniem, jak chłopak musiał się natrudzić. - Luiz przekonał się, że sprzątanie stajni jest zajęciem nieefektywnym. A już na pewno nie jest się najważniejszym na świecie.

- Cóż, możesz być dumny z syna - przyznał Walter.

Don Ramon wyjął z kieszeni na piersi jeszcze jedno cygaro i przez chwilę obaj przyjaciele siedzieli w milczeniu.

- Walterze - przemówił Hiszpan, a jego głos był pełen napięcia. - Powiedziałeś Baronowi, że Luiz i Amy są dziećmi. Ale co będzie, jeśli oboje podrosną i zaczną im na sobie zależeć. Jeśli zakochają się w sobie?

- Stary przyjacielu, czyż nie tego właśnie obaj skrycie pragniemy? Pożenić ich? Żeby moje wnuki były twoimi wnukami? I wiedzieć, że Orilla pozostanie w całości?

Serce Don Ramona wypełniło się radością.

- To moje najskrytsze marzenie - wyznał.

- I moje także. Mimo że przyjdzie nam trochę poczekać. Przecież to jeszcze ciągle dzieci.

## Rozdział 9

Nagi Indianin stał w słońcu.

Jasnowłosa dziewczyna leżała na skale u jego stóp, naga jak on.

Luiz Quintano stał nieruchomo na wysokim, bazaltowym nawisie nad wodospadem Puesta del Sol. Piana rozpryskującej się wody osiadła na jego szlachetnej, ciemnowłosej głowie i smukłym, brązowym ciele. Kropelki wilgoci przylgnęły do długich, gęstych rzęs okalających czarne jak węgiel, nieruchome oczy. Patrzył na piękną, nagą białą dziewczynę.

Amy Sullivan leżała bez ruchu na gładkim kamieniu nad chłodną, czystą wodą. Jej kamienne łoże było całkowicie ukryte w cieniu wysokich topoli i srebrzystych wierzb. Jej ciało było osłonięte od palących promieni rozżarzonego pustynnego słońca. Leżała obok spokojnego strumienia, wyciągając długie nogi, z dłońmi płasko wspartymi na kamieniu. Jasne włosy rozsypały się wokół jej głowy. Wspaniałe, ciemne rzęsy na pół przysłaniały jasnoniebieskie oczy.

Zbliżał się koniec lata.

Coraz krótsze dni gorącego września wkrótce ustąpią miejsca chłodniejszym, październikowym. Od czerwcowego poranka, gdy Amy zeszła ze stopni pociągu do oczekującego Luiza, żyli dla siebie. Walczyli z tym, o czym wiedzieli, że i tak pewnego dnia musi nadejść.

Dzisiaj był właśnie ten dzień.

Zacząli się rozbierać, gdy tylko dojechali do rzeki. Ale Luiz zdjął tylko koszulę i buty. Opuścił ręce i w milczeniu przyglądał się, jak Amy wydostaje się z ciasnych spodni. Kiedy miała na sobie już tylko bieliznę i stała, zwijając złociste włosy w gruby warkocz, zmarszczyła brwi.

- Na co czekasz? Zdejmuj spodnie. Nie zrobił tego.

Patrzył na nią dziwnie przenikliwie. Policzki Amy pokrył rumieniec, jej dłonie zwilgotniały.

Luiz zrobił krok naprzód i spojrzał na nią z wysokości sześciu stóp swego smukłego, muskularnego ciała. Podniosła głowę, napotkała jego wzrok i zadrżała, gdy długie ramię otoczyło ją w pasie i przyciągnęło. Pocałował ją jak nigdy przedtem, powolnym, palącym i wszechogarniającym pocałunkiem.

Gdy uwolnił jej usta, głowa Amy spoczęła na jego piersi. Tulił ją tak przez chwilę, potem jego dłoń zsunęła się ku jej szyi i ramionom. Odgarnął delikatnie cieniutkie ramiączko koszulki i wsunął długie,

opalone palce pod koronkowy gorset. Amy podniosła głowę z jego piersi, cofnęła się o pół kroku i spojrzała mu w oczy.

- Pozwól mi popatrzeć na ciebie, Amy - wyszeptał zaskakująco cicho i miękko. - Na ciebie całą. Tylko o to proszę.

Nie mogła mówić. Skinęła głową, gdy delikatna dłoń młodzieńca zsunęła koszulkę z jej lewej piersi. Słyszała, jak gwałtownie wciągnął powietrze i ujrzała drzenie mięśni jego szyi, gdy nerwowo przełykał ślinę.

- Tonatiuh - wyszeptała bez tchu, gdy obrzeżona koronką koszulka opadła jej na biodra.

Rozpalone, czarne oczy błędziły po obnażonych piersiach z takim ogniem, że niemal czuła ich ciepło. Jej ciało odpowiedziało natychmiast. Aksamitne, miękkie sutki naprężyły się i sterczały jak bliźniacze szczyty zmysłowości.

- Amy, jesteś piękna - wyszeptał i ze zmiany jego głosu wyczytała, że jej widok poraża go. To uwielbienie sprawiło, że poczuła się bezgranicznie szczęśliwa, a gdy jego dłonie powędrowały do szarfy pantalonów, nawet przez chwilę nie pomyślała, by go powstrzymać. Krzyknęła tylko lekko, gdy Luiz, ogarnięty pragnieniem ujżenia wszystkich jej kobiecych uroków, impulsywnie szarpnął materiał, zrywając go z jej bioder.

Zadrzała instynktownie. Była teraz zupełnie naga, bielizna spoczywała wokół jej stóp jak strzępki bezużytecznej koronki i płótna.

- Wyjdź z tego - polecił miękko, przykucając przed nią. Usłuchała nerwowo, a on ostrożnie podniósł bieliznę, mocno zaciskając ją w dłoni, jakby obawiał się, że Amy może zmienić zdanie i ubrać się, zanim zdąży objąć ją kochającym spojrzeniem.

Amy spodziewała się, że Luiz wstanie. Zadygotała wewnątrz, gdy pozostał w poprzedniej pozycji zapatrzony w trójkąt blond loczków pomiędzy jej udami. I znów, jak wtedy, gdy patrzył na jej piersi, Amy wydawało się, że coś w jej wnętrzu drgnęło, jakby to nie tylko oczy Luiza, ale i jego dłonie pieściły ją, gdzie nikt przedtem jej nie dotykał.

- Dios - wyszeptał matowym głosem. - Dios, querido. Wstrzymała oddech, gdy nagle upuścił koronkowe szmatki. Jego dłonie powędrowały w górę, by spocząć na łagodnej krzywiznie jej bioder. Przyciągnął ją ku sobie i przycisnął gorący policzek do

nagiego ciała. Wiedziała, że jego oczy są zamknięte, bo czuła trzepotanie rzęs na wrażliwej skórze.

- Amy, moja Amy - szeptał, gorącym oddechem jak płomieniem parząc jej rozedrgane łono.

Oderwał policzek niemal tak szybko, jak go przedtem przytulił, uwolnił jej biodra i zerwał się. Pożerając ją wzrokiem, przyciągnął ku sobie i pocałował.

Mocne uderzenia jego serca powiedziały Amy, że jest podniecony, ale nie zdawała sobie sprawy jak bardzo. Gdy ustami gniótł jej wargi, miażdżąc ją o swe twarde, muskularne ciało, poczuła nagły przyływ ciepła i oszołomienia, zupełnie nowe uczucie głodu i niepokoju.

Cudownie było czuć jego gładką, ciepłą pierś tak mocno przy swojej. Uwięziony pomiędzy ich ciałami wspaniałały Kamień Słoneczny parzył ją jak kolisko rozpalonej lawy.

Luiz oderwał nagle płonące wargi od jej ust. Zamrugła zdezorientowana, gdy niemal przemocą odsunął ją od siebie. Wyszeptała jego imię i poszła za nim, gdy odwrócił się i oddalił pospiesznie.

- Zostań - rzucił przez ramię i Amy przystanąła, zaskoczona. Przyglądała się ze zdumieniem, jak Luiz zwinnie wspina się na porośniętą dzikim winem wąską ścieżkę prowadzącą do wodospadu.

Oszołomiona, bez tchu, osunęła się na płaskie kamienie, wciąż zastanawiając się, jaki popełniła błąd.

Przez chwilę straciła go z oczu, ale odetchnęła z ulgą, gdy pojawił się w aerozolu otaczającym wodospad.

Zdjął spodnie. Przystanął na skraju nawisu i przyglądał się jej w milczeniu, jakby zatopiony w rozmyślaniach. Nareszcie lekko rozstawił stopy, powoli, głęboko wciągnął powietrze. Nie odrywając oczu od twarzy Amy szarpnął rzemień zawiązany na biodrze i odrzucił przepaskę biodrową.

Zaszokowana przyglądała się wysokiemu, nagiemu Indianinowi. Nigdy przedtem nie widziała zupełnie nagiego mężczyzny. Słyszała jedynie szepty pensjonarek o paskudnych, włochatych cielskach i o tym, że pozwolą mężowi dotknąć się jedynie pod osłoną ciemności.

W Tonatiuhu nie było nic paskudnego. Stał tam, w blasku południa, a jej serce rosło z dumy. Był piękny. W każdym miedzianolśniącym calu. Don Ramon dumnie twierdził, że w

hierarchii Azteków Tonatiuh był „philli”, wysoko urodzonym. Wyglądał dumnie, gniewnie i szlachetnie.

Amy powoli obróciła się na plecy, rozrzucając włosy wokół głowy. Wyciągnęła nogi, dłonie ułożyła płasko na równym kamieniu. Czekala. Chociaż mloda i niedoświadczona przeczuwała, że jej aztecki, indiański Bóg Słońce rozmawia z duchami przodków, że jest zatopiony w dziwnej ceremonii medytacji, poprzedzającej akt ich miłości.

Tu, w tym cienistym zakątku, Tonatiuh będzie się z nią kochał. Nie obawiała się. Westchnęła z uczuciem cudownego szczęścia i niezwykłego odprężenia, nie odrywając oczu od kruczowłosego, nagiego Boga Słońce, którego pokryte kropelkami wilgoci ciało drżało z napięcia, kontrolując ogarniający je płomień.

Wspiął się na palce, wyrzucił ramiona wysoko ku niebu, podniósł wzrok wprost w pałac słońce i stał tak przez nie kończące się minuty. A potem z gracją zanurkował. Przepłynął pod wodą wprost do kamienistego brzegu, na którym leżała Amy. Silnymi ramionami bez trudu wydzwignął się z wody i trzema krokami przebył dzielącą ich odległość...

Stanął tuż nad nią, a cienkie strużki wody spływały po jego miedzianym ciele.

Uniósł ramiona, odrzucił z twarzy ociekające wodą włosy i opadł na kolana obok niej. Oczarowana przyglądała się, jak przyciska dłonie do skroni, potem do piersi i wreszcie opuszcza, stulone do podbrzusza.

- Moja głowa, moje serce, moja miłość. Wszystko należy do ciebie.

Przytaknęła poważnie, głęboko poruszona. Jego dłonie spoczęły na jej skroniach.

Pojęła natychmiast i szepnęła miękko:

- Tak, Tonatiuh. Wszystkie moje myśli należą do ciebie. Dłonie przesunęły się ku jej sercu.

- Tak - powiedziała. - O, tak.

Przysiadł obok niej i, zakładając jedną dłoń na drugą, delikatnie objął jasne włosy pomiędzy jej udami.

- T - tak... tak - wykrztusiła spazmatycznie. - Tak, i to także. Cała moja miłość należy do ciebie.

Jedna z jego dłoni opuściła ją, za to druga przesunęła się śmielej i głębiej, dotykając jej przez chwilę z pełną ognia intymnością.

Tonatiuh wyciągnął się obok dziewczyny, objął ją mocno i, tuląc w ramionach, powiedział:

- Amy, stałem tam, na górze, pytając słońca i duchów przodków o radę, prosząc o znak lub wizję, która powiedziała by mi, czy powinienem cię dotykać. Czy powinienem kochać cię dzisiaj - zacieśnił uścisk. - Znak został mi odmówiony, więc przypuszczam, że powinienem pozostawić cię nietkniętą - spazmatycznie wciągnął powietrze. - Ale nie mogę. I nawet, jeśli czas nie jest odpowiedni, wiem, że ty jesteś moim „tonali”. Moim przeznaczeniem. Moim losem. Zostało to zapisane w gwiazdach tysiąc lat temu. A jeśli tak, to po co mam czekać, by znaleźć się w twym wnętrzu?

Amy, wtulona w smukłe, nagie i silne ciało wyszeptwała z ufnym oddaniem:

- Nie musisz czekać, Tonatiuh. Należę do ciebie.

- Ukochana - szepnął i znów odwrócił ją na plecy. Chwycił ciężki, złoty medalion i przelożył go przez ramię, w tył, aby nie zranić nim Amy. Leżał na brzuchu u jej boku, jedynie górną częścią ciała pochylając się nad nią. Zatraskany, bardziej przestraszony, niż był kiedykolwiek w życiu, zaczął ją całować, wolną dłonią ujmując małą, jędrną pierś i końcami palców delikatnie pieszcząc jej stwardniały czubek.

Luiz, podobnie jak Amy, był czysty i niedoświadczony. Przerazało go, że sprawi jej ból, a jednak pragnął jej tak bardzo, że zaledwie mógł wytrwać jeszcze kilka chwil. Całował ją więc i pieścił, nie tracąc nadziei, że jakimś sposobem wyczuje, kiedy będzie równie gotowa jak on.

Amy przywarła do niego całym ciałem, płonąc od pocałunków, owładnięta dotykiem jego delikatnych dłoni, wrażliwością własnego ciała i twardym pulsowaniem, które czuła na swym łonie.

- Tonatiuh, nie bardzo wiem, co powinnam robić. Musisz mi pokazać - wyszeptwała, gdy Luiz podniósł głowę i spojrzał na nią.

Mięsień na jego policzku drgnął lekko.

- Nauczyliśmy się całować - powiedział. - Kochać także się nauczymy.

Musnął ją wargami, a jego dłoń przesunęła się wzdłuż jej ciała aż pomiędzy uda. Delikatnie przycisnął palce do wrażliwej skóry, czując gorącą wilgoć. Umoczył w niej końce palców i rozstarł ją wyżej. Amy westchnęła z rozkoszy, wygięła się do tyłu.

- Tonatiuh - wyszeptała, przymykając oczy - Czy i ja mogę cię dotykać w ten sposób?

Zaskoczony, ale i zadowolony odpowiedział:

- Byłbym bardzo szczęśliwy...

Uśmiechnęła się sennie, obróciła do pozycji siedzącej i łagodnie zmusiła go, by się położył. Z rozszerzonymi zdumieniem i podziwem oczami ostrożnie wyciągnęła obie dłonie, nieśmiało obejmując nimi jego silną męskość. Niezręczna i pełna lęku dotykała go, ostrożnie i zamrugała z rozkosznym zaskoczeniem, gdy mimowolnie drgnął w jej dłoniach.

Mogłaby tak poznawać go i igrać całe popołudnie, podczas gdy Luiz obawiał się, że w każdej chwili może eksplodować w porażającym spełnieniu. Z walącym jak młot sercem i zaciśniętymi zębami wytrzymał w tym słodkim cierpieniu jedynie kilka sekund, po czym odsunął dłonie Amy i gorączkowo odnalazł swą drogę pomiędzy jej uda.

Zagłębił się w niej, czując opór i jego ustępowanie, a potem zobaczył wyraz bólu, jaki pojawił się w jej oczach. Ale nie potrafił się zatrzymać. Nie był już w stanie odzyskać kontroli nad swym rozszalałym ciałem. Atakował ją wściekle, szlochając w ekstazie. W ciągu kilku sekund było po wszystkim.

Przez jakiś czas leżeli spleceni ramionami. Luiz szeptał jej słowa miłości i błagał o przebaczenie, przysięgając, że już nigdy nie sprawi jej bólu. Przyrzekał, że nauczy się być lepszym kochankiem. Amy całowała jego zasmuconą, smagłą twarz, pocieszała go i zapewniała, że kocha go tak bardzo, iż przebywanie w jego ramionach jest dla niej ekstazą.

Luiz zaniósł ją do rzeki i wykapał z tak czułą delikatnością, że Amy więcej zaznała rozkoszy w tej kąpieli niż w prawdziwym akcie miłosnym.

Jeszcze miłsza była chwila, gdy wyszli z wody i Luiz uniósł ją w ramionach aż na sam szczyt kamienistego nawisu nad wodospadem. Wyciągnęli się, by słońce suszyło ich ciała i leżeli tak spokojnie, spleceni ramionami, aż dzienna gwiazda poczęła chylić się ku zachodowi.

Amy z westchnieniem położyła dłoń na złotym medalionie na gładkiej, brązowej piersi Luiza.

- Tonatiuh?



- Tak?
- Opowiedz mi coś więcej o Kamieniu.

## Rozdział 10

Uśmiechnął się, pocałował ją w czoło i nakrył palcami jej dłoń spoczywającą na Kamieniu Słonecznym. Westchnął głęboko, a jego klasyczne rysy przybierały senny, podobny do transu wyraz w miarę jak obrazy, legendy i głosy z zamierzchłej przeszłości przychodziły zawładnąć jego świadomością.

- Złoty dysk, który noszę, jest kopią ogromnego Kamienia Słonecznego znajdującego się w starożytnej świątyni w Mexico City. Kamień przedstawia aztecki kosmos... naszych bogów, rytuały... i kalendarz, według którego nasz lud obliczał czas. W samym środku znajduje się twarz naszego Boga Słońce, Tonatiuha, od którego wzięłem moje imię.

Palce Amy lekko zacisnęły się na medalionie.

- Mów dalej, proszę - szepnęła miękko.

- Mexico City było naszym miastem. Azteckim. Nasz bóg Huitzilopochtli poprowadził swój lud z odległych, północnych ziem Aztlanu do Meksyku. Tym, którzy poszli z nim obiecał ziemię na własność. Będą wiedzieli, gdzie budować swoje miasto, gdy zobaczą orła, siedzącego na wielkim kaktusie i pożerającego węża. Huitzilopochtli poprowadził ich na wyspę, i właśnie tam zobaczyli orła na kaktusie. Zatrzymali się tam, a miejsce nazwali Tenochtitlan, Ziemia Kaktusa.

Gałki oczne Luiza poruszyły się pod zamkniętymi powiekami, jak u osoby pogrążonej w głębokim śnie.

- Wybudowali piramidy słońca i księżyca. Mieli swoją religię, sztukę, poezję. I bogactwo. Nikomu nie przeszkadzali. A potem przyszli z Hiszpanii rodacy mojego ojca. Montezuma, największy z azteckich władców, wierzył, że Hiszpanie byli białymi bogami, którzy wyszli z morza. Pozwolił Kortezowi i jego ludziom wejść bez przeszkód do swego pięknego miasta i zdobyć je.

Amy wpatrywała się w twarz Luiza. Jego oczy pozostawały zamknięte, ale rysy stwardniały nagle.

- Hiszpanie zabrali na własność nasze najpiękniejsze kobiety. Ale nie z mojego rodu. Nasza krew pozostała czysta, dopóki moja matka nie poślubiła Don Ramona. Jestem zatem pierwszym mestizo - mieszkańcem - zarówno w rodzinie matki, jak i ojca.

- Tak, wiem - szepnęła Amy. - Don Ramon powiedział mi, że tak miało być. Usłyszał to od twojej matki.

- To prawda. „Tonali” mojej matki - jej przeznaczeniem - było mieć syna z czystej krwi Hiszpanem - po jego wargach błąkał się uśmiech. - Dała mu o wiele więcej niż mnie.

Amy uśmiechnęła się także. To była jej ulubiona część historii, kiedy dzika i piękna księżniczka, spadkobierczyni Azteków, pozostawiła swe dziecko samotne na bazaltowej skale w sercu pustyni.

Luiz bez ponaglenia zaczął opowiadać o dniu, w którym bogini Xochiquetzal porzuciła męża i syna, by powrócić do swego ludu.

- To był pierwszy sierpień mojego życia - mówił niskim i miękkim głosem. - Zbliżało się południe. Spałem. Matka obudziła mnie. Było gorąco, więc przygotowała mi chłodną kąpiel, a kiedy skończyła, nie wytarła mnie ani nie ubrała.

Wyniosła mnie na zewnątrz i, trzymając na jednym ramieniu, dosiadła na oklep ulubionego konia mego ojca, po czym odjechała, opuszczając nasz mały domek z palonej cegły. Przez wiele mil przemierzaliśmy wysuszoną słońcem pustynię, aż matka powiodła konia na szczyt bazaltowej skały. Zsiadła, podeszła do samego środka skalistego płaskowyżu i położyła mnie.

Przykucnęła obok. Przez długie chwile moja piękna matka przyglądała mi się. Potem pocałowała mnie, a ja poczułem na twarzy wilgoć jej łez.

Powiedziała: „Mój synu, kocham cię. Ale nie mogę już dłużej pozostać z tobą. Wracam do mego ludu, lecz zostawiam ci coś na pamiątkę”.

Zdjęła z szyi medalion z Kamieniem Słonecznym, przycisnęła go do ust i pocałowała. A potem uderzyła nim w skałę i powiedziała w języku Nahuatl: „Z tej nagiej skały wytryśnie zimne, życiodajne ciało wody. Daję ci, mój mały Tonatiuhu, wodę i Kamień Słoneczny. Wodę, by cię uczynić bogatym, Kamień - by strzegł cię od zła”.

Położyła mi medalion na brzuchu i zapięła ciężki łańcuch wokół mojej szyi. Wyciągnęła dłoń, a ja chwyciłem w piąstkę jej delikatne palce. Uśmiechnęła się i powiedziała: „Poproś ojca, aby przebaczył swej niespokojnej księżniczce. Powiedz, że proroctwo dokonało się. Nadszedł czas, abym odeszła”.

Wstała i pozostawiła mnie tam, nagiego i samotnego.

Luiz uśmiechnął się i zamilkł.

Amy, wsparta na łokciu, przyglądała się uważnie jego twarzy.

- Tonatiuh... Don Ramon opowiedział mi tę historię, ale ty... miałeś zaledwie cztery miesiące. Jak możesz pamiętać twarz swojej matki? I co powiedziała, zanim cię opuściła?

Luiz otworzył oczy i znikł uśmiech z jego twarzy. Spojrzał na Amy uważnie.

- Nie pytaj, skąd wiem. Po prostu wiem. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale pamiętam dokładnie, co się zdarzyło i co powiedziała moja matka tamtego dnia. Do dziś pamiętam, jak wyglądała.

Patrzyła na niego rozszerzonymi oczami. Skinęła głową.

- Wierzę ci. - Podniosła na dłoni złoty medalion. - Matka powiedziała, że Kamień Słoneczny będzie chronił cię od zła?

- Tak.

Przycisnęła usta do błyszczącego kręgu.

- Uważaj zatem, aby go nigdy nie zgubić.

- Naturalnie - odparł Luiz. Uśmiechnął się nagle i usiadł. - Będę też uważał, żeby nie stracić ciebie. To znaczy, że musimy wrócić do Orilli, zanim zaczną się zastanawiać, co się z nami dzieje.

Wziął od niej medalion, pochylił się i ucałował dziewczynę. Objęła go ramionami.

- Tak. Obiecałam, że będziemy w domu o zachodzie słońca.

- No to lepiej wskakujmy w spodnie.

Ze śmiechem pobiegli na dół. Po chwili byli już ubrani, ale Amy poprosiła Luiza jeszcze o chwilę zwłoki, by rozczesać splątane włosy. Przetrasnęła torebkę w poszukiwaniu grzebienia i martwiła się, że nie może go znaleźć. Wreszcie przykucnęła i wysypała na ziemię całą jej zawartość.

- Ach, tu jesteś - powiedziała głośno, chwytając oprawny w złoto grzebień.

- Chcesz, żebym ja to zrobił? - zaofiarował się Luiz kucając naprzeciw niej.

- Nie, to nie potrwa nawet minuty, dziękuję - szybko i energicznie przeciągnęła grzebieniem po włosach. - Możesz pozbierać to wszystko, co wysypałam, jeśli rzeczywiście chcesz pomóc.

Skinął głową z uśmiechem i zaczął wkładać do małej torebki jej rozsypaną zawartość. Nagle spojrzął na mały przedmiot, którego widok sprawił, że uśmiech znikł mu z twarzy.

Bilet. Czerwony jak krew bilet z czarnymi cyframi.

Luiz podniósł go, zamrugał oczami i odczytał cyfry: 6 6 5 6.

Lekko zadrżała mu ręka.

- Amy, co to jest? - pokazał jej bilet. Znieruchomiała w pół gestu.

- Co? Ach, to! To mój bilet bagażowy z pociągu, którym przyjechałam z Nowego Orleanu.

Luiz poczuł nagle, że się dusi. Zaciśnął w pięści papier ze złowróżbnymi cyframi i wstał niepewnie. Nagły powiew wiatru zaszeleścił liśćmi topoli i zachodzące słońce znikło za dalekimi wzgórzami. Jakby nagły chłód przeniknął popołudniowy upał.

Luiza ogarnął niewytłumaczalny lęk. Ten proroczy sen, na pół zapamiętane ostrzeżenie. Cztery cyfry: 6, 6, 5, 6. Teraz wiedział. Amy wróciła do domu 6 czerwca 1856 roku. 6, 6, 5, 6. Amy była zagrożeniem.

Jego zagrożeniem.

- Nie!

Pochylił się i poderwał Amy w górę, całując ją z zapamiętaniem rozszalonego serca, a zarazem lękiem.

- Tonatiuh, co się stało? - zapytała, gdy wreszcie oderwał usta od jej warg.

Potrząsnął ciemnowłosą głową, mocniej przytulił ją do siebie i wtedy poczuła drzenie jego szczupłego, wysmukłego ciała. Jego zwątpienie udzieliło się także jej.

- Nie żałujesz, że się kochaliśmy, prawda? - zaniepokoiła się.

- Nie, kochanie - odpowiedział, usiłując nad sobą zapanować. - I nie chciałbym, żebyś i ty kiedykolwiek tego żałowała.

Odsunęła się od niego.

- Dlaczego miałabym żałować?

Spojrzał w ufne błękitne oczy Amy. Kochał ją tak bardzo, że wolał ukryć przed nią własny, rosnący niepokój.

- Bez powodu - uśmiechnął się.

Dał jej lekkiego, żartobliwego klapsa, roześmiał się i dodał:

- Ale oboje pożałujemy, jeśli nie zdążymy do domu na czas. Zmięty czerwony bilet z wielkimi czarnymi cyframi wypadł z jego palców i odleciał, uniesiony wiatrem.

Tego samego wieczoru po kolacji Baron Sullivan odnalazł swego brata Lucasa na zachodnim patio. Samotny w księżycowym blasku Lucas rozparł się na wyściełanej sofie. Wyciągnął długie nogi przed

siebie, wspierając stopy na ceglanym murku wokół patio. W dłoni trzymał szklanę bourbona z Kentucky.

Lucas był na najlepszej drodze do upicia się.

Baron z westchnieniem dołączył do brata. Wyjął mu z dłoni szklanę i odstawił na bok.

- Lucas, musimy pogadać.

- A nie możemy, kiedy piję?

- Nie - Baron ciężko opadł na sofę. - Chcę, żebyś mnie wysłuchał. Mamy duże kłopoty.

- Duże kłopoty? Cóż, jeszcze jeden powód, żeby się zalać.

- Zapomnij na chwilę o cholernej whisky! Podśledzałem dziś po południu rozmowę ojca z Hiszpanem. Wiesz, co planują?

Lucas zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

- Małżeństwo Amy z tym przeklętym mieszzańcem.

- To się nie może stać. Nie chcę mieć szwagra Indianina.

- Będziesz miał, jeśli nie zaczniemy działać. Jedź do miasta. Wyciągnij Tylera Parnella z burdelu i przywieź go na rancho. Moja w tym głowa, żeby Amy przyjęła go jak należy.

- Co pan każe - Lucas sięgnął po szklanę, ale Baron był szybszy. Wylał whisky na ziemię.

- Braciszku, dopilnujesz, żeby Tyler kręcił się koło Amy tak długo, aż zrobi jej dziecko, a ja zapewnię ci whisky do końca życia.

Lucas zachichotał, przeskoczył ogrodzenie i skierował się do corralu. Baron natomiast zawrócił do domu, wszedł na piętro i wpadł do pokoju Amy bez pukania.

Odświeżona kąpielą i odziana tylko w nocną koszulę sięgnęła po szlafrok.

- Czego chcesz? Miałam się właśnie położyć.

Baron minął ją i wszedł do obszernej garderoby. Wybrał różową sukienkę z falbankami. Wrócił do sypialni i rzucił strój na łóżko.

- Wkładaj to. W różowym wyglądasz słodziutko. Oczy Amy zwięziły się.

- Nie bądź śmieszny. Jestem zmęczona i idę spać.

- Jeszcze nie ma dziesiątej. Ciekawe, co cię tak zmęczyło? Wydaje mi się, że znam prawdziwy powód, siostrzyczko.

- Nic nie wiesz - twarz Amy oblał rumieniec. Baron spojrzał na nią z ukosa.

- Ejże? Ty i synalek tej zwariowanej azteckiej staruchy wymykacie się każdego popołudnia. Kochanie, możesz robić idiotę z papy, ale mnie nie nabierzesz. - Zbliżył się jeszcze bardziej. - Pozwalasz, żeby ten mieszaniec na ciebie włąził.

Amy szybko odwróciła twarz.

- Nie wiem, o czym mówisz - starała się wyglądać na oburzoną. Baron zachichotał.

- Kochanie, twoja tajemnica jest bezpieczna. Wróciłaś z Nowego Orleanu jako dorosła kobieta i nie mam ci za złe, że szukasz odrobiny miłości. Ale ten twój ciemnoskóry Bóg Słońce to smarkacz. Potrzebujesz mężczyzny takiego jak Tyler Parnell.

Amy okręciła się na pięcie i spojrzała wyniośle na Barona.

- Wynoś się z mojego pokoju! - rozkazała. Złośliwy uśmiech nie zniknął jednak z twarzy brata.

- Tyler cię lubi, Amy. Przyjedzie dzisiaj, żeby się z tobą zobaczyć.

- Nie mam zamiaru przyjmować Tylera Parnella ani dziś, ani nigdy. Nie znoszę go!

- Lepiej postaraj się go polubić. Inaczej opowiem papie o twoim chłopczyku.

Amy znalazła się w pułapce. Znała Barona. Wiedziała, że to zrobi. A wtedy oboje z Tonatiuhem będą w poważnych tarapatach. Ojcowie rozdziela ich. I, co gorsza, mogą ukarać Tonatiuha.

- P - przyjmę dziś wieczorem Tylera Parnella - zdecydowała. - Ale tylko na godzinę, nie dłużej.

- Będzie zachwycony - odparł Baron, pomijając milczeniem fakt, że ma być to jedynie pierwszy z wielu piątkowych wieczorów, które Amy będzie musiała spędzić w towarzystwie Tylera Parnella.

Była to klęska Amy i triumf Barona.

Kiedy wreszcie dziewczyna pożegnała nieproszonego gościa i Tyler Parnell opuszczał jej pokój, pojawił się Baron. Zaprosił Tylera do spędzenia z Amy wieczoru także w następnny piątek. Zaproszenie zostało skwapliwie przyjęte. Baron nie przejmował się niechęcią, jaką jego ojciec żywił do Parnella. Walter Sullivan wstawał bardzo wcześnie i kładł się do łóżka przed dziesiątą.

Amy miała zamiar opowiedzieć Tonatiuhowi o całym zdarzeniu, ale zrezygnowała. Między nim i jej braćmi od lat panowały bardzo napięte stosunki. Nienawidzili go, szczególnie Baron. Bała się o

Tonatiuha. Gdyby wstawił się za nią, mógłby wpakować się w poważne kłopoty.

Postanowiła zatem utrzymać w tajemnicy fakt, że każdego piątkowego wieczoru zmuszona jest spędzić godzinę sam na sam z dwudziestodziewięcioletnim Tylerem Parnellem. To potrwa tylko przez jakiś czas. Będzie tak chłodna i nieprzyjemna, że Parnell sam zrezygnuje.

Każdego popołudnia, w odosobnionym zakątku Puesta del Sol, kochankowie zapominali o całym świecie. Dla nich mógłby w ogóle nie istnieć. Po pierwszym, nieśmiałym zbliżeniu zdrowi młodzi ludzie kochali się codziennie. Byli szaleńczo i cudownie szczęśliwi. Nie pomyśleli nigdy, że w te gorące dni indiańskiego lata, powoli ustępujące miejsca przejrzystym, pięknym dniom jesieni, przemija coś więcej niż tylko ich niewinność.

Młodość, zaufanie i szczęście też umierały.

Początek końca przyszedł pewnej chłodnej, październikowej nocy, po najcudowniejszym dniu, jaki spędzili razem. Luiz leżał rozbudzony i myślał o Amy. Nagle ogarnął go niepokój. Podniósł się, włożył spodnie i wyszedł na spacer.

Okrzyknął hacjendę i skierował się ku zachodniemu patio. Patio Sullivanów. I tam, w świetle księżyca, ujrzał Amy w towarzystwie Tylera Parnella. Z rozpaczą w sercu, otepiały z bólu, wrócił do pokoju i krążył po nim przez długie godziny.

Wszystko być może ułożyłoby się, gdyby młodzi mogli spędzić ze sobą jeszcze jedno popołudnie.

Amy wyznałaby, że Baron ją szantażuje, a ona nie dba ani trochę o Tylera Parnella.

Los nie dał jej tej szansy.



## Rozdział 11

- Domino!

Pedrico Valdez, z błyskiem w swym jedynym oku, uśmiechnął się do zaskoczonego mężczyzny po drugiej stronie sosnowego biurka.

- Domino, patron - powtórzył triumfalnie i skrzyżował ramiona na piersi.

Walter Sullivan potrząsał siwiejącą brodą, nie wierząc własnym oczom. Od ponad dziesięciu lat co wieczór rozgrywał z Pedrico partyjkę domina. I przez dziesięć lat ani razu nie przegrał z taką ilością pozostałych kostek.

- Dopadłeś mnie wreszcie, Pedrico - uśmiechnął się szeroko, podrzucając w dłoni dwa luźne prostokąty z kości słoniowej.

- Tak! - odparł zadowolony lokaj. - Ile tym razem, patron? Mam nadzieję, że dużo.

Wyjął pióro z kałamarza i pochylił się nad tabelą, gotów wpisać wynik. Czekał. Walter Sullivan nie odezwał się. Pedrico podniósł wzrok i ujrzał wyraz przerażenia na czerstwej twarzy starego ranchera.

- Dios, patron! Co się dzieje?

Zerwał się ze swego miejsca przewracając krzesło. Zaniepokojony okrążył biurko, wciąż pytając, co się stało. Walter Sullivan nie mógł mówić, tylko wczepiał palce w pierś, a jego twarz wykrzywiło cierpienie.

Wśród spazmatycznych jęków bólu oczy ogromnego ranchera zaszyły mgłą i Walter Sullivan, powalony przez atak serca, upadł martwy na stół. W zaciśniętej pięści trzymał dwie nie rozegrane kostki domina z kości słoniowej: 6 - 6 i 5 - 6.

Teksaskie słońce prażyło niemiłosiernie, gdy stała pomiędzy braćmi na małym, zadbanym cmentarzyku Orilli. U jej stóp spoczywała ciężka, brązowa trumna z ciałem ojca.

Padre w czarnej sutannie czytał po łacinie ewangelię, vaqueros i kowboje oddawali zmarłemu ostatni hołd.

Amy, oszołomiona rozpaczą, drżała z dziwnego chłodu, który ogarniał ją w upale poranka. Nie mogła uwierzyć, że człowiek tak energiczny i pełen życia mógł odejść tak nagle.

Krótką msza dobiegła końca.

Amy postąpiła krok naprzód.

Pochyliła się, wzięła w dłoń garść suchej, teksaskiej ziemi, którą jej ojciec tak bardzo ukochał i powoli rozsypała na brązowej trumnie. Uniosła z twarzy czarny woal, pochyliła się i przycisnęła usta do wieka.

- Spoczywaj w pokoju, tato. Orilla jest w dobrych rękach - szepnęła.

Przez długie, gorące popołudnie goście wypełniali liczne pokoje różowej hacjendy. Magdalena i Rosa krążyły pomiędzy nimi z tacami pełnymi orzeźwiających napoi. W obu jadalniach ustawiono stoły z jedzeniem.

Amy pełniła rolę gospodyni. Stała pomiędzy braćmi, ściskając dziesiątki dłoni i przyjmując kondolencje, lecz jej błękitne oczy nieustannie poszukiwały Luiza. Wreszcie dostrzegła granatowoczarne, lśniące włosy i piękną twarz. On jednak nie patrzył w jej stronę.

Wzdychając w duchu, odwróciła się, by powitać Douglasa Crawforda, potężnego, rudowłosego sąsiada i jego brzemienną żonę. Podziękowała młodej parze za przybycie i przyjęła wyrazy współczucia.

Dopiero późnym popołudniem odetchnęła z ulgą, gdy Pedrico zamknął drzwi za ostatnim z uczestników pogrzebu. Natychmiast ukryła się w swojej sypialni, zdarła z siebie czarną suknię, obmyła zmęczone ciało chłodną wodą, założyła świeżą bieliznę i halkę z koronki, po czym osunęła się na łóżko.

Szukała odpoczynku. W głowie jej pulsowało, oczy piekły. Pograżona w depresji pragnęła gorąco, by Luiz przytulił ją, pocieszył; Żeby ją kochał.

- Jutro - szepnęła w ciemność. - Jutro pojedziemy nad rzekę.

Ale dla Amy i Luiza nie było już jutra.

Dyszący zemstą Baron Sullivan stał przy wysokim oknie frontowym w bibliotece ojca. Śledził wzrokiem furgon z Orilli, wzbijający kołami tumany kurzu na długim podjeździe. Powoził Pedrico, obok siedziały Magdalena i Rosa.

Baron wysłał je, aby rozdzieliły pomiędzy biednych resztki żywności pozostałej po stypie. Nie chciał, żeby były w pobliżu.

Miał do wyrównania rachunki.

Zdjął ciemny żałobny surdut, zerwał z szyi krawat, rozpiął sztywny, biały kołnierzyk i podwinął rękawy. Poleciał Lucasowi

przynieść kawał mocnej, grubej liny i czarny bicz z bawolej skóry, który trzymał pod łóżkiem.

Lucas pospieszył wypełnić rozkaz brata, Baron tymczasem zdjął z cedrowego wieszaka wytarty, ojcowski pas z bronią. Wydobył z olstra grawerowany, sześciopistoletowy pistolet systemu Rogers & Spencer, przeładował go i wsunął za pas spodni.

Lucas powrócił i Baron niedbale przewiesił sobie zwinięty bicz i sznur przez lewe ramię. Obejrzał się na brata.

- Teraz albo nigdy - stwierdził z determinacją. - Porozmawiamy sobie z tym kundlem.

Lekko wstawiony Lucas przytaknął skwapliwie. Ochoczo skinął głową.

- Wygląda na to, że wymyśliłeś coś dla naszego kochasia.

- Zgadza się. Zaproszenie do wyjazdu z Orilli. - Baron skierował się ku schodom. - Ale najpierw zmuszę go do wyznania swoich grzechów.

Luiz był na opustoszałym wschodnim patio.

Leżał na sofie, czarną marynarkę przewiesił przez oparcie fotela ze stalowej koronki, biała, rozpięta do połowy koszula odsłaniała jego ciemną pierś. Wyciągnięty na plecach, z rękami założonymi za głowę, samotnie medytował w słońcu późnego października. Melancholijny i roztargniony, marzył o rozmowie z Amy.

Był już poniedziałek, a oni nie widzieli się od piątkowego popołudnia. Wieczorem zobaczył ją z Tylerem Parnellem. Czyżby go zdradziła?

Kątem oka pochwycił jakiś ruch i błyskawicznie odwrócił głowę. Z kocią zwinnością poderwał się z sofy, gotów stawić czoło nadchodzącym braciom Sullivan. Z wyrazu oczu Barona wyczuł, że znajduje się w niebezpieczeństwie.

Jego smukłe ciało sprężyło się, czarne oczy błysnęły gniewem.

- Czego chcecie?

To była bardzo krótka rozmowa.

Baron wydobył grawerowany pistolet i wycelował wprost w pierś Luiza:

- Twojego natychmiastowego i ostatecznego opuszczenia Orilli.

Od tej chwili wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Lucas skoczył i popchnął Luiza ku skrajowi patio z taką siłą, że ten stracił

równowagę. Potknął się o stół i wywrócił go. Kryształowa karafka na wodę i szklanki roztrzaskały się na kamiennej posadzce.

Luiz wylądował wśród szklanych odłamków, kalecząc sobie rękę i czoło.

Nawet nie poczuł bólu.

Rozwścieczony, poderwał się na nogi jak akrobata i rzucił się na Lucasa z podniesionymi pięściami, ignorując wycelowaną w niego broń. Udało mu się raz trafić napastnika prosto w podbródek, ale podziałało to jak ukąszenie muchy na rozwścieczonego niedźwiedzia grizzly. Lucas, pięścią wielką jak bochen, trzasnął Luiza w lewy policzek i posłał z powrotem na posadzkę.

Indianin poczuł eksplodujący w głowie ból. Oszołomiony, dźwigał się już na nogi, gdy od strony hacjendy nadbiegł zwabiony zamieszaniem Don Ramon.

Ujrzał, jak bezlitosny cios Lucasa przewraca Luiza, zobaczył broń w dłoni Barona i bicz zwisający z jego ramienia. Ogarnął go strach, zaczął błagać mściwych braci, by oszczędzili jego jedyne go syna.

Jedyną odpowiedzią był cios pięści Lucasa. Z rozciętej wargi Hiszpana trysnęła krew. Zatoczył się do tyłu, ledwie utrzymując się na nogach. Skierował się ku Baronowi, wprost na wycelowaną lufę pistoletu. Chwycił go za kołnierz koszuli, błagając o opamiętanie.

Baron nie słuchał.

Chwycił Don Ramona za ramię i niedbale odepchnął na drugą stronę patio. Ten upadł na przewrócony stół, uderzył głową w ostrą żelazną krawędź i osunął się na posadzkę. Luiz skoczył ku niemu, zapominając o własnym bólu.

Spomiędzy srebrzystych włosów ojca sączyła się krew, zielone oczy były nieruchome. Luiz gorączkowo starał się wyczuć puls na jego szyi. Na próżno.

Don Ramon Rafael Quintano nie żył.

Na widok brutalnego, bezsensownego morderstwa Luiz wpadł w szal. Przez jedną, krótką chwilę stał oszołomiony i nieruchomy, potem skoczył na nogi, a jego oliwkową twarz wykrzywiła dzika furia.

Nie podszedł do Lucasa, lecz do Barona. Zaatakował jak zwierzę wypuszczone z klatki, z taką szybkością i zabójczą siłą, że Sullivan był zbyt zaskoczony, aby wystrzelić. Znalazł się w żelaznym uścisku o niedźwiedziej sile, ręka z pistoletem bezużytecznie zwisała z boku.

Baron był pewien, że ten oszalały Indianin zabije go, zanim Lucas zdoła go odciągnąć.

- Niech cię piekło pochłonie! - wydyszał Baron, łapiąc oddech otwartymi ustami, kiedy wreszcie brat zdołał oderwać napastnika.

Lucas miał z Luizem ciężką przeprawę. Wreszcie udało mu się przycisnąć rozjuszonego młodzieńca do twardej jak stal piersi, wgniatając mu w gardło muskularne przedramię. Drugą ręką wykręcił w tył ramię Luiza.

Baron, wciąż jeszcze oszołomiony niespodziewanym przebiegiem wypadków, utkwiał wściekły wzrok w poskromionym mieszkańcu. Zbliżył się do niego i powiedział:

- Zapłacisz za to. Zabieraj go do bramy - dodał do brata. Lucas i Baron wyprowadzili Luiza z patio aż na frontowy podjazd.

Pociągnęli miotającego się Indianina wzdłuż linii drzew do wysokiej, białej bramy wznoszącej się ku niebu w krwawoczerwonych promieniach zachodzącego, teksaskiego słońca.

Przystanęli koło bramy i Lucas trzymał Luiza, podczas gdy Baron odwinął sznur i przerzucił go przez jeden z dźwigarów bramy, pociągając tak długo, aż jeden koniec znalazł się w zasięgu jego ręki.

Lucas związał z przodu przeguby dłoni Luiza. Szarpnięciem za sznur poderwał je do góry z taką siłą, że młodzieńcowi wydawało się, jakby wyrywał mu ramiona ze stawów.

Baron zsunął z ramienia zwinięty czarny pejcz. Wsunął pistolet za pas i z jadowitym uśmiechem rozwinął bicz, poruszając nim lekko i strzelając w powietrzu przed twarzą Luiza.

Tymczasem Lucas przymocował sznurem wyciągnięte ręce Luiza i zdarł z jego pleców białą koszulę. Nie poprzestał na tym, darł dalej, aż spadła w strzępach na żwir.

Baron wymownie przeciągał koniec pejcza po piasku, gdy zobaczył błyszczący dysk medalionu Kamienia Słonecznego, spoczywający na piersi Luiza. Objął palcami gładki dysk i szarpnął brutalnie. Łańcuch prysł i zsunął się z szyi młodzieńca.

Przez krótką chwilę trzymał w dłoni lśniący złoty medalion. Oglądał go z pogardliwym uśmiechem, wiedząc, że przesądny mieszaniec wierzy, iż ta błyskotka jest azteckim amuletem chroniącym go od zła i niebezpieczeństwa. Otworzył dłoń i upuścił medalion na ziemię, wgniatając obcasem w pył.

- Lucasowi i mnie nie podoba się, kiedy barbarzyński czerwonoskóry sypia z naszą siostrzyczką. Co masz do powiedzenia na ten temat, kundlu?

Odpowiedziało mu milczenie.

Baron nie tracił więcej czasu. Okrążył Luiza, odstał dokładnie osiem kroków i obrócił się. Stojąc za plecami skrepowanego młodzieńca, podniósł czarny bicz wysoko w powietrze.

I ze świstem opuścił na nagi grzbiet chłopca.

Napięte jak struna ciało młodzieńca skurczyło się od palącego uderzenia, ciemne oczy na moment zamknęły się od ukąszenia bólu. Na miedzianej skórze pojawiła się szeroka pręga i w ciągu kilku sekund wystąpiły na niej drobniutkie kropelki jasnoczerwonej krwi.

Wydawało mu się, że jego plecy płoną. Sznur orał delikatną skórę przegubów i mięśnie okrutnie wyprężonych ramion rwały boleśnie. Szczeka pulsowała od ciosu Lucasa i zaczęła już puchnąć i sinieć. Najbardziej jednak cierpiało serce.

Pozostał niemy.

Bracia ponaglali.

Baron stanął tuż za nim. Dmuchał lekko chłodnym powietrzem na palącą pręgę i oznajmił, że tak naprawdę nie chcą go skrzywdzić. Dodał, że natychmiast go odwiążą, jeśli opowie - w najdrobniejszych szczegółach - co on i Amy robili w ciągu tych wszystkich długich, gorących popołudni.

Czy mała Amy ładnie wygląda nago? Czy wbija paznokcie w jego plecy i krzyczy? Czy pokazał jej wszystkie sposoby kochania się? Czy ją nasycił?

Jeżeli opowie im wszystko, będzie wolny.

Luiz Quintano milczał.

Pozwoli raczej zabić się braciom Sullivan, aniżeli piśnie choćby słowo na temat Amy. Zacisnął białe zęby i niewzruszenie spoglądał wprost w płonące słońce.

Został za to ukarany następnym uderzeniem. Baron jeszcze dwa razy podniósł długi czarny bicz i spuścił go na plecy Luiza. Obaj drwili z niego, nazywając na przemian Bogiem Słońce i Tonatiuhem, pytali, gdzie podziała się jego mistyczna, aztecka moc.

Tuż przed zadaniem ostatniego ciosu pejcem Baron podszedł do Luiza, chwycił go za włosy i szarpnięciem odciągnął jego głowę do tyłu.

- Może to odyczy cię kochania szlachetnie urodzonych białych dziewczyn!

## Rozdział 12

Luiz dumnie trzymał ciemnowłosą głowę, jego zmaltretowane ciało wciąż było wyprostowane. Czarne oczy pozostały matowe i bez wyrazu. Uparcie wpatrywał się w oświetlony słońcem zachodni horyzont poza chłodnymi, odległymi górami i bezgłośnie wzywał duchy przodków: dzielnych, miłujących słońce Azteków.

Bracia Sullivan nie byli zadowoleni z jego reakcji. Szczególnie Barona mocno ona rozczarowała. Miał nadzieję powalić dumnego mieszkańca na kolana. Zmusić go do błagania o litość.

Wściekły, że nic podobnego się nie zdarzyło, pomysłowy Baron szybko wykoncypował nowy plan. Taki, który na pewno odniesie skutek.

Z uśmiechem podszedł do Luiza i powiedział:

- Nie odchódź daleko, słoneczko. Zaraz wracamy.

Z drwiącą miną przewiesił czarny pejcz wokół szyi Luiza, odwrócił się i dał znak Lucasowi, aby szedł za nim. Baron postanowił przyprowadzić siostrę, by była świadkiem bólu i upadku kochanka.

Bracia pospieszyli do hacjendy, wbiegli na schody i wpadli do sypialni Amy. Dziewczyna, rozbudzona nagle, usiadła.

- Co się dzieje, Baron? - spytała bez tchu. - O co chodzi?

- Idziesz z nami - oznajmił bez dalszych wyjaśnień.

- W porządku - odparła. - Zaraz się ubiorę...

- Ubierzesz się potem - przerwał autorytatywnie - ktoś chce się z tobą widzieć.

- Kto? Myślałam, że wszyscy już odjechali. Przecież nie mogę wyjść nie ubrana.

Z przerażeniem zastanawiała się, czy Baron nie miał na myśli Tylera Parnella.

Przerażenie zamieniło się w zgrozę, gdy bracia wywlekli ją z budynku. Nieświadoma kamyków raniących jej delikatne, nagie stopy, poczuła, że ogarnia ją dławiący strach. Instynktownie czuła, że Tonatiuh jest w ich rękach. Że chcą go skrzywdzić. Dlaczego zabierają ją do Tonatiuha, skoro chcą ich rozdzielić?

Skrzywiła się z bólu, gdy ujrzała na tle płonącego purpurą nieba czarną, bezradnie zwisającą z bramy Orilli sylwetkę pięknego młodzieńca, którego obdarzyła miłością.

Gdy zbliżyła się na tyle, by dostrzec krwawe pręgi na opalonych plecach, w pierwszym odruchu chciała podbiec do niego, zarzucić



ramiona na szyję ukochanego i przysiąc, że go uratuje od dalszych cierpień. Na szczęście pohamowała się.

Wiedziała, że jej bracia nienawidzą Tonatiuha, ale nie miała pojęcia, że aż tak bardzo. Nie sądziła, że będą zdolni do tak zbrodniczego czynu. Starła się pozbierać myśli, czując, że to jeszcze nie koniec, że jeśli się wtrąci, mogą go zabić.

Poprowadzili ją dookoła, stawiając twarzą w twarz z Luizem. Natychmiast zauważyła brak opiekuńczego Kamienia Słonecznego na jego szyi.

- Dlaczego, Baron? - zapytała krótko. Jej oczy pozostały suche, gdy napotkały spojrzenie Luiza. Patrzył na nią. I po raz pierwszy w tych źrenicach pojawiła się iskierka wzruszenia, natychmiast dostrzeżona przez czujnego Barona.

- Dlaczego mu to zrobiliście? - powtórzyła, pragnąc wyciągnąć dłoń i zetrzeć krew z podrapanego czoła Tonatiuha, zebrać kropelkę potu z ciemnych rzęs.

- My, Sullivanowie, chronimy nasze kobiety i naszą ziemię. Nie zniesiemy, aby mieszaniec kładł brudne łapy na jednym lub drugim - Baron uważnie obserwował twarz siostry, patrzącej na Luiza, wreszcie zapytał: - Czy kochasz tego nędznego czerwonoskórego?

To było groźne pytanie i Amy o tym wiedziała. Jeżeli przyzna, że kocha Tonatiuha, wypędzą go na zawsze, może nawet zabiją. W przeciwnym wypadku skutek może być taki sam, myślała gorączkowo.

Gdyby Baron uwierzył, że nie zależy jej na Tonatiuhu, czułby się mniej zagrożony. I mniej skory do zemsty. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie - odpowiedziała spokojnie. - Nie Kocham go.

- Ten Indianin nic dla mnie nie znaczy - wzruszyła nagimi ramionami. Uśmiechnęła się i dodała zalotnie: - Tak dobrze się bawiłam z dzikim Bogiem Słońce.

Baron uważnie obserwował jej twarz, której rysy nic nie zdradzały; wydawała się zupełnie spokojna. Luiz wyglądał na pobitego, jakby chłodne słowa Amy sprawiły mu większy, ból niż uderzenia pejcza. Baron zaśmiał się, wyciągnął dłoń, zdjął bicz z szyi Luiza i wręczył go siostrze.

- Udowodnij to.

Przytaknęła poważnie, biorąc bicz z ręki Barona i okrążyła związanego Luiza. Zrobiła kilka kroków na miękkich, ołowianych nogach, zatrzymała się i obróciła, aż koronkowa halka zawirowała wokół jej bosych stóp.

Uśmiechając się tak, jakby sprawiało jej to ogromną przyjemność, wysoko podniosła zabójczy pejcz, z trzaskiem opuszczając go na zakrwawione, brązowe plecy Luiza.

Poczuła szarpnięcie bólu w samym środku serca, gdy ukochane ciało drgnęło konwulsyjnie pod karzącym ciosem. Ale jej twarz pozostała spokojna. Była doskonała w swej roli. Tak doskonała, że Tonatiuh prawdopodobnie znienawidzi ją do końca życia.

Ale lepsza jego nienawiść niż jego śmierć.

Bracia ze śmiechem przyklasnęli występowi siostry. Baron podszedł do niej, wyjął jej z dłoni ciężki pejcz i uścisnął ją serdecznie.

- Kochanie, źle cię osądziłem. Myślałem, że ten brudny kundel zawładnął twoim sercem - potrząsnął jasnowłosą głową. - Do diabła, potrafię zrozumieć fizyczne pożądanie - zaśmiał się serdecznie. - A więc parę razy pohasałaś sobie na sianie z dzikusiem. No i dobrze. Sam nieraz zabawiałem się z meksykańskimi służącymi.

- Moje ulubione dziwki to Meksykanki i Indianki - wyrwał się Lucas, szczerząc zęby.

- Nie, wcale cię nie oskarżamy, Amy - zapewnił ją Baron i nagle uśmiech znikł z jego twarzy. - Czy ja wiem... Właściwie powinniśmy zabić tego bezczelnego brudasa, że odważył się tknąć naszą śliczną, białą siostrę.

Serce Amy waliło jak oszalałe. Bała się, że zemdleje. Musi coś zrobić i to szybko.

- Mam lepszy pomysł - oznajmiła, okrążając więźnia tak, by móc spojrzeć mu w twarz.

Muskając halką żwir pod bosymi stopami stanęła przed Luizem w nadziei, że wzrokiem przekaże mu wiadomość. Nie udało jej się, Baron był tuż obok.

Udając więc drwinę z nieszczęsnej ofiary pochyliła się, podniosła z kurzu złoty medalion i obejrzała z udaną pogardą. Rozważała możliwość wsunięcia go do kieszeni spodni Luiza, ale w końcu podała go Baronowi.

Podeszła jeszcze bliżej ukochanego, prowokacyjnie podsuwając mu pod nos białe ramię i pozwalając, by cieniutkie ramięczko

koszulki opadło uwodzicielsko. Dumnie potrząsnęła głową, aż jej długie rozpuszczone włosy rozsypały się wokół głowy.

Wysunęła koniuszek języka i lubieżnie oblizała wargi.

- Odeślijcie tego Metysa tam, gdzie jest jego miejsce - zdecydowała, dumnie spoglądając w storturowane czarne oczy.

- To znaczy, kochanie? - zapytał Baron.

- Za granicę, do Meksyku, aby dzielił nędzę i samotność ze swym ludem.

Odwróciła się szybko, obawiając się, że dłużej nie zdoła tłumić prawdziwych uczuć. Wiedziała, że od tej chwili w snach widzieć będzie Tonatiuha takim, jakim zobaczyła go teraz: miedziana skóra skąpana w różowym blasku i nieruchome, czarne oczy.

Nie wypłakane łzy paliły jej oczy, gdy ruszyła długim podjazdem w stronę domu. Po kilku krokach zatrzymała się jeszcze i odwróciła, wołając beztrasko:

- Baron, dopilnuj, żeby za Indianinem powędrował ten jego wstrętny medalion!

- Pozbędziemy się obydwu dziś w nocy na meksykańskiej pustyni - odpowiedział. - A teraz zrób się na bóstwo. Za chwilę Tyler przyjdzie zobaczyć się z tobą.

Zapadał zmierzch. Amy stała na górnym korytarzu przed wielkim oknem, obserwując trzech jeźdźców galopujących na południe. Tonatiuh, czarny cień na tle fioletowego, wieczornego nieba, z rękami związanymi na plecach, obrócił się nagle i posłał Orilli ostatnie spojrzenie.

I wtedy przyszły łzy.

Gorące, obfite łzy, których już nie mogła zatrzymać. Bezgłośnie powtarzając jego imię, Amy upadła na kolana i rozplakała się gorzko, a jej szczupłe ramiona ugięły się pod ciężarem rozpacz.

Pedrico, który właśnie wracał z Sundown, znalazł ją leżącą w ciemności. Opowiedziała mu wszystko, szlochając histerycznie. Wezwał natychmiast Magdalенę i Rosę, a zrozpaczonej Amy oznajmił, że idzie szukać Luiza.

Uczepiła się jego ramienia.

- Nie wiem, dokąd go zabrali. Wiem tylko, że chcą go porzucić gdzieś na granicy meksykańskiej.

- Znajdę chłopaka - odparł Pedrico z wściekłą determinacją.

- Błagam - krzyknęła - powiedz mu, że tak trzeba było! Boże drogi, przecież nie mówiłam tego, co myślę i czuję!

Magdalena objęła ramieniem nieszczęśliwą dziewczynę.

- A jeśli go nie znajdziesz? - spytała Pedrica.

- Nigdy nie wrócę do Orilli.

Było już po północy, gdy zatrzymali zdyszane i spocone wierzchowce. Przecięli Rio Grande na południe od Esperanzy i jechali dalej aż znaleźli się w samym sercu ogromnej, bezludnej pustyni Chihuahua na północy Meksyku.

- Wystarczy - Baron stanął w strzemionach i rozejrzał się po twardym, pustym terenie.

Lucas nawet nie zsiadał z konia. Pochylił się i odczepił dłonie Luiza od lęku, pozostawiając na nich więzy. Ze śmiechem zepchnął go z siodła.

- Adios, słoneczko.

Luiz instynktownie wyciągnął ręce, starając się złagodzić upadek, ale jedną nogą zaczepił o strzemię i wyładował na gruszkowatym kaktusie. Tysiące małych igiełek utkwily w poranionym ciele.

Zebrał siły i odtoczył się na bok. Leżąc na brzuchu, z rękami wyciągniętymi przed siebie, czekał i zastanawiał się, czy go zabiją. Nie zależało mu na życiu.

- Umierasz za to, że tknąłeś naszą siostrę - powiedział Baron.

- O świcie będziesz żarciem dla ptaków.

Sięgnął do kieszeni, wydobyl Kamień Słoneczny i niedbale rzucił go na ziemię. Ciężki dysk wyładował o kilka jardów od Luiza.

Sullivanowie odjechali natychmiast, zabierając luzaka. Luiz Quintano pozostał bez wody i żywności w pustynnej, wysuszonej dziczy, wśród kaktusów i dzikich, wygłodniałych zwierząt.

Twarz i ręce były poranione odłamkami szkła. Policzek i szczęka

- sine i opuchnięte od ciosu silnej pięści Lucasa. Nagie, brudne plecy nosiły na sobie rany od pejcza i ukłuc igiełek kaktusów, ale najdotkliwiej cierpiało jego serce bez nadziei na wyleczenie.

Dał wreszcie upust uczuciom i poczuł, jak gorące łzy napływają mu do oczu, obmywają pokryte brudem policzki. Płakał jak przerażone dziecko, którym przecież był. Przetykając łzy czołgał się na brzuchu ku lśniącemu dyskowi Kamienia Słonecznego, który mrugał do niego łagodnie w świetle księżyca.

Każdy cal drogi był istną torturą. Całe ciało Luiza było sztywne i obolałe, wzrok zmałowany przez łzy, gardło wysuszone. W nocnej ciszy słyszał własny chrapliwy oddech.

Cal po calu kontynuował wędrówkę aż do chwili, gdy ze zdławionym jękiem ulgi, drżącymi palcami dotknął błyszczącego złotego medalionu.

Ze słabym okrzykiem triumfu mocno zacisnął na nim szczupłe palce - jakby jego życie na tym i na tamtym świecie miało od tego zależeć.

Błyszczące gwiazdy wypełniały nocne niebo. Srebrny księżyc w pełni tkwił wysoko. Samotny ptak z gracją wzbił się w górę, czarne jak noc, rozpostarte skrzydła lśniły srebrzyście.

Luiz nie widział gwiazd ani księżyca, ani ptaka. Słone łzy obsychały na jego twarzy, smukłe, wymęczone ciało przeszył lekki dreszcz bolesnego wyczerpania.

Zemdłał.

## Rozdział 13

W chwili, gdy drżące, brunatne dłonie Luiza objęły Kamień Słoneczny, odległa o setki mil uśpiona kobieta poczuła dotyk tych samych szczupłych palców.

Gorączkowy uścisk obudził ją natychmiast. Usiadła na posłaniu. Obok niej śmiertelny oręż, który zawsze miała pod ręką - ogromny, senny, biały jak śnieg lew górski - poruszył się, uniósł drapieżną głowę i spojrzał na nią złotymi, lśniącymi oczami.

Kobieta odrzuciła z twarzy długie, czarne włosy i rozejrzała się czujnie. Wszystko było tak, jak być powinno. Była sama w swych wygodnych apartamentach. Pochodnie na ścianach jasnym płomieniem oświetlały wysoką górską jaskinię, rzucając zwykłą mozaikę cieni i światła na stalaktyty i stalagmity.

Panowała zupełna cisza, jeśli nie liczyć niskiego, pytającego pomruku wielkiego kota. Kobieta uspokoiła go podniesieniem dłoni. Odrzuciła przepyszne futrzane okrycie i wstała. Nago przeszła przez ogromną kamienną komnatę apartamentu. Lew - albinos pozostał na miejscu.

Kobieta wydobyla z ogromnego, drewnianego kufra powiewną szatę z miękkiej białej wełny. Przeciągnęła ją przez głowę, wsunęła ręce w długie, luźne rękawy, pozwalając, by delikatny materiał otulił jej smukłe kształty i opadł aż do małych, bosych stóp.

Uniosła w górę dłonie o długich paznokciach i uwolniła gęste, czarne włosy z wycięcia sukni. Ciemne warkocze sięgały jej do bioder.

Nie kłopotząc się włożeniem pantofelków skierowała się ku ciemnemu tunelowi. Wielki kot podniósł się i podążył jej śladem.

Kobieta i lew szli mrocznym, krętym tunelem, aż dotarli do ogromnej, opustoszałej teraz komnaty, której sklepienie poczerniało od dymów ogni, palonych tu niegdyś przez dawno zmarłych przodków. Nawet teraz pośrodku komnaty tlił się płomień.

Przybyli skierowali się ku płonącym drzazgom cedrowym. Kobieta uniosła dłonie i klasnęła w nie trzykrotnie, aż echo poniosło się poprzez przestronne pomieszczenie.

W ciągu kilku sekund pojawiło się około pół tuzina zaspanych mężczyzn, odzianych w białe przepaski biodrowe i uzbrojonych po zęby. Stanęli w milczeniu półkolem, z oczami utkwionymi w kobiecie.

Spokojnym, cichym głosem przekazała im instrukcje.

Poleciała podsycać ogień tak, by na całą komnatę buchał potężny żar i jasne światło, przynieść z przedsionka magiczny czarny naszyjnik i garść amarantowych nasion, chętnie stosowanych w azteckich rytuałach, a wzgardzonych przez Hiszpanów. Rozżarzyć pałeczki kadzidła w glinianych misach. Przynieść ogromne naczynie pulque, aby mogła wypić tyle trunku przygotowanego z białego mleka kaktusa maguey, ile trzeba do zobaczenia tego, czego inni widzieć nie mogą.

Wysmukli, muskularni wojownicy nie wymienili między sobą sceptycznych spojrzeń, słysząc to ostatnie polecenie, nie okazali też lęku, mimo że pulque jest „trąbą powietrzną, cyklonem, okrywającym wszystko płaszczem zła” i jedynie starcom wolno było jej pić tyle, ile pragnęli.

Prawa i tabu ograniczające życie innych nie dotyczyły tej kruczowłosej kobiety w białej szacie. W wysokogórskiej pieczarze tej nocy odbędzie się rytuał, a lojalni towarzysze kobiety nie kwestionowali jej rozkazów. Po prostu je wykonywali.

W godzinę po tym, jak została wyrwana ze snu, kobieta leżała koło ognia tak potężnego i gorącego, że pot ściekał po jej smukłym ciele, a suknia lepiała się do rozgrzanej skóry. Biały lew leżał obok niej, a tańczące płomienie odbijały się w głębi jego ogromnych złocistych oczu.

Ze złotego puchara piła łakomie zakazaną pulque, gryzła amarantowe nasiona i bezmyślnie bawiła się czarnym naszyjnikiem, podczas gdy gęsty, błękitnawy dym kadzidła słodkawym zapachem przepełniał duszne, gorące powietrze komnaty.

Wojownicy nie towarzyszyli jej przy ogniu. Stali na swoich miejscach, w dyskretnym oddaleniu, jakby na baczność. Żaden z nich nawet nie uniósł ręki, by otrzeć pot ściekający z czoła.

I nagle kobieta usiadła wyprostowana.

Czarne oczy rozszerzyły się i zapatrzyły w tańczące płomienie. Ujrzały w nich młodzieńca, samotnie umierającego pod pustynnym księżycem w pełni. Z jaskrawością, której zwykli śmiertelnicy nie potrafią sobie nawet wyobrazić widziała nieprzytomnego chłopca, jego zakrwawione, nagie plecy, posiniaczoną i spuchniętą twarz, zdarte do krwi palce ściskające złoty medalion.

Łzy napłynęły jej do oczu. Łzy wściekłości i łzy radości. Potrzebował jej. Po raz pierwszy w ciągu tych wszystkich lat jej piękny syn potrzebował matki. Przywiezie go tutaj, żeby z nią pozostał. Ukryje go w tej ogromnej jaskini w górach Meksyku.

Nie pozwoli mu umrzeć.

Kobieta odrzuciła złoty puchar z pulque i z powrotem wsypała garść amarantowych nasion do złotej misy. Wstała i cichym, ale zdecydowanym głosem przekazała swym strażnikom szczegółowe polecenia.

Uśluchali natychmiast. Kobieta znana jako La Extranjera - Nieznajoma istniała dla nich pod innym imieniem. Bogini Xochiquetzal.

Spieniony wierzchowiec Pedrico Valdeza wyczuwał zniecierpliwienie jeźdźca i pędził przed siebie.

Zbliżał się świt, a oni jechali prawie całą noc. Zdecydowani na wszystko.

Wreszcie jednooki sługa z Orilli dostrzegł jakiś ciemny przedmiot leżący na piasku obok wielkiego krzewu nożowca i serce zaczęło mu bić szybciej. Wzruszenie jeźdźca udzieliło się czujnemu wierzchowcowi, który przyspieszył, by jak najprędzej donieść go do celu.

Pedrico rzucił wodze i zeskoczył z konia o kilka stóp od podejrzanego czarnego przedmiotu. Z zapartym tchem opadł na kolana, unosząc w dłoni parę czarnych, męskich spodni, podartych na kolanach, brudnych, zmiętych i pokrytych zeschniętą krwią. Potrząsnął głową w niemym proteście.

Pokrwawione spodnie mogły należeć do kogokolwiek. To Meksyk, do Orilli bardzo daleko. To nie są spodnie Luiza.

Pedrico niemal przekonał sam siebie, kiedy w cieniu nożowca dostrzegł parę butów kowbojskich. Jeden stał pionowo, drugi leżał na piasku. Maleńka, srebrna ozdoba lśniła w blasku szybko wschodzącego słońca.

Wtedy zrozumiał.

Rzucił podarte czarne spodnie i sięgnął po but. Podniósł go i na widok wybitych w srebrze liter SBARQ jęknął: - Nie, nie, nie...

Tylko dumny Luiz Quintano posiadał takie obuwie.



Wstał, przyciskając but do piersi. Rozejrzał się wokół w obawie, że w każdej chwili może ujrzeć martwe ciało chłopca. Pochylił się, podniósł drugi but i oba starannie przymocował do siodła.

Wsiadł na spokojnie czekającego konia. Raz jeszcze objął wzrokiem nieprzyjazny bezruch bezlitosnej krainy, która już porażała gorącem, choć słońce zaledwie wstało. Z rozpaczą w sercu rozmyślał, gdzie odnajdzie szczątki pięknego, młodego Azteka.

Pedrico nacisnął na oczy sombrero i skierował się na południe.

Pewnego chłodnego, niedzielnego popołudnia na początku listopada Meg Sullivan weszła do holu domu w Nowym Orleanie i jej wzrok padł na list na srebrnej tacy. Nie miała ochoty go otwierać. To już trzecia wiadomość od Amy w ciągu ostatnich trzech tygodni.

Pierwsza - telegram informujący o śmierci Waltera Sullivana - była dla niej ciosem, z którego do dziś nie zdołała się podźwignąć. Nie upłynął nawet tydzień, gdy w drugim liście Amy oznajmiła jej, że Don Ramon zginął w następstwie nieszczęśliwego wypadku, a Luiz, jego syn, zaginął.

Meg wyciągnęła dłoń w rękawiczce i podniosła błękitną kopertę. Jej ręce drżały lekko, gdy rozkładała kartkę pokrytą równymi rządками pisma.

Najdroższa ciociu Meg,

Po tych wszystkich tragediach nareszcie jedna dobra wiadomość. Wychodzę za mąż. Za niecały tydzień - w niedzielny wieczór 8 listopada - zostanę żoną Tylera Parnella.

Najbardziej na świecie pragnęłabym, żebyś była tu ze mną i dzieliła moje szczęście. Chcemy po ślubie zamieszkać w Orilli, czyż to nie cudowne?

Pozdrowienia, Amy.

Meg Sullivan powoli złożyła list. Przymknęła oczy i smutno potrząsnęła głową. Nie potrzebowała całego swojego zdrowego rozsądku i intuicji, żeby wyczuć, iż za dzielnymi słowami najdroższej na świecie osoby kryje się złamane serce.

Otworzyła oczy i westchnęła ze znużeniem.

Była niedziela, 8 listopada. Dzień ślubu. Za późno nawet na wysłanie telegramu z prośbą, żeby zaczekała i jeszcze raz przemyślała swoją decyzję.

Meg Sullivan wstała i weszła na schody, czując, że wszelkie sny o przyszłym szczęściu Amy rozwiały się nieodwołalnie.

Tej samej ciepłej, listopadowej nocy w Sundown w Teksasie, Amy Sullivan, olśniewająco piękna w sukni z białej satyny, wsparta na ramieniu brata, Barona, szła środkiem nawy katolickiego kościoła. Ceremonia trwała niecałe dziesięć minut. Została żoną rozpromienionego Tylera Parnella.

Tyler Parnell był najszcześliwszym panem młodym pod słońcem. Miał już wszystko, czego pragnął. Ładniutką, naiwną żonę, która przypadkiem była najbogatszą dziedziczką w całym Teksasie. Resztę życia spędzi więc w Orilli wśród największych luksusów, a w zamian będzie musiał jedynie pilnować, by mała Amy zawsze była w ciąży, zawsze szczęśliwa i zawsze uległa.

Uśmiechnął się do swej jasnowłosej narzeczonej, stojącej obok niego przed księdzem w czarnej sutannie. Był absolutnie pewien, że spełnienie tego ostatniego warunku nie sprawi mu najmniejszego problemu. Bardzo szybko udało mu się przekonać Amy, by za niego wyszła. Nawet Baron był mile zdziwiony, że tak łatwo na to przystała.

Gdy tydzień temu poprosił o rękę Amy, to ona zdecydowała, że nie będą czekać i wezmą ślub natychmiast. Nie przewidywał problemu z uzyskaniem jej podpisu na akcie własności części ziemi, którą odziedziczyła.

I która jest warta fortunę.

A przynajmniej była. Do tej pory.

Tego samego listopadowego wieczoru elegancko ubrana i egzotycznie piękna kobieta wyszła z luksusowego apartamentu we wnętrzu górskiej pieczary. W towarzystwie białego górskiego lwa szła pod wiatr, który oblepiał suknie wokół jej smukłej figury i rozwiewał długie do bioder, czarne włosy.

Nieustraszona, wspięła się wyżej, gdzie otuliły ją wysokogórskie mgły, pieszcząc jej twarz chłodną wilgocią. Ta kobieta jednak widziała poprzez mgłę.

Jej wzrok sięgał daleko poza zwaliska brył bazaltu, strome, wulkaniczne zbocza, kolumny piaskowca i połączenie czystego granitu. Siegał poza strzeliste łańcuchy gór i zielone doliny, i spękane od suszy pustynie.

Siegał aż do odległego Teksasu i chłodnej, czystej rzeki. Rzeki wypływającej z głębokich studni artezyjskich, skrytych pod tonami kamienia. Bystro toczącej swe wody, które zamieniły pustkowie w żyzne łąki.

Przyniosła ludziom bogactwo.  
Zagniewana bogini lekko zmarszczyła brwi.  
I rzeka przestała płynąć.

## CZEŚĆ DRUGA

## Rozdział 14

Dziesięć lat później.

Orilla, kwiecień 1866.

Amy Sullivan Parnell była samotna.

Boleśnie samotna. Przez cały dzień. Od wczesnego poranka, kiedy zegnała wzrokiem swe jedyne dziecko, wesoło machające rączkami z okna wagonu, podczas gdy koła lokomotywy toczyły się powoli po stalowych szynach.

Jej wspaniała, żywa jak srebro, dziewięcioletnia Linda wraz z Juaną w charakterze przyzwoitki wyruszyła do Nowego Orleanu na pierwszą - bez opiekuńczej matki - wizytę do cioci Meg. A teraz, po południu, Amy wędrowała bez celu po ogromnej, pustej hacjendzie, żałując, że pozwoliła Lindzie odjechać. Jak przeżyje to długie, gorące lato bez swego ukochanego maleństwa?

Przepełniona nienawiścią do otaczającej ją ciszy, w poszukiwaniu towarzystwa zajrzała do kuchni. Magdalena była sama i wyrabiała ciasto. Kiedy Amy weszła, podniosła wzrok. Ciemne oczy zapłonęły oburzeniem i Amy zrozumiała, że tu na pewno nie znajdzie przyjaznej duszy. Magdalena wściekle uderzyła pięścią w ciasto i Amy wiedziała, dlaczego.

- Magdaleno - odezwała się. - Czy naprawdę zasługuję na mal de ojo - złe spojrzenie?

- Si - odparła tęga, siwowłosa kobieta. - Si, zasługujesz! Nasze dzieciątko samo podróżuje przez taki kawał świata! To ani bezpieczne, ani...

- Mag, ona nie jest sama, jest z nią Juana - przerwała Amy. - I to nie jest kawał świata, tylko Teksas i zatoka do Luizjany.

- Hmmp! Za daleko dla dziewięcioletniej dziewczynki! To tylko nina. Maleństwo. I jedzie bez mamy, na całe lato!

- Linda chciała jechać „bez mamy”. Marzyła o spędzeniu lata sam na sam z ciocią Meg. A ciocia Meg nie może się jej doczekać.

- A co z nami? Co my tu mamy robić bez Lindy? - Magdalena wsparła umięcone pięści na rozłożystych biodrach i zezem spojrzała na chlebobawczynię.

Amy uśmiechnęła się.

- Jesteś równie okropna jak ja - stwierdziła lekko oskarżycielskim tonem. - Nie obchodzi cię wcale bezpieczeństwo Lindy, myślisz tylko o sobie.

Magdalena zrobiła skwaszoną minę, ale skinęła głową.

- To prawda - westchnęła ciężko. - Odjechała parę godzin temu, a ja już czuję się samotna.

W jej ciemnych oczach pojawiły się łzy. Amy podeszła do niej.

- No już, już - szepnęła uspokajająco. Wiedziała, że Magdalena tęskni nie tylko za Lindą. Od śmierci Rosy minęło pięć lat, ale matka cierpiała tak, jakby to zdarzyło się dopiero wczoraj. Amy otoczyła ramionami potężną kobietę.

- Właściwie mogłabyś wziąć odświeżającą kąpiel, a ja poproszę, żeby odwieziono cię do Sundown. Złożysz długą, wspaniałą wizytę Mary i jej maleństwu.

Amy wiedziała, że to podniesie Magdalенę na duchu. Starsza kobieta bardzo lubiła cichą, spokojną Mary, kiedy ta była jeszcze służącą w Orilli. Teraz Mary była już mężatką z trójką chłopców i trzymiesięczną córeczką, a Magdalena uwielbiała całą czwórkę.

- A co z kolacją? - zapytała, pociągając nosem. - Kto ją przygotowuje?

Amy uścisnęła serdecznie gospodynię.

- Spytaj raczej: kto ją będzie jadł? Nie jestem głodna.

- Musisz jeść! Nie pozwolę...

- Mag, jedź do Mary i dzieciaków. Ja sobie poradzę...

- Na pewno? Chętnie tu zostanę i...

Amy potrząsnęła głową.

- Pojadę na spacer. Zobaczą, może zmęczę się na tyle, żeby zasnąć - odwróciła się i skierowała ku wyjściu. - Powiem Fernandowi, by podjechał bryczką za pół godziny. Zdasz się przygotować?

- Zdam na pewno - uśmiechnęła się w końcu Magdalena. Amy także odpowiedziała jej uśmiechem.

- Baw się dobrze, zostań tak długo, jak zechcesz. Zobaczymy się jutro.

W niecałą godzinę później Amy galopowała przez wysuszone pastwiska. Dla ochrony przed popołudniowym słońcem nacisnęła na oczy znoszone sombrero i obserwowała tańczące po wysuszonej, jałowej pustyni miniaturowe wiry piaskowe. Kiedyś była tu łąka porośnięta trawą tobosa i pasły się stada tłustych longhornów.

Dotknęła obcasami boków Rojo i posłuszny wierzchowiec natychmiast ruszył galopem. Pęd dobrze jej robi. Pustynia nie była jeszcze zbyt mocno nagrzana oslepiającym, letnim słońcem.

Kwietniowy wiatr, który chłostał jej policzki i wyciskał łzy z oczu, był chłodny i przyjemny. Nie przypominał gorącego poddmuchu, który w czerwcu i lipcu miał temperaturę rozżarzonego pieca.

Amy z uśmiechem wystawiła twarz do słońca. Czuła pulsowanie i ruchy mięśni Rojo.

Pędzili wciąż dalej i dalej przez spalony, pełen dzikiego uroku krajobraz. Amy zaledwie zauważyła, kiedy dotarli do Puesta del Sol, ponieważ żadna kępa topoli, żadna wierzba na jej brzegu nie wznosiła się już ku czystemu, błękitnemu niebu. Topole, wierzby i wszystkie zielone krzewy dawno zwiędły i rozsypały się w proch.

Ściągnęła wodze i koń zatrzymał się parszkając. Zsunęła się z siodła, odrzuciła wodze i lekko poklepała Rojo po chrapach, przepraszając, że nie ma dla niego czystej, chłodnej wody.

Potrząsnął łbem i zarżał donośnie, jakby rozumiał, o co chodzi. Z uśmiechem poszła ku kamienistym brzegom rzeki Sunset.

Dotarła do gładkiego, płaskiego kamienia nad jej wyschniętym korytem i usiadła. Zdjęła sombrero, rzuciła je obok siebie i zgarnęła do góry ciężkie, jasne sploty. Obrzuciła wzrokiem wyschniętą rzekę i ogarnął ją głęboki smutek.

Pamiętała czasy, gdy tysiące galonów życiodajnej wody obmywały zakręt Puesta del Sol, kiedy z kamieni nad jej głową bezustannie spływał gniewny wodospad.

Zdjęła buty i pończochy. Podciągnęła aż na uda ciepłą spódnicę i objęła kolana ramionami. Z westchnieniem potrząsnęła głową.

Kamienie nad jej głową były suche jak pieprz. Płaskie dno rzeki pokrywały jedynie wypalone na słońcu kawały gliny. Nic, tylko połamane na kawałki, poskręcane na brzegach płaty błota.

Patrząc na spękaną, suchą ziemię Amy pomyślała, że obraz tej pięknej niegdyś rzeki stanowi dokładne odzwierciedlenie jej uczuć.

Bezwładna. Znużona. Sterana. Martwa.

Pomimo że jej dwudzieste szóste urodziny miały nadejść dopiero za miesiąc, czuła, że najlepsze lata życia ma już za sobą.

To, co najlepsze było też najpiękniejsze. I tak krótkotrwałe. Tak krótkotrwałe, że już niemal zapomniane. Jak wspaniały sen, który pamięta się jeszcze po przebudzeniu, a potem jego obraz zaciera się, aż zniknie zupełnie.

Dziesięć lat.

Były chwile, gdy pomimo starań nie mogła sobie przypomnieć twarzy Tonatiuha.

Może taka była kolej rzeczy. Może w trzydziestym szóstym roku życia w ogóle nie będzie w stanie przypomnieć sobie chłopięcej urody oblicza Tonatiuha. Westchnęła głęboko. Tyle się zdarzyło od czasu, kiedy widziała go po raz ostatni.

Pospieszny ślub z Tylerem Parnellem, ledwie w miesiąc po porzuceniu Tonatiuha na meksykańskiej pustyni. Oczekiwanie na Pedrico Valdeza i wieści od Tonatiuha, oczekiwanie, które rozciągnęło się w beznadziejność. Pedrico nigdy nie powrócił, a ona musiała pogodzić się ze smutną prawdą.

Tonatiuh nie żył.

Małżeństwo z Tylerem Parnellem. Już w miesiąc po ślubie częściej spędzał noce poza domem niż w domu i Amy nie musiała długo zastanawiać się, co wówczas porabia jej mąż. Kiedy chodziła ulicami Sundown, świadoma była szeptów przyjaciół i znajomych, że młoda żona nie daje szczęścia Tylerowi. Nikogo zdawało się nie obchodzić, czy Tyler daje szczęście swej młodej żonie.

W ciągu tego pierwszego smutnego roku rzeka Puesta del Sol wyschła nagle i w tajemniczy sposób. Niemal z dnia na dzień wartki, burzliwy strumień zmienił się w mroczny, zastyły staw, nad którego brudną powierzchnią krążyły roje komarów. Po kilku tygodniach zniknęły nawet kałuże i ogłupiałe longhorny stały w wyschniętym kanionie, kopytami drążąc piasek w poszukiwaniu wody.

Zanim przyszła na świat Linda, tysiące sztuk bydła padły z pragnienia i tuziny vaqueros opuściły Orillę. A Tyler Parnell zaczął wątpić w słuszność swej decyzji. Amy wiedziała doskonale, że podobnie jak ona sama, Tyler Parnell zawarł to małżeństwo dla ukrytego celu. Chciał położyć rękę na Orilli. A ponieważ wartość rancho spadała, Tyler pojął, że zrobił kiepski interes.

Wykorzystał tę złą passę jako dodatkowy pretekst do picia i uganiania się za kobietami. Ciepłego majowego wieczoru, gdy Amy poczuła pierwsze bóle przed narodzinami Lindy, Tylera nie było w domu. Pijany spędzał czas w towarzystwie innej kobiety. Ponieważ bracia Sullivan dzielili hulanki ze swym łajdackim szwagrem, Magdalena musiała posłać pastucha na rancho Douga Crawforda.



Potężny Doug Crawford pojechał po lekarza, a pastucha wysłał po Tylera Parnella. Zanim z doktorem Haneyem dotarli do Orilli, było już bardzo późno, ale Tyler zjawił się dopiero nad ranem.

Linda, prześliczna, sześćofuntowa dziewczynka o okrągłej buzi i główce pokrytej złocistym puszkim, przyszła na świat około trzeciej nad ranem. Doug Crawford, krążący pod drzwiami pokoju Amy, był po lekarzu pierwszym mężczyzną, który ujrzał rozwrzeszczane niemowlę w ramionach wyczerpanej matki.

Następne tygodnie były dla Amy szczęśliwe. Shirley Crawford często przychodziła z wizytą, zabierając ze sobą także sześciomiesięczną córeczkę. Jakże inaczej wyglądało jednak życie obu matek. Tyler Parnell nie interesował się żoną i dzieckiem, za to rudowłosy Doug wprost uwielbiał Shirley i małą. A Shirley otwarcie adorowała spokojnego, ciężko pracującego ranchera.

Orilla chyliła się ku ruinie, przez lata suszy pustynia rozszerzyła się ku wschodowi. Baron, Lucas i Tyler, niegdyś wielcy przyjaciele, zaczęli się kłócić i zwać jeden na drugiego winę za upadek rancho. Żaden z trójki nie pomyślał jednak, by pomóc Amy, która sama musiała doglądać robotników i podejmować decyzje związane z Orillą.

Pierwszy odłączył się Baron. Jesienią sześćdziesiątego spakował swoje rzeczy i ruszył na poszukiwanie złota do Kalifornii. Rosa tak rozpaczła, że wydało się, iż byli kochankami. Po trzech miesiącach Baron posłał po nią, a dziewczyna, oszalała z radości, nie słuchając płaczu i błagań matki, pojechała za ukochanym mężczyzną.

Łańcuch tragedii, rozpoczęty owej jesieni śmiercią Waltera Sullivana, trwał nadal. Shirley Crawford i jej córeczka zostały zabite opodal rancho przez bandę indiańskich renegatów z plemienia Apaczów. Tragicznego sobotniego poranka Douga Crawforda nie było w domu. Kupował w mieście lalkę dla córki.

Były to czwarte urodziny Nell.

Następnej wiosny wybuchła wojna pomiędzy stanami i zboleły Doug Crawford wstąpił do armii konfederatów. Lucas wyjechał do Meksyku, a Magdalena otrzymała list od Rosy z Kalifornii. Dziewczyna chciała wrócić do domu, ale nie miała pieniędzy. Wyznała, że Baron posłał po nią dla własnego zysku. Zmuszał ją do prostytucji. Zrozpaczona Magdalena pokazała list Amy, która wysłała Rosie pieniądze na powrót do domu, ale młoda kobieta nie skorzystała

z nich. Po kilku tygodniach oczekiwania przyszedł krótki list od Barona z zawiadomieniem, że „biedna, droga Rosa” nagle zachorowała i umarła.

Nie wspomniał jedynie, że piękna niegdyś Meksykanka zmarła na powszechną u prostytutek chorobę. Matka winiła go za śmierć ukochanego dziecka.

Wyrachowany Tyler Parnell odczekał aż stanie się jasne, która strona odniesie zwycięstwo. Wstąpił do unionistów wiosną 1862 r. i zginął podczas oblężenia Gettysburga. Mniej więcej w tym samym czasie bohater wojsk konfederackich, wielokrotnie odznaczony w walce Doug Crawford powrócił do domu, aby dojść do siebie po odniesionych ranach.

Amy i Magdalena niemal codziennie odwiedzały go i doglądały. Amy czytała mu, słuchała opowieści o wojnie i samotności Doug wyznał, że zakochał się w niej i kiedy zapytał, czy na niego zaczeka, wyraziła zgodę.

Po powrocie na front słał do niej listy. Pragnął, by po zakończeniu wojny Amy została jego żoną, chciał zaopiekować się nią i małą Lindą. Amy, która lubiła go o wiele bardziej niż Tylera Parnella, chętnie przyjęła oświadczenia.

Pojawiły się pogłoski, że Lucas nie żyje. Nie podawano żadnych szczegółów, poza tym, że został zabity przez rozwścieczonego Indianina podczas bójki na noże w jakiejś knajpie w Paso del Norte. Amy czuła, że powinna powiadomić o tym Barona, ale nie wiedziała gdzie go szukać. Przez cały rok nie miała od niego wiadomości. Sądziła, że nie żyje.

Wojna się skończyła wreszcie i Doug Crawford powrócił do domu. Skierował się wprost do Orilli. Jego wychudła twarz rozjaśniła się na widok Amy, która wybiegła mu na spotkanie. Pochwycił ją w ramiona i wymusił obietnicę, że zostanie jego żoną, skoro tylko on zdoła zarobić dość pieniędzy, żeby utrzymać rodzinę. Amy była rozpaczliwie samotna i szczerze lubiła Douga. Zgodziła się, myśląc o spokojnym życiu po tylu latach nieszczęść.

W trzy miesiące po powrocie do domu Doug wyjechał znowu, tym razem do Meksyku. Został dobrze płatnym oficerem w armii cesarza Maksymiliana i co miesiąc przysyłał pieniądze wraz z obietnicą, że wkrótce wróci do Orilli na stałe.

Wróci, żeby zająć się Amy i małą Lindą. Amy już nigdy nie będzie samotna.

Nigdy samotna...

Szmer, cichy, ale wyraźny w zupełnej ciszy pustyni, raptownie przywrócił Amy do rzeczywistości. Podniosła głowę, nasłuchując. Cisza. Ogarnął ją nagły niepokój.

Poczuła dziwny ucisk w krtani.

Powoli podniosła oczy.

## Rozdział 15

Nagi Indianin stał w słońcu.

Amy zamarła w bezruchu, zahipnotyzowana jego widokiem, zbyt zdumiona, by się poruszyć, zbyt przerażona, by krzyknąć.

Długa, biała blizna przecinała ostro rzeźbioną twarz od wysokiej kości policzkowej do mocnej linii podbródka. Rozstawił szeroko bosc stopy, ramiona skrzyżował na gładkiej, bezwłosej piersi. Na ciemnej skórze prawego nadgarstka lśniła szeroka bransoleta ze złota i turkusów. Strojny tylko w wąską przepaskę biodrową, z czarnymi włosami opadającymi na szerokie, muskularne ramiona, stał na skale nad jej głową jak wspaniały posąg. I przyglądał się jej spokojnie.

Chmura na chwilę przysłoniła słońce, skrywając Indianina w głębokim cieniu, a Amy pozostała w plamie jasnego światła. Nagły powiew zachodniego wiatru przyniósł ze sobą znajomy szelest liści topoli i plusk fal na spokojnej powierzchni rzeki.

Tyle tylko, że wokół nie było liści topoli.

Nie było wody.

Samotna, biała gołębica sfrunęła z pociemniałego nieba i umoczyła dziobek w tajemniczej, delikatnej mgielce, która zaczęła się wydobywać z jałowego kamienia, u stóp milczącego Indianina.

Gdy wdzięczny biały ptak poderwał się do lotu, potężne mięśnie na smukłych, długich nogach drgnęły. Indianin zeskoczył z kamienia.

Nagły ruch przywrócił Amy przytomność. Przerażona podbiegła do Rojo. Indianin dopadł jej, ledwie zdążyła chwycić wodze i skoczyć na grzbiet wałacha.

Jego dłoń, szybka jak atakująca kobra, wystrzeliła do przodu i długie palce mocno objęły jej kostkę. Złota bransoleta pochwyciła promienie słońca, na moment oślepiając kobietę.

Była zbyt przerażona, by spojrzeć w twarz przeciętą blizną. Histerycznie krzyknęła na Rojo. Gniadosz natychmiast ruszył, wydzierając jej kostkę z uchwytu Indianina.

Amy nie miała odwagi się obejrzeć, ale czuła, że czerwonoskóry puścił się w pogoń. Na oślepie chłostała wodzami szyję gniadego, wbijając obcasy w jego gładkie boki.

Z szaleństwem w oczach, dysząc jak parowóz, gniady gnał przez nieprzyjazną równinę, przeskakiwał kaktusy, wystające skałki i martwe krzewy. Amy pochyliła się nad końską szyją, w każdej chwili spodziewając się śmiertelnej strzały w plecy.

Przeklinając się w duchu za samotną wycieczkę zaczęła się gorączkowo zastanawiać, czy niemłody już koń wytrzyma ten wściekły galop. Czy może przegonić rumaka Indianina? A nawet jeśli dotrze do hacjendy, co wtedy? Nie było nikogo, kto mógłby jej pomóc. Juana i Linda - dzięki Bogu - były bezpieczne w drodze do Nowego Orleanu. Magdalena i Fernando pojechali do Sundown. W Orilli pozostało jedynie kilku vaqueros, a i oni stacjonowali daleko od hacjendy.

W domu nie było nikogo.

Amy uchwyciła pełną garścią grzywę konia i odważyła się spojrzeć przez ramię. I omal nie zadusił jej strach.

Indianin na ogromnym, czarnym ogierze był nie więcej niż dwadzieścia jardów za nią i bez trudu dotrzymywał jej kroku. Wyprostowany jak struna, z chmurą ciemnych włosów rozwianą wokół poznaczonej bliznami twarzy ścigał ją z lodowatą, przerażającą determinacją.

Amy odwróciła się znowu, błagając Rojo, by jechał szybciej, ale niemłode już zwierzę osiągnęło granicę swych możliwości i dzielnie walczyło o utrzymanie szybkości. Ze spienionym, otwartym pyskiem i wywieszonym językiem biedny Rojo rozpaczliwie robił pokrytymi pianą bokami.

A wciąż byli o mile od Orilli.

Przed oczami Amy pojawiła się okropna wizja: nagie, okaleczone ciała Shirley i Nell Crawford, zabitych przez dziczyńskich Apaczów.

Dzikus za nią był bez wątpienia z plemienia Meskalerów. Spotka ją taki sam los jak te dwie nieszczęsne istoty.

Złodowaciałymi ze strachu rękami ścisnęła wodze i grzywę Rojo, modląc się o szybki i bezbolesny koniec. Nie bała się umrzeć, ale każde dziecko na południowym zachodzie wiedziało, że Apacze chętnie torturują swe ofiary przed zadaniem im śmierci.

Nie zważając na kurz zasypujący jej oczy, na powiewające na wietrze włosy i wzdymającą się wokół ud spódnicę, Amy wściekle bodła piętami brzuch Rojo. Kiedy ujrzała różowiejącą w dali hacjendę, wydawało jej się, że pędzi już całą wieczność.

Z pewną ulgą zaczęła zastanawiać się, czy zdąży dobiec do hacjendy i naładowanego winchestera, zanim Indianin ją dopadnie. W chwilę później, mrugając załzawionymi przez wiatr oczami, ujrzała małą grupę jeźdźców, zbliżającą się do hacjendy od południa.

Kiedy podjechała bliżej, okazało się, że są to żołnierze należący do meksykańskich oddziałów Juareza. Serce Amy podskoczyło radośnie. Usiłując przełknąć ślinę, żeby ich zawołać, zaczęła wymachiwać ramionami w nadziei, że zwróci na siebie uwagę.

Była już pewna, że się jej udało, kiedy żołnierz jadący na czele oddziału krzyknął coś i kolumna zatrzymała się. Z bliska Amy natychmiast rozpoznała siwowłosego, jednookiego dowódcę. Był to dawny służący z Orilli, Pedrico Valdez.

- Pedrico! - krzyknęła radośnie. - Pedrico Valdez! Och, dzięki, dzięki Bogu!

Pedrico i meksykańscy żołnierze obronią ją. Koniec kłopotów. Z uśmiechem na brudnej, zalanej łzami twarzy gwałtownie zatrzymała spienionego Rojo, zeskoczyła z jego grzbietu i popędziła na spotkanie jadącego konno Pedrico Valdeza.

W tym samym czasie Indianin na lśniącym, czarnym ogierze podjechał bliżej i uniósł prawą rękę. Oczy całego oddziału zwróciły się ku niemu. Gestem wydał im rozkaz, a oni, włącznie z Pedrico, rozdzielili się błyskawicznie.

- Nie! - krzyknęła kompletnie zaskoczona Amy. - Nie zostawiaj mnie, Pedrico! Wracaj tu!

Pobiegła za odjeżdżającymi żołnierzami, krzycząc, żeby jej pomogli. Oni jednak jechali dalej, głusi na jej rozpaczliwe wołanie. Przy stanęła z niedowierzaniem i wtedy jej przerażone oczy spoczęły na Indianinie.

Półnagi wojownik spokojnie siedział na koniu i przyglądał się jej uważnie. Na krótką chwilę ich spojrzenia spotkały się. Amy westchnęła boleśnie, gdy Indianin przerzucił długą, opaloną nogę przez koński grzbiet i zwinnie zsunął się na ziemię.

Młoda kobieta okręciła się na pięcie i rzuciła ku domowi, czując, że napastnik jest tuż za nią. Pędem wbiegła na główną alejkę i schody. Dopadła drzwi, kiedy ją dogonił. Długie palce zacisnęły się na powiewającej spódnicy i ostrym ruchem przyciągnęły ją do twardego, muskularnego ciała.

Smukła, delikatna Amy uderzyła w Indianina z takim rozpędem, że na moment całe powietrze uszło jej z płuc. Konwulsyjnie chwytając ustami oddech czuła tylko, jak napastnik unosi w górę jej ramiona i przykładają dłoń do przepony, naciskając rytmicznie.

Uwolnił jej ręce i Amy mimowolnie spojrzała przez ramię na mocno rzeźbioną twarz o czarnych oczach i głębokiej bliźnie, przecinającej od góry do dołu gładki, brunatny policzek aż po okrutne usta.

Wrzasnęła i wyrwała się. Wpadła do domu, ścigana jego dziwnym, upiornym śmiechem. Szlochając wbiegła na schody i do sypialni, ryglując za sobą drzwi.

Odwróciła się, oparła drżącymi plecami o ciężkie odrzwia i czekała, oddychając szybko, z sercem walącym jak oszalałe. W każdej chwili może wbiec na schody. Znajdzie się w holu tuż za jej drzwiami. Natężyła słuch. Cisza. Nic, tylko odgłos jej chrapliwego oddechu.

Amy czekała. I czekała.

Słońce zaszło, a ona wciąż czekała. Napiętym ciałem przywarła do drzwi, nogi miała sztywne i drżące.

Zmierzch ogarnął pustynię i wielką, pustą hacjendę. Obszerna sypialnia pogrążona była w mroku. A ona wciąż czekała, spięta, zeszywniała, przyczajona. Czowała, że dzikus może w końcu znudzić się zabawą i rozbić ciężkie, rzeźbione drzwi.

Nic takiego nie nastąpiło.

Kiedy następnego ranka pierwsze promienie różowego światła wpadły do pokoju, Amy ocknęła się, zdeorientowana i obolała po nocy spędzonej na podłodze pod drzwiami. Rozejrzała się po wnętrzu i przez chwilę zastanawiała się nawet, czy nie wyobraziła sobie tego wszystkiego. Wysoki, szczupły Indianin? Spieniony wodospad? Szelest liści topoli?

Potrząsnęła głową i przez dłuższą chwilę pozostała na miejscu.

Apacz ścigał ją aż od Puesta del Sol. Nie zrobił jej krzywdy. To nie miało sensu. Jeszcze dziwniejsza była ucieczka doskonale uzbrojonych meksykańskich żołnierzy, idących w rozsypkę na sam widok jednego, nieuzbrojonego Indianina.

Podniosła się sztywno, ostrożnie odsunęła zasuwę i uchyliła drzwi. Wyrzała na zewnątrz. Nie zobaczyła nikogo, więc powiększyła szparę i wysunęła głowę. Znów spojrzała najpierw w jedną stronę, potem w drugą. Wreszcie wyśliznęła się na pusty korytarz.

Dopiero na półpiętrze wyrzała przez okno i zobaczyła, że hacjenda otoczona jest umundurowanymi meksykańskimi żołnierzami. Przyglądała się każdej twarzy po kolei, marszcząc brwi, ale nigdzie nie dostrzegła Indianina.

Wróciła do pokoju, odświeżyła się pospiesznie i zeszła na dół w nadziei, że spotka Pedrico Valdeza. Kiedy wyszła na zewnątrz, uprzejmy, młodziutki żołnierz, stojący u wejścia do zachodniego patio, uśmiechnął się do niej.

- Z całego serca proszę o wybaczenie, że tak bezceremonialnie wtargnęliśmy na teren pani posiadłości, ale...

- Nie szkodzi - odparła. - Pedrico Valdez? Muszę z nim porozmawiać.

Młodzieniec lekko wzruszył ramionami.

- Przykro mi. Porucznik Valdez pojechał do miasteczka z naszym dowódcą. Sądzę, że wrócą po południu.

- Powiedz porucznikowi, że chcę z nim rozmawiać, kiedy tylko wróci.

- Ach, si. Powiem mu. Si.

- Gracias - Amy odwróciła się do wyjścia, ale nagle przystanęła.

- Powiedz mi, wczoraj, kiedy tu przyjechaliście z całym oddziałem, czy nie natknęliście się na dzikiego Apacza?

Młody człowiek zrobił zdziwioną minę.

- Nie, o nie, senora - uśmiechnął się szeroko i dodał: - Nie powinna się pani martwić, nie dopuścimy do pani żadnego Apacza.

Amy skinęła głową.

- Gracias - powtórzyła i zawróciła do hacjendy.

W domu natknęła się na Magdalенę, która wychodziła właśnie ze swego pokoju. Starsza kobieta przystanęła zaskoczona.

- Dlaczego wstałaś? - zapytała, obrzucając Amy ponurym spojrzeniem. - I dlaczego wyglądasz na zmęczoną? Jakbyś nie spała całą noc.

- Nie spałam zbyt dobrze - odrzekła Amy.

- Nic dziwnego. Wszyscy ci żołnierze w Orilli. Jak długo tu zostaną i czym ich nakarmimy? - urwała, potrząsając głową i wskazała na Amy. - A ty idź na górę i przebierz się. Nie pozwolę, żeby ci żołnierze myśleli, że Magdalena nie dba o tę rodzinę.

- Mag, czy ty i Fernando, wracając do hacjendy, nie widzieliście żadnego Indianina?

Magdalena zmarszczyła brwi, podeszła do Amy i położyła jej dłoń na czole.



- Czy ty nie masz gorączki? Wiedziałam, jak tylko cię zobaczyłam. Wiedziałam, że nie powinnam była zostawiać cię samej w domu.

Amy odsunęła rękę Magdaleny.

- Nic mi nie jest. Idę się przebrać - oznajmiła, postanawiając nie mówić starej i zbyt opiekuńczej służącej - przyjaciółce o dziwnym spotkaniu nad rzeką.

Okolo południa Amy była odrobinę zdenerwowana.

Ciepły, słoneczny dzień minął spokojnie. Magdalena, jak zwykle śpiewając na cały głos, zajęła się pracami gospodarskimi w kuchni. Stary Fernando na nowo przeżywał wspaniałe dni młodości, spędzając cały wiosenny poranek na rozmowach z żołnierzami.

Cienie wydłużyły się i słońce rozpoczęło wędrówkę ku zachodowi. Amy rozluźniła się zupełnie. Indianin, żywy czy wymaglinowany, odjechał. Czuła się śmieszna z tym swoim strachem. Przyjemnie jednak wiedzieć, że kilka tuzinów dobrze uzbrojonych żołnierzy strzeże Orilli. Nie wiedziała, jak długo pozostaną, ale na pewno nie wyruszą w najbliższym czasie.

Zmęczona po bezsennej nocy zdecydowała, że potrzebuje gorącej kąpieli i książki do łóżka. Wybrała zatem pięknie, oprawne w skórę wydanie *Les Misérables* Victora Hugo i skierowała się ku schodom.

Wtedy nagle usłyszała walenie w drzwi wejściowe.

Zmarszczyła brwi i zawróciła. Na progu stało dwóch barczystych żołnierzy. Kiedy zapytała, czego chcą, bez słowa chwycili ją za ramiona. Książka z trzaskiem upadła na podłogę. Przemocą wywlekli ją z sieni na podwórze, a potem do alejki, gdzie czekały dwa konie.

Amy zażądała wyniośle, żeby ją natychmiast uwolnili. Jeśli tego nie zrobią, złoży raport ich dowódcy. Zostaną surowo ukarani.

Żołnierze nie zwracali najmniejszej uwagi na jej krzyki i groźby.

Amy została brutalnie przerzucona przez siodło, a jeden z żołnierzy wsiał za nią. Galopujący koń uniósł ją, mocno uwięzioną w ramionach żołnierza, ku wysokim bramom ranca.

W kilka minut później przerażona, zaledwie wierząca własnym oczom Amy znalazła się na piaszczystej ziemi, dokładnie pod łukiem wieńczącym bramę. Dłonie miała mocno skrepowane sznurem, ramiona uniesione wysoko nad głowę i przywiązane do liny przerzuconej przez jeden ze wsporników.

Wówczas żołnierze bez słowa wsiedli z powrotem na konie i odjechali. Amy zaczęła krzyczeć błagając, aby ją uwolnili.

Ciągnęła za sznur i miotała się jak oszalała. Udało się jej jedynie pościerać do krwi delikatne przeguby dłoni. Wściekła, przerażona, zaczęła myśleć gorączkowo, o co w tym wszystkim chodzi. Czyżby wiedzieli, czyżby chcieli zemścić się za to, że jej narzeczony walczy w barwach Maksymiliana przeciwko ich armii? Co mają zamiar z nią zrobić? Co się dzieje? Przecież to po prostu szaleństwo!

Napinając więzy spoglądała na zachodzące słońce, lękając się nadejścia nocy. Nienawidziła myśli o ciemności. Modliła się, by ktoś - ktokolwiek - przyszedł jej z pomocą.

W chwili, gdy słońce jak ognista kula znalazło się tuż nad roztaczającym się przed jej oczami zachodnim horyzontem, ze wschodu nadszedł samotny jeździec. Amy nie była w stanie go zobaczyć. Słyszała jedynie tętent kopyt końskich o twardej grzyźnie. Był coraz bliżej.

Coraz bliżej.

## Rozdział 16

Amy natężyła słuch. Jeździec zbliżał się spokojnie, jakby bez szczególnego pośpiechu. I natychmiast uczucie ulgi, które opanowało ją w pierwszej chwili, zamieniło się w niepokojące zważenie.

Przerazona usłyszała, że jeździec zbliżył się i spiął konia. Wierzchowiec parsknął i tańczył po twardym gruncie.

Amy czekała aż jeździec się odezwie, ale sama nie była w stanie wydobyć z siebie ani słowa.

Wreszcie skóra siodła zaskrzypiała lekko i przybysz zsiadł z konia. Amy poczuła, że gardło ściska się jej ze strachu. Obcy zbliżał się, a odgłos jego kroków i skrzypienie żwiru pod obcasami były coraz głośniejsze. Podszedł do Amy i zatrzymał się.

Nie mogła go zobaczyć, ale ciepło bijące od jego ciała było tak potężne, że doskonale uświadamiała sobie, iż stanął tuż za nią.

Bardzo, bardzo blisko.

Słyszała jego spokojny, równy oddech tuż nad prawym uchem i natychmiast pojęła, że to Indianin. Przed oczami stanął jej wysoki, szczupły wojownik, którego widziała nad rzeką. Pórnagi i bardzo niebezpieczny.

Mimo ucisku w krtani i łomoczącego serca zdołała się zebrać na odwagę.

- Kim jesteś, na litość boską? - zapytała z całą godnością, jaką udało jej się przywołać. - Czego chcesz? Żądam odpowiedzi.

Odpowiedź nadeszła. Był nią cichy, męski śmiech, a za nim dotyk dłoni na dekolcie biało - żółtej, bawełnianej sukienki.

Amy głośno przełknęła ślinę, szarpnęła się, gdy długie, ciepłe palce delikatnie zsunęły się za biały kołnierz muskając jej ciało niemal pieszczotliwie. Związane dłonie Amy spotniały ze strachu i nerwowego oczekiwania. Znowu nie była zdolna wykrztusić słowa, stała nieruchomo, wpatrzona w oślepiające promienie zachodzącego słońca, czując za kołnierzem palce dzikiego człowieka.

Wrzasnęła jednak na całe gardło, kiedy te same silne palce jednym mocnym szarpnięciem rozdarły materiał. Usiłowała umknąć, wygięła się w łuk, palcami stóp ledwie dotykała żwiru, desperacko starając się uciec przed przerażającym dotknięciem.

Niewiele to pomogło.

Bez trudu rozerwał tył bawełnianej sukienki aż do pasa. Odsunął materiał, zupełnie nieczuły na jej krzyk i konwulsyjne drżenie

drobnego ciała. Zgroza Amy sięgnęła szczytu, gdy rozerwał również jedwabną koszulkę, całkowicie obnażając jej plecy.

Zadrżała spazmatycznie w nieopanowanym przerażeniu, gdy nieznajomy oprawca powoli przesunął palcem wzdłuż jej kręgosłupa, od karku aż po pas.

I nagle, w cudowny sposób, zostawił ją w spokoju.

Na chwilę.

Odszedł w kierunku czekającego opodal konia. A kiedy powrócił, okrążył Amy i stanął przed nią. Drżąca jak liść na wietrze, sparaliżowana, przyglądała mu się bez słowa. Tak jak wówczas nad rzeką.

Wysoki. Szczupły. Gęste, czarne włosy. Złośliwe, czarne oczy. Wystające kości policzkowe. Biała blizna przecinająca lewy policzek. Złota, wysadzana turkusami bransoleta na prawej ręce.

To był ten sam Indianin!

Jedynie czarne, gęste włosy nie okalały już ciemnej, posągowej twarzy. Były związane na karku wąskim rzemykiem. Indianin nie był nagi - miejsce skąpej przepaski biodrowej zajął mundur kapitana.

Jasnobłękitna, doskonale skrojona kurtka opinała potężne ramiona, mosiężne guziki błyszcząły w zachodzącym słońcu. Nieskazitelnie białe spodnie okrywały smukłe biodra i twarde, muskularne uda. Na stopach miał wysokie po kolana, czarne, lśniące buty.

Stał przed Amy na lekko rozstawionych nogach, całą postawą ciała wyrażając absolutną arogancję. W ciemnej dłoni trzymał zwinięty pejcz. Zwężone, ciemne oczy milcząco zmusiły Amy do podniesienia wzroku.

Uczyniła to, drżąc z lęku.

Ich spojrzenia starły się ze sobą. Surowe usta Indianina rozciągnął złośliwy grymas, długa, głęboka blizna zaśniła białawo na tle ciemnej skóry. Niedbale, z uśmiechem uderzał zwiniętym pejczem o muskularne udo i gest ten coraz bardziej denerwował Amy.

Zacisnęła zęby, żeby nimi nie szczekać i podniosła na wysokiego, obcego mężczyznę przerażone, pytające spojrzenie. On stał w milczeniu, podświetlony słońcem, rytmicznie uderzając pejczem o udo i umyślnie zadając jej cierpienie.

Wreszcie przemówił głębkim, pięknym głosem.

- Moi żołnierze nazywają mnie El Capitan. Ty znasz mnie pod innym imieniem.

Amy, zaskoczona, zaprzeczyła potrząśnięciem głowy. Uśmiechnął się znowu.

- Och, Amy, Amy, więc zapomniałaś? Pozwól, niech odświeżę ci pamięć.

Błyskawicznie rozpiął mosiężne guziki kurtki. Kiedy niebieski materiał rozstał się, Amy przez jedno mgnienie oka dostrzegła złoty, ciężki medalion spoczywający na ciemnoskórej, bezwłosej piersi. Poczowała, że brak jej tchu.

Jednym płynnym ruchem zrzucił bluzę munduru i opuścił na pylistą ziemię. Okręcił się na pięcie, pokazując plecy pokryte bliznami - pamiątkę po jej braciach. I po niej.

- Tonatiuh! - szepnęła Amy z niedowierzaniem i osłupieniem. Odwrócił się do niej twarzą.

- Nie! - oznajmił głosem równie śmiertelnie chłodnym jak jego twarz. - Nie nazywaj mnie tym imieniem. Mogą go używać tylko ci, którym ufam. Dla ciebie jestem El Capitan Luiz Quintano.

- Nie, nie - wymamrotała Amy, czując, że łzy napływają jej do oczu i więzną w gardle. - Ty jesteś Tonatiuh! Mój Boże, ty żyjesz. Och, Tonatiuh, myślałam że...

- Nie żyję? - wpadł jej w słowo. - Oczywiście, że tak pani myślała, pani Parnell. Pani i jej kochający bracia staraliście się bardzo, ale...

- Nie, nie - powtarzała Amy kręcąc głową. - Tonatiuh, musisz pozwolić mi wytłumaczyć...

- Nie ma nic do tłumaczenia, pani Parnell - odparł i znowu uderzył biczem o udo.

- W - właśnie, że tak! - szepnęła Amy, płacząc już otwarcie.

- Tak... Musiałam... j - ja musiałam...

- Musiałaś? - przerwał, zaciskając szczęki, a jego oczy przypominały kawałki czarnego szkła. - Co musiałaś? Kochać się ze mną, aby potem mnie poniżyć? Wychłostać mnie i zostawić na pustyni? Wyjść za człowieka, z którym spotykałaś się za moimi plecami?

- Nie, nie. Nie było nikogo oprócz ciebie, Tonatiuh - szlochała z twarzą spąsowiałą ze wzruszenia. - Przysięgam. Tylko ty, ale moi bracia... zabiliby cię...

- Zabiliby? - syknął wściekle, gestem nakazując jej milczenie.

- Ty jesteś wszystkiemu winna, pani Parnell. To pani zabiła szalonego, niewinnego młodzieńca, który panią czcił i uwielbiał. On nie żyje!

Spojrzał na nią z tak straszną nienawiścią w czarnych oczach, że Amy zrozumiała, iż cokolwiek zrobi lub powie, nie jest w stanie zmienić jego osądów i uczuć.

Próbowała mimo wszystko, ale daremnie. Wreszcie, potrząsając głową, szepnęła smutno:

- Niestety, mój ukochany, uratowałam ci życie, ale straciłam twoją miłość.

- Straciłaś miłość szalonego młodzieńca. To nie ja. Jestem El Capitan Luiz Quintano i obcy dla ciebie.

Ogarnęła pełnym łez spojrzeniem rysy jego muskularnej, wyraziście rzeźbionej twarzy, daremnie szukając śladów ukochanej, młodzieńczej urody Tonatiuha.

- Znałam cię przez całe moje życie - szepnęła miękko.

- Ale wcale mnie nie znasz - odparł chłodno.

Mówiąc te słowa, rozwinął długi, czarny pejcz i stanął za jej plecami. Amy zacisnęła zęby i dumnie wbiła wzrok w płonący horyzont, z sekundy na sekundę oczekując rozdzierającego ciosu. Ognista linia, którą widziała zza zasłony łez, falowała lekko.

Stali nieruchomo, skąpani w krwawym blasku zachodzącego słońca. Ona - ze wzniesionymi w niebo rękami, obnażonymi plecami.

On - za nią, z pejczem w dłoni, wpatrzony w delikatne ciało barwy kości słoniowej, bezbronne, obnażone i delikatnie zaróżowione promieniami zorzy wieczornej.

Luiz wysoko uniósł pejcz. I spuścił go ze świstem. Pejcz trzasnął w powietrzu o niecały cal od jej nagich pleców. Amy mimowolnie zacisnęła oczy. Jej oddech zamienił się w spazmatyczny, dławiący szloch. A kiedy Luiz odrzucił ohydny pejcz, wyciągnął zza pasa białych spodni ostry nóż i przeciął sznury, Amy wybuchnęła nieopanowanym płaczem.

Związane ręce młodej kobiety opadły. Osłabiona strachem i wzruszeniem zatoczyła się i omal nie straciła równowagi. Luiz pochwycił ją w ramiona i przytrzymał. Oparł ją o własną pierś i, przytrzymując, przeciął upokarzające więzy na zaczerwienionych

nadgarstkach. Znowu stali nieruchomo. On - za jej plecami, świadom drżenia i delikatności jej ciała. Ona - szukająca w nim oparcia i ciepła.

Luiz wziął Amy na ręce i zaniósł do oczekującego konia. Podsadził ją na siodło, sam wskoczył za nią i natychmiast uderzył piętami w boki czarnego ogiera. Wierzchowiec ruszył galopem, a Amy, wtulona policzkiem w nagą, twardą pierś Luiza, nie przestawała szlochać.

Zawiózł ją wprost do hacjendy.

Kiedy dotarli do domu, przebywający na podwórku meksykańscy żołnierze rozsądnie udali, że nie widzą swego dowódcy, El Capitana. Nagi do pasa zsiadł z konia przed posesją z palonej cegły i poniósł do jej wnętrza piękną, jasnowłosą kobietę.

W wielkim domu panowała zupełna cisza.

Na słabo oświetlonym korytarzu nie natknęli się na nikogo. Luiz na chwilę tylko zatrzymał się w holu. Rozejrzał się dyskretnie, po czym wszedł na schody, wciąż z Amy w ramionach. Na piętrze zdecydowanie skręcił w stronę zachodniego skrzydła, aż do głównych apartamentów. Apartamentów, do których Amy wprowadziła się wiele lat temu.

Pewnym krokiem wszedł do środka i kopniakiem zamknął za sobą ciężkie drzwi. Przeszedł przez pokój i stanął przed podwójnym francuskim oknem otwartym na orzeźwiające, kwietniowe powietrze. Stał tak przez chwilę, jakby pogrążony w głębokim transie, z oczami wbitymi w zachodzące słońce, którego coraz bledsze promienie zalewały ich lawendowym blaskiem.

Szloch Amy ucichł. Łzy obeschły na jej twarzy. Wyczerpana kobieta pragnęła tylko, by ten wysoki, okrutny mężczyzna zostawił ją w spokoju. Na zawsze. Miał rację, że go nie zna. Nie znała tego człowieka i nie chciała go znać. Był pozbawiony serca, obcy, wzbudzał w niej paniczny strach. A jednak...

Amy spojrzała podpuchniętymi oczami na wspaniały Kamień Słoneczny spoczywający na ciemnej piersi nieznajomego i spróbowała uwolnić się z jego ramion.

Luiz otrząsnął się z transu. Spojrzał na Amy. Obejmując spojrzeniem jej delikatne, białe ramiona i plecy, stwierdził znacząco:

- Nawet ja, dzikus i morderca, nie skalałbym takiego piękna. Być może znajdzie się inny rodzaj kary.

## Rozdział 17

Raptownie wstrzymała oddech i Luiz pojął, że rzeczywiście jest przestraszona. Drobne ciało zeszywniało w jego ramionach, delikatna ręka coraz silniej naciskała jego ramię, usiłując go odepchnąć. Jej wstręt nie był dla niego ani niespodzianką, ani przeszkodą. Właściwie pogarda i lęk tej zimnej, zdradzieckiej kobiety potęgowała jeszcze pragnienie posiadania jej pięknego ciała.

Spojrzał w dobrze znane, błękitne oczy i przez chwilę zmroził go przyływ wspomnień - związany, bezbronny, wychłostany i wyśmiany przez dziewczynę, którą kochał bardziej niż własne życie. To rozpałiło lodowatym ogniem jego ciemne oczy. Pochylił głowę i mocno, brutalnie przycisnął twarde usta do jej miękkich, delikatnych warg.

Amy przejrzała jego zamiary i na próżno usiłowała się uwolnić. Odwracała głowę z jednej strony na drugą. Jego usta pozostały na jej wargach. Powoli opuścił ją na ziemię, ale skoro tylko dotknęła beżowego dywanu, brutalnie przyciągnął ją do siebie, bez trudu unieruchamiając jednym ramieniem.

Płomienny pocałunek trwał nadal, głęboki, natrętny, tak przerażająco intymny, że Amy wydawało się, jakby zadawał gwałt całemu jej ciału. Wilgotny, jedwabisty język głęboko wnikał w jej usta, czuła, że ta wściekła, zwierzęca siła zniewala ją i przeraża.

Gdy wreszcie uwolnił jej posiniaczone usta z okrutnego pocałunku, przez kilka minut nie mogła złapać tchu ani pozbierać myśli. Wreszcie, gdy już oprzytomniała, uniosła rękę i uderzyła go w twarz.

- Tego mi nie zrobisz! Nie pozwolę na to! - wykrzyknęła na cały głos, odskakując od niego i przytrzymując ręką nisko wycięty gorset rozdartej sukni.

Luiz rozmasował piekący policzek, ale w oczach wciąż miał tę niepokojącą mieszankę żaru i lodu. Dziwne, hipnotyczne oczy podążyły za Amy, gdy okrążyła go ostrożnie. Nie odwrócił się. Stał tak jak przedtem, przed drzwiami balkonu.

Z sercem drżącym podnieceniem i nadzieją Amy pospiesznie przebiegła przez pokój i dotarła do drzwi. Kiedy jej palce spoczęły na mosiężnej klamce, z trudem tylko powstrzymała triumfalny okrzyk ulgi, który cisnął jej się na usta. Pospiesznie przycisnęła klamkę i pchnęła ciężkie drzwi.



Była niemal wolna!

I w tej samej chwili para silnych, ciemnoskórych ramion mocno objęła ją w pasie wsuwając się pod podartą sukienkę. Amy zbyt była zaskoczona, by krzyknąć, nawet wówczas, kiedy zniewalające ją ręce spotkały się z przodu i palce mocno splotły się na jej nagim brzuchu.

Została bezceremonialnie pociągnięta z powrotem do pokoju, drzwi po raz wtóry zostały zamknięte kopniakiem obutej stopy.

- Zrobiłbym wszystko, żeby się pani przypodobać, pani Parnell. I właśnie mam zamiar „wszystko” zrobić - szepnął.

Rozplótł smukłe, długie palce. Uniósł je i zamknął na jej nagich, drżących piersiach. A kiedy ich jedwabista, delikatna skóra zetknęła się z ciepłym wnętrzem jego dłoni, cały strach Amy ulotnił się, ustępując miejsca jej ognistemu temperamentowi.

Żaden mężczyzna nie wejdzie w jej życie po dziesięciu latach ot tak, aby wymierzyć prymitywną karę. Nie jest już bezwolnym niewiniątkiem, które można tyranizować ani dziwką, którą bierze się wtedy, gdy ma się ochotę.

Rozwścieczona, obróciła się w jego objęciach, skrzyła głowę i głęboko wbiła ostre ząbki w ramię Luiza. Nie odezwał się, ale wypuścił z dłoni jej piersi, a Amy natychmiast skorzystała z tego, żeby obrócić się ku niemu twarzą. Była blada jak płótno, ale w tej chwili nie ulękłaby się nawet samego diabła. A już na pewno nie przerażał jej El Capitan Luiz Quintano.

- Zabiję cię, zanim mnie zgwałcisz! - krzyknęła z twarzą purpurową od gniewu, szczerząc zęby jak dzikie zwierzę.

- Nie zabijesz mnie - odparł swobodnie, wyciągając rękę. Przyciągnął ją ku sobie, ujął jej głowę w obie dłonie tak silnie, że nie była w stanie się uwolnić. Opuszczając usta na jej wargi szepnął:

- A ja cię nie zgwałcę.

I znów jego twarde, gorące wargi opadły na jej usta. Tym razem Amy nie dała się zaskoczyć i zacisnęła je mocno, broniąc przed inwazją. Była zdecydowana położyć kres jego ohydnej, fizycznej agresji. I podczas gdy ciepłe wargi, wilgotny język i białe zęby igrały z jej zaciśniętymi ustami, Amy jedną ręką podtrzymywała podartą suknię, a drugą wściekle wbijała w jego plecy i ramiona, orząc paznokciami gładką opaloną skórę. Ale on uparcie, celowo przedłużał pocałunek.

Wreszcie zmęczył się brakiem jej reakcji i podniósł głowę.

- Nie warto, El Capitan! - zagroziła Amy. - Zaczę krzyczeć, wtedy Magdalena i Fernando przybiegną mi na pomoc.

- Nie, najdroższa. Nie przybiegną - odparł z chłodną pewnością siebie.

- Właśnie, że przybiegną! Zobaczysz, muszę tylko...

- Zająłem się wszystkimi możliwymi przeszkodami, pani Parnell. Cała noc należy do nas i zapewniam cię, że nikt nam nie przeszkodzi.

Amy poczuła nawrót niepokoju.

- Kłamiesz. Są na dole i...

- Nie - łagodnie potrząsnął głową. - Twój służący znajdują się we wschodnim skrzydle hacjendy.

Uśmiechnął się aż biała blizna na jego policzku uwidoczniła się jeszcze bardziej.

- Mam cię całą dla siebie.

A zatem zaplanował wszystko i zwabił ją w pułapkę. Była w opustoszałym, zachodnim skrzydle sam na sam z mężczyzną dyszącym zemstą. Seksualną zemstą.

- Możesz mnie tu zamknąć na resztę życia, ale to ci nie pomoże. Nigdy ci nie ulegnę! Twój dotyk budzi we mnie wstręt! Nienawidzę cię! Słyszysz? Nienawidzę cię! - wrzasnęła, walcząc z ogarniającą ją paniką. - Będę cię nienawidzić przez całą wieczność!

- To dobrze - odparł, wzruszając ramionami.

- Nie jesteś człowiekiem, ale dzikim, nieucywilizowanym zwierzęciem, bez odrobiny przyzwoitości i... i...

Nowe, gniewne światło zabłysło w oczach Luiza i poskromiło ostry język Amy. Zorientowała się, że powiedziała zbyt wiele.

Silny podbródek groźnie wysunął się do przodu, długie ramię wykonało błyskawiczny ruch w jej stronę. Luiz chwycił gorset podartej sukni razem z bielizną i szarpnął w dół. Amy krzyknęła i obronnym gestem skrzyżowała ramiona na obnażonych piersiach.

Namiętność i nienawiść błyszczały w jego oczach, kiedy delikatnie objął palcami jej nadgarstki i odsunął na boki. Wpił się wzrokiem w drobne, białe jak kość słoniowa, szybko wznoszące się i opadające piersi.

- Uważasz, że jestem dzikim, nieucywilizowanym zwierzęciem?  
- zapytał. - Więc będę cię kochał jak dzikus.

Przemocą opuszczając jej ręce, wcisnął kolano między nogi Amy i przytrzymał ją w tej pozycji, opuszczając usta na jej szyję i ramiona.

Zębami delikatnie drażnił miękką skórę za uchem; zasypywał jej szyję ognistymi pocałunkami.

- Nie! - jęknęła błagalnie, gdy jego usta powoli zaczęły zsuwać się ku nagiej piersi.

- Nieee! - krzyknęła, gdy przyklęknął przed nią, obejmując wargami miękkie, uśpione ciało. - Nie... dobry Boże... nie... - szeptała, gdy zaczął ssać, a jej pierś stała się jednym wrażliwym punktem rozkoszy.

Łzy wstydu i pogardy dla samej siebie spływały po jej twarzy, kiedy stała tak przyciśnięta do drzwi, a ostatnie promienie zachodzącego słońca oblewały pokój i ich dwoje ciepłym, różowym blaskiem.

- Nienawidzę cię - wyszeptała z rozpaczliwie, lecz namiętnie bijącym sercem.

- Naprawdę. N - nie... nawidzę cię... - powtarzała, czując prawdę tych słów. Ale wobec tego, jak może stać w swoim własnym domu i pozwalać znieawidzonemu człowiekowi całować się po piersiach?

Luiz podniósł głowę, utkwiał wzrok w jej splonionej twarzy. Ich spojrzenia spotkały się.

- Przestań - odezwała się Amy, usiłując przywołać go do rozsądku. - Poniżyłeś mnie wystarczająco. Proszę, puść.

Oskarżycielsko musnął palcem stwardniały czubek jej piersi. - Twoje ciało wcale tego nie chce.

Jednocześnie delikatnie uwalniał jej ramiona z rękawów podartej sukni. Amy skrzywiła się, kiedy przelotnie ucałował ciepłe, lekko wilgotne miejsce pod pachą.

I znów wrócił ustami do jej piersi. Amy nienawidziła siebie tak samo, jak jego, ponieważ jego zęby chwytające stwardniałe sutki, język liżący ich sztywne, wrażliwe czubki i mocno ssące wargi wzbudziły w niej wibrującą, zakazaną rozkosz, czyniąc resztę jej ciała ciepłą, uległą i posłuszną jego dotknięciom.

Dreńczona poczuciem winy, opanowana namiętnością Amy wciąż stała z plecami wspartymi o drzwi, a El Capitan Luiz Quintano klęczał przed nią i całował jej nabrzmiałe do bólu piersi tak, jakby nie mógł się nimi nasycić.

Amy daremnie powtarzała sobie, że zdoła go powstrzymać, zanim posunie się dalej. Uniosła drżące ręce i dotknęła jego ciemnowłosej głowy. Te same szczupłe palce, które jeszcze przed chwilą bezsilnie

drapały pokryte bliznami plecy, teraz niemal miłośnie wbiły się w kruczoczarne włosy. Zapomniała, że chciała tylko oderwać palące wargi od piersi.

Luiz podniósł głowę i znowu ich spojrzenia skrzyżowały się w półmroku, W przepastnej głębi czarnych oczu Amy nie dostrzegła ani odrobiny czułości, tylko rozpasaną żądzę, podniecającą i przerażającą zarazem. Lęk wezbrał w niej jeszcze silniej, gdy jego palce odnalazły zapięcie sukni i tasiemki halki,

Zsunął z niej ubranie aż do bioder, a potem znów wrócił ustami do jej ciała. Uda Amy drgnęły mimowolnie, gdy przyciskał płonące wargi i język do jej wrażliwego brzucha, Była zupełnie zdezorientowana, Skórę piersi miała zaczerwienioną od pocałunków, twarz jej płonęła, Jak to możliwe, że była podniecona bardziej niż kiedykolwiek w życiu?

Niemożliwe,

Serce, ciało i głowa prowadziły ze sobą nierówną walkę, a ona stała, wdzięczna letniemu słońcu, że nareszcie zaszło, Wkrótce ciemność ogarnie pokój i okryje jej wstyd i zakłopotanie. Nieświadomie ulegała Luizowi, choć jeszcze nie zdawała sobie z tego sprawy. A en powoli, z wielką wprawą pozbawiał ją resztek woli i obejmował władzę nad jej ciałem.

Wiedział o tym, nawet jeśli Amy nie wiedziała.

Muskając pocałunkami jej pępek i wypukłe biodra, powoli i zręcznie zsuwał strzępy odzienia wzdłuż drżących ud.

Tkanina opadła niebezpiecznie nisko i Amy drgnęła. W przypiływie rozsądku zaprotestowała słabo. Luiz zmienił taktykę. Znał kobiety. Dość cennych chwil stracił już na delikatnych pieszczotach. Najwyższy czas znowu ją przestraszyć i podniecić.

Oстрым szarpnięciem ściągnął poskręcane, podarte suknie Amy aż poniżej kolan. Nie przejmował się jej okrzykami zaskoczenia i oburzenia. Spojrzał na nią.

- Wyjdź z tego - rozkazał chłodno.

Amy, dość brutalnie przywołana do rzeczywistości, zmarszczyła brwi. Patrzyła na niego, potrząsając głową i daremnie usiłowała go odepchnąć.

- No, już! - warknął. Usłuchała z rozszerzonymi oczami.

Wysunęła stopy z pantofelków, wsparła się na nagich ramionach Luiza i wystąpiła z ubrania. Chwycił je natychmiast i odrzucił na bok,

po czym zajął się zsuwaniem białych bawełnianych pończoch z jej kształtnych nóg. Amy mogła być wdzięczna, że zmierzch zapadł nareszcie.

Pokój był tak ciemny, że ledwie widziała Luiza, co oznaczało, że i on nie może jej dokładnie widzieć. Kiedy podniósł się i odszedł na bok, w mroku rozróżniała tylko jego ciemną głowę i szerokie bary. Postąpiła krok naprzód i natychmiast usłyszała w ciemności chłodny, niski głos:

- Stój tam. Powiem ci, kiedy możesz się ruszyć.

Amy ciężko oparła się o drzwi. Przebiegł ją dreszcz. Co on tam robi? Dokąd idzie? W drugim końcu pokoju trzasnęła zapałka i miodowe światło świecy zamigotało na szorstkich rysach brunatnej twarzy Luiza. Powrócił do niej, w dłoni trzymał srebrny świecznik z białą świecą.

Przystanął, spoglądając na Amy. Jego ciemne, przenikliwe oczy prześliznęły się po jej nagim, drobnym ciele. Czowała na sobie gorący dotyk tego hebanowego spojrzenia niemal tak, jakby to były dłonie. Zadrżała, usiłując się zasłonić.

Luiz uśmiechnął się i odstawił świecznik na podłogę obok niej. Amy, wodząc za nim oczami, czekała z napięciem, co będzie dalej.

Podszedł do łoża z baldachimem, zerwał z niego narzutę i pościel, i rzucił je na dywan, pozostawiając jedynie materac i jedwabne prześcieradło barwy kości słoniowej.

Stał teraz obok łoża ze wzrokiem wbitym w Amy. Zsunął z ręki złotą bransoletę z turkusami i położył na marmurowym stoliku nocnym. Zdjął z szyi ciężki złoty medalion, który podzielił los bransolety. Odpiął od pasa ostry nóż i stał dalej, jakby niezdecydowany. Wreszcie znów podszedł do niej.

Wsparł dłonie na drzwiach po obu stronach Amy, unieruchamiając ją zupełnie. Pochylił się do jej ust i całował tak długo, aż bezradnie osunęła się w jego ramiona. Objęła go, dłońmi czepiając się jego pleców. Miękkie, obnażone piersi naparły mocno na jego twarde ciało.

Dopiero wtedy opuścił ręce, przelotnie muskając jej biodra, a potem zsunął prawą dłoń po jędrnych, krągłych pośladkach aż do ciepłego zagłębienia między nimi. Amy szarpnęła się, przemocą uwolniła usta i wsparła dłonie na jego piersi.

Luiz dłonią ujął jej szyję pod długimi, jasnymi włosami i przyciągnął znowu. Otoczył ją ramieniem i pociągnął w stronę łóża.

Amy cofnęła się.

Spojrzała na ogromne, puste łóżo i pojęła, że jeśli położy się tam z własnej woli, nie będzie lepsza niż on. Luiz odgadł jej myśli.

- Ależ tak - stwierdził z mieszaniną żartobliwej czułości i wzgardy. - Jeżeli będziesz dzielić łóżo z dzikusiem, kim się staniesz, o piękna pani Parnell?

Otworzyła usta, ale pocałunkiem wcisnął jej odpowiedź z powrotem do gardła. Całował ją namiętnie i ostentacyjnie, wodząc delikatnymi, czułymi dłońmi po jej drobnym, nagim ciele. Tulił ją do siebie, wtapiał jej miękkie kształty w twardą formę swojej piersi.

Jak mistrz namiętności doprowadził Amy do łóża i zanim zdążyła zaczerpnąć tchu po pocałunku, usiadł na materacu, więżąc ją między kolanami, lecz wciąż w pozycji stojącej. Obrócił ją bokiem do siebie.

- Jeszcze nie jesteś w łóżku, pani Parnell. Możesz odejść, jeśli musisz... - urwał i dodał ciszej: - Jeśli chcesz...

Amy poruszyła się, czyniąc gest, jakby chciała odejść, ale nie zrobiła tego. Dłonie Luiza szybko, uwodzicielsko przesunęły się między jej uda i tam się spotkały. W ciągu kilku sekund długie, zwinne palce zaczęły wyczyniać zakazane, szalone cuda, które ją rozpałyły.

- Co... co ty mi robisz? - wymruczała i łapczywie zaczerpnęła powietrza, mrużąc oczy w ekstazie.

- Oswajam cię... - odparł, a jego palce delikatnie dotykały wrażliwego kobiecego ciała z szokującą, a zarazem ekscytującą i poufałą śmiałością.

- Nie... Luiz... nie... - jej oddech rwał się w tym samym rytmie, w jakim jego palce głaskały i pieściły, bez trudu odnajdując wrażliwe punkty, wprawiając ją w drżenie i wrywając z jej piersi westchnienia erotycznego szaleństwa.

Wreszcie Amy zaczęła drżeć i wić się bez opamiętania, przyciskając pulsujące ciało do rozkosznie dręczących ją palców Luiza, a on uniósł lśniące wilgocią dłonie do jej zarumienionej twarzy i powiedział:

- Jesteś gorąca, wilgotna i gotowa na moje przyjęcie. Powiedz, że tak jest. Powtórz.

Amy potrząsnęła głową.

- Powiedz to, pani Parnell, Powtarzaj: „Jestem gorąca, wilgotna i gotowa na twoje przyjęcie, Kochaj mnie”,

Objął dłońmi jej wąską talię i zwrócił ku sobie. Amy oddychała coraz szybciej, jej żądza zaczęła wymykać się spod kontroli umysłu,

- El Capitan - szepnęła skwapliwie, - Jestem gorąca, wilgotna i gotowa na twoje przyjęcie. Kochaj mnie.

Spojrzała w płonące czarne oczy i ujrzała w nich namiętność równą swojej własnej,

- Teraz. Błagam

Sataniczny uśmiech triumfu rozciągnął białą bliznę na jego policzku, Amy nie troszczyła się o to. Ten przystojny mężczyzna o twarzy drapieżnego ptaka rozpałił ją tak mocno, że musiała go mieć, bez względu na to, co o niej pomyśli, Nic nie miało znaczenia, nic, oprócz tego pulsującego głodu, który się w niej obudził.

- Zdejmij mi buty - szepnął Luiz, przyciskając usta de miejsca pomiędzy jej piersiami,

Amy natychmiast opadła na jedno kolano i ściągnęła wysokie, wypolerowane czarne buty, Odstawiła je na bok i wstała, pragnąc jedynie znaleźć się znowu przy nim, Luiz przyciągnął ją do siebie, posadził na kolanie i, ujmując jej dłoń, skierował ją wprost aa twardą jak skała wypukłość napinającą wąskie białe spodnie.

Poprzez tkaninę poczuła jego gotowość i intensywne ciepło. Pogładziła go lękliwie, niezręcznie.

- Jeżeli chcesz, należy do ciebie - wymruczał wprost w jej ucho i ucałował ją w ramię. - Ale musisz wziąć to sama.

- Chyba nie... nie masz na myśli...

- Ależ tak. Rozebrałem ciebie, a teraz ty rozbierzesz mnie, Amy nie trzeba tego było powtarzać dwa razy. Spalana pragnieniem skwapliwie rozpięła guziki spodni Luiza, zerwała się z jego kolana i kazała mu podnieść się z łoża.

Usłuchał.

Jasne włosy Amy opadły jej na twarz. Zirytowana, założyła je za uszy i chwyciła pas spodni. Wielkimi, płonącymi oczami śledziła własne gesty w miarę, jak zsuwała sztywną, białą tkaninę i lnianą bieliznę wzdłuż smukłych bioder Luiza,

Uczepiona dłońmi na pół zsuniętych spodni wpatrywała się we wspaniałe męskie ciało. Nagle poczuła strach.

Drżała nowym, nieznanym dotąd lękiem, Nie obawiała się fizycznego cierpienia, jakie mógłby jej zadać w tym stanie. Przeraziła ją jedynie siła, z jaką jego męski czar nią zawładnął. A jednak strach nie był w stanie zwalczyć drążącego ją pożądania. Pragnęła go i musiała go mieć.

Usunęła spodnie do wysokości kolan Luiza.

- Wyjdź z nich - rozkazała.

Uczynił to chętnie i kopniakiem odesłał je na bek.

Stanęli naprzeciw siebie, a wysoka, biała świeca rzucała migotliwe blaski na ich nagie ciała.



## Rozdział 18

Nie porwał jej w ramiona.

Przed półprzytomną z pożądania, nagą i drżącą Amy stał władczy El Capitan Luiz Quintano.

Nie pozostało ani śladu ze słodkiej intymności, jaką dzielili z pełnym szacunku Tonatiuhem. Znikł piękny, wrażliwy młodzieniec, z którym przeżywała słodkie chwile delikatnej miłości. Jego miejsce zajął chłodny, przystojny mężczyzna, którego silny magnetyzm wzbudzał pełne lęku myśli. Czuła, że to, co z nim przeżyje, będzie doświadczeniem jedynym w swoim rodzaju.

Nie przypuszczała nawet, jak bardzo różnym.

Luiz był doświadczonym kochankiem. W pełni panował nad swoim ciałem i nie spieszył się jak szaleniec, aby osiągnąć spełnienie. A przynajmniej nie swoje. Amy pamiętała ich młodzieńcze chwile bezładnej, zachwyconej namiętności, ale i on też je pamiętał. Był zdecydowany udowodnić tej jasnowłosej i upadłej piękności, że nie ma już tego zakochanego do szaleństwa młodzieńca, który podziwiał ją tak mocno, iż nie był w stanie zapanować nad sobą. Precz z zagubioną niewinnością, miłością bez skazy i ślepym, bezgranicznym zaufaniem.

Tej jedynej nocy pokaże jej, że potrafi ją rozpalić, osiąść i doprowadzić do pełnej ekstazy, raz, drugi, trzeci, podczas gdy on sam pozostanie w obecnym stanie absolutnej gotowości.

A więc nie porwał Amy w ramiona. Stał nieruchomo, rozstawił boscę, brunatne stopy i pieszczotliwie wodził wzrokiem po jej pięknym, nagim ciele. Dał jej dość czasu, by przyjrzała mu się uważnie.

We właściwej chwili podał jej rękę, zwróconą dłonią ku górze. Amy przełknęła ślinę i złożyła w niej dygoczące palce. Wstrzymała oddech, kiedy silna dłoń Luiza mocno zacisnęła się wokół nich.

Przyciągał ją powoli, ze wzrokiem utkwionym w jej oczach, a kiedy ich nagie ciała były już bardzo blisko, ledwie o cal od siebie, wypuścił z palców jej dłoń, aż zwiśla bezwładnie. I znowu stali zupełnie nieruchomo, nie dotykając się, ale ich rozgrzane ciała mimowolnie reagowały na oszałamiającą bliskość.

Napięta męskość Luiza drgnęła lekko, dotykając dygoczącego ciała Amy i wyrywając z jej rozchylnych ust lekki okrzyk zachwytu.

Instynktownie przysunęła się bliżej tej upajającej mocy, tak blisko, że nabrzmiałe sutki dotykały i łaskotały gładką pierś Luiza.

Mimo to jego ręce pozostały na miejscu, gdy nerwowe palce Amy zamknęły się na potężnych bicepsach, a jej biodra mocno przylgnęły do jego ud. Półprzytomna z pożądania przesunęła dłonie po ramionach Luiza i objęła jego szyję. Przymykając oczy wspięła się na palce i zaczęła obsypywać miedzianą skórę płonącymi pocałunkami.

Stał nieruchomo jeszcze przez chwilę, a niewiarygodnie kusząca go kobieta tuliła się do niego całym falującym ciałem, delikatnie kąsała i lizała jego szyję i pierś.

Skupiając się na tym, by w jego głosie brzmiała odpowiednia nuta obojętności, zapytał:

- Czy teraz się położysz?

Amy niechętnie oderwała się od niego i skinęła głową, łaskocząc go przyjemnie końcami rozpuszczonych włosów.

- Nie słyszałem. Powtórz.

- Tak. Proszę. Połóżmy się - jej szept był podobny do szlochu. Wreszcie ręce Luiza uniosły się do jej talii. Nie pociągnął jej za sobą na materac. Obrócił się tyłem do łóżka, uniósł dłoń i owinał wokół niej długi kosmyk lśniących, jasnych włosów. Zmusił Amy do podniesienia głowy.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego. Zahipnotyzowana jego mroczną, piękną twarzą i dziwną intensywnością spojrzenia obserwowała, jak zniża się do jej warg. Pocałunek był powolny, i tak pełen siły, że czuła się niemal częścią ciała Luiza. Przechylił się do tyłu i jednocześnie wylądowali w poprzek łoża. Luiz wyciągnął się na plecach, przytrzymał Amy na sobie i pocałunek trwał dalej.

Następne pół godziny spędzili na podniecającej zabawie. Amy poznawała długie, wysmukłe ciało Luiza. I nic więcej. Leżała na nim, pulsująca i rozplómienna, a on pieścił ją, całował i szeptał do ucha zakazane obietnice, które doprowadziły ją niebezpiecznie blisko punktu wrzenia.

Zmienili pozycji i teraz to on znajdował się nad nią. Smagła twarz i szerokie ramiona dotykały jej niemal, biodra wśliznęły się między jej rozchylone uda, Luiz ostrożnie przesunął się ku niej, tak że ledwie dotykał jej ciepłego, wilgotnego wnętrza.

- Otwórz oczy i spójrz na mnie - polecił cicho, ale stanowczo. Powieki Amy zamrugały niespokojnie, ich spojrzenia spotkały się,

Luiz ujął jej rękę, i przesunął w dół, obejmując nią nabrzmiałą męskość. Jego własna dłoń cofnęła się. Amy skwapliwie objęła go i poprowadziła w siebie.

I westchnęła z nieopisanego szczęścia.

Luiz doskonale ocenił jej żądzę i gotowość odczekał ułamki sekund, zanim zaczął rytmiczne ruchy, których domagało się jej rozgorączkowane ciało. I natychmiast Amy poczuła, że ogarnia ją i porywa wir cielesnej rozkoszy, Przywarła do niego, doświadczając narastającej ekstazy z tak przerażającą siłą, że zaczęła krzyczeć. Pulsujące połączenie bólu i przyjemności nie było podobne do żadnego znanego jej wrażenia.

Aż wreszcie słodka eksplozja żaru ogarnęła całe jej ciało, pozostawiając ją osłabioną, szczęśliwą, promieniejącą. Z ramionami wokół szyi Luiza oddychała spazmatycznie i oblizywała wysuszone wargi, czując absolutne odprężenie każdego mięśnia,

Luiz ucałował jej rozchylone wargi. Pozwoliła, aby jej ciężkie ramiona opadły na miękki materac i, rozluźniona, uwolniła jego biodra z uścisku swych kolan, Czekala, aż ją opuści,

Ale Luiz nie miał takiego zamiaru,

Pozostał w tej samej pozycji, Dopiero kiedy serce Amy zaczęło bić spokojniej, a ciało wracało do równowagi, zorientowała się, że on jeszcze nie doznał zaspokożenia, że wciąż jeszcze jest w niej.

Znieruchomiała. Spojrzała w nieprzeniknioną czerń jego oczu, niepewna, jak się zachować. Nigdy przedtem nie zdarzyło się nic podobnego. Nie w jej sypialni. Zawsze byle na odwrót. Tyler szybko i samolubnie osiągał spełnienie i zasypiał, pozostawiając ją nie zaspokojoną.

Ku własnemu zaskoczeniu poczuła, że znowu ogarnia ją pożądanie wywołane gorącym spojrzeniem i wypełniającą ją, pulsującą w jej wnętrzu twardością. Ciesząc się narastającym na nowo podnieceniem impulsywnie podniosła dłoń i szarpnęła rzemyk przytrzymujący jego włosy. Zadrzała z rozkoszy, gdy gęste, czarne loki opadły w przód, laskocząc jej twarz i nagie ramiona.

Luiz delikatnie musnął ustami wargi Amy, jej gładkie ramiona i piersi. Wkrótce to ona, rozgorączkowana, zaczęła drżeć w jego objęciach, a on znów doprowadził ją do pełnego satysfakcji spełnienia. Tym razem jednak jej ekstaza była o wiele głębsza.

Zsunął się z niej, odrzucił z twarzy ciemne włosy i przytulił ją do siebie, uspokajając łagodnie. Kiedy odpoczywała, nagle z rosnącym skrepowaniem - zdała sobie sprawę, że Luiz wciąż jeszcze nie jest zaspokojony.

Z głową na ramieniu kochanka, z twarzą wtuloną w jego pierś, Amy rozważała tę zdumiewającą sytuację. Czyżby go nie pociągała? Nie podniecała? A może nie była zdolna dać mu pełni? Ani na chwilę nie przyszło jej na myśl, że powstrzymywał się celowo.

I wtedy zrobiła dokładnie to, czego się po niej spodziewał. Drgnęła, lekko uniosła głowę i zaczęła okrywać jego ramię słodkimi, delikatnymi pocałunkami. Luiz założył ręce pod głowę, ziewnął i przymknął oczy. Amy zmarszczyła brwi i pochyliła się, muskając pocałunkami jego pierś.

Luiz przez na pół uchylone powieki obserwował, jak Amy usiłuje go podniecili i zastanawiał się nad jej seksualną ignorancją.

Czy nie rozumiała, że wciąż jeszcze był podniecony aż do fizycznego bólu? Że czeka jedynie na nią, aby znów rozpocząć grę? Najwidoczniej nie, Luiz przewrócił się na bok i jego ciemne, smukłe ciało prześliznęło się zmysłowo po jedwabnych prześcieradłach. Drocąc się z nią, usunął się i z zachwytem stwierdził, że piękna i zdecydowana na wszystko kobieta podążyła za nim, nie przerywając swego zajęcia.

Pogoń za Luizem wokół łóżka na nowo roznieciła w Amy żar. Okrywała pocałunkami jego pierś i płaski brzuch, odważnie igrała z jego męskością. Była tak podniecona, że gdy wyciągnął dłoń i bez wysiłku uniósł ją nad siebie, rozplómięta pożądaniami natychmiast przyjęła go żarliwie.

Miękkie pośladki tak rozkosznie poruszały się wokół męskości Luiza, że musiał użyć ostatnich, błyskawicznie kurczących się rezerw samokontroli, żeby nie eksplodować w jej wnętrzu. Amy przywarła dłońmi do jego klatki piersiowej, oddychając coraz szybciej odrzuciła w tył jasne włosy. Przyciskała się do niego tak słodko, tak gorąco, że wiedział, iż dłużej już nie wytrzyma.

W tym momencie spojrzała mu w oczy i wyszeptała jego imię. Luiza ogarnęły spazmy, które udzieliły się Amy. Jednocześnie poddali się rozszalałej sile, która ogarnęła ich falą, pozostawiając rozłomotane serca i okryte potem ciała.

Amy bezradnie przytuliła się do Luiza i leżeli oboje, niezdolni do wykonania najmniejszego gestu.

Młoda kobieta czuła, że ogarnia ją słodkie znużenie. Nie miała dość sił, by się poruszyć. Mówiła sobie, że powinna wstać, wykapać się, włożyć koszulę nocną i uporządkować łóżko. Podnieść z podłogi poduszki i kołdry.

Nie zmieniła pozycji i z wdzięcznością pozwoliła, by Luiz ułożył ją na prześcieradle, ucałował w usta i sam wyciągnął się obok.

Wreszcie leciutko westchnęła z zadowolenia i zasnęła.

Obudziła się bardzo wcześnie. Świeca wypaliła się i zgasła. Z wysiłkiem rozchyliła powieki i patrząc na baldachim z białego jedwabiu zaczęła zastanawiać się, dlaczego czuje się taka zmęczona. Leżała płasko na plecach, z jednym kolaniem zgiętym i stopą wspartą na materacu.

Wyprostowała nogę i uniosła dłoń. Potarła nią brzuch i stwierdziła, że jest naga. Uniosła głowę i spojrzała po sobie. Spała bez koszuli. Nigdy przedtem tego nie robiła. Dlaczego leżała w poprzek łóżka, zamiast z głową na poduszce, tak jak należy? Gdzie były jej poduszki i kołdra?

Odpowiedzi przyszły do niej falą przypomnienia. Ostrożnie odwróciła głowę i zobaczyła go. Leżał na plecach, w bladej smudze księżycowego światła. Srebrzyste płomienie ślizgały się po jego smukłej, ciemnoskórej sylwetce.

Z bijącym sercem analizowała każdy mięsień pięknej, przeciętej białą blizną twarzy o rzeźbionych rysach, silnych, okrutnych ustach i długich, gęstych rzęsach. Studiowała każdy mięsień tak dobrze niegdyś znanego jej ciała.

Był obcym człowiekiem.

Obcym, który wyglądał na niebezpiecznego nawet podczas snu. Nawet wtedy nie wydawał się wrażliwy ani bezbronny. W długim, muskularnym ciele drzemało ukryte napięcie, jakby w każdej chwili gotów był poderwać się i uderzyć.

Zadrzała mimo woli.

Wodziła wzrokiem po jego mocno umięśnionych ramionach, gładkiej piersi, aż na muskularny brzuch i jeszcze niżej, na tę część ciała, która wzbudzała w niej największy niepokój.

Twarz Amy oblała się gorącą purpurą, skóra na brzuchu zadrgała mimowolnie. Jak dobrze pamiętała niedawne przeżycia. Było jej wstyd.

Drżąc z zimna spróbowała się podnieść.

W oka mgnieniu Luiz skoczył na równe nogi, chwytając jej przeguby w mocny, wręcz bolesny uścisk i zmusił ją, by z powrotem opadła na materac. I znów górował nad nią szerokimi, brunatnymi ramionami. Czarne, świetliste oczy błyszczały w ciemności.

Nie wypowiedział ani słowa, ale przyciągnął ją do siebie władczy gestem, zamknął w objęciach i znów ułożył się na plecach. W kilka sekund później spał już z Amy bezradnie do niego przytuloną. Leżała w blasku księżyca, słuchała jego równego, głębokiego oddechu, a pod policzkiem czuła spokojnie bijące serce.

Zmęczona długimi zmaganiem miłosnymi szybko zapadła w sen. A kiedy znów się obudziła, pokój zalany był jaskrawym światłem słonecznym. Natychmiast przypomniała sobie wszystko i spojrzała w bok. Była sama w łóżku.

Uniosła się na łokciu, odgarnęła z twarzy ciężkie loki i rozejrzała się wokół. Ogromny pokój z beżowym dywanem i kremowymi ścianami wyglądał tak jak zwykle. Francuskie okno było otwarte na chłodny, kwietniowy poranek, ciężkie kremowe zasłony starannie podwiązane. Po drugiej stronie - kominek z kremowego marmuru, a nad nim sięgające do sufitu lustro w złotej ramie. Przed kominkiem stała długa, wygodna sofa pokryta kremowym brokatem, a po obu jej stronach dwa fotele z obiciami z przepysznego beżowego aksamitu,

Wszystko było na swoim miejscu, z wyjątkiem jedwabistej masy pościeli i puszystych poduszek spoczywających u stóp ogromnego łóża. Poprzez otwarte drzwi, prowadzące do łazienki i garderoby, nagle dostrzegła jakiś ruch. Zdołała jedynie zgarnąć z materaca jedwabne prześcieradło i okryć się nim, kiedy z łazienki wyszedł El Capitan Luiz Quintano. Odziany był w obcisłe, płowej barwy spodnie, śnieżnobiałą koszulę i szeroką purpurową szarfę. Na nogach miał brązowe, lśniące buty z miękkiej skóry.

Świeże ogolony, z kruczymi włosami związanymi na karku rzemykiem, przeszedł obok Amy i skinął jej głową tak, jakby widywał ją co rano przez całe życie. Niedbała obojętność po nocy pełnej bezwstydnej intymności uraziła Amy do żywego.

Podszedł do łóżka i stanął przed nią z zimnym uśmiechem.

- Niech pani nie będzie taka zakłopotana, pani Parnell. Ostatnia noc nie miała dla mnie żadnego znaczenia. Zabawiałem się po prostu,

Zraniona i nieszczęśliwa Amy rozpoznała kąśliwe słowa, których sama niegdyś użyła, żeby się go pozbyć. Wrócił, aby odpłacić jej pięknym za nadobne. Tyle tylko znaczyła dla niego ta noc.

Wrodzony temperament wziął jednak górę i Amy wyskoczyła z łóżka, stając z nim twarzą w twarz. Kurczowo zaciskając pięści na okrywającej ją tkaninie krzyknęła:

- Wspaniale! Dostałeś to, po co wróciłeś, El Capitan, a teraz wynoś się! Precz z Orilli i mojej ziemi!

Luiz rzucił jej rozbawiony uśmieszek.

- Twojej ziemi? Naszej ziemi, chica. Orilla należy także do mnie - uśmiech znikł z jego twarzy, której piękne rysy stwardniały nagle. - Jestem zmęczony. Moi żołnierze są zmęczeni. Orilla będzie moją kwaterą główną aż do czasu, gdy wrócimy na front.

Skierował się do wyjścia. W drzwiach zatrzymał się jeszcze i obejrzał:

- Dopóki pozostanę tu, w hacjendzie, będziesz sypiać w moim łóżku.

## Rozdział 19

Amy spoglądała na zamykające się drzwi czując, że spala ją ogień gniewu równie gorący jak jej nocni namiętności. Dygocząc z wściekłości, rozglądała się za czymś, czym mogłaby rzucić w ślad za nim.

Spojrzenie jej padło na leżący aa nocnym stoliku Kamień Słoneczny. Z wykrzywioną twarzą wypuściła z rąk okrywające ją prześcieradło, Naga, podbiegła i pochwyciła lśniący złoty medalion. Łzy upokorzenia wypełniły jej gniewne, niebieskie oczy, Z całej siły cisnęła klejnot na drugą stronę pokoju,

- Zapomniałeś swego cennego amuletu, ty nieokrzesany bękarcie! - krzyknęła i zamarła z zaskoczenia,

W chwili, gdy medalion opuszczał jej rękę, drzwi sypialni otworzyły się i stanął w nich El Capitan, już bez śladu uśmiechu na twarzy. Wyciągnął prawą dłoń i z zaskakującą zręcznością pochwycił w locie swój klejnot.

Zwężone, ciemne oczy spoczęły na Amy. Spokojnie zamknął drzwi i bez pośpiechu zbliżył się do niej. Śledziła jego powolne ruchy z bijącym sercem, przetykając łzy. Nagle uświadomiła sobie własną nagość i uklękła, podnosząc z podłogi prześcieradło. Drgnęła, kiedy jego stopa spoczęła na materiale. Ze wzrokiem wbitym w lśniący but daremnie szarpała przydeptany materiał.

Gniewnym spojrzeniem objęła długą, szczupłą nogę. Potężne, pulsujące mięśnie napinały cienką, beżową tkaninę spodni i Amy nagle uświadomiła sobie, że jej wściekłość miesza się z zupełnie innym uczuciem. Z silnym postanowieniem, że nie pozwoli, aby prymitywna męskość tego człowieka zdominowała ją zupełnie, przeniosła wzrok na jego twarz. Fala strachu natychmiast stłumiła zarówno złość, jak i pożądanie.

El Capitan wydawał się wściekły i bardzo niebezpieczny.

Wysokie, ukośne linie kości policzkowych były bardziej zaakcentowane niż zwykle, rzeźbiony zarys podbródka miał w sobie coś groźnego. Jeden kącik mocno zaciśniętych ust uniesiony był w grymasie markującym uśmiech.

Schylił się i chwycił ją za ramię. Amy jęknęła, przemocą postawiona na nogi. Usiłowała się uwolnić, ale bezskutecznie. Przyciągnął ją do siebie i podstawił jej pod nos otwartą dłoń.



Leżał na niej Kamień Słoneczny. Ciężki, złoty łańcuch opleciony był wokół długich palców. Luiz kołysał medalionem przed przerażoną twarzą Amy.

Było w nim coś upiornego, gdy zniżając głos niemal do szeptu powiedział:

- Może dla ciebie jestem barbarzyńcą. Nieokrzesanym dzikusiem. Wierzenia i obyczaje mojego ludu są dla ciebie śmieszne.

Przytrzymująca ją dłoń przesunęła się z ramienia na kark i niemal pieśczośliwie objęła jej szyję.

- Kamień Słoneczny jest święty. Dotkniesz go tylko wtedy, kiedy ci pozwolę, jasne?

Amy milczała.

- Pytałem, czy to dla ciebie jasne? - palce Luiza mocniej zacisnęły się na jej karku.

- T - tak... tak. Rozumiem, co mówisz - odparła z obrażoną miną, obawiając się tego, co może nastąpić.

- Postaraj się nie zapomnieć - ostrzegł beznamiętnie. Uniósł łańcuch, przełożył go przez głowę i pozwolił, by lśniący medalion opadł mu na pierś. Poleciał Amy rozpiąć koszulę, umieścić pod nią medalion i zapiąć z powrotem.

Usłuchała w milczeniu, nienawidząc go i bojąc się jednocześnie. Drżącymi palcami zaczęła odpinać guziki świeżo wykrochmalonej koszuli, odsłaniając ciemną pierś pokrytą długimi, czerwonymi śladami, które pozostawiły tam jej ostre paznokcie. Amy wstrzymała oddech na widok tych okrutnych szram.

- Mam jeszcze ślady zębów na ramieniu - usłyszała. - Czy także masz ochotę je obejrzeć?

Potrząsnęła głową, zrobiła ruch w stronę Kamienia Słonecznego i zawahała się. Podniosła oczy. Luiz skinął głową.

- Tak, pani Parnell. Może pani dotknąć Kamienia Słonecznego. Pozwalam.

Palce Amy zacisnęły się wokół medalionu. Wsunęła mu go za koszulę, na ciepłe, nagie ciało dokładnie na wysokości serca. Szybko zapięła guziki, marząc jedynie o tym, żeby sobie poszedł, a ona mogła się ubrać.

El Capitan podziękował jej. Wyciągnął dłoń, wziął ze stolika ostry jak brzytwa obsydianowy nóż i podał jej.

- Jeżeli już musisz we mnie czymś rzucać, proponuję to.

Amy uparcie odmawiała wzięcia noża do ręki. Ujął jej dłoń, owinął lodowate palce wokół lśniącej rękojeści.

Stał przed nią, wyzywający, z rękami przyciśniętymi do boków, milcząco zapraszając ją do zadania ciosu, jeśli będzie miała dość odwagi. Amy uczyniłaby to z ochotą. Podniosła głowę, mięśnie jej delikatnego podbródka napięły się, oczy błysnęły furją i podnieceniem. Zacisnęła sztywne palce wokół gładkiej rękojeści, zastanawiając się, jakąż słodką zemstą byłoby zatopienie w jego piersi śmiercionośnego ostrza.

- Gdybym była taka nieucywilizowana jak ty, zrobiłabym to z pewnością - rzuciła odważnie. Uniosła nóż, dotknęła jego czubkiem piersi Luiza i dodała: - Popraw mnie, jeśli nie mam racji. Czy twój lud... barbarzyńscy Aztekowie... nie używał przypadkiem takich noży do wykrawania serc swoim ofiarom?

Luiz był niewzruszony.

- Istotnie. Ale ty, moja Jezabel, nie potrzebujesz do tego celu noża. Wycinasz bijące serca swych ofiar o wiele bardziej śmiercionośną bronią

- w czarnych oczach pojawiły się niebezpieczne błyski, kiedy oskarżająco objął nimi nagie, ponętne kształty Amy. Nagle uśmiechnął się i dodał:

- Ale serce może być wycięte tylko raz, a zatem nic mi nie grozi. Pochylił się, nie zwracając uwagi na nóż skierowany wprost w jego pierś i musnął ustami szyję Amy. Mocno wciągnął powietrze i dodał niedbale:

- Kazałem przynieść wodę. Potrzebuje pani kąpieli, pani Parnell. Przesiąkła pani moim zapachem.

Odwrócił się i dumnie odszedł. Amy stała kipiąc złością. Z nożem w rękę, zapatrzona w jego obrzydliwie aroganckie ruchy. Z płomieniem w oczach uniosła ostrze, ale nie zdecydowała się na więcej. Pozwoliła, by El Capitan odszedł bez szwanku. Z westchnieniem odłożyła nóż na stolik, obok jego złotej bransolety z turkusami.

Podbiegła do drzwi, zatrzasnęła zasuwę i ciężko oparła się plecami o drewnianą deskę. Nerwy miała w strzępach, dało odmawiało posłuszeństwa i czuła łyzy spływające po policzkach. Niemal z wściekłością poderwała się i pobiegła do dużej łazienki, marząc o tym, by zetrzeć z ciała jego zapach i dotyk.

Zanurzyła się w gorącej, pełnej piany wodzie. Z kostką jaśminowego mydła w jednej a szorstką rękawicą w drugiej dłoni tarła i szorowała, aż skóra stała się różowa i wrażliwa. A kiedy już była pewna, że jest tak czysta, jak nie była nigdy w życiu, wróciły nieprzyzwoite obrazy nocnego szaleństwa i Amy zaczęła szorowanie od początku.

Wreszcie poczuła, że dalsze mycie może ją jedynie zranić. Wstała, wyszła z marmurowej wanny i sięgnęła po ręcznik, W przelocie pochwyciła widok własnego odbicia w lustrzanej ścianie łazienki i oblała się rumieńcem na wspomnienie aroganckiej propozycji El Capitana, że będzie ją kochał w pokoju z lustrami, żeby mógł się oglądać. Ona też będzie mogła popatrzeć. Z wściekłością zerwała z wieszaka biały ręcznik i otuliła się nim, by okryć swoją nagość.

Nie mogła wyobrazić sobie nic bardziej niesmacznego, niż oglądanie się w lustrze podczas aktu miłosnego. A już szczególnie z tym kochankiem o gorącej krwi i zimnym sercu, bardziej zwierzęciem niż mężczyzną. Pomysł udziału w tak nieprzyzwoitym akcie budził w niej sprzeciw. Nawet za sto lat nie zgodzi się na zrobienie czegoś równie obrzydliwego i poniżającego!

Ubrała się szybko i doszła do wniosku, że nie ma ochoty schodzić na dół. Wolałaby nie natknąć się na El Capitana, pozostała zatem w swoim pokoju, krążąc po nim niespokojnie.

Była nieszczęśliwa i zakłopotana. Wszystko, o czym niegdyś marzyła, czego pragnęła i za czym tęskniła, spełniło się nareszcie. Jej ukochany Tonatiuh żył! Powrócił do Orilli po tych wszystkich latach, a jednak, jak na ironię, jego niespodziewany powrót uczynił ją jeszcze bardziej nieszczęśliwą.

Z westchnieniem stanęła przy wysokim francuskim oknie. Smutne oczy przebiegały tłum żołnierzy kręcących się po podwórzu, w poszukiwaniu jednej, chłodno pięknej, smagłej twarzy. Odnalazła ją.

El Capitan stał oparty o swego czarnego ogiera, z ramieniem na osiodłanym grzbiecie wierzchowca. Granatowoczarne włosy lśniły w porannym słońcu. Pochylał się, słuchając jakiejś zabawnej historii opowiedanej przez jednego z żołnierzy i nagle jego mroczną twarz rozjaśnił cudownie chłopięcy uśmiech. Serce Amy ścisnęło się boleśnie.

Czuła się tak strasznie winna. I to z dwóch powodów. Po pierwsze to ona była odpowiedzialna za przemianę Tonatiuha - miłego, słodkiego indiańskiego chłopca, którego znała i kochała - w okrutnego, bezlitosnego potwora. Po drugie, oddając się ostatniej nocy temu fizycznie pociągającemu ją oficerowi, zdradziła swego narzeczonego, Douglasa Crawforda.

Opanowały ją wyrzuty sumienia. Nie było na świecie miłszego, bardziej spokojnego człowieka niż Doug Crawford. Nikt nigdy nie był w stosunku do niej tak opiekuńczy, tak wyrozumiały. Jego szlachetne serce zostanie złamane, gdy się dowie, że kiedy on walczy pod rozkazami Maksymiliana w meksykańskim interiorze - po to tylko, aby zarobić dla nich dość pieniędzy - ona uprawia występłą miłość z człowiekiem, który dba o nią tyle co o jedną z ulubionych dziwek jej zmarłego męża, Tylera Parnella.

Ze wzrokiem wbitym w wysmukłą, wysoką sylwetkę obserwowała, jak Luiz wsiada na konia i odjeżdża samotnie. Patrzyła za nim tak długo, dopóki jeździec zamienił się w małą plamkę na horyzoncie. Dopiero wtedy odetchnęła.

Wprawdzie jej prześladowca odjechał, ale Amy i tak dokładnie rozejrzała się po korytarzu, zanim wyszła na zewnątrz. Kilkakrotnie odetchnęła głęboko, uniosła rąbek biało - różowej bawełnianej sukni i skierowała się ku schodom.

Schodząc zastanawiała się, ile powinna wyznać Magdalenie. Miała wielką ochotę rzucić się w kojące ramiona starszej kobiety i wypłakać swoją rozpacz. Opowiedzieć o długiej, strasznej nocy, kiedy to była zdana na łaskę mściwego El Capitana Quintano.

Wiedziała jednak, że tego nie zrobi.

Wychowana przez dumnego ojca, nauczyła się ukrywać przed służbą osobiste kłopoty. Była z Magdaleną bardzo blisko, ale nigdy nie powiedziała Meksykance, co właściwie wydarzyło się tamtej nocy przed wielu laty.

Stwierdziła tylko, że były kłopoty i Sullivanowie odesłali Luiza. Sama zaś przysięgała, że z radością zostanie żoną Tylera Parnella. Udawała, że jest szczęśliwą młodą małżonką, nigdy nikomu nie zdradzając, jak bardzo cierpi jej złamane serce. Że nie ma dnia, godziny, minuty, żeby nie zastanawiała się, czy jej ukochany Tonatiuh żyje. Nigdy też nie przyznała się, że jej mąż spędza więcej nocy z innymi kobietami niż z nią, i że sprawia jej to ulgę.

U stóp schodów wyprostowała się.

Nie, nie powie Magdalenie o ostatniej nocy, choć i tak stara służąca będzie wiedziała. El Capitan wspomniał coś o przeniesieniu pary służących do wschodniego skrzydła, tak, by zachodnie mieli wyłącznie dla siebie.

Magdalena była sprytną kobietą o dużej intuicji. Domyśli się i na pewno macierzyński instynkt każe jej wziąć Amy w obronę.

Magdalena obroni ją przed okrutnym El Capitanem. Nie będzie już więcej takich nocy jak ubiegła. Jej Magdalena nie pozwoli na to.

Amy znalazła Meksykankę w kuchni. Kroiła świeże owoce i układała je na porcelanowym półmisku, śpiewając przy tym piękną hiszpańską piosenkę o miłości. Na widok Amy podniosła głowę i uśmiechnęła się szeroko. Ale młoda kobieta zaledwie wierzyła własnym uszom, kiedy porzucając zajęcie, Magdalena wsparła dłonie na szerokich biodrach i rzuciła:

- Zamierzasz dzisiaj mieć na sobie tę suknię? Amy zmarszczyła brwi.

- Oczywiście. Włożyłam ją i zamierzam nosić.

- Nie, nie, Amy. Ona nie pasuje na taką specjalną okazję - Magdalena wytarła dłonie w fartuch i podeszła bliżej: - Chodź, pójdziemy na górę i poszukamy czegoś bardziej odpowiedniego...

- Odpowiedniego na co? Ciemne oczy Magdaleny zabłyśły.

- Na lunch z przystojnym El Capitanem Quintano!

## Rozdział 20

- Na lunch z... Nie mam zamiaru jeść lunchu z tym aroganckim meksykańskim oficerem - dumnie odparła Amy.

- Co za niemądre gadanie, Amy Sullivan Parnell. Nie mówimy przecież o żadnym obcym. Dios, Luiz to ten sam słodki, śliczny chłopaczek, który tu kiedyś mieszkał, to jego dom!

- Ten słodki chłopaczek jest dzisiaj zimnym, pozbawionym honoru mężczyzną, który dziś w nocy... - Amy ugryzła się w język i urwała. Machnęła ręką, marszcząc brwi.

Magdalena wytrzeszczyła na nią zaskoczone oczy.

- Co on ci zrobił? Że pobyłaś trochę ze starym przyjacielem z dzieciństwa? To taka zbrodnia? Nie rozumiem cię. To ty się zmieniłaś, nie on - pokiwała głową. - W takich chwilach w ogóle cię nie poznaję.

Amy zmusiła się do zmiany wyrazu twarzy. Uśmiechnęła się mówiąc:

- Magdaleno, to już tyle czasu, odkąd Tona... Luiz Quintano opuścił Orillę. Nikt chyba nie musi ci przypominać, co się od tego czasu zdarzyło.

- Nie. Zmieniło się dużo, ale... - brunatną twarz Magdaleny rozjaśnił szeroki uśmiech - ...pamiętam chłopaczka i dziewczuszkę, którzy tamtego lata byli nierozłączni. Nie zapomniałam, jak przygotowywałam podwieczorki, które zabieraliście nad rzekę, gdzie spędzaliście popołudnia na zabawach w wodzie. To ty sobie przypomnij, Amy.

Amy powoli, głęboko odetchnęła.

- Tak - powiedziała. - Przypominam sobie.

Najlepsi przyjaciele? Boże drogi, Mag, czy ty nie zdawałaś sobie sprawy, że byliśmy kochankami? Że wszystkie upalne popołudnia spędzaliśmy nad rzeką kochając się? Czyżbyś nie miała pojęcia, co było między nami? Co się zdarzyło ostatniej nocy?

- Rzeczywiście byliśmy najlepszymi przyjaciółmi - szepnęła miękko.

- No więc o co chodzi? Dlaczego nie chcesz zjeść lunchu z Luizem? Będzie bardzo rozczarowany...

- Przejdzie mu.

- Nie sądzę. Kochane serduszko, przyszedł do mnie wczoraj po południu. Powiedział, że chce spędzić cały wieczór ze swoją starą

przyjaciółką, Amy. Że tęsknił za tobą, że chcecie się spotkać, odnowić wspomnienia, pośmiać się. Zapytał, czy ja i Fernando możemy spać we wschodnim skrzydle, żebyśmy wam nie przeszkadzali. Odpowiedziałam, że bardzo chętnie.

- Jakież to mile z twojej strony - zauważyła Amy sarkastycznie.

- Hmmp. Najwyższy czas, żebyś stała się trochę uprzejmieszka - Magdalena ujęła Amy za ramię. W dużych, ciemnych oczach pojawiło się pytające spojrzenie: - Czy moje dzieci źle się bawiły zeszłej nocy?

Amy poczuła, że się rumieni.

- Cóż, tak, to była... - odchrząknęła lekko. - Tak, to było przyjemne spotkanie, ale, ileż można wspominać dawne czasy? Mam wrażenie, że powiedzieliśmy sobie z Luizem wszystko, co mieliśmy do powiedzenia.

- A, w to już nie uwierzę - odparła Magdalena bez przekonania. Roztrzęsiona i wściekła Amy krzyknęła wreszcie:

- Zapomniałaś, że jestem zaręczona?

Magdalena nieco złośliwie wyszczerzyła zęby w uśmiechu:

- Nie, a ty?

- O, na pewno nie! - krzyknęła Amy głosem o jedną oktawę za wysokim. - Mnie... Boli mnie głowa. Idę się położyć.

- A lunch?

- Nie jestem głodna.

- Amy rozboleła głowa, Luiz - przeproszała Magdalena, gdy wysmukły, ciemnoskóry mężczyzna zajął miejsce przy stole. - Poprosiła, żeby cię przeprosić w jej imieniu. Tak się cieszyła, że zje z tobą lunch.

Rumieniec okrywał jej ciemną twarz i miała szczerą nadzieję, że ten imponujący młody człowiek nie odkryje jej drobnego kłamstewka.

Luiz doskonale uświadamiał sobie, że meksykańska służąca nie mówi prawdy. Lubił Magdalene, w jej kuchni spędził niejedną szczęśliwą godzinę „wylizując patelnię”, jak mawiała. Próbował świeżo upieczonych ciast, mięciutkiej pieczeni wołowej wprost z pieca. I uczył się dziesiątek hiszpańskich pieśni o miłości, które śpiewała mu głosem tak ciepłym i miłym jak jej pachnąca kuchnia.

Miała dobre, czyste serce. Kłamała teraz, aby zaoszczędzić mu cierpienia, sądząc, że wciąż jeszcze jest tym samym wrażliwym i nieśmiałym chłopcem, który opuścił Orillę dziesięć lat temu.

- Przykro mi, że Amy źle się czuje - stwierdził niedbale.

- Przekaż jej moje wyrazy ubolewania.

- Oczywiście - odparła Magdalena.

Przyglądając się oszalamiająco przystojnemu mężczyźnie przy stole nie widziała w nim, tak jak Amy, lodowatego, niebezpiecznego człowieka. Dla niej wciąż był niewinnym, drogim jej sercu młodzieńcem.

Postawiła przed nim talerz pokrojonych owoców i kurczaka na zimno, obok koszyk ze świeżym chlebem i raz jeszcze zaczęła przepraszać:

- Wolalabym poczęstować cię wołowiną, jak za dawnych czasów - powiedziała z zatroskaną miną. - Rzadko teraz jemy wołowinę... Rancho... było... - wzruszyła ramionami. - Rzeka Puesta del Sol wyschła. A potem przyszła susza. Wszystko umiera. Ciężkie czasy, Luiz.

Luiz chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie, obdarzając chłopięcym, wesołym uśmiechem, który przypomniawszy jej przeszłość.

- Nie martw się, Mag. Czasy się zmieniają. Zobaczysz.

Uradowana tym olśniewającym uśmiechem i spragniona zmian na lepsze przytaknęła skwapliwie:

- Ach, si, si. Mój chłopiec wrócił. Wszystko będzie teraz lepiej. O wiele lepiej.

Luiz odsunął krzesło i podniósł się.

- Nie każ mi jeść samemu, Mag. Zjedz ze mną lunch.

Okręciła się na pięcie, wytrzeszczając oczy.

- Ależ... nie mogę... To nie wypada...

Luiz, nie przestając się uśmiechać, objął ramieniem jej niezbyt cienką talię i uściśnął czule. Poprowadził ją do stołu i zmusił Magdalenę, by usiadła.

- Ależ ja nie powinnam... - protestowała.

- Zostań tam, gdzie jesteś - miękko rozkazał Luiz, wycofując się do wahadłowych drzwi oddzielających kuchnię od jadalni. Pchnął je ramieniem i zniknął we wnętrzu. Po chwili powrócił z pełnym talerzem i szklaneczką wina, które postawił przed Magdaleną.

Usiadł na swoim miejscu, strzepnął serwetkę i rozłożył na kolanach.

- Będzie mi bardzo miło, Mag, nie znoszę jeść samotnie. Oczarowana i miłe polechtana w swej dumie Magdalena uśmiechnęła się szeroko i zawołała:



- Och, Luiz, Luiz. Tego się nie robi! Co powiedzą ludzie?

- Ja nic im nie powiem, jeśli i ty się nie wygadasz - odparł i zrobił do niej oko. Magdalena, śmiejąc się, skinęła głową na znak zgody. - Poza tym musisz mi opowiedzieć, co się tu działo podczas mojej nieobecności.

Magdalena nie była przyzwyczajona do wina o jakiegokolwiek porze dnia, a tym bardziej w południe. Nie była też przyzwyczajona do obecności w domu swego kochanego chłopca. Połączenie tych dwóch rzeczy sprawiło, że zrobiło jej się lekko na sercu. W głowie również. A Luiz potrafił zachęcić ją do mówienia, nawet o sprawach, o których nie wspominała od lat.

Niedbała poza szczupłego ciała i wyraźne zadowolenie zadawały kłam wyostrzonej uwadze, z jaką chłonał każde jej słowo. Posiłek został dawno zakończony, kawa zdążyła wystygnąć w filiżankach, a oni wciąż siedzieli, rozmawiając o dawnych czasach.

A raczej to Magdalena mówiła, a Luiz słuchał. Wiedział właściwie o wszystkim, o czym opowiadała: że rancho jest niemal bezwartościowe po wyschnięciu rzeki, że Lucas Sullivan zginął w walce na noże w Paso del Norte. Wiedział o ślubie Amy z Tylerem Parnellem, o śmierci Tylera. Nawet o tym, że Amy ma zamiar poślubić wdowca Douga Crawforda, potężnego, sympatycznego mężczyznę, którego pamiętał jako szczęśliwego męża i ojca.

Inne nowiny były dla niego niespodzianką. Nie miał pojęcia, że Amy ma córeczkę. Dopiero od Mag dowiedział się, że żona i dziecko Douga Crawforda zginęli z rąk Apaczów. Nie miał też pojęcia, że córka Magdaleny, Rosa, uciekła z Baronem i umarła.

Luiz wyraził jej serdeczne współczucie.

- A Baron? - zapytał ostrożnie.

- Jestem pewna, że żyje - oczy Magdaleny zabłysły nienawiścią. - Zło żyje wiecznie!

Nie odpowiedział. Delikatnie sprowadził rozmowę na mniej przykre tematy. Znowu śmiali się razem, a Magdalena nie mogła uwierzyć, kiedy stwierdził:

- Mag, moi ludzie pomyślą, że zdezerterowałem. Jest prawie trzecia.

Zakryła dłońmi policzki.

- Nie! Gdzie się ten czas podział?

- Mnie też było bardzo miło. Naprawdę. Ale teraz muszę cię przeprosić - Luiz uśmiechnął się, odsunął krzesło i wstał.

Z westchnieniem odprowadziła go wzrokiem. Mruczając do siebie zaczęła składać talerze i planować menu na kolację.

Amy nie wiedziała, że El Capitan znajduje się w hacjendzie. Było późne popołudnie i przypuszczała, że jest gdzieś ze swoimi ludźmi. Gdy wysoki zegar w holu wybił trzecią, siedziała w zacienionym salonie, okiennicami oddzielona od popołudniowego słońca.

Teraz zwrócona tyłem do szerokich drzwi pokoju, stała przed zimnym, marmurowym kominkiem i ostrożnie odkurzała stojącą na obmurówce porcelanową figurynkę. W jednej dłoni trzymała cenny bibelot, a drugą uważnie przesuwiała po lśniącej powierzchni miotełką z piór. Nagle poczuła, że nie jest sama.

Zdrętwiała w oczekiwaniu. Po chwili skarciła siebie w duchu. Nikogo nie ma. Jest sama i tylko wyobraźnia płata jej figle.

Zadrżała, kiedy poczuła na szyi jego oddech.

- Pani Parnell - odezwał się z dziwną mieszaniną ciepła i obojętności w głosie. - Tęskniłem za panią podczas lunchu.

Palce Amy zacisnęły się na porcelanowej figurynce.

- I będzie pan tęsknił za mną podczas kolacji, El Capitan - odparła zimno.

- Nie, moja droga. Na pewno nie. Zaprosiłem mojego porucznika, Pedrico Valdeza, żeby nam towarzyszył. I ty też tam będziesz.

Amy ostrożnie ustawiła figurynkę na kominku. Miotełkę z piór położyła obok. Odwróciła się twarzą do Luiza i natychmiast poczuła, że jej odwaga ulatnia się bez śladu. Stał przed nią, tak blisko, że ich ciała nieomal stykały się i nie miał zamiaru się cofnąć. Wysoki i groźny. Była w pułapce.

Jego bliskość sprawiała, że mogła jedynie przytakiwać bezradnie, gdy oznajmił:

- Myśl sobie o mnie, co ci się podoba, nie dbam o to. Ale przed Pedrico będziesz się zachowywała jak dama.

Ten bezczelny człowiek mówi jej, jak ma się zachować. To już za wiele!

Zebrała się na odwagę.

- Nie jestem ani panią twojego domu, ani gospodynią dla twoich gości. Wcale nie muszę cię słuchać - rzekła.

Z uśmiechem uniósł dłoń do policzka Amy. Przesunął palcem po gładkiej skórze i młoda kobieta zadrżała. Usiłowała stać spokojnie, ale nie miała dość sił. Dłoń Luiza przesunęła się po jej lśniących włosach w lekkiej pieśczoście, palce zanurzyły się w bujnych lokach. Pozwolił swym oczom zatopić się w jej źrenicach.

- Jesteś gospodynią przy moim stole i panią w m o i m domu

- powiedział, a silne, władcze palce zacieśniły uchwyt na jej włosach.

- I będziesz mnie słuchać. Włożysz najpiękniejszą suknię, najcenniejsze klejnoty. Magdalena pomoże ci się przygotować. Spotkamy się na dole dokładnie o pół do dziewiątej. I będziesz czarująca dla naszego gościa.

- Dobrze, zjem dziś wieczorem kolację z Pedrico i z tobą.

Jej umysł już wybiegał w przyszłość. Myślała o wieczorze, o kolacji. Przy gościu w hacjendzie może uda jej się wymknąć w bezpieczne zacisze własnego pokoju... zasunąć rygiel w czasie, gdy El Capitan będzie podejmował Pedrica cygarami i brandy. Ta perspektywa napełniła ją nadzieją.

Spojrzała na niego.

- Będę doprawdy bardzo szczęśliwa, mogąc towarzyszyć ci przy kolacji - powiedziała niemal ciepło.

El Capitan odepchnął krzesło o sześć cali od stołu, żeby zrobić miejsce dla swoich długich nóg. Spojrzał na Amy nieznośnie chłodnym i obojętnym wzrokiem.

Na zewnątrz zapadał zmierzch. W hacjendzie było ciemno. Świece, migoczące w srebrnych kandelabrach, rzucały na ściany jadalni upiorne światło. Oświetlało nienaturalnie ciemną, poważną twarz mężczyzny, z którym Amy wbrew woli dzieliła wieczorny posiłek.

Siedziała sztywno wyprostowana w wyściełanym, wymyślnie rzeźbionym fotelu z wysokim oparciem. Świeżo umyte, jasne włosy rozdzieliła pośrodku głowy, długie loki spadały na jedno ramię według najświeższej mody. Szeroka, lawendowego koloru wstążka, uformowana w koronę, podtrzymywała je z tyłu.

Suknia Amy miała twarzowy, żywy kolor lawendy i była żałośnie niemodna. Gorset wycięty w literę „v”, spódnica, bardzo szeroka: ponad osiem jardów w obwodzie, była tak długa, iż ciągnęła się po dywanie. Ten fason sukni przeznaczony był do noszenia na kilku

krynolinach i krochmalonych halkach, a jego świetność przypadła na późne lata pięćdziesiąte; rozetki, falbanki i aksamitne kokardki jeszcze dodawały lat starzejącej się kreacji.

Amy czuła się głupio i była wściekła.

Uczestniczyła w tej ośmieszającej maskaradzie z własnej woli, wystroiła się, żeby zjeść kolację z El Capitanem i byłym służącym - Pedrico. Nie powinna była zgodzić się na to, raczej ostro odmówić, jak w przypadku lunchu.

Ukradkiem przyglądała się onieśmielającemu ją oficerowi, jego mięśniom napinającym świetnie skrojony mundur powtarzając sobie, że mniej więcej za godzinę ta poniżająca farsa skończy się i wtedy zdoła uciec do swojego pokoju. Nie obchodziło ją, że wściekły El Capitan będzie się dobijał do jej drzwi przez całą noc. Na pewno go nie wpuści.

Uniosła kryształowy kieliszek na długiej nóżce, pociągnęła orzeźwiający łyk wina i, ignorując zupełnie siedzącego naprzeciw niej mężczyznę o kamiennej twarzy, zabawiła jednookiego Pedrico szczerym uśmiechem i wesołą rozmową.

Ku zdziwieniu Amy posiłek zakończył się szybko i młoda kobieta, korzystając z nadarzającej się okazji, oznajmiła:

- Panowie, przypuszczam, że zechcecie przejść do „sala” na kawę i brandy.

- To brzmi wspaniale, panno Amy - z uśmiechem odparł Pedrico i obejrzał się na Luiza. - El Capitan?

- Tak - odezwał się Luiz wstając. - Pani Parnell zagra nam na pianinie.

Amy podniosła głowę z zamiarem oświadczenia, że nie będzie grać na żadnym rozstrojonym pianinie. Ciepła, silna dłoń na jej ramieniu uciszyła sprzeciw. Niech go piekło pochłonie! Korzysta z tego, że oboje nauczani byli od dziecka nigdy nie podnosić głosu przy służbie i przy obcych. Doprowadzający do szału uśmieszek na jego ustach upewnił ją, że ma rację.

W salonie usiadła sztywno na wysokim stołku i pozwoliła, by jej palce niepewnie przebiegały po klawiszach z kości słoniowej. Nie dotykała ich od lat. I urwała w pół taktu, kiedy zorientowała się, że machinalnie zaczęła grać ulubioną melodię El Capitana z ich młodzińskich lat.

Jeżeli nawet Luiz to zauważył, nie zdradził się. Amy wybrała nowszą melodię. W pół godziny później wstała, podeszła do obu mężczyzn, a kiedy i oni podnieśli się z miejsc, powiedziała z uśmiechem:

- Pedrico, mam nadzieję, że mi pan wybaczy. To był uroczy wieczór. Bardzo miło było znów pana zobaczyć.

Jednooki żołnierz uśmiechnął się także i pochylił swoją głowę.

- Senora Amy, dziękuję za miłe przyjęcie. Spotkamy się jeszcze, si?

- Oczywiście - zwróciła się do Luiza, dodając: - Dobranoc. Serce waliło jej z obawy, że ją zatrzyma. Ale nie zrobił tego. Wymknęła się z pokoju z niemal zupełnie lekkim sercem. Zaledwie mogła się powstrzymać, żeby nie pobiec długim korytarzem o kamiennej posadzce, a potem po wysokich schodach. Zmusiła się, by wejść na nie powoli, starając się zachować zimną krew - jak El Capitan.

Dotarła do ciężkich, rzeźbionych drzwi sypialni i uśmiech triumfu rozjaśnił jej twarz, zapalając iskierki w błękitnych oczach.

Ale wewnątrz, gdy odwróciła się, by zasunąć za sobą ciężki rygiel, uśmiech znikł z jej twarzy, a oczy rozszerzyły się niedowierzaniem. Rygiel został z drzwi usunięty.

Zdjęta przerażeniem, stała przez chwilę jak wryta, potrząsając głową. Niebawem jednak przyszła do siebie. Człowiek odpowiedzialny za ten bezczelny czyn w każdej chwili może pojawić się w drzwiach. Musi stąd wyjść. Teraz, natychmiast.

Obróciła się w miejscu, pobiegła do garderoby. Pospiesznie chwyciła czystą koszulę nocną i przerzuciła ją przez ramię. Musi natychmiast biec do innego pokoju, takiego, który będzie można zamknąć.

To był wyścig z czasem. Amy wybiegła z garderoby, rzuciła się przez sypialnię, szarpnęła drzwi i - zderzyła się z twardą jak skała pierśią El Capitana.

Napierając na Amy całą smukłą sylwetką zmusił ją do powrotu do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Z mrocznymi oczami utkwionymi w jej twarzy, ujął w palce przejrzystą koszulę nocną i otwierając dłoń pozwolił, by spłynęła na podłogę.

- Nie będzie między nami zamków, jeśli nie liczyć tego, który znajduje się w twym niewiernym serduszkach, pani Parnell.

- Ty psie! Zabrałeś rygiel z moich drzwi! Nie możesz mi tego zrobić!

- Ależ już zrobiłem.

Dłonie Luiza spoczęły po obu stronach jej szyi. Lekkim naciskiem zmusił ją, by podniosła głowę i pochylił się tak, że wargami niemal dotykał jej ust.

Z ogniem dzikiej żądz w oczach musnął gorącymi, okrutnymi ustami jej wargi. Poczwała zapach brandy i ciepło jego oddechu.

- Dzisiaj będziemy się kochali przed lustrem - oznajmił.

- Nie zrobię tego!

- Zrobisz.

Niestety, to on miał rację.

## Rozdział 21

Tej samej nocy Amy doszła do wniosku, że musi odejść. Pozostawić Orillę. Jego także.

Leżała w księżycowym świetle, z twarzą wciąż jeszcze płonąca wstydem, obok śpiącego El Capitana i snuła plany. Będzie musiała poczekać do jutra. Miała ochotę wyskoczyć z łóżka i uciec natychmiast. Wiedziała jednak, że nie może być o tym mowy.

Gdyby zrobiła choć jeden ruch, aby się podnieść, znowu uwięzi ją spojrzeniem błyszczących, czarnych oczu. Nie miała odwagi spróbować.

Leżała więc naga w ciemności u boku El Capitana, przygwożdżona smagłą ręką spoczywającą władczo w poprzek jej brzucha i długą nogą na jej udach, marząc o ucieczce. Było to prawie niemożliwe.

Dotyk gorącego ciała Luiza parzył jej skórę, nieustannie uświadamiając jej swą bliskość i moc. I choćby próbowała nie wiadomo czego, nie była w stanie zatrzeć w swym umyśle erotycznych obrazów, które wciąż wyłaniały się z otaczającej ją ciemności.

Mocno zacisnęła oczy. Nie pomogło. Widziała odbicie ich dwojga w lustrach na ścianach łazienki. Zgodziła się na wszystko, tak, jak jej to bezczelnie obiecał. Po niezliczonych, gorących pocałunkach i przekonujących pieścizotach pozwoliła zanieść się do wykładanej lustrami łazienki i rozebrać do naga. A potem on zdjął swój mundur i wysokie, lśniące buty.

Kochał ją powoli, niezrównanie, siedząc na pluszowym taborecie z szeroko rozwartymi kolanami. Trzymając Amy w ramionach El Capitan, opasany w biodrach jej nogami, kazał Amy otworzyć oczy i patrzeć tak jak on.

Była tak podniecona, że usłuchałaby każdego polecenia. Więc patrzyła. Wszędzie - ponad jego ramieniem, za sobą, po obu stronach - widziała bladą kobietę o dzikim spojrzeniu. Kobieta dyszała, potrzasała głową, namiętnie ocierając się biodrami i brzuchem o ciemnoskórego mężczyznę o tak wspaniałej, zwierzęcej sile, że na samo wspomnienie tego obrazu krew dudniła jej w skroniach.

Amy drgnęła nagle, czując, że ciemna dłoń na jej ciele zaczyna się poruszać, głaskać delikatnie. Spojrzała w bok. El Capitan przyglądał się jej.

- Myślałam, że śpisz - mruknęła.

- Twoje pożądanie mnie obudziło - odparł niskim, miękkim głosem. Podniósł się na jednym ramieniu, podczas gdy druga dłoń błędziła po udach w poszukiwaniu intymnego dotyku.

- Oszalałeś! Ja nigdy...

- Nie kłam, kochanie... - przerwał miękko. - Pragniesz mnie. Czuję pod dłonią drżenie twojego brzuszka - pochylił ku niej ciemnowłosą głowę. - W porządku.

Jego oczy hipnotyzowały Amy. Daremnie usiłowała zaprzeczyć oczywistej prawdzie, którą znali oboje.

- Nie dotykaj mnie. Nienawidzę dotyku twoich rąk - zadrżała całym, płonącym już od jego wprawnego dotyku, ciałem.

El Capitan nie zwracał uwagi na jej zaprzeczenia i protesty. Wciąż pieścił ją delikatnie i szeptał słodkie, uwodzicielskie słówka.

- Pocałuj mnie, kochanie - powiedział wreszcie. - I powiedz, że mnie pragniesz.

Amy potrząsnęła głową.

- Nie. Nigdy. Nie powiem tego.

Ciemna, piękna twarz znalazła się jeszcze niżej, gorący oddech owiewał jej policzek.

- Jeden pocałunek. To wszystko. Tylko jeden pocałunek, querido. Amy jęknęła, uniosła dłoń do jego kruczonych włosów i niecierpliwie przyciągnęła go do siebie, całując łakomie i szepcząc wprost w jego palące wargi:

- Pragnę cię. Tak, nic na to nie poradzę.

- Wiem - odparł. I znowu się kochali.

Amy nie odeszła zbyt daleko, kiedy następnego dnia spróbowała ucieczki. Żołnierze El Capitana zostali poinformowani, że pani Parnell prawdopodobnie zechce samotnie opuścić rancho. Nie można na to pozwolić. Musi być zawsze pod obstawą. Jeżeli piękna wdowa zechce udać się do miasteczka, będzie jej towarzyszył zaufany porucznik Pedrico Valdez. Gdyby jednak spróbowała wymknąć się sama, ma być natychmiast ujeta i postawiona przed oficerem dowodzącym.

Dokładnie o drugiej po południu wściekła i szarpiąca się Amy została doprowadzona do biblioteki przez zdecydowanych na wszystko młodych żołnierzy meksykańskich, którzy wprowadzili ją do środka i wyszli, starannie zamykając za sobą drzwi.



W wyłożonej boazerią i książkami bibliotece panował zupełny mrok, ponieważ okiennice zostały zamknięte. Amy wyczuła czyjaś obecność w mroku i domyśliła się, że to El Capitan.

Z ciemności dobiegł znajomy, głęboki głos.

- Tu, pani Parnell. Za biurkiem.

- To ci nie ujdzie na sucho! - wykrzyknęła Amy. - Nie jestem twoim więźniem. Mogę chodzić, gdzie mi się podoba!

- Ależ ty jesteś moim więźniem. Będziesz wychodzić wtedy, kiedy ja ci pozwolę. I - usłyszała dźwięk przesuwanego krzesła na kamiennej posadzce - i będziesz ukarana za każde nieposłuszeństwo.

Amy zadrzała, ale odparła dzielnie:

- Trzymaj się ode mnie z daleka! Zacznę krzyczeć!

- Proszę bardzo - odrzekł, okrążając biurko i zbliżając się powoli.

- Mam tu chyba jakieś prawa! - oznajmiła starając się opanować drżenie głosu.

- Oczywiście.

- Powiem Magdalenie i Pedrico!

- Na co czekasz? - zbliżył się i spojrzał na nią z góry. Biała koszula była na pół rozpięta. Smagła pierś lśniła cieniutką warstewką potu. A kiedy powoli zdjął przez głowę Kamień Słoneczny i włożył go do kieszeni spodni, Amy z trudem przełknęła ślinę. Nigdy nie wyglądał tak groźnie.

Spojrzała z lękiem w czarne oczy. Emanowały ciepłem. Amy zadrzała mimo woli i zaszlochała bezradnie, gdy jego silne ramiona objęły ją ciasnym uściskiem, tuląc do muskularnego, twardego ciała.

- Czego chcesz ode mnie? - wyszeptała urywanym szeptem z ustami przy jego ramieniu.

- Wszystkiego - odparł.

Karą Amy za próbę ucieczki była spędzona w bibliotece godzina z jej chłodnym prześladowcą. I jak zwykle - wbrew jej woli - cielesna kara stała się dla niej źródłem pełnej poczucia winy rozkoszy.

Tym razem para przeciwników kochała się dziko i zapamiętale, jakby nigdy nie mieli się sobą nasycić. Wreszcie zaspokojeni, legli na kanapie, a El Capitan gładził długie, rozpuszczone włosy Amy.

- Nie możesz ode mnie uciec - powiedział w półmroku.

Z policzkiem na jego piersi, czując ciężkie uderzenia jego serca Amy wyszeptała:

- Ucieknę i tak. I to wtedy, gdy będziesz się tego najmniej spodziewał.

Od przybycia do Orilli El Capitana i jego oddziału minął tydzień. Amy nie opuściła rancho, jeżeli nie liczyć nieudanej ucieczki. Wiedziała, że jeśli w najbliższym czasie nie uda się do Sundown, ludzie zaczną się zastanawiać i martwić.

Była pewna, że rozeszła się już wiadomość, iż Quintano wraz ze swymi ludźmi stacjonuje w Orilli. Jeżeli nie zjawi się w mieście jak co tydzień, mogą zacząć krążyć szpetne plotki.

Chcąc nie chcąc musiała zatem udać się na poszukiwanie aroganckiego El Capitana. Był późny poranek. Znalazła go na zachodnim patio i zbliżyła się z wahaniem.

Siedział z nogami wyciągniętymi daleko przed siebie; marzycielskim wzrokiem wpatrywał się w przestrzeń.

Amy odchrząknęła.

Obejrzał się szybko i przez chwilę patrzył na nią przenikliwie. Dopiero po chwili skinął głową i wstał:

- Czemu zawdzięczam ten zaszczyt, pani Parnell?

- Chciałam zapytać, czy mogę dziś przed południem pojechać do miasta - nienawidziła siebie za ten ton wystraszonego dziecka.

- Ależ tak, naturalnie. Każę Pedrico zawieźć cię. Jak długo zamierzasz tam pozostać?

Tym razem temperament Amy zapłonął jak pochodnia.

- Skąd mam wiedzieć? Czy mam obowiązek rozliczania się z każdej minuty mojego dnia?

- Nie, sądzę, że każda godzina twojej nocy wystarczy, pani Parnell.

Amy spiorunowała go wzrokiem.

- Jesteś zdeprawowany, obrzydliwy i wstrętny!

- I co z tego?

- Niech cię piekło pochłonie!

Amy odważyła się zadawać Pedrico takie pytania, jakich nigdy nie zadałaby samemu El Capitanowi. Dlatego już w kilka minut potem, jak pomógł jej wsiąść do powozu i ruszyli obrzeżoną palmami drogą do wysokich bram rancho, Amy po raz pierwszy od tygodnia odetchnęła z ulgą.

Dotknęła dłonią ramienia starszego człowieka i zapytała po prostu:

- Proszę cię, Pedrico. Opowiedz mi wszystko, co wiesz. Spokojny jednooki mężczyzna skinął głową.

Opowiedział Amy, jak na próżno szukał młodego poranionego Luiza, którego jej bracia pozostawili na pastwę losu w głębi meksykańskiej pustyni. Opowiedział o znalezieniu odzieży i butów ze srebrnymi inicjałami.

- Ale Luiza nie było - stwierdził, potrząsając siwowłosą głową, jakby do tej pory nie był w stanie w to uwierzyć.

Kontynuował poszukiwania przez ponad dwa lata. Przejeżdżając przez małe osady meksykańskie przyglądał się twarzom, zadawał pytania i bez końca szukał Luiza, wciąż wierząc, że chłopiec żyje. Na próżno.

Wreszcie stracił wszelką nadzieję na znalezienie go. Utrzymywał się z pracy w kopalniach złota, na farmach hodowlanych i w kantynach na terenie całego Meksyku.

Amy słuchała uważnie, kiwając głową, aż Pedrico powiedział:

- A kiedy Francuzi zaatakowali Meksyk, wstąpiłem do wyzwolénckiej armii Juareza.

Umilkł nagle.

- Ale co z El Capitanem? - dopytywała się Amy. - Dlaczego za nim idziesz? To już nie ten sam młodzieniec, którego znaleźliśmy. Jest zimnym, twardym człowiekiem, który...

- Senora Amy - przerwał Pedrico. - Za El Capitana Quintano oddałbym życie! Nie wie pani, jak to było. Zawdzięczamy mu wszystko, wszystko...

- Nie rozumiem. Co masz na myśli?

- Nasz dzielny, ale źle wyszkolony oddział został odcięty od głównych sił. Zagubieni, rozproszeni, przerażeni, nie wiedzieliśmy, w którą stronę się zwrócić. - Pedrico potrząsnął głową i uśmiechnął się. - A kiedy okrążyli nas Francuzi i nasza sytuacja wydawała się beznadziejna, ze wzgórz zjechał ku nam potężny wojownik. Indianin z blizną na twarzy i bliznami na plecach. To był El Capitan!

Rozkazał nam uformować się w szereg, a jego obecność była tak krzepiąca, że nie zawahaliśmy się go usłuchać. Przebiliśmy się przez linie wroga z powrotem do naszych. Dopiero kiedy nas wyprowadził w bezpieczne miejsce, zdałem sobie sprawę z tego, że El Capitan to Luiz Quintano.

- I nie powiedział ci, gdzie się podziewał przez te wszystkie lata?

- Nie, senora, a ja nie pytałem. El Capitan jest bardzo skrytym człowiekiem.

- Tak. Rzeczywiście.

Wysłuchiwała spokojnie, jak Pedrico wychwalał pod niebiosa człowieka, którego znał jako prawego i nieustraszonego. Było oczywiste, że jego lojalność dla El Capitana jest niepodważalna.

Amy westchnęła w duchu.

Była skazana na przeżywanie swojego prywatnego piekła, podczas gdy wszyscy naokoło pozostaną ślepi na jej cierpienia. Pedrico, Magdalena, nawet stary Fernando podziwiali El Capitana. Cieszyła ich jego obecność w Orilli i z całego serca pragnęli mu się przypodobać.

A ona była o wiele za dumna na to, by wyznać, co stało się... co wciąż jeszcze działo się pomiędzy nią i nieludzkim dowódcą. Nie mogła nikomu powiedzieć, że jest seksualną niewolnicą we własnym domu.

Podniosła smutne oczy na grupkę małych zabudowań z palonej cegły, które pojawiły się na horyzoncie. Odetchnęła głęboko, uszczypnęła się w policzki, żeby przywrócić im rumieniec i przygotowała się na spotkania z kupcami oraz starymi przyjaciółmi, którzy nie mogą domyślić się prawdy.

## Rozdział 22

Teksaskie Sundown zbudowane było wokół głównej „plaza”, w hiszpańskim stylu miasteczek, położonych na południe od granicy. Plaza to właściwie zapiaszczony skwer z kilkoma ławeczkami i plamami cienia od topól posadzonych tu jakieś sto lat temu.

Na jego południowym skraju wznosiły się ku bezchmurnemu teksaskiemu niebu białe wieże katedry St. Mary. W bezpośrednim sąsiedztwie misji znajdowało się więzienie Sundown - na razie puste, ale stan ten zmieni się zapewne jeszcze przed zapadnięciem zmroku.

Po zachodniej stronie placu do St. Mary przylegał ceglany budynek koloru piasku. Grube filary podpierały dach werandy, a na jednym ze wsporników wisiała ogromna, biała tablica z napisem „U Maca”.

Ponury pałac Maca stanowił połączenie magazynu z artykułami zbożowymi, apteki, sklepu spożywczego, warsztatu rymarskiego, składu mebli, a także urzędu pocztowego. Mac, Irlandczyk o potężnych pięściach i równie potężnym brzuchu, odziany był zawsze w biały fartuch, a nań zakładał pas z coltami kaliber 44. Uśmiechał się częściej niż marszczył brwi, a jego błękitne oczy często błyszczały wesoło. Nie bał się nikogo z wyjątkiem własnej, maleńkiej meksykańskiej żony, Leny, a czwórka ich ciemnowłosych i ciemnookich chłopaków uwielbiała ogromnego, dobrodusznego ojca.

Hałaśliwe knajpy, saloony z wahadłowymi drzwiami i otwarte przez całą dobę kasyna gry skutecznie odpędzały od północnej części placu wytworne damy Sundown. Były jednak kobiety, które nie obawiały się tej części miasta. Po prostu tutaj zarabiały na życie.

Ponad saloonami znajdowały się pietra, o których mówiono, że najwytworniejszy dżentelmen „może się tam zachowywać jak ostatni łajdak i lubieżnik tak długo, jak długo ma pieniądze”. Kobiety, które obsługiwały te pokoje były skąpo odziane, zmysłowe i chętne do współpracy.

Po wschodniej stronie plazy usadowiły się: salon dentystyczny, zakład pogrzebowy, fryzjer, zakład modniarski i jedyny hotel w Sundown, La Posada.

Przy wąskich, zapiaszczonych ulicach prowadzących w głąb miasta rozłożyły się skromniejsze domostwa z palonej cegły, kilka jadłodajni i garść imponujących hacjend.

Jedna z nich, okazały budynek otoczony wysokim, wymyślnie zdobionym murem z różowej cegły i dekoracyjnych stalowych krat, położony był z dala zarówno od innych zabudowań, jak i od drogi prowadzącej z miasta na południe.

Mijając go teraz, Amy spojrzała na dach pokryty czerwoną dachówką i zmarszczyła brwi. Nie powinna opuszczać miasta nie zobaczywszy się z Dianą.

Diana Clayton, wyjątkowo śliczna dwudziestodwuletnia brunetka, wykształcona na Wschodzie, powróciła do Sundown dopiero wówczas, gdy jej ojciec, bogaty właściciel kilku dobrze prosperujących kopalni złota w Meksyku, zmarł zimą sześćdziesiątego czwartego.

Diana była wesola, inteligentna i raczej miła w obyciu, choć nieco rozpieszczona i samolubna. Amy zaprzyjaźniła się z nią od pierwszej chwili, gdy się spotkały. A stało się to u Maca.

Amy odbywała swą cotygodniową wycieczkę do Sundown po zakupy i właśnie odczytywała listę najpilniejszych potrzeb, gdy Diana Clayton zawołała ją z drugiej części pomieszczenia. Sympatyczna brunetka podbiegła do niej, trzymając w rękach perkalową suknię w żółto - zielone kwiaty, którą właśnie ściągnęła z wieszaka na stoisku z damską odzieżą.

- Co o tym sądzisz? - zwróciła się do Amy.

- Chcesz znać prawdę? - młoda kobieta uśmiechnęła się, unosząc pięknie zarysowane brwi.

Diana przytaknęła.

- Absolutnie potworna - stwierdziła Amy zdecydowanie, potrząsając głową.

- Zgadza się w pełni - odparła Diana, z wesołym śmiechem przyciskając suknię do ponętnego ciała. - Widzę, że w tej dziurze nie znajdę nic przyzwoitego do ubrania.

Odrzuciła suknię i wyciągnęła dłoń.

- Diana Clayton. A ty jesteś Amy Parnell. Masz czas na filiżankę herbaty lub kawy, zanim wyjedziesz? Umieram z nudów i chyba oszaleję, jeśli nie spędzę choć godziny z kimś w moim wieku. Daj mi ten koszyk. Mój powóz stoi na zewnątrz. Jeżeli wolisz, możemy napić się wina albo nawet mrożonej tequili. Przyjdiesz?

- Prowadź - odparła Amy, marząc, by posłuchać opowieści Diany o dalekim, wspaniałym i tętniącym życiem Nowym Jorku.

Od tego poranka zostały przyjaciółkami. Widywały się przynajmniej raz na tydzień, zazwyczaj w posesji Diany. Popijały madere, plotkowały i śmiały się jak młode dziewczęta. Diana bez skrępowania opowiadała o burzliwym, czteroletnim romansie, jaki przeżyła w Nowym Jorku. Dżentelmen był bardzo przystojny, bardzo bogaty i bardzo żonaty. Amy nie potępiała postępowania Diany.

A teraz, przejeżdżając obok muru otaczającego hacjendę Claytonów, zdała sobie sprawę, że nie jest w nastroju do rozmowy z Dianą. W zasadzie nie jest w nastroju do rozmowy z kimkolwiek. Nie ma jednak wyboru. Jeśli nie chce, aby towarzystwo z Sundown odgadło jej mroczną tajemnicę, musi zachowywać się jak zwykle.

- Pedrico, pójdę najpierw do Maca po parę drobiazgów.

- Si, senora. A ja zatrzymam się i przywitam ze starym Macem.

- Wspaniale. A potem, jeżeli masz ochotę na drinka albo partyjkę pokera w saloonie, nie krępuj się.

Jednooki mężczyzna potrząsnął głową.

- Nie, muszę czekać, senora. Dokładnie przed drzwiami Maca. Amy starała się, aby nie wyczuł irytacji w jej głosie.

- Chyba nie zrozumiałeś, Pedrico. Przez całe lata jeździłam sama do Sundown po zakupy i na spotkania z przyjaciółmi. Mogę zostać w mieście nawet kilka godzin. Po prostu nie musisz...

- Por favor, senora Amy. To żaden kłopot. Mogę poczekać.

- To jego pomysł, co?

- Czyj, przepraszam?

- El Capitana - odparła obojętnie. - Kazał ci mnie pilnować, prawda?

Pedrico przepaszająco wzruszył ramionami. Zaciśnęła zęby z westchnieniem, po czym uśmiechnęła się przelotnie i poklepała go po ramieniu.

- Nie sprawię kłopotu, Pedrico. Podrosłam przez te kilka lat. Meksykanin zaśmiał się i skinął siwą głową, z czułością wspominając samowolną dziewczynkę, jaką była niegdyś.

- Si - powiedział. - Trudno mi uwierzyć, że ta mała Amy jest teraz dorosłą kobietą i ma własne dziecko.

- Tak, cóż... Po zakupach wybiorę się do La Posada i porozmawiam z paniami, które są w Sundown.

- Ach, si. Si.

- Po drodze do domu będę chciała zatrzymać się w hacjendzie Claytonów przy...

- Pamiętam dom starego Claytona. Śliczna senorita Diana wróciła ze Wschodu.

- O? I któż ci to powiedział? El Capitan? - syknęła Amy, dziwnie zirytowana. Przyszła jej do głowy niemiła myśl. Czyżby piękna i inteligentna Diana Clayton już ściągnęła na siebie uwagę mrocznego i zmysłowego El Capitana?

- Nie - z przekonaniem zaprzeczył Pedrico. - To nie El Capitan. Nie sędzę, żeby pamiętał młodą Claytonównę. Miała tylko dwanaście lat, kiedy został... kiedy opuszczał Orillę.

Amy przytaknęła, czując lekki ból głowy.

- To i tak nie ma znaczenia. Jeżeli nie spotkam Diany u Maca lub w La Posada, wstąpię do niej.

Chodniki, sklepy i saloony Sundown pełne były niebieskich mundurów żołnierzy pozostających pod komendą El Capitana. Uśmiech Maca był szerszy niż zwykle, a jego żona, Lena, szwargocząc po hiszpańsku i krzając się wesoło, obsługiwała roześmianych młodych ludzi, którzy mieli aż za wiele czasu i pieniędzy.

- Czy to nie wspaniałe, pani Amy? - odezwał się Mac, poprawiając wysłużony pas pod okazałym brzuszkiem. - W ciągu tygodnia zarobiłem więcej pieniędzy niż kiedy indziej w miesiąc - pokiwał okrągłą, łysiejącą głową. - Tak, pszepani, dobrze jest mieć w mieście Quintano i jego ludzi.

Amy nie miała wyboru, musiała uśmiechnąć się do uszczęśliwionego Irlandczyka.

- Tak, ja też bardzo się cieszę, że mamy w Orilli kapitana i jego ludzi.

- No, myślę! Jak dawno temu Luiz Quintano opuścił okolicę? Osiem, dziesięć lat? Był wtedy małym chłopcem. Założę się, że była pani zaskoczona, widząc go znowu po wszystkich tych latach.

Uśmiech Amy twardo pozostał na miejscu.

- Nawet pan sobie nie wyobraża jak bardzo. I na tym stanęło.

Miasteczko wrzało. O ile mieszkańcy północnych rejonów kraju mogliby się dziwić ciepłemu przyjęciu, z jakim spotkali się meksykańscy żołnierze, tu, w pobliżu granicy, nie było w tym nic niezwykłego. Młodzi, sympatyczni chłopcy z wyzwolenczej armii



Benito Juareza nie byliby witani serdeczniej, gdyby nosili mundury kawalerii Stanów Zjednoczonych.

Kupcy z Sundown, których interesy ucierpiały bardzo z powodu suszy, uznali przybycie rozrzutnych meksykańskich wojaków za łaskę od Boga. Obecność żołnierzy w Sundown i okolicy była błogosławieństwem także dla licznych rodzin zamieszkujących ten odległy, niebezpieczny rejon, w którym ataki Apaczów były czymś równie zwyczajnym, co burze piaskowe przetaczające się po nagich równinach.

Inwazja przystojnych, młodych oficerów wprawiła w euforie niejedną rozmarzoną dziewczynę i niejedną wojenną wdowę.

Tymczasem do Maca weszło kilka kobiet i wszystkie zarzuciły Amy pytaniami: od Minnie McDaniel, siedemdziesięciosześcioletniej, przygłuchej starej panny po Katie Sue Longley, piegowatą i rudowłosą córkę fryzjera.

Amy odpowiadała na ich pytania uprzejmie i z uśmiechem. Kiedy jednak pojawiły się zdyszane z pośpiechu Judy Bradford, Glenda Thurston i Sally Byers, oznajmiając, że właśnie dowiedziały się o obecności Amy w mieście, młoda kobieta doszła do wniosku, że dopiero teraz zacznie się prawdziwe przesłuchanie.

Przesłuchanie zaczęło się jednak dużo później - kiedy Judy, Glenda, Sally i Amy natknęły się na Dianę Clayton, siedzącą w nasłonecznionym, wyłożonym cedrowym drzewem przedsionku białego hotelu La Posada. Od tej chwili Judy, Glenda i Sally słuchały uważnie, a ciekawska Diana pytała o wszystko, o co chciałyby zapytać młodziutkie żony i matki z całego miasta.

- Opowiedz nam wszystko, Amy Sullivan Parnell - Diana w ciągu kilku sekund wciągnęła Amy i pozostałe panie do obszernej hotelowej jadalni. Zaprowadziła je do przykrytego białym obrusem stołu przy najdalszej ścianie. Posadziła Amy na krześle, sama usiadła obok i stwierdziła:

- Wszystkie go widziałyśmy i chcemy znać prawdę. Jak dotąd wydaje mi się zupełnie fascynujący.

- Jest niebezpieczny - odparła Amy bez zastanowienia. - Jeżeli o to ci chodzi.

Oczy Diany zabłysły podnieceniem.

- Naprawdę? Czy jest aż tak ponętny i dziki, jak na to wygląda? Czy próbował się z tobą kochać? Doug będzie okropnie zazdrosny,

kiedy o tym usłyszy! Czy El Capitan mieszka w hacjendzie razem z tobą? Czy sądzisz, że przyjdzie do mnie na kolację?

Amy, zdecydowana utrzymać resztki panowania nad sobą, uśmiechnęła się, przechylając jasnowęsłą główkę.

- Poczekaj chwilę. Sądzę, że odpowiedzi na twoje pytania w kolejności będą brzmieć tak: Nie mam pojęcia. Nie. Nie. Właściwie nie. Dlaczego sama go o to nie zapytasz?

Roześmiały się wszystkie, Amy razem z nimi. Była dumna, że do niczego się nie przyznała, nawet, gdy w trakcie lunchu Diana i pozostałe stanowczo odmówiły rozmowy na jakikolwiek inny temat niż żołnierze i ich przystojny komendant.

Poczuła jednak pewną ulgę, gdy posiłek się skończył i nadszedł czas wyjazdu. Na kamiennej werandzie panie pożegnały się, przyrzekając sobie spotkanie za tydzień. Amy i Diana obserwowały, jak odjeżdżają w pośpiechu.

Diana ujęła Amy pod ramię i mrużąc oczy od słońca stwierdziła:

- No, teraz możemy spokojnie porozmawiać.

- Chciałabym, Diano, ale muszę wracać na rancho.

- Nie! Przecież jest dopiero trzecia. Nigdy nie odjeżdżałaś tak wcześnie.

- Wiem, ale... - Amy spojrzała na drugą stronę ulicy. Powóz wciąż jeszcze stał przed magazynem Maca. - Jeden z żołnierzy przywiózł mnie tutaj i...

- Kto? El Capitan? - źrenice Diany rozszerzyły się z zaciekawienia. - Czy to on czeka przy powozie? Och, Boże, pójdę tam z tobą i...

- Diano - przerwała Amy. - To nie on. Na litość boską, zachowujesz się zupełnie nierozsądnie...

Diany nie uraziła uwaga przyjaciółki.

- Chciałabym naprawdę mieć okazję do nierozsądnego zachowania - roześmiała się. - Mówiłam ci już, że byłam właśnie u modystki, gdy El Capitan wjechał do miasta ze swym oddziałem. Wyjrzałam zwabiona hałasem i zobaczyłam na czele oddziału najprzystojniejszego, najbardziej niebezpiecznie wyglądającego mężczyznę, jakiego kiedykolwiek zdarzyło mi się oglądać.

- Tak, tak, mówiłaś już.

- Ta długa blizna na policzku. Mmm, ciekawe, skąd ją ma?

- Nie mam pojęcia.

- Siedział na wspaniałym, czarnym ogierze, wyprostowany jak struna. - Diana zadrżała na samo wspomnienie i szybko dodała: - Jego ciemną twarz i czarne włosy pokrywał pył. Plecy błękitnej bluzy przesiąknięte były potem.

- To bardzo ciekawe, Diano, ale...

- Białe spodnie były tak obcisłe, że widziałam, jak mięśnie jego ud napinają się i...

- Diano, muszę iść! - głowa Amy pulsowała bólem.

- Wiesz, zastanawiam się... cóż, dobrze, ale oddaj mi małą przysługę. Powiedz El Capitanowi, że ciemnowłosa kobieta, która machała do niego spod sklepu modystki byłaby zaszczyconą, gdyby zechciał zjawić się u niej na kolacji któregoś wieczoru. Powiesz mu to?

- Tak. Tak, powiem.

- Doskonale! A otóż i William z moim powozem. Czy możemy podwieźć cię na drugą stronę plaży?

- Nie, przejdę się.

- Jak wolisz - Diana uściskała Amy. - Było mi miło zjeść z tobą lunch. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu - roześmiała się i dodała: - Pozdrów ode mnie El Capitana. Zanim sama mu nie przekażę moich najserdeczniejszych pozdrowień - wciąż jeszcze śmiała się, kiedy lokaj pomagał jej wsiąść do czarnego powozu.

Wreszcie odjechała, a Amy odetchnęła z ulgą. Była zupełnie wykończona. Marzyła jedynie o powrocie do Orilli, chłodnej kąpieli i drzemce przed kolacją.

Uniosła rąbek prostej, bawełnianej spódnicy i ruszyła zakurzoną ulicą, na której żołnierze kupowali od meksykańskiego handlarza pieczone kiełbaski i słodkie pralinki. Słońce mocno paliło jej obolałą głowę, zanim dotarła na drugą stronę placu.

Odczekała, aż minie ją trójka jeźdźców i spojrzała w kierunku oczekującego na nią powozu. Czarny, lśniący but woźnicy spoczywał na hamulcu.

Dzięki niebiosom, czekał na nią. Będą mogli natychmiast wyruszyć.

Szybko przebiegła ulicę i okrążyła powóz. Miała właśnie zawołać go po imieniu, gdy pojazd zakotłosał się pod jego ciężarem, mężczyzna zeskoczył z siedzenia i stanął dokładnie naprzeciw Amy.

Ku swemu zdumieniu Amy stwierdziła, że patrzy nie na poczciwego, jednookiego Pedrico Valdeza. Mroczna, mocno rzeźbiona twarz miała dwoje oczu jak z błyszczącego obsydianu, i długą, białawą bliznę wzdłuż policzka, bliznę, która skręciła się od szatańskiego uśmiešku szerokich, zmysłowych warg.

El Capitan.

## Rozdział 23

Stał tam z przechyloną na bok głową, przystojny jak sam diabeł, i jak zawsze pewny siebie. Bawiło go jej zaskoczenie i zakłopotanie. Bezczelnie oczekiwał jakiejś gwałtownej reakcji. Chciał zobaczyć, jak Amy robi z siebie widowisko.

Doskonale, może sobie czekać, ten pyszałkowaty bękart, aż do sądnego dnia! Była idiotką, zdawała sobie z tego sprawę, ale, do diaska, dlaczego wszyscy mieszkańcy miasteczka mają o tym wiedzieć?

Amy odzyskała już panowanie nad sobą i, jak wielka aktorka, grająca swą rolę przed najbardziej wymagającą publicznością, spojrzała na El Capitana chłodno, bez emocji, nawet z zadowoleniem.

Obdarzyła go najśłodszy z swych uśmiechów i powiedziała:

- Ach, Capitan. Jak to miło. Mam nadzieję, że nie było panu zbyt gorąco w tym słońcu.

Nie czekając na odpowiedź, minęła go i skierowała się ku przedniemu siedzeniu powozu.

- Wcale nie - usłyszała głęboki, dźwięczny głos.

I zanim zdążyła wsiaść, dwie silne dłonie objęły ją w pasie. Bez trudu uniósł ją na wysokie, wyściełane siedzenie, a jego ręce pozostały na jej talii o jedno uderzenie serca za długo.

Amy doskonale uświadamiała sobie spojrzenia ludzi dokoła siebie, więc tylko uśmiechnęła się dostojnie, układając wokół stóp fałdy długiej spódnicy i spokojnie czekała aż jej prześladowca okrąży powóz i wskoczy na siedzenie obok niej, umyślnie siadając zbyt blisko. A kiedy kolanem dotknął jej kolana, Amy westchnęła spazmatycznie, ale nawet nie mrugnęła okiem.

Oczy całego miasteczka zwrócone były na nich, gdy El Capitan odwinął z rączki hamulca długie lejce i popędził konie. Z głową pulsującą bólem Amy nie przestawała kłaniać się znajomym i starym przyjaciółom. Zastanawiała się z rozpaczą, czy całe Sundown będzie ślepe na prawdziwą naturę mrocznego El Capitana. Jak dotąd w jej rodzinnym miasteczku był powszechnie uwielbianym bohaterem. Nikt nie przypuszczał, że jest zimnym, okrutnym zdobywcą, który więził ją wbrew jej woli - nawet teraz.

On jednak ściągał spojrzenia pełne aprobaty i szacunku, zarówno młodzieży, jak i starszych. Amy, rzucając na niego ukradkowe spojrzenia, doszła do wniosku, że ta sama mroczna twarz, która tak

groźnie pochylała się nad nią każdej pełnej żądzcy nocy, wydawała się teraz o wiele mniej posepna, mniej złośliwa z tym rozbrajającym uśmiechem, z jakim pozdrawiał ludzi tłoczących się na skraju ulicy.

Przez chwilę była w nim nawet ta urocza, niszczyielsko kusząca chłopięć, którą pamiętała sprzed lat.

Amy nie dała się oszukać.

Jeśli przybrała twarz w maskę spokoju i uprzejmości, on nosił ją także. Ci ludzie sądzili, że znają Luiza Quintano. Jakże się mylili! Tylko ona zna prawdziwego El Capitana. Na samą myśl o przebywaniu z nim sam na sam przez całą drogę powrotną do Orilli czuła zimny dreszcz.

Nie wiedziała z czyjej twarzy - jego czy jej - wcześniej zniknął uśmiech. Gdy wreszcie minęli skraj miasta, odsunęła się najdalej, jak to było możliwe i gniewnie spojrzała w jego twarz, w której nie było już ani śladu uprzejmości.

Amy nerwowo oblizwała wargi.

- Co zrobiłeś z Pedrico?

- Odesłałem go do domu - odparł. - Nie jest już młodzikiem. Długo byłeś w mieście, a pustynia zaczyna się nagrzewać.

Spod przymkniętych powiek spojrzał na drogę.

- Wszystko, co mówisz jest prawdą. A ja powiem ci jeszcze kilka nowych prawd - podbródek Amy powędrował ku górze, ale głos pozostał obojętny. - Pedrico nie będzie coraz młodszy. Pustynia nie będzie coraz chłodniejsza. A ja będę pozostawać w Sundown - czy gdziekolwiek mi się spodoba - tak długo, jak zechcę.

Szybko zacisnęła palce na poręczy siedzenia, broniąc się przed czymś, co musiało nadejść. Zaraz ostro zwróci ku niej ciemnowłosą głowę, spojrzy czarnymi, złośliwymi oczami i powie, że Amy będzie robić wyłącznie to, co on jej rozkaże.

Ale nie zrobił tego.

Zachowania El Capitana nigdy nie dało się przewidzieć. Milczał przez dłuższą chwilę, skupiając uwagę na drodze. Potem nieznacznie wzruszył ramionami.

- Ponieważ wydaje się, że wiesz wszystko, zapewne zdajesz sobie sprawę, że Apacze znowu schodzą ze wzgórz i rozrabiają.

Zwrócił się ku niej powoli. Przysłonił rzęsami zaskakująco łagodne oczy i zapytał tonem równie czułym jak jego spojrzenie:

- Czy wiesz, co Apacze mogą zrobić z kobietą, kiedy dostaną ją w swoje ręce?

Po raz pierwszy Amy dostrzegła w niewzruszonym dowódcy jakiś ślad wrażliwości i serce zabiło jej mocniej.

Nie zawahała się jednak ukłuć go jadowitym żądłem:

- Czy to samo, co ty robisz ze mną każdej nocy?

Piękna twarz stała się natychmiast nieruchoma i spokojna, jedynie ciche uderzenia końskich kopyt mąciło pełne napięcia milczenie.

Amy machinalnie odsunęła się jeszcze dalej, tak że jej prawe ramię wystawało poza baldachim ocieniający powóz.

Denerwowała ją ta cisza. Wolałaby, żeby krzyczał i wygrażał jak normalny, sprowokowany mężczyzna. Ta zimna, niema furia była o wiele groźniejsza.

Kiedy wreszcie przemówił, drgnęła, zupełnie zaskoczona.

Nie patrząc na nią odezwał się spokojnie:

- Zagrożenie atakiem Apaczów jest jedyną przyczyną, dla której nie chcę, żebyś wyjeżdżała samotnie. Nie muszę chyba opowiadać ci o okrucieństwach, do jakich są zdolni.

- Nie. Rozumiem - odparła i skinęła głową, jak zwykle w rozmowie z nim zupełnie zbita z tropu.

Oczekiwała, że powie coś więcej, ale nie odezwał się już. Jechali w milczeniu. Nagle zerwał się lekki, zachodni wietrzyk. Piasek wirował po równinie i Amy musiała odwrócić twarz od uderzeń wiatru i pyłu.

El Capitan nie zwracał uwagi na pył. Doskonale panował nad nerwowymi końmi i mógł obserwować nieszczęśliwą kobietę, która siedziała u jego boku. Czynił to bez skrępowania.

Doszukiwał się wad - czegokolwiek, co pozwoliłoby mu uwierzyć, że nie jest to ta dziewczyna, o której marzył od lat - ale nie mógł nic znaleźć. Złociste włosy, skryte teraz pod szydełkowym kapturkiem, były długie i jedwabiste jak zawsze. Jasna skóra wciąż gładka, młodzieńcza i cudowna w dotyku. Wysokie, inteligentne czoło dodawało jej twarzy wyniosłości i dumy. Wreszcie oczy - błyszczące, błękitne, zwiastujące wybuch namiętności. Usta o pięknym wykroju, tak cudownie zmysłowe, zapraszały do pocałunku.

Zwężone, badawcze oczy powędrowały ku delikatnej, białej szyi i niżej, ku pełnym, jędrnym piersiom, które mocno napinały zgrabny gorset wykrochmalonej, ale już lekko spłowiałej bawełnianej sukienki.

Talia była wąska, a gorące biodra i twarde uda pod fałdami spódnicy stanowiły czystą doskonałość.

Zmusił się, by znowu spojrzeć na drogę.

Była tak piękna, że zapierało dech w piersi.

Pomyślał, że to dobrze, iż jest tak kusząca. Może się nią teraz napawać jak nigdy przedtem.

Aż do ponownego powołania na front może posiadać ją za każdym razem, kiedy zechce. Może ją rozbierać i podziwiać jej czarowne ciało. Może rozkoszować się długimi godzinami miłości jak błogim, fizycznym odprężeniem, którym stały się dla niego. Słodka rozrywka bez znaczenia.

I zawsze, niezależnie od tego, jak intensywna była rozkosz, ekstaza sięgała jedynie jego ciała, nigdy serca. Nigdy. A gdy nadejdzie czas odjazdu, będzie mógł odrzucić ją i po prostu zapomnieć, tak, jak ona zapomniała o nim tego ostatniego lata ich młodości.

Amy wydawało się, że droga powrotna do Orilli trwała wieczność. Ale nie skierowali się do hacjendy. Jechali w kierunku wzniesienia na północnym wschodzie. Pytając spojrziała na Luiza i otworzyła usta. Lodowate spojrzenie czarnych oczu odebrało jej mowę.

Powóz wspiał się na łagodne wzniesienie i Amy zobaczyła dziesiątki ludzi El Capitana pracujących w popołudniowym słońcu. Odrzucili bluzy i koszule. Nagie, opalone plecy lśniły od potu. Kopali i odwracali ziemię w dawno nie używanym kanale.

Powóz przejechał obok pracujących mężczyzn, którzy pozdrawiali ich okrzykami. El Capitan ściągnął lejce, wysiadł i podszedł do swoich ludzi. Kiedy wrócił, Amy nie zapytała, co tu robią ci żołnierze.

- Czy wreszcie zabierzesz mnie do domu? - syknęła.

- Jeszcze nie teraz - odparł. - Najpierw pojedziemy nad rzekę.

- Nad rzekę? - Amy potrząsnęła głową. Chce ją zabrać nad rzekę!

Nad wyschniętą Puesta del Sol!

- Nie! - zaprotestowała ostro, marszcząc brwi. - Nie chcę jechać nad rzekę. Tam nic nie ma. Rzeka wyschła wiele lat temu. Zabierz mnie do domu.

- Będziemy w domu o zachodzie słońca - oznajmił i jechał dalej. Powóz podskakiwał na twardej, spękanej ziemi pnąc się uparcie



w stronę rzeki. Amy siedziała zmęczona i wściekła. Jej rozpacz rosła za każdym razem, kiedy obijała się o jego twarde ramię albo powóz podskakiwał na nierównościach terenu.

Chciała jechać do domu. Chciała uciec od El Capitana. Męczyło ją pragnienie, upał i w ogóle była nieszczęśliwa.

Zapomniała jednak o wszystkim, gdy zatrzymali się na płaskim, pokrytym piaskiem brzegu rzeki. Jakiś dźwięk - znajomy, a jednak nie słyszany od lat - przykuł jej uwagę. Amy odwróciła głowę i słuchała z otwartymi ustami.

Woda!

To był dźwięk wody spadającej z góry do jeziora poniżej.

El Capitan zdjął Amy z siedzenia powozu. Wsparła dłoń na jego twardym bicepsie i spojrzała pytająco. Milczał. Postawił ją na ziemi. Przyglądała mu się uważnie.

Nagle określiła się na pięcie, uniosła spódnicę i pobiegła w stronę koryta strumienia. Krew zaczęła dudnić jej w skroniach, serce waliło jak oszalałe.

W ciągu kilku sekund znalazła się na gładkim brzegu rzeki. Spojrzała z niedowierzaniem w górę, gdzie rozhukany, spieniony strumień wypływał spod wystającego kamienia i kaskadą spadał do rzeki. Rzeki, która znowu była pełna czystej, zimnej wody.

Podniosła dłonie do rozgrzanych policzków. Potrząsnęła głową, przymknęła oczy i znowu je otworzyła, i wciąż widziała majestatyczny wodospad i przejrzystą, wartką rzekę.

- Ale w jaki... - obróciła się gwałtownie i zderzyła z wysoką, smukłą sylwetką El Capitana. Oślepił ją blask dysku Kamienia Słonecznego, spoczywającego na jego brązowej piersi. Zadrżała. Powoli podniosła na niego zdumione oczy.

Zamiast odpowiedzi - Luiz ujął zimną, miękką dłoń Amy i wsunął za koszulę. Ułożył bezwładne palce wprost na Kamieniu Słonecznym i cofnął własną dłoń.

Amy z trudem przełknęła ślinę.

Dłonią czuła drogocenny, twardego metalu Kamienia Słonecznego, a pod wrażliwymi palcami - gorące, gładkie ciało i mocno bijące serce jego zagadkowego właściciela.

Boga Słońce.

## Rozdział 24

Był wczesny ranek.

Świt powoli wypełzał na pustynię Chihuahua.

Luiz Quintano, dosiadłszy czarnego ogiera Noche, objeżdżał północny skraj ziem należących do rancho. Patrzył na ogromne obszary i czuł, że jego serce rozpira duma.

Orilla.

Jego Orilla.

Orilla, za którą tak rozpaczliwie tęsknił przez te wszystkie puste lata spędzone z dala od niej. Orilla z polami szaławii, pastwiskami, gorącymi płatami pustyni, śnieżnymi szczytami w oddali i łączącym wszystko niebieskim niebem.

Jej przenikliwa cisza, zmacona jedynie wyciem wiatru. Słodka samotność, kojący balsam na zranioną duszę.

Luiz odetchnął głęboko suchym, czystym powietrzem.

Ileż razy śnił o tym, by powrócić tutaj, w swe rodzinne strony. Ile bezsennych nocy w hałaśliwych miastach strawił na marzeniach o spokoju swego pustynnego domu. Ile dni spędził na niewdzięcznej pracy lub dręczącej beczynności, pragnąc znaleźć się na grzbiecie szybkiego konia, by goniąc morze ryczących longhornów, podążać do zagród Orilli. Przez De dusznych popołudni marzył o zanurzeniu się w lodowatej, czystej wodzie Puesta del Sol.

Przez tę krótką chwilę, kiedy blade światło nadchodzącego dnia oblewało ogromne przestrzenie jego ukochanej Orilli, czuł się znowu szczęśliwym młodzieńcem. Ostatnie dziesięć lat odeszło w niepamięć.

Znów był siedemnastolatkiem, najlepszym jeźdźcem w Orilli.

Szeroki uśmiech złagodził ostre rysy. Luiz nagle klepnął zad swego rumaka i odezwał się na głos:

- Co ty na to, Noche? Myślisz, że wciąż jeszcze potrafię to robić?

Koń zarżał donośnie i zatańczył w miejscu. Luiz roześmiał się.

I naraz z całkowitą pewnością siebie i niezwykłą zręcznością poderwał się, stając na lśniącym grzbiecie swego wierzchowca. Sprawdziwszy, czy mokasyny umieszczone są dokładnie tam, gdzie być powinny, aby utrzymać równowagę, odziany jedynie w spodnie Luiz przykucnął, a potem ostrożnie podskoczył kilka razy, aby zapewnić sobie prawidłowe oparcie.

Rozluźnił wszystkie mięśnie. Człowiek i koń zmienili się w jedno pulsujące wcielenie wdzięku, siły i szybkości. Noche parsknął i ruszył

z kopyta lekkim, miękkim klusem. Harmonijne, symetryczne ruchy gładkiego, silnego ciała doskonale współgrały z ciałem jeźdźca. Luiz bez trudu utrzymywał równowagę, rozkoszując się wiatrem smagającym mu twarz.

Jego głęboki śmiech rozbrzmiewał nad łąkami piasku i postrzępionymi arroyos. Radość ze sztuczki jeździeckiej z lat chłopięcych przyniosła dawno zapomniane upojenie.

Pędzili poprzez nagie pastwiska ku horyzontowi o barwie stali.

W głowie Luiza już rodził się plan przyszłości Orilli. W ciągu kilku tygodni trawa tobosa zacznie pokrywać kobiercem nagą, spękaną ziemię. Świeżo zakupione bydło będzie się paść i obrastać tłuszczem. Zaufani vaqueros będą objeżdżać odległe tereny i Orilla znowu stanie się taka jak za czasów swej świetności. Syn spełni swą obietnicę, którą złożył ojcu, Don Ramonowi. Obietnicę daną umarłemu.

Wszystko było możliwe.

Teraz, kiedy rzeka znowu płynęła.

Takie myśli krążyły po głowie roześmianego Luiza, który stał na grzbiecie pędzącego konia.

To rozpędzony koń, a nie jeździec decydował, kiedy zabawa ma się zakończyć. Ale człowiek odgadywał instynktownie - ruchy mięśni pod mokasynami informowały, że rozbrykane, rozbawione zwierzę ma nadzieję przyłapać człowieka na chwili nieuwagi i zamierza zatrzymać się gwałtownie, tak, by go zrzucić.

Luiza jednak niełatwo było zwieść. W kilka sekund później wykonał piękne salto nad łbem końskim, zwinnie przekoziółkował po ziemi, skoczył na nogi i natychmiast się obrócił.

Tuż przed nim Noche tańczył triumfalnie na tylnych nogach i rzał głośno. Luiz stanął naprzeciw niego na szeroko rozstawionych nogach.

- Wiedziałem, że to zrobisz - zawołał z uśmiechem. Podniósł ręce i strzepnął z nagiej piersi piasek.

Noche podszedł bliżej, dotknął chrapami piersi Luiza i zaczął potrząsać łbem, jakby chciał otrzepać swego pana.

- Nie. - Luiz odsunął aksamitne chrapy. - Nie wywiniesz się z tego tak łatwo, przyjacielu. Chcę się wykapać, a ty zanieziesz mnie nad rzekę.

Pełną garścią chwycił szorstką grzywę konia i pociągnął mocno.

- Do Puesta del Sol i to szybko, albo sprzedam cię kawalerii Stanów Zjednoczonych w Forcie Bliss jeszcze przed wschodem słońca.

W kilka minut potem nagie ciało Luiza przecinało chłodne, czyste fale Sunset, a po godzinie, kiedy słońce wyglądało już spoza horyzontu, Quintano był z powrotem w swej kwaterze w Orilli.

Przerzucił nogę przez koński kark, zeskoczył na ziemię i skierował się do stajni, w której trzymał Noche. Budynek ten, opuszczony i zaniedbany, stał w pewnej odległości od pozostałych zabudowań i właśnie z tego powodu Luiz go wybrał. Jako skryty, lubiący samotność człowiek, szukał tego samego dla swojego ulubionego konia.

Ogromne zwierzę posłusznie poszło za człowiekiem i wydało pełne wdzięczności parsknięcie, gdy Luiz zdjął z haka wiadro i napełnił je owsem. Nie było czasu, żeby wytrzeć Noche. Zbyt długo bawili się na pustyni. Luiz musiał się spieszyć, jeśli chciał znaleźć się z powrotem na podwórze, w pełnym rynsztunku, zanim obudzą się mieszkańcy domu i jego żołnierze.

Cicho wspiął się na schody uśpionej hacjendy. Zakradł się do głównego apartamentu, mimowolnie spoglądając na łóżko. Ujrzał fale jasnych włosów, nagie ramię o barwie kości słoniowej i zarys kształtnego biodra śpiącej na brzuchu kobiety. Ubrał się szybko, walcząc ze sobą, aby nie wślizgnąć się z powrotem do łóżka i nie kochać jej jeszcze ciepłej i ledwie rozbudzonej ze snu.

Amy dostrzegła cień mężczyzny o ciemnych włosach i ciemnej twarzy w białej koszuli, beżowych spodniach wojskowych i lśniących butach. Luiz otworzył drzwi i wyszedł, nawet nie wiedząc, że się obudziła.

Nie wstała od razu.

Sięgnęła po leżący na stoliku nocnym bawełniany szlafrok, obróciła się na plecy i okryła nim wstydliwie, wciąż nie czując się swobodnie ze swą nagością. Z oczami wlepionymi w falbaniasty baldachim nad głową przeciągnęła się, ziewnęła i przyznała w duchu, że spanie nago jest znacznie wygodniejsze.

A raczej byłoby, gdyby nie musiała dzielić łoża z nagim nieznajomym. Ognisty mężczyzna o gorącej krwi miał dziwny obyczaj usuwania z łóżka wszystkich kołder i poduszek, tak że w nocy

nie miała nawet prześcieradła, by ukryć się przed spojrzeniami jego czarnych, przenikliwych oczu.

- Rzeka! - mruknęła na głos, nagle przypominając sobie wczorajszą wycieczkę do Puesta del Sol i wzrok El Capitana, gdy położył jej dłoń na Kamieniu Słonecznym.

- Mój Boże, rzeka płynie znowu bo... bo... - Amy usiadła, przerzuciła nogi przez krawędź łóżka i mocno potrząsnęła głową. - Nie! To nie... to nie może być... On nie ma z tym nic wspólnego. Nic. Jakaż jestem śmieszna!

Zapomniała na chwilę o wstydzie, odsunęła włosy z twarzy i zapatrzyła się w przestrzeń, przywołując obraz wodospadu i szybko rwącej rzeki.

I wysokiego, władczygo mężczyzny ze złotym medalionem na piersi.

Wstrząsnął nią dreszcz, ale wmówiła sobie, że to z powodu nagości. Boże drogi, Luiz Quintano jest tylko człowiekiem. Ciało i krew. Człowiek. Nie może dokonywać cudów. Nie ma żadnych nadprzyrodzonych mocy, na litość boską!

A może jednak?

Słowa „Bóg Słońce” plątały się po jej głowie jak niepokojąca litania. Amy ubrała się niecierpliwie, zasłala łóżko i pospiesznie zbiegła na dół do Magdaleny.

Była tak podniecona, że zapomniała o swej generalnej zasadzie, by nie dyskutować o niczym ze służbą. Opowiedziała Magdalenie o wszystkim, co zdarzyło się poprzedniego dnia: jak El Capitan odwiózł ją do domu z Sundown, jak widziała żołnierzy pracujących przy oczyszczaniu starych kanałów, o spienionym wodospadzie i wirującej rzece, a także o kapitanie, kładącym jej dłoń na Kamieniu Słonecznym, i niezapomnianym wyrazie jego oczu.

- Co o tym sądzisz, Mag? Czy ja sobie to wszystko wyobraziłam? Czy to możliwe, żeby wyschnięta rzeka zaczęła znów płynąć po jego powrocie? - zapytała na końcu.

Postawna Meksykanka uśmiechnęła się.

- Amy, jak dawno temu wyschła rzeka? - zapytała. Amy zmrużyła oczy i w zamyśleniu przygryzła dolną wargę.

- Nie jestem pewna - odezwała się po chwili. - Osiem, może dziesięć lat.

Magdalena spojrzała Amy prosto w oczy.

- Rzeka wyschła dokładnie w tym samym czasie, gdy Luiz opuścił Orillę.

Zmarszczka przecięła czoło Amy. Zaśmiała się nerwowo.

- Ty chyba nie wierzysz...

- Si, wierzę - przerwała Magdalena. - Matka Luiza, aztecka bogini Xochiquetzal, dokonała cudu i pobłogosławiła to rancho darem wody dwadzieścia siedem lat temu. Potem jej syn został wypędzony z Orilli i bogini zabrała wodę. Teraz Luiz powrócił... - urwała i wzruszyła ramionami.

Amy nie odpowiedziała. Odwróciła się i zatopiona w rozmyślaniach wyszła z kuchni. Nastrój ten towarzyszył jej do późnych godzin poranka, kiedy zajęła się myciem podłogi przestronnego korytarza hacjendy.

Długie jasne włosy upięła na czubku głowy i skryła pod chustką. Ubrana w starą sukienkę do prac domowych klęczała, zmywając energicznie brud wdeptany w czerwony kamień. Kropelki potu wystąpiły nad jej górną wargą, wilgotne kosmyki włosów zwijały się w loczki wokół twarzy. Przerwała na chwilę, otarła mokrą twarz grzbietem dłoni i przysiadła na piętach, aby rozpiąć górne guziki sukienki.

Była zgrzana i zmęczona pracą. Nie miała pojęcia, że ktokolwiek może znajdować się w promieniu mili.

El Capitan stał u wejścia do holu, mniej niż dziesięć stóp od niej. Nie od razu ją zauważył, oślepiiony przejściem od jasnego światła słonecznego do ciemnego pomieszczenia. Gdy usiadła, aby rozpiąć suknię, przystanął natychmiast. A kiedy znowu opadła na kolana i zaczęła szorować kamień, znieruchomiał. Widok Amy pracującej jak służąca zabolął go tak mocno, że skoczył ku niej.

Błyskawicznie chwycił ją za ramię i silnie poderwał na nogi.

Amy z szeroko rozwartymi ustami zorientowała się nagle, że ma przed sobą twarz wściekłego El Capitana.

- Nigdy - wycedził przez zaciśnięte wargi. - Nigdy więcej nie będziesz szorować podłóg - wyjął z jej ręki szczotkę i rzucił na podłogę. - Żeby się to więcej nie powtórzyło!

Amy z gniewem wyszarpnęła ramię z jego dłoni i syknęła jadownicie:

- Jeżeli nie chcesz mnie tak oglądać, proponuję, żebyś pozostał na zewnątrz.

- Nie zrobisz tego więcej... ani żadnej innej pracy fizycznej...  
Gdzie się podziała cała służba?

- Służba? - Amy zaśmiała się z absurdalności pytania. - Właśnie na nią patrzysz, El Capitan!

- Nie masz służących?

- Och, ależ tak. Mam pełno służby. Ciągłe płaczą mi się pod nogami, ale ja tak lubię szorować podłogi! - z niesmakiem potrząsnęła głową i dodała: - Magdalena i stary Fernando. To wszyscy. A teraz przepraszam cię...

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- A czy to zmieniłoby cokolwiek? - rzuciła mu znużone spojrzenie i opadła z powrotem na kolana.

- Wstań - rozkazał.

- Mam robotę.

- Nie pozwalam.

- Nie masz wyboru - odparła.

Z niezmaconym spokojem kopnął szczotkę poza zasięg jej ręki. W błękitnych, zwężonych oczach Amy pojawił się płomień.

- A ja ci mówię, że nie! - syknęła i na czworakach popęzła w stronę szczotki.

Stalowe ramię owinęło się wokół jej talii i została podniesiona z podłogi. Instynktownie usiłowała się wyrwać, kopiąc i drapiąc wściekle muskularne ramię, które trzymało ją tak mocno, że zaledwie mogła oddychać.

- Przestań - rozkazał z tym lodowatym spokojem, o którym wiedziała, że jest bardziej niebezpieczny niż nagły wybuch gniewu. - Spokój.

Amy natychmiast zaprzestała walki, czując uszpioną siłę tej władczej natury, moc skrytą pod spokojną powierzchownością. Stała w jego objęciach sztywno i nieruchomo, pełna strachu i nienawiści do niego. I nienawiści do siebie za strach, jaki przed nim czuje. Wydawało się jej, że pozostaną tak już na zawsze: on z plecami wspartymi o ścianę, ona - przyciśnięta do niego tak, że złoty Kamień Słoneczny wbijał jej się w lewe ramię.

Nagle wypuścił ją z objęć.

Odwrócił się i ruszył długim korytarzem. Dopiero, gdy upewniła się, że El Capitan rzeczywiście wychodzi, że jest już blisko drzwi frontowych, spojrzała za nim.

- Nienawidzę cię - wyszeptała z wściekłością i rozpaczą. Jakby czytał w jej myślach, rzucił przez ramię:
- Blizny na moich plecach są tego dowodem.



## Rozdział 25

Kochana Lindo i Najdroższa Ciociu Meg,

Wasze listy dotarły do mnie dziś rano i zdążyłam przeczytać oba z tuzin razy.

Wygląda na to, że bawicie się świetnie. Bardzo chciałabym być tam z Wami. Balet i opera w jednym tygodniu! Mój Boże, Lindo, boję się, że chyba już nie zechcesz wrócić do Orilli.

U nas wszystko jak dawniej. Jest sucho i gorąco, wielka hacjenda cicha i pusta. Dni są długie, a noce jeszcze dłuższe. Jestem taka samotna, że...

Amy gwałtownie zmięła w palcach na pół skończony list. Z westchnieniem upuściła go na blat biurka i wstała. Nie miała siły dokończyć. Nie miała siły dopisać kolejnego kłamstwa.

Wszystko jak dawniej! Rzeczywiście!

Nic nie było jak dawniej. Nic. Nawet błogosławiona pustka starej hacjendy.

Dwa tygodnie temu, tego samego dnia, gdy przyłapał ją na szorowaniu podłóg, El Capitan dokonał dokładnej inspekcji całego domostwa. Nic nie mogło umknąć jego krytycznemu oku. Uważnie przejrzał wszystkie pokoje, nawet te, które były od dawna zamknięte i nie używane. Towarzyszyli mu Magdalena i Fernando.

Od razu dostrzegł, że wspaniałość hacjendy należy do przeszłości. Pootwierał wypaczone od suszy okiennice, poodsuwał zakurzone, postrzępione kotary, uważnie przyjrzał się wytartym dywanom. Z nieprzeniknioną twarzą starannie badał podłogi, ściany i sufity.

Podjął decyzję o niezwłocznym przywróceniu dawnej wspaniałości ogromnej, budowanej na hiszpańską modłę siedzibie z palonej cegły.

Dlatego też w hacjendzie codziennie panował ogromny ruch. Rozebrani do pasa żołnierze El Capitana walili młotkami, piłowali, malowali. Układali nowe dywany, wieszali nowe kotary i draperie, wnosili nowe meble.

Pół tuzina uśmiechniętych, rozgadanych meksykańskich służących, sprowadzonych przez kapitana, pracowało w pocie czoła. Odkurzali, pucowali i szorowali podłogi.

Magdalena i stary Fernando promienieli szczęściem. El Capitan obarczył gospodynię opieką nad szóstką służących i jednoznacznie dał

jej do zrozumienia, że jest teraz jedyną osobą odpowiedzialną za to, by wszystko błyszczało i lśniło.

Gdy zauważył wyraz bólu i urazy na pomarszczonej twarzy starego sługi, zwrócił się bezpośrednio do niego.

- Compadre, czy mogę na ciebie liczyć? Chcę, żebyś nadzorował to monumentalne przedsięwzięcie, jakim jest renowacja hacjendy.

- Si, El Capitan, si - skwapliwie odparł Fernando, a jego oczy zaślniły radością.

Amy sceptycznie obserwowwała tę wymianę zdań, ale poczuła wdzięczność dla komendanta. Zimny, gburowaty mężczyzna pamiętał o uprzejmości - przynajmniej w stosunku do służby i starszych.

Renowacja hacjendy nie była jedyną zmianą, która zaszła na zalanych słońcem równinach. Wraz z udrożnieniem kanałów i obudzeniem się rzeki, pastwiska zaczęła pokrywać zielona trawa. Na prywatną stację kolejową Orilli każdego dnia napływały wagony pełne ryczącego bydła. Vaqueros, którzy niegdyś pracowali w majątku, powrócili, chętni do współpracy z człowiekiem, którego znali jako chłopca, a obecnie uważali za patrona Orilli.

Amy obserwowwała cały ten ruch z mieszaniną dumy i rozpacz. Oczywiście, cieszyła się, że rzeka znów płynie, że na rozległych łąkach znowu pojawi się bydło, że rancho znów będzie prosperować. Była jednak zaniepokojona. Zapewne El Capitan nie wydawałby tak olbrzymich sum pieniędzy niewiadomego pochodzenia, jeżeli nie miałby zamiaru powrócić do Orilli po ostatecznym wypędzeniu Francuzów z Meksyku.

Ta perspektywa przerażała ją.

Krzyk dochodzący z podwórza odwrócił uwagę Amy. Nie rozpoznała głosu. Był to wartownik, który podekscytowanym głosem wzywał El Capitana.

Amy wyszła na balkon, by ujrzeć młodego żołnierza ściągającego wodze spienionego wierzchowca. Pozostała w ukryciu, obserwując, jak wysoka sylwetka kapitana niespiesznie kieruje się w stronę zsiadającego z konia kuriera.

Dotarł do niej meldunek posłańca:

- Rozkazy od presidente Juareza, capitan.

Luiz wziął list i przeczytał go. Ciemna twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Amy czekała, wstrzymując oddech. Na pewno w jakiś sposób skomentuje zawartość listu w rozmowie z posłańcem.

Nie. Podziękował młodemu żołnierzowi, odesłał go krótkim wojskowym ukłonem i pozostawił Amy w rozterce.

Może został wezwany do natychmiastowego powrotu na pole bitwy i wyruszy razem z całym oddziałem? Czyżby jej koszmar kończył się wreszcie, a życie wracało do normy?

Amy opuściła pokój i zbiegła po schodach w nadziei, że dowie się czegoś o rozkazach Juareza.

El Capitan wszedł przez frontowe drzwi w tej samej chwili, gdy Amy schodziła z ostatnich stopni. Zatrzymała się machinalnie i czekała.

Podniósł wzrok, dostrzegł ją i niespiesznie skierował się w stronę schodów. Piękna twarz była nieprzenikniona, kiedy wsparł nogę na stopniu, a łokieć na wypolerowanej poręczy. Jego dłoń znajdowała się o kilka cali od twarzy Amy. W długich, brązowych palcach tkwił zwinięty list.

Rozkazy od Benito Juareza, prezydenta Meksyku. Nie wspomniał o liście. Zapytał tylko niedbale, czy Amy ma zamiar odbyć swoją cotygodniową wyprawę do Sundown. Z obawy, że znowu zechce jej towarzyszyć, odparła:

- Nie. Nie planowałam...

- Pedrico czeka w powozie. - El Capitan zdjął ramię z poręczy i wsunął żółty papier do kieszeni koszuli. Wyminął Amy i skierował się na górę.

Chwyciła go za ramię.

- Jesteś pewien, że Pedrico będzie miał czas? - zapytała ze zmarszczonym czołem.

- Ile tylko chcesz - odparł El Capitan idąc dalej. Marząc o tym, by go udusić, minęła korytarz i wypadła przed frontowe drzwi.

Zakończyła zakupy zanim upłynęła godzina od jej przyjazdu do Sundown. Wychodząc z zaciemnionego sklepu Maca cieszyła się, że wciąż jest wczesnie. Pojedzie do hacjendy Claytonów na długą, wspaniałą wizytę do swej przyjaciółki Diany.

Tylko towarzystwo Diany zdoła ją rozweselić.

Uśmiechała się, gdy mijała kamienny ganek Maca, rozkoszując się leniwie przyjemnym popołudniem. Nagle uwagę jej zwrócił znajomy kobiecy śmiech z drugiej strony plaza. Wszędzie rozpoznalaby ten głos.

Nie przestając się uśmiechać, osłoniła dłonią oczy przed słońcem i... uśmiech zamarł jej na ustach.

Roześmiana Diana stała tuż przed podwójnymi drzwiami prowadzącymi do hotelu La Posada. A przyczyną jej wybuchu wesołości był El Capitan Luiz Quintano!

Poczuła, że policzki jej płoną. Nie mogła przestać patrzeć, jak El Capitan uśmiecha się rozbrajająco do Diany i gestykułuje z wdziękiem, przesuwając dłonią z góry na dół o cale od ponętnego ciała kobiety, jakby chciał powiedzieć, że jest śliczna od głowy aż do końców palców u nóg.

Amy domyślała się, jak olśniewająco odziana Diana odpowiada na komplementy i nie była zaskoczona, gdy ciemnowłosa piękność wyciągnęła dłoń w rękawiczce i zaczęła bawić się mosiężnym guzikiem od jego mundurowej bluzy. Luiz przytaknął z galanterią, podał Dianie ramię i z wdziękiem odprowadził ją do hotelu.

Tych dwoje - Luiz i Diana - przy dyskretnym lunchu we dwoje. Popijający szampana. A potem krótka podróż do hacjendy Claytonów, gdzie... gdzie...

Amy rzuciła się do powozu, wdzięczna, że Pedrico czeka na nią. Chciała jak najszybciej opuścić miasto. Służący był zaskoczony, że tak krótko zabawili poza domem.

- Senora, czy pojedziemy do seniority Clayton? - zapytał niewinnie, okrążając placę.

- Nie! - rzuciła Amy, mocno potrząsając głową. Zaskoczony Pedrico zmarszczył czoło.

- Czy coś się stało, pani Amy?

- Ależ nie, wszystko w porządku.

W Orilli Amy krążyła po pokoju przez całe popołudnie. Spacerując powtarzała sobie, że jest głupia. Dlaczego tak się martwi, iż Diana i Luiz poznali się? Właściwie to ją cieszy. Może Luiz zajmie się chętną Dianą i da Amy spokój?

Tak, romans namiętnej Diany i lubieżnego El Capitana uszczęśliwiłby Amy. I to bardzo.

Długie, ciepłe popołudnie wlokło się, a uszczęśliwioną Amy rozboleła głowa. Nie miała ochoty schodzić dziś na kolację, choć była pewna, że zje ją sama. Człowiek, który zwykle jej towarzyszył przebywał teraz w rezydencji Clayтона.

Ale przecież nareszcie jest okazja, by przeczytać rozkaz Juareza! Nie czuła specjalnych wyrzutów sumienia, gdy wpadła do garderoby i rozpoczęła poszukiwania. Biała koszula, którą Luiz miał dziś na sobie, wisiała na szafie. Amy chwyciła ją i z westchnieniem stwierdziła, że kieszeń jest pusta.

Zniechęcona rzuciła koszulę i zaczęła przeglądać wszystkie starannie poukładane mundury wojskowe, sprawdzając każdą kieszeń. Nic. Wysuwała szuflady wysokiej komody, unosiła poskładane, sztywne od krochmalu koszule, zaglądała pod stosy lnianej bielizny i skarpet.

Otworzyła nawet skórzany kuferek, w którym trzymał klejnoty. Leżała tam jego szeroka bransoleta ze złota i turkusów. Jakieś srebrne guziki od koszuli. Złoty zegarek i dewizka. Pojedynczy kolczyk z rubinów i diamentów.

Amy zatrzasnęła wieko.

Zmartwiona, podniosła wysokie buty Luiza, wywróciła je i wytrząsnęła. Sprawdziła w palcach miękkich mokasynów ze skóry sarny. Przesunęła dłonią za wstążką rzadko noszonego kapelusza.

Zajrzała już w każde możliwe miejsce, w którym mężczyzna mógłby ukryć ważny papier. Albo zniszczył rozkaz, albo miał go przy sobie. Raczej to drugie. Wiedział doskonale, że Amy umiera z ciekawości, czy rzeczywiście dostał rozkaz powrotu na pole bitwy. No i oczywiście, będzie to przed nią ukrywał aż do ostatniej minuty. Co za drań!

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi i jedna z meksykańskich służących wniosła tacę przykrytą serwetką. Amy zapytała niedbale, czy El Capitan już wrócił. Jeszcze zanim służąca potrząsnęła stanowczo głową i wycofała się, wiedziała, że odpowiedź będzie brzmiała „nie”.

Odstawiła nietkniętą tacę, nie czując głodu.

I znów wytrwale krążyła po pokoju. Nie przestała nawet wówczas, gdy słońce zaszło, a jej zaczęło brakować sił.

Przyszędł czas, by położyć się do łóżka, a Amy wciąż jeszcze była zbyt rozkojarzona, by zasnąć. To nie miało sensu. Od czasu, gdy przybył na farmę ze swymi żołnierzami, to była pierwsza noc, gdy nie musiała drzeć, że zaraz zjawi się w jej łóżku. Powinna odczuwać wyłącznie błogosławioną ulgę.

Wzięła gorącą kąpiel. Ilekroć nagły dźwięk zmaćił ciszę nocy wciąż jeszcze spodziewała się, że Luiz wkroczy bezceremonialnie do jej pokoju.

Nic podobnego nie nastąpiło.

Amy ubrała się w długą, białą koszulę nocną, odwróciła róg jedwabnej kołdry i przygotowała się do spokojnej nocy. Jakże miło było mieć na sobie koszulę nocną jak każda przyzwoita kobieta, spać pod jedwabną kołdrą i na pulchniutkich poduszkach.

Z westchnieniem zdmuchnęła lampę przy łóżku i ułożyła się wygodnie na miękkich poduszkach. Księżyc był prawie w pełni i właśnie wzeszedł. Jego srebrzyste światło wpadało przez otwarte drzwi balkonowe, zalewając pół pokoju swym blaskiem i mocno obrysowując kontur rzeźbionych drzwi.

Amy jęknęła boleśnie, gdy opanowały ją nazbyt żywe wspomnienia.

Tej pierwszej nocy z Luizem stała oparta o drzwi, przerażona i pokorna, a on rozbierał ją w jasnym świetle księżyca. Odwróciła twarz do puszystej poduszki i poprzysięgła sobie, że wymaże z pamięci tę i wszystkie inne grzeszne noce spędzone w jego ramionach.

Sen jednak nie przychodził. Przez prawie pół godziny Amy przewracała się i rzucała na łóżku, wreszcie wstała. Zmęczona, zirytowana, wyszła na balkon i wyjrzała na rozległy, osrebrzony księżycem krajobraz.

W oddali dostrzegła wiszące w powietrzu kłęby pyłu. Potem dobiegł ją tętent kopyt. Wreszcie ujrzała konia i jeźdźca zmierzających w kierunku hacjendy.

Blask księżyca oświetlił ich, ukazując jej oczom smukłego, ciemnego mężczyznę na ciemnym koniu.

El Capitan i Noche.

Amy wpiła się palcami w balustradę. Jej serce biło mocno ze strachu i zgrozy.

A może z niecierpliwości.

## Rozdział 26

5 maja 1866.

Nad pustynią południowo - zachodniego Teksasu wstał słoneczny, ciepły dzień. Niebo miało niebieski odcień, tylko kilka wysoko żeglujących kumulusów rzucało cień na ośnieżone szczyty gór na południu. Powietrze suche, ale przyjemne, jeszcze nie rozgrzane natrętnym, parzącym upałem lata.

Świeżo dostawione źrebięta biegały z matkami na trawiastych przestrzeniach górskich pastwisk Orilli. Na równinach longhorny spokojnie żuły młodą trawę.

W hacjendzie czerwonoogoniasty sokół sfrunął z żerdzi i wylądował przy nowym pojniku dla ptaków, który Pedrico wybudował na tyłach kamiennego ganku.

Tego słonecznego poranka w Orilli, zarówno w domu, jak i w wapnowanych na biało zabudowaniach gospodarskich, w których mieszkali żołnierze El Capitana, panował duży ruch.

Cinco de Mayo.

Cztery lata temu zdeterminowani żołnierze meksykańscy, którym przewodził generał Ignacio Zaragoza i młody brygadier Porfirio Diaz, odparli siły francuskie atakujące ich ufortyfikowane miasto Puebla. Od tej pory wszyscy Meksykanie - gdziekolwiek się znajdowali - świętowali rocznicę tego ważnego wydarzenia.

El Capitan Quintano wiedział, ile znaczy ta data dla jego oddziału i postanowił wydać z tej okazji przyjęcie w Orilli. Obchody miały rozpocząć się o zachodzie słońca.

Przed południem Magdalena i jej rozplotkowane pomocnice zajęte były przygotowaniem kolacji pod gołym niebem. Ta uczta na pewno podbije serca i podniebienia młodych, wygłodniałych wojaków.

Menu składało się z całych gór miękkich tortilli, w które zawinięte były kawałki bardzo ostro przyprawionej wołowiny. Pikantne enchiladas verde pokryto grubą warstwą stopionego koziego sera. Bulgoczące kociołki frijoles rojos przyprawiono czerwoną papryką chili. Tostadas, suche tortille posmarowane posiekanym mięsem kurczęcia, serem i salsą, leżały obok gorących tamales z zielonej kukurydzy, nadziewanych miękkim mięsem. Ogniste chilli con carne było tak mocne, że wyciskało łzy z oczu nie przygotowanego biesiadnika. Quesadillas, dwie smażone tortille z

warstwą sera Menoniha wewnątrz. I, naturalnie, galony wrzącej salsy do maczania chrupkich tostadas.

Na deser specjalność Magdaleny: lekkie jak obłoczek sopaipillas ze słodkim, ciepłym miodem, doskonałe fiautas - małeńkie, delikatne ciasteczka nadziewane słodką, czarną czekoladą i tłustą bitą śmietaną. Ciepła, złocista babka, delikatny, uwielbiany przez wszystkich Meksykan krem i talerze pełne słodkich pralinek z cukru, które nadziano połówkami orzechów.

Oprócz obfitości doskonałego jedzenia przygotowano także galony tequili, beczułki cerweza i skrzynki madery oraz bourbona, aby zaspokajały pragnienie świętujących. Zaplanowano także rozrywkę. Przygrywać będzie nie jedna, ale dwie kapele mariachi, a trio utalentowanych tancerzy flamenco miało przyjechać na występy aż z San Antonio. Do udziału w święcie zaproszono także urodziwe senioritas z miasteczka - serdecznie witane przez młodych żołnierzy.

El Capitan wybrał na miejsce fiesty płaską, otwartą przestrzeń po zachodniej stronie hacjendy, tuż za wykładanym kamieniem patio i przestronnym podwórzem. Dla muzyków i tancerzy przygotowano małą, drewnianą platformę. Długie stoły były już na miejscu. Zebrano też sporą ilość suchych gałęzi na ogromne, świąteczne ognisko po zapadnięciu zmroku.

O zachodzie słońca wszyscy byli gotowi.

Wszyscy, z wyjątkiem Amy.

Amy nie miała ochoty świętować Cinco de Mayo. Nikt nie zapytał jej o zdanie na temat planowania przyjęcia, nikt też nie zaprosił jej do wzięcia w nim udziału. Noc, uczta, święto - wszystko to należało do El Capitana. A jej nie pociągało.

Teraz, gdy zmrok zakradł się do przestronnej hacjendy, cała służba - także Magdalena, służące, Pedrico i nawet stary Fernando - opuściła dom, by udać się na zabawę. Amy została sama w sala. Czytała książkę, jakby to był zupełnie zwyczajny wieczór.

Nie zwracała uwagi na sznur powozów zajeżdżających przed Orillę, z których wysiadały podniecone damy. Nie słuchała okrzyków żołnierzy i śmiechu kobiet, dźwięczących w majowym powietrzu.

Niebieskie oczy Amy błędziły po kartach książki, sprawiając wrażenie koncentracji. Zachowywała się jak osoba bez reszty pochłonięta lekturą. Udawanie jednak zmieniło się w rzeczywiste



zainteresowanie w miarę, jak czarowna opowieść, którą czytała, wciągała ją powoli w świat cudownej fantazji.

Amy przeniosła się w przeszłość - w czasy dzielnych rycerzy i ich pięknych dam, czasy potężnych królestw.

Zatopiona w świecie bohaterskich czynów i słodkich, magicznych romansów, niemal słyszała własnego Białego Rycerza, szepczącego miękko jej imię. Westchnęła lekko i uśmiech pojawił się na jej wargach. Nagle z zaskoczeniem stwierdziła, że szept nie pochodził z wyobraźni. Ktoś rzeczywiście wypowiedział jej imię. Uśmiech znikł z twarzy Amy, palce zacisnęły się na książce i młoda kobieta podniosła wzrok.

Stał w obramowaniu sklepionej wnęki, z dłońmi wspartymi na wypolerowanym drewnie. Patrzył wprost na nią z satanicznym błyskiem w czarnych oczach. Długie do ramion włosy związał na karku białą, skórzaną taśmą. Śnieżnobiała koszula z obszytego koronkami batystu mocno opinała szerokie ramiona i twarde bicepsy, odsłaniając ciemną karnację nagiej piersi.

Złoty Kamień Słoneczny pozostał na górze.

Czarne, obcisłe spodnie mocno przylegały do smukłych bioder i długich nóg, ich mankiety wspierały się na lśniących, czarnych butach. Smukłą talię otaczał pas ze srebrnych conchos, połyskujących w półmroku.

Nie był zjawą. To nie mityczny rycerz przyjechał, aby ją unieść na białym koniu. To był szatan, przyszedł, by ją zadreczać, wcielenie surowej męskości.

Chciał ją porwać tylko w jedno miejsce: do łóżka.

El Capitan przerwał ciszę. Chłodno zaprosił Amy do wzięcia udziału w święcie Cinco de Mayo. U jego boku, jeśli zechce.

Amy odparła lodowatym tonem, że nie ma najmniejszej ochoty iść za nim i natychmiast z powrotem zatopiła się w lekturze. Luiz, nie zmieszany jej odmową, skłonił głowę, odwrócił się i spokojnie odszedł.

Po jego wyjściu Amy czytała dalej, ale utopijna bajka o szlachetnych rycerzach i cnotliwych damach straciła cały urok. Wreszcie, gdy przeczytała ten sam akapit z pół tuzina razy, poddała się i odłożyła książkę.

Wstała z westchnieniem i niespokojnie spacerowała po wielkiej, pustej sali, szukając czegokolwiek, czym mogłaby się zająć. Ułożyła

bukiet różowych goździków w alabastrowej wazie na pianinie z wiśniowego drzewa. Wyprostowała wiszący na ścianie obrazek w srebrnej ramie. Strzepnęła pyłek z oparcia fotela obitego rdzawym aksamitem.

Westchnęła znowu i opuściła pokój, aby błąkać się bez celu. Zatrzymała się na chwilę w opustoszałej kuchni, spróbowała różnych specjałów - wreszcie stwierdziła, że nie ma apetytu.

O dziewiątej weszła na górę do głównego apartamentu i natychmiast skrzywiła się z niezadowoleniem. Przez otwarte okno balkonowe dźwięki muzyki, śmiechy i okrzyki były dużo lepiej słyszalne niż na dole.

Przeszła przez pokój i wyjrzała na zgromadzony tłum, szukając czegoś oczami. Kobiety i mężczyźni śmiali się, rozmawiali, jedli i pili. Po kilku minutach poddała się. Zawróciła do pokoju, mrużąc sarkastycznie:

- Mam nadzieję, że wspaniale się bawisz, Quintano!

Quintano rzeczywiście bawił się wspaniale. Kiedy Amy szukała go wzrokiem z balkonu, on stał zwrócony do niej plecami i ostrożnie posypywał solą grzbiet lewej dłoni.

- Salud! - zawołał do otaczającego go kółeczka wielbicieli.

- Salud! - odpowiedzieli chórem, gdy wysunął język i zlizął sól, odgryzł potężny kęs cytryny i wychylił szklanekę ognistej tequili.

Zacząto bić brawo. Młody, brodaty żołnierz podskoczył, by powtórnie napełnić szklanicę dowódcy. Luiz powtórnie rozsypał sól na dłoń. Jedna z hiszpańskich tancerek z San Antonio przysunęła się i znacząco położyła mu dłoń na plecach.

Mariachi zaczęli swój występ. Gitary, skrzypce i trąbki grały głośną, żywą muzykę ulubionych tańców Meksykan: El galope, El Bule, El vals de la escoba.

El Capitan tańczył również, a w przerwach popijał tequilę, jadł tortille i z nonszalancją czarował kobiety.

Tancerze z San Antonio zajęli scenę. Dwie piękne kobiety, odziane w lśniące, wyszywane cekinami suknie i mężczyzna w czarnym bolero, czerwonym kapeluszu i obcisłych spodniach odtanńczyli flamenco. Piękne trio spodobało się widzom, a najgłośniej oklaskiwał występ sam El Capitan Luiz Quintano.

Nad pustynią zapadła ciemność.

Do ogromnego stosu gałęzi meskitu wrzucono pochodnie. Ogień zapłonął natychmiast, jasnopomarańczowe płomienie wystrzeliły wysoko w czarne, nocne niebo. Zabawa stawała się coraz dziksza w miarę, jak ubywało trunków, a świętujący Meksykanie byli coraz swobodniejsi. Zakochane pary bez skrępowania całowały się i obejmowały. Na tle zazdrości wywiązało się kilka bójek na pięści, błysnęły noże. Strzelano w powietrze.

Wszyscy świetnie się bawili.

Wszyscy, z wyjątkiem Amy.

Leżała zupełnie rozbudzona, daremnie próbując zasnąć. Sypialnię oświetlało upiorne, pomarańczowe światło jasno płonącego ognia i młoda kobieta w odruchu wściekłości zerwała się z łóżka, i znowu wyszła na balkon, żeby popatrzeć na hałaśliwą zabawę.

Samotna para tańczyła obok ogniska. Otaczał ją pierścień zachwyconych widzów, klaszczących i pokrzykujących wesoło.

Wysoki szczupły mężczyzna i ponętna meksykańska kobieta patrzyli sobie w oczy. Ich ciała dotykały się prowokacyjnie, ramiona wzniesli wysoko ponad głowy, ich palce trzaskały kastanietami, stopy uderzały rytmicznie o ubitą, suchą ziemię.

Nikt nie musiał mówić Amy, że przystojnym, wysokim tancerzem był Luiz Quintano. Wbiła wzrok w tańczącą parę, doświadczając takiego samego ukłucia zazdrości, jak w dniu, kiedy zobaczyła Luiza odprowadzającego do La Posada jej przyjaciółkę, Dianę Clayton.

Odwróciła się szybko, powtarzając sobie, że nie obchodzi ją, co robi Luiz Quintano, z kim tańczy. Z kim się kocha.

Weszła do pokoju, ale pod powiekami pozostał obraz pięknej tancerki w czerwonej sukni, przyciskającej pełny biust do piersi Luiza.

Powietrze w sypialni zdawało się ją dusić. Amy poczuła nieprzyjemne gorąco. Długa, biała koszula przylgnęła do lepkiej skóry. Popędziła do garderoby, powtarzając sobie, że musi odetchnąć świeżym powietrzem i że na pewno nie stanie się nic złego, jeśli zejdzie na dół, na parę króciutkich minut.

Zerwała z siebie koszulę, rzuciła ją tam, gdzie stała i szybko założyła świeży bawełniany kaftanik i jakieś pantalony. Ściągnęła z wieszaka ciężką halkę z falbanami i zdecydowanie potrząsnęła głową. Było o wiele za gorąco na halki i bawełniane pończochy. Zresztą, wychodzi tylko na pięć, dziesięć minut, a potem zaraz wróci do łóżka.

Wybrała zatem białą, meksykańską bluzkę z niebieskim haftem wokół szyi i marszczonymi rękawami. Na nią nałożyła szeroką spódnicę z bawełny w biało - niebieskie kwiaty, wykrzywiła się do lustra i chwyciła szeroką, długą szarfę ze szkarłatnego jedwabiu, wiążąc ją wokół smukłej talii. Wsunęła bose stopy w miękkie pantofelki z koźlecej skóry, niecierpliwie przeciągnęła grzebieniem po długich, jasnych włosach i wybiegła z pokoju.

Usiłowała zachowywać się tak, jakby nic się nie stało, ale kiedy pojawiła się na zabawie, El Capitan dostrzegł ją natychmiast. Nie podszedł jednak. Amy poczuła się niepotrzebna. Żałowała, że w ogóle tu przyszła. Cierpiała.

Po kilku okropnych chwilach, z twarzą czerwoną ze wstydu i zakłopotania, odwróciła się, żeby odejść. Gdy przeciskała się przez tłum, ktoś nagle chwycił ją za ramię.

Długie, ciemne palce El Capitana przesunęły się ku przegubowi jej ręki, przytrzymując Amy na miejscu.

- Zostaw mnie - odezwała się spokojnie i wyniośle.

- Zatańcz ze mną, pani Parnell - odparł swobodnie.

- Nie. Nie mogę. Jest... już późno - urwała bez przekonania.

Biała koszula przesiąknęła potem i lepiła się do jego piersi i ramion. Całość była niepokojąco pociągająca. Ciemna, piękna twarz lśniła w blasku ognia.

Pochylił się nad nią. Jego oddech niósł zapach trunku, co wcale nie było przykre.

- Jeden taniec - zaproponował. - Potem pójdiesz.

Wziął ją w ramiona, gdy muzyka zaczęła grać tęskną hiszpańską pieśń o miłości. Amy jednak nie zgodziła się położyć mu ręki na ramieniu. Stała sztywno w jego objęciach, nie chcąc robić sceny, ale jedynie dać mu do zrozumienia, że taniec z nim jest ostatnią rzeczą na ziemi, jakiej teraz pragnie.

Luiiz uśmiechnął się lekko na widok jej daremnych prób zachowania zimnej krwi. Powoli przyciągnął ją bliżej i mocno objął w talii. Wiedział, że nie może mu się oprzeć tak samo jak on jej.

Kiedy miękkie ciało Amy przylgnęło do jego ciała, przymknął oczy i odetchnął głęboko zapachem unoszącym się z jej uperfumowanych włosów. Czuł się doskonale, a jeśli z Amy było inaczej, cóż, to tylko jej zmartwienie.

Piękna kobieta w jego ramionach wyglądała jak anioł z tymi długimi, jasnymi włosami, przejrzystymi niebieskimi oczami i giętkim, smukłym ciałem. Niestety wiedział, że była małą, paskudną oszustką. Poważana młoda wdowa na pewno nie była ani skromna, ani uczciwa.

W jego ramionach stawała się ognistą, wrażliwą kochanką. Nieważne, że była przy tym kłamczuchą i oszustką. Będzie drzazgą w sercu innego mężczyzny, nie jego. Dawała mu to, czego od niej zażądał. A dzisiaj da mu to chętnie i z własnej woli.

Rozpoczął powolne, zmysłowe ruchy taneczne. Amy nie miała wyboru, musiała dostosować się do jego kroku, ale pozwoliła, by jej lewe ramię bezwładnie zwisało z boku. Zdecydowała, by okazać mu obojętność, chciała, aby wiedział, że nie ma zamiaru pozostać.

Jej skroń dotykała jego policzka. Opuściła wzrok na lśniąca, smagłą szyję. Dłoń Luiza powędrowała w górę, pieszcząc jej ramię i Amy poczuła, jak jej zdecydowanie topnieje. I, niestety, on także o tym wiedział.

Nagle przestał tańczyć. Pochylił się nad nią, obejmując zmysłowym wzrokiem. Uśmiechnął się lekko i zarzucił sobie na szyję jej ramiona.

- Mi palomacita - wymruczał miękko. - Moja gołąbeczko, chcę, żebyś tu została razem ze mną. Chcesz przecież zostać. Pragniesz mnie. Kiedyż to wreszcie przyznasz?

Amy zaczęła się zastanawiać, czy nie jest pijany. Trzeźwy, nigdy nie zadałby jej takiego pytania. Znałby odpowiedź.

- El die que me muera. W dniu mojej śmierci.

## Rozdział 27

- Ach, jaka szkoda, jaka szkoda - znowu się uśmiechnął. Kąśliwa uwaga zraniła go, ale nie chciał, żeby Amy o tym wiedziała. Postanowił, że nim wieczór dobiegnie końca, Amy przyzna bezwstydnie, że go pragnie.

- Drwisz sobie ze mnie - rzuciła oskarżająco.

- Nie, pani Parnell - odparł, wbijając w nią mroczne spojrzenie. - Naprawdę szkoda. Pragnę cię. Chciałbym usłyszeć, że i ty mnie pragniesz. Ale tak mało czasu nam pozostało... - wzruszył ramionami.

Serce zamarło w piersi Amy. Więc odjeżdża! Rozkazy od prezydenta Juareza, które otrzymał cztery dni temu i których treści nigdy jej nie zdradził, zawierały polecenia powrotu na pole walki. Dawał jej do zrozumienia, że to ich ostatnia noc.

Drobne ciało Amy mimowolnie zadrżało.

- Przepraszam - wyszeptała. - Jestem dziś bardzo niezręczna. Wybacz.

- W porządku - jego głos był cichy i miękki. - Trzymam cię. Nie pozwolę ci upaść.

Czarne oczy przybrały nagle nowy, ciepły wyraz.

Trzymał ją dłońmi w taki sposób, że kciuki delikatnie pieściły boki jej piersi. Przyciągnął ją do siebie i ostrożnie przygarnął do ramienia jej twarz. Amy nie dostrzegła diabelskich błysków, które czaiły się w głębi ciemnych, zmiennych oczu.

Nerwowo oblizwała wargi.

- Ach... kiedy mówiłeś, że zostało nam tak mało czasu, miałeś na myśli...

- Nie myśl o tym - przerwał jej cicho i przytulił policzek do twarzy Amy. - Jeśli nawet zostałby nam tylko jeden taniec - szepnął - ... pozwól, abym się nim cieszył, dopóki trwa.

Machinalnie skinęła głową, wzruszona jego niezwykle czułym głosem.

Był doskonałym tancerzem, świetnie prowadził i ich ciała bezbłędnie poruszały się w rytmie pięknej hiszpańskiej pieśni miłosnej.

Otoczyła ramionami szyję partnera, przymknęła powieki. Wciąż myślała o tym, że szczupłe, muskularne ramiona, które teraz obejmują ją tak mocno, wkrótce znikną...

Odjeżdża!

El Capitan Luiz Quintano obudzi się o świcie i zniknie z jej życia. Po kilku dniach, może tygodniach, trudno będzie uwierzyć, że w ogóle istniał. A z czasem zatrze się i jej okropne poczucie winy.

Wszystko będzie jak przedtem, przed pojawieniem się strachu, wstydu i ekstazy.

Przed przyjściem El Capitana.

Rutynowe. Uczciwe. Bezpieczne.

Samotne.

Piękna pieśń miłosna dobiegła końca. Dłonie Luiza opadły. Cofnął się o krok.

- Ten taniec sprawił mi przyjemność - odezwał się uprzejmie, niczym ugrzeczniony hiszpański grand. Uśmiechając się czarująco dodał: - Ale teraz chce mi się pić. Czy tobie także?

- Trochę - przyznała Amy, czując, że powinna czym prędzej wrócić do hacjendy. Jednak o wiele bardziej pragnęła pozostać z nim.

Luiz położył jej dłoń na ramieniu i poprowadził poprzez rozbawiony tłum do jednego z bufetów. Stanęli nad stołem pełnym butelek. Niektóre były wywrócone, inne puste. Luiz zapytał, czy kiedykolwiek piła tequilę.

Potrząsnęła głową. Dotąd piła wino.

Sięgnął po pełną butelkę tequili. Nie miał kłopotów z przekonaniem Amy, by skosztowała ognistego trunku. Nalał, podał jej pełną szklanekę i młoda kobieta natychmiast podniosła ją do ust.

Roześmiał się.

- Zaczekaj - przytrzymał jej dłoń. - Zrób to jak należy.

- To znaczy?

- Podaj mi lewą rękę. - Amy zmarszczyła brwi i posłusznie wyciągnęła dłoń. Luiz rozsypał na niej sól, wziął plasterek cytryny i pouczył ją: - Zliz sól z ręki, ugryź kawałek cytryny i dopiero wypij.

Amy spojrzała sceptycznie, ale posłusznie zlizwała sól. Luiz podał jej cytrynę. Ugryzła kawałek i skrzywiła się niemiłosiernie. Podniosła szklanekę i wypila tequilę, jakby to była oranżada. Jej oczy rozszerzyły się z przerażenia i napelniły łzami. Zaczęła się gwałtownie wachlować, spazmatycznie łapiąc oddech. Spojrzała na Luiza z wyrzutem.

Kapitan objął Amy ramieniem, musnął ustami jej skroń i podał szklanekę zimnej wody.

- Przepraszam, kochanie - szepnął. - Już lepiej?

Była zaszokowana natychmiastowym działaniem trunku. Ciepło ogarnęło jej ciało, głowę miała jak z waty i Amy zaczęła się zastanawiać, czy naprawdę nazwał ją kochaniem?

- Nie jestem pewna. Czuję dziwne mrowienie w palcach rąk i nóg - wyszeptała.

Luiz był oczarowany.

Z zarumienioną twarzą i rozpuszczonymi włosami, rozsypanymi na nagich ramionach, wyglądała niezwykle ponętnie. Przez chwilę walczył z silnym pragnieniem, by przyciągnąć ją do siebie i mocno pocałować.

- Może lepiej chodźmy tańczyć - zaproponował.

Kiedy znaleźli się na parkiecie inne pary uśmiechały się, witały ich i głośno dziękowały El Capitanowi za tak wspaniały wieczór. Wkrótce zbliżyła się do nich trójka roześmianych żołnierzy. Wszyscy zatrzymali się, by obserwować zabawę.

Jeden wyjął z kieszeni czystą chusteczkę i zawiązał ją wokół lewego nadgarstka Luiza. Amy zdziwiła się, ale on śmiał się tylko, a jego ciemne oczy rozbliły.

Żołnierz zwrócił się teraz do Amy.

- Con permiso, senora?

Amy spojrzała pytająco na Luiza.

- Podaj mu lewą rękę, querida.

Młoda kobieta miała niepewną minę, ale podała dłoń uśmiechniętemu żołnierzowi, który podziękował jej i natychmiast przywiązał do nadgarstka Luiza. Tłum zaczął entuzjastycznie klaskać.

Przy aplauzie zebranych Luiz przywołał porucznika Pedrico Valdeza. Szepnął mu coś do ucha. Pedrico pokiwał głową. Teraz Luiz wyjaśnił Amy, że wszyscy świetnie się bawią i aby zapewnić sobie możliwość uczestniczenia w następnym balu, para gospodarzy została amarrado - związana za pomocą chusteczki. Rozwiązać ich można dopiero wówczas, gdy któryś z gości zechce ich uwolnić przez wydanie baile del desempeno - balu odkupienia.

Amy skinęła głową na znak, że rozumie.

- A jeśli nikt nie zgodzi się na ten taniec? - zapytała.

- Wtedy muszą pozostać związani na zawsze.

Dreszcz przebiegł po plecach Amy. Pozostać z nim na całe życie...

- Chyba tequila mnie trochę oszołomiła... - powiedziała szybko.



- Ach, querida - odparł miękko, biorąc ją w ramiona. - A ja miałem nadzieję, że to moja osoba.

Tańczyli.

Tym razem ich przeguby były mocno ze sobą związane. Pod koniec piosenki znaleźli się nagle przy samym ognisku. Płomienie jasno oświetlały ich twarze, a oni patrzyli sobie w oczy, jakby świat zewnętrzny nie istniał.

Wypita szklanka tequili rozluźniła Amy, która już nie rozglądała się dokoła z obawą, co pomyślą ludzie. Drugim, wolnym ramieniem otoczyła szyję Luiza i wtuliła się w niego.

Po kilku tańcach El Capitan zaproponował Amy jeszcze łyk tequili. Zgodziła się ochoczo, a kiedy podał jej solniczkę, kokieteryjnie rozsypała sól na jego dłoni; patrząc mu wprost w oczy dotknęła językiem jego palców. Usłyszała ciche westchnienie. Pod jego uważnym spojrzeniem wypięła tequilę i odstawiła szklanę.

A potem wzięła solniczkę i ostrożnie rozsypała sól na własnej dłoni, podsuwając mu ją z uśmiechem. Luiz nie zrobił najmniejszego gestu. Rozchyliła lśniące wargi i zbliżyła dłoń do jego pociemniałej twarzy.

- Zliz to - szepnęła. - Zliz to.

Zadrzała na widok jego mięśni, pulsujących i napinających białe batysty koszuli, kiedy objął palcami jej nadgarstek i podniósł do ust.

Przymknęła oczy z rozkoszy, kiedy jedwabisty język dotknął jej wrażliwej skóry. Luiz nie spieszył się. Leniwie lizał, ssał i łaskotał delikatną dłoń, czyniąc Amy podnieconą i osłabioną. Wstrzymała oddech i wzrokiem błagała, by przestał i pozwolił jej zebrać myśli.

Dopiero kiedy zlizzał ostatnie ziarenko soli, żartobliwie ugryzł ją białymi, ostrymi zębami wywołując na jej twarzy grymas bólu.

Amy zadrzała, gdy ujął jej dłoń i przycisnął do serca.

Serca, które biło tak szybko jak jej własne.

Podniósł swoją szklanę z tequilą i wychylił ją jednym haustem.

- Zatańczmy, querida - zaproponował, zlizując z pełnej wargi zabłąkane ziarenko soli.

Zatańczyli jeszcze raz.

A właściwie stali, spleceni ramionami, kołysząc się uwodzicielsko, coraz bliżej ogniska. Łączyło ich niewypowiedziane, dziwnie dręczące pragnienie, każące im zbliżać się wciąż bliżej i bliżej gniewnego żaru. Jakaś przemożna siła ciągnęła ich w płomienie.

Przesuwali się powoli wokół ogromnego ogniska w poszukiwaniu intymności. Znaleźli ją po drugiej stronie i było to miejsce, gdzie mogli być samotni we dwoje, ujawnić żarzące się namiętności.

Tańczyli niebezpiecznie blisko płomienia, drocząc się z jego gniewem, napawając się bólem - rozkoszą, który należał wyłącznie do nich.

Mieli swoją intymność pośród tłumu. Intensywność żaru trzymała innych gości z dala od ich rosnącego pożądania. Mogli dotykać się i czuć, upajać tańcem tak oszalamiająco erotycznym, że stali się podobni nie znającym wstydu poganom.

Słodka tortura.

Płonęli. Spalał ich własny ogień. Żar, jakiego dotąd nie znali. Rozgorączkowane ciała, coraz wyższa temperatura.

Splywali potem i wydało im się to nieoczekiwane podniecające. Jak dodatkowy afrodyzjak. Poprzez mokre, ciężkie fałdy białej - niebieskiej spódnicy czuła wyraźnie twardą męskość Luiza, mocno napierającą na jej brzuch. Jej piersi nabrzmiały pod obcisłym gorsetem meksykańskiej bluzki, twardymi szczytami ocierając się o szeroką pierś kochanka.

Amy oblizwała wargi i wsunęła wolną dłoń pomiędzy ich spocone ciała. Rozgorączkowanymi palcami rozpięła białą koszulę Luiza, odsunęła wilgotne fałdy i z jękiem przycisnęła do śliskiego od potu ciała nabrzmięte piersi. Marzyła, by i ona mogła rozpiąć bluzkę, poczuć jego nagie ciało na swoim. Zadrżała ze wzruszenia, gdy Luiz zanurzył dłoń w jej włosy, zmusił do odchylenia głowy i spijał krople potu spływające po jej szyi. A kiedy płonącymi ustami dosięgnął jej ucha, wyszeptał:

- Querida, nie mogę tego dłużej wytrzymać. Chyba wezmę cię tu, natychmiast.

Amy oparła głowę o jego pierś.

- Na co czekamy? Odejdźmy.

- Nie możemy.

Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Musimy. Nie możemy... na miłość boską, nie tutaj. Luiz szarpnął się i podsunął jej pod nos związane przeguby.

- Nie możemy, dopóki ktoś nas nie uwolni.

- Nie... nie. A jeśli nikt tego nie zrobi? - przymknęła oczy i przycisnęła rozpaloną twarz do jego ramienia. - Pragnę cię tak mocno. Nie myślałam...

- Co, querida? Co powiedziałaś?

Amy podniosła głowę i błagalnie spojrzała w jego oczy.

- Powiedziałam, że cię pragnę - wyszeptała bez tchu. - Chcę, żebyś mnie kochał. Tak bardzo, aż do bólu.

- Mi querida - odparł miękko.

Cały wieczór czekał na to wyznanie. Nie przypomniał, co powiedziała wcześniej - że stanie się to w dniu jej śmierci.

Pociągnął Amy na drugą stronę ogniska, gdzie ucałował jej przymknięte oczy tak, by nie widziała, że wysoko unosi wolne ramię. Był to znak dla jego obserwatora.

Pedrico ujrzał uniesione ramię Luiza. Uśmiechnął się, rzucił cygaro, rozdeptał je obcasem i zszedł z platformy. Po chwili znalazł się obok tańczącej pary.

Z uśmiechem oznajmił, że uroczą senorita Maria Guerrero uprzejmie zgodziła się wyzwolić gospodarzy. Obiecała wydać baile del desempeno za trzy tygodnie w swoim domu.

Szybko rozwiązał ich i z ukłonem odstąpił na bok.

- Gracias, gracias, amigo - zawołał Luiz.

Pedrico klasnął w dłonie, prosząc o spokój. Luiz tymczasem szybko zapiął koszulę, odwrócił się i wystąpił naprzód. Tłum zamilkł.

W doskonałej kastylijskiej hiszpańszczyźnie zwrócił się do swych żołnierzy.

- Cztery dni temu dostałem rozkazy od naszego presidente, Benito Juareza. Naszym obowiązkiem jest pozostać w gotowości na miejscu, w sztabie. A więc, mis amigos, bawcie się. O świcie nie zabrzmi pobudka.

Rozbrzmiały okrzyki entuzjazmu. Luiz natychmiast podszedł do Amy. Zwrócony plecami do tłumu, poświęcił jej całą swą uwagę ignorując wiwaty.

- A teraz powiedz to jeszcze raz - rozkazał stanowczo. - Powiedz, że mnie pragniesz.

- Pragnę cię - szepnęła Amy i zabrzmiało to prawie jak szloch. - Pragnę cię. Weź mnie, El Capitan.

## Rozdział 28

Mięśnie jego lśniącej szyi zadrżały, gdy z widoczną trudnością przełknął ślinę. Wyraz jego błyszczących czarnych oczu był mieszaniną czułości i namiętności. Twardy zarys warg rozpułynał się w zmysłową miękkość.

Po raz pierwszy powłoka chłodu opadła zupełnie. W jego głosie było tyle bezbronności.

- A ja pragnę ciebie - odezwał się bez śladu sarkazmu. - Bardziej niż czegokolwiek.

- Luiz - wyszeptala Amy, powoli unosząc drżącą dłoń, by dotknąć jego piersi.

Ujął ją delikatnie, splatając ciemne palce z jej białymi szczupłymi palcami.

- Chodź ze mną - powiedział.

Nie pytała o nic. Marzyła tylko, by być z nim. Nigdy nikogo i niczego nie pragnęła tak bardzo, jak dzisiaj jego.

Przyspieszyła kroku, nie zastanawiając się, co pomyślą goście. Dotychczasowe pragnienie, aby utrzymać swe prywatne życie w tajemnicy, zwyciężyła namiętność.

Tego ciepłego majowego wieczoru nie była godną szacunku wdową.

Była na pół pijana ognistą tequilą i zupełnie oszołomiona obecnością ognistego mężczyzny. Możliwość plotek na temat jej zachowania nie przerażała Amy.

To zupełnie nie miało znaczenia. Nic nie miało znaczenia, oprócz gorącego pragnienia, by znaleźć się w jego ramionach, by czuć jego smukłe nagie ciało na swoim, by patrzeć bez lęku w cudowne, czarne oczy, podczas gdy on po mistrzowsku będzie ją wiodł ku ekstazie.

Luiz nie zabrał Amy na hacjendę. Szybko okrążyli ognisko i skierowali się na północny wschód, jak najdalej od święta Cinco de Mayo. Jak najdalej od ranca.

Ubity piasek szeleścił pod ich stopami. Minęli zabudowania i szafasy należące do Orilli; podążając poprzez płaski, pustynny teren zeszli po łagodnym wzniesieniu. Amy ujrzała wznoszący się w księżycowym świetle czerwony dach stojącej na uboczu stajni. Stajni, w której Luiz trzymał swojego drogiego konia Noche.

Karosz pochwycił ich zapach i zaczął parskać zanim osiągnęli wysoki płot corralu. Czekał na nich, gdy Luiz pchnął furtkę i wprowadził Amy do środka. Noche chciał się bawić, ale właściciel zignorował konia.

Luiz wziął Amy w ramiona, kiedy tylko furtka zamknęła się za nimi. Noche donośnym rzeniem oznajmił swój protest.

- Co się z nim dzisiaj dzieje? - zapytała Amy, gdy Luiz wprowadził ją do wapnowanej stajni.

Weszli w ciemność, poza jasne światło księżyca i Luiz oparł Amy o ścianę.

- Jest zazdrosny - wyszeptał, przesuwając dłoń wzdłuż jej ramienia.

- O mnie? Noche nigdy nie był o mnie zazdrosny.

- Nie o ciebie. O mnie - oczy Luiza zabłyśły w mroku.

- Nie rozumiem - wyszeptała, manipulując przy guzikach jego koszuli.

- Wie, po co tu przyszliśmy - dłonie Luiza objęły szyję kobiety, a jego kciuki zataczały na niej powolne, pieszczotliwe kręgi.

- Żartujesz - zaprotestowała niepewnie. Oparła głowę o ścianę i spojrzała wprost w jego błyszczące oczy. - Noche nie może wiedzieć.

Ciepłe wargi Luiza spoczęły na jej ustach, przerywając jej w pół słowa. Gorący namiętny pocałunek trwał tylko kilka sekund, potem usta Luiza przeniosły się na jej przymknięte powieki.

- On wie - wyszeptał. - W tej stajni pokrywa kłacze Orilli.

Gorący rumieniec oblał twarz Amy. Wciąż słyszała nerwowego konia, jego niskie, brzmiące jak skarga rzenie, które przerodziło się w rozpaczliwy krzyk. Zwierzę podskakiwało niespokojnie tuż przed uchylonymi drzwiami stajni.

Luiz nie zwracał uwagi na głośne protesty ogiera. Uwolnił białą meksykańską bluzkę Amy z paska i ściągnął ją jej przez głowę.

Objął rozgrzanym spojrzeniem jej piersi, okryte jedynie satynową halczką. Ściągnął z siebie koszulę.

Amy poczuła nagle, że nie może złapać tchu.

- Może powinniśmy zostawić Noche w spokoju - szepnęła. - Chodźmy do hacjendy.

Luiz podszedł bliżej. Mocno objął palcami dłoń Amy i przycisnął do swego nagiego, płaskiego brzucha. Nie spuszczając z niej oczu przesunął jej rękę niżej, poza srebrny pas concho, na szorstką tkaninę

spodni i wprost na miejsce, gdzie twarda jak skała wypukłość napinała materiał do granic wytrzymałości.

- Nie wytrzymam dłużej - wyjaśnił zaskoczony własnymi słowami.

Nigdy nie zawodziło go panowanie nad sobą. Mógł utrzymać pełną gotowość przez długi czas, zresztą nieraz to robił. Wielokrotnie doprowadzał kobietę do spełnienia, zanim sam je osiągnął. Ale nie tej nocy. Nie z tą złotowłosą kobietą, której samo dotknięcie doprowadzało go do szaleństwa. Nie z tą istotą o twarzy anioła, swą pierwszą i jedyną miłością.

Był za bardzo podniecony, pragnął jej zbyt mocno.

- To musi się stać tutaj - wyznał. - Natychmiast.

- Tak, och, tak - zamruczała Amy, wciskając kolano pomiędzy jego uda.

Nagle chwycił głowę kochanki i niemal siłą przyciągnął do siebie. Zaczął ją całować z całą pasją i namiętnością, a gdy ich płonące wargi rozstały się, stanął za nią, przytulając jej smukłe ciało.

Czarny ogier walił kopytami w ziemię i rżał głośno.

- Czy wiesz, jak kochają się konie? - zapytał Luiz zdławionym głosem.

Usta Amy otwarły się mimowolnie, kiedy ujął cienkie ramiączka jej koszulki i zsunął w dół. Nie odpowiedziała. Wizja ogromnego, podnieconego ogiera pokrywającego przerażone i drżące klacze, pociągała ją i odpychała na przemian. Luiz zaczął zmysłowym głosem:

- Najpierw ogier gryzie klacz.

Obrócił smagłą twarz ku łagodnej krzywiznie jej szyi. Rozchylonymi ustami dotknął jasnej, wilgotnej skóry, przez chwilę całował ją, zataczając językiem ogniste, wilgotne kręgi. Szerzej otworzył usta i zatopił w miękkim ciele ostre, białe zęby. Amy zadrżała, odrzuciła głowę do tyłu czując, że brakuje jej powietrza, gdy koszulka z szelestem zsunęła się po napiętych piersiach i zwisła u paska. Przymknęła oczy i wydała cichy, gardłowy szloch.

Luiz ssął delikatną skórę, potem przysunął usta do jej ucha.

- Po ugryzieniu ogier pieści i uspokaja klacz - szepnął.

Ciemne, ciepłe dłonie objęły jej nagie piersi, koniuszkami palców skubiąc stwardniałe z namiętności sutki. Całował i pieścił szyję Amy,

a ona, niezdolna ustać spokojnie, wiła się i drżała z podniecenia i oszołomienia.

Nie przerywając pieszczot i pocałunków, powiódł ją zręcznie w głąb mrocznej stajni, tam, gdzie rozrzucona słoma miękkim kobiercem okrywała drewnianą podłogę. Przyciskał Amy coraz mocniej, ale nie wypuszczał z ramion, gdy, dysząc cicho, usiłowała obronić się przed tym, co miało nastąpić.

Dotarli do środka stodoły. Luiz zatrzymał się, okrywając szamoczącą się kobietę uspokajającymi pocałunkami. Wreszcie się poddała i oparła głowę na jego ramieniu.

- Kiedy klacz już nie usiłuje uciekać - podjął Luiz - ogier wie, że należy do niego.

Leciutko ścisnął jej piersi i przesunął dłonie niżej.

- Czy należysz do mnie, Amy?

- T... tak. Należę do ciebie.

- Pozwolisz, abym cię wziął tak, jak ogier kryje klacz? Pozwolisz, żebym kochał cię w tej pozycji?

Luiz zamilkł i wstrzymał oddech w oczekiwaniu. Z dłońmi na szorstkiej materii okrywającej jego uda, z głową bezwładnie opadającą na ramię, Amy wyszeptała wreszcie.

- Tak. Tak.

Smukłe ciało Luiza zadrżało nową falą podniecenia. Stał w mroku, bojąc się nawet drgnąć. Amy obróciła się w jego ramionach, twarde sutki otarły się o jego pierś, a smukłe ramiona otoczyły szyję Luiza.

- Pokażesz mi, jak? - wyszeptała w ciemności. - Nie jestem pewna, czy wiem. Nigdy...

- Ach, kochanie - wymruczał. - Pokażę ci.

Stali patrząc na siebie przez długą chwilę. Nagle, jakby na dany znak, oboje cofnęli się o krok i zaczęli pospiesznie zrywać z siebie ubranie. Na zewnątrz czarny ogier wciąż skakał i rżał jak szalony w srebrzystym świetle księżyca, a w mrocznej stajni dwoje podnieconych ludzi rozbierało się gorączkowo.

Nie chciane ubranie zostało odrzucone na bok. Luiz był całkiem nagi. Tylko uparty węzeł czerwonej szarfki wokół talii Amy nie dał się rozluźnić. Wzdychając cicho z irytacji, spojrzała na swego partnera. Luiz natychmiast odsunął jej dłonie i zajął się szarfą.

Wilgotny materiał nie ustępował.

Luiz nie tracił więcej czasu. Owinął sobie długie końce szarfy wokół dłoni i przyciągnął Amy do siebie. Ucałował jej twarz i wyszeptał:

- W porządku. Zajmę się tym.

Znowu obrócił ją tyłem do siebie. Przesunął czerwoną szarfę wokół jej wąskiej talii, aż oporny węzeł znalazł się na plecach i przeciągnął długie, zwisające końce za własne plecy, skrzyżował i związał na brzuchu.

Przyciągnął Amy jeszcze bliżej i wyszeptał z twarzą wtuloną w jej włosy.

- Lubię to. Lubię, kiedy jesteś ze mną związana.

- Ja też - westchnęła cicho. - Ja też.

Przymknęła oczy. Ciepła, pewna dłoń Luiza przesuwiała się wzdłuż jej brzucha aż do trójkąta wilgotnych włosów między udami. Przez krótką, słodką chwilę po prostu jej dotykał, mocno przyciskając.

A potem jego długie, zwinne palce zanurzyły się w złociste włosy i Amy mocno, spazmatycznie wciągnęła powietrze, gdy zaczął ją pieścić dokładnie tak, jak lubiła najbardziej.

Wtedy, pierwszej wspólnej nocy, bez trudu znalazł klucz do jej zaskakująco burzliwej namiętności, a teraz, zaledwie dotknął wrażliwego miejsca, znalazł je nabrzmiące i jedwabiące wilgotne.

- Kochanie - wymruczał.

Wcisnął brązową stopę pomiędzy jej kostki, rozsuwając je na bok. A kiedy miał już dość miejsca, dla obu stóp, powoli zmusił Amy, by opadła na kolana. Sam poszedł jej śladem.

Nadzy, jeśli nie liczyć wiążącej ich szkarłatnej szarfy, klęczeli tak w bladym świetle księżyca, które wpadało przez wrota stajni. Amy wzdychała z rozkoszy, gdy Luiz całował jej kark, szepcząc czułe słowa po angielsku, hiszpańsku i w języku Azteków Nahuatl.

Kiedy Luiz zmusił ją do opadnięcia na czworaki, wydało jej się to najbardziej naturalnym w świecie sposobem kochania się. Klęknął za nią, mocno napinając szarfę.

Jedną dłoń wsparł na jej biodrze, a drugą, pulsującą i nabrzmiętą, wsunął się lekko w jej ciepłe wnętrze.

Ostrożnie zanurzył się w niej. Oboje westchnęli ze szczęścia. Wycofał się niemal zupełnie, potem uderzył znowu. Nie śpieszył się, umyślnie rozluźniony, nie dawał jej z siebie wszystkiego. Nie chciał sprawić jej bólu.



To jednak wystarczyło, by Amy zapragnęła więcej. W nieświadomym dążeniu do przyjęcia go w całości poruszała biodrami, jęczała i wzdychała. Wyginała nagie plecy, kołysząc piersiami w rytm swych podnieconych ruchów. Rozgorączkowana i niecierpliwa nagle uświadomiła sobie rzenie Noche, dochodzące tuż zza drzwi stajni, śmiechy i okrzyki grupy gości, którzy znajdowali się na wzgórzu nie dalej niż o sto jardów.

Rzeczywistość poraziła ją jak błyskawica. Czy to wszystko dzieje się naprawdę? Czy to ona, Amy Sullivan Parnell, nago i na czworakach kocha się jak dzikie zwierzę na sianie w stajni, podczas gdy podniecony koń szaleje o parę kroków od niej, a opodal bawi się grupka ludzi?

Luiz, wrażliwy na jej każdą reakcję, wyczuł, co się dzieje. Wiedział też, jak temu zaradzić.

- Na tym świecie jesteśmy tylko my dwoje, ukochana. Nikt więcej - wyszeptał niskim, spokojnym głosem. Jego skronie pulsowały, żądza spalała go. - Tylko my, querida.

Cał po calu zanurzał się coraz głębiej, zwalniając tempo i chcąc wypełnić ją całkowicie, przepędzić wszystkie logiczne myśli.

Ciało i umysł Amy odpowiedziały momentalnie. Myśli o ogierze, tłumie obok i własnych skrupułach rozplynęły się gdzieś. Byli sami na świecie, a ich ciała pasowały do siebie całkowicie, cudownie.

Westchnęła. Jej biodra podjęły kołyszący, rytmiczny ruch, dobywając z ust związanego z nią mężczyzny jęk szalonej rozkoszy. Słyszała wyłącznie jego głos.

Dłońmi, kolanami i palcami stóp miażdżyła słomę na podłodze, rozpuszczone włosy spadały jej na oczy. Była niby jakaś dzika, nieposkromiona istota całkowicie zatopiona we własnym szczęściu.

Jej kochanek wyczuł to, zapłonął na widok jej oddania i zapragnął ofiarować jej jeszcze więcej rozkoszy.

Pochylił się do przodu, chwycił ją za ramiona i uniósł. Jednocześnie uklękli na chwilę, a on zaczął szeptać słowa miłości. Przesunął się na pięty, pociągając ją za sobą i rozpostarł szeroko kolana. Ułożył miękkie pośladki Amy na własnych udach, dłonią lekko otoczył jej szyję i zmusił, by wsparła głowę na jego ramieniu.

- Nigdy nie sprawiłaś mi tyle rozkoszy - szepnął miękko i musnął pocałunkiem jej skroń. - Nigdy nie pragnąłem bardziej dać jej i tobie.

- Ależ dajesz mi ją - odparła z westchnieniem. - Zbyt wiele...

- Nigdy za wiele - odezwał się niskim, matowym głosem. - I nigdy dość.

- Ja... nie wytrzymam więcej...

Delikatne palce Luiza spoczywały na jej szyi. Druga, wolna dłoń powędrowała tymczasem wzdłuż jej brzucha i zaczęła gładzić cieniutką linię złocistego puszku ciągnącą się w dół od jej pępka. Jednocześnie nie przestawał rytmicznie uderzać biodrami o jej pośladki, zanurzając się w niej, nabrzmiały aż do bólu.

Ogarnął ich szal.

Amy dyszała i jęczała, przyciskając się do czarodziejskich palców gładzących jej szyję i brzuch, i do tego przerażająco twardego męskiego ciała, które wypełniało ją bez reszty. Wraz z falą rozkoszy przyszło pełne wyzwolenie, a wraz z nim - potrzeba nowego szaleństwa zmysłów.

- Czy naprawdę chcesz sprawić mi więcej przyjemności? - zapytała.

- Wszystko, czego zapragniesz, querida.

- Wiesz, czego pragnę - odparła gorąco.

- Chcę, żebyś mi to sama powiedziała.

Uczyniła to bez chwili wahania i wstydu. Wypowiedziała słowa, których nigdy do tej pory nie wymawiała. Poprosiła go głośno, nawet nie przypuszczając, jak go to podnieciło. Skrzywiła się lekko i jęknęła w ekstazie, gdy Luiz, żarliwie odpowiadając na prośbę, wsunął palce pomiędzy jej uda, odnalazł maleńki, śliski węzełek szczególnie wrażliwego kobiecego ciała i zaczął go wprawnie pieścić.

- Och, Luiz - wyszeptała Amy. - Luiz. Luiz. Luiz.

- Wiem, maleńka, wiem.

El Capitan Luiz Quintano siedział w kucki na słomie w stajni Noche i w blasku majowego księżyca gorąco, burzliwie kochał Amy Parnell. Pot lśnił na jego smagłym ciele. Unosił się i opadał, zanurzając w jej wnętrzu.

Pomiędzy okrzykami namiętności mocno zaciskał białe zęby powstrzymując własną burzę namiętności aż do jej ostatecznego zaspokojenia.

Słodko pachnące włosy Amy chłostały jego twarz, perłowe, rozgorączkowane ciało tak cudownie wiło się i ocierało o jego skórę, delikatny głosik tak rozkosznie szeptał jego imię, że zaledwie mógł znieść to wszystko. Nie potrafił się dłużej powstrzymać.

Amy zaczęła szybko oddychać.

- Nieee... - jęknęła. - Luiz, ja...

- Tak - wyszeptał przekonująco, czując jak najsekretniejsze z jej mięśni zaczynają się kurczyć, obejmując go ciasno. - Tak, kochana, pozwól, by nadeszło. Pozwól na to...

Amy ogarnęła rozkosz tak intensywna, że wręcz przerażająca. Reakcje rozgorączkowanego ciała wymknęły się spod jej kontroli, zaczęła krzyczeć imię własnej narastającej ekstazy. Najśłodszy dźwięk dla Luiza. Teraz mógł wbijać się w nią jak szaleniec, oddając kochance całą swą namiętność i zatrzymując się w niej. Gdy dzikie, rozedrgane szaleństwo Amy zbliżało się do końca, nadeszło jego własne spełnienie, i głośne jęki rozkoszy dołączyły do jej gasnących okrzyków bezgranicznego szczęścia.

## Rozdział 29

Ten sam majowy księżyc, który oświetlił dwoje namiętnych kochanków klęczących na zasłanej słomą podłodze stajni w Orilli, świecił także nad wulgarnie i bez smaku udekorowaną sypialnią na wybrzeżu San Francisco. Nimfy i satyrowie z bladokremowego gipsu igrali na suficie, wysoko nad głową ciemnowłosej, miedzianoskórej nimfy, która swawoliła z nienasyconym złotowłosym satyrem.

Zasnute trunkiem niebieskie oczy śledziły każdy lubieżny ruch zwinnego ciała ciemnowłosej kobiety. Jasnowłosy człowiek siedział nago na łóżku pokrytym czerwoną satyną, z rozstawionymi kolanami, z długim cygarem w jednej, a szklanką bourbona z Kentucky w drugiej ręce.

Kobieta tańczyła dla niego. Tańczyła już od ponad godziny. Była zmęczona, strumienie potu oblewały jej rozłożyste kształty. Rozdzielone pośrodku głowy włosy w mokrych, splątanych kosmykach spadały aż na biodra, chłostały mokrą twarz i ramiona w rytm jej ruchów. Obracała się, kręciła i kołysała, zmuszając swe ciało do przybierania nieprzyzwoitych póz, jakich zażądał od niej jasnowłosy mężczyzna.

Miała na imię Nacori. Urodziła się jako córka piętnastoletniej matki z plemienia Mimbrenjów i pięćdziesięcioletniego ojca, Anglika, który przyjechał do Ameryki, by zajmować się brytyjskim ranchem.

Praca na roli nie przypadła jednak do gustu Sir Alfredowi Whittingtonowi, podobnie jak perspektywa ojcostwa. Dlatego też, skoro tylko brzuch jego młodej towarzyszki wypełnił się, Sir Alfred wyrzucił ją. Sam wkrótce powrócił do Anglii, gdzie czekała nań tępawa żona o końskiej twarzy i pięcioosobowa rodzina.

Ciężarna kobieta odeszła do swego plemienia. Dziecko przyszło na świat w obozie wodza Mangasa Colorado i było przez wszystkich kochane. Nacori wyrosła na śliczną dziewczynę i wzdychało do niej wielu młodych wojowników.

Matka nauczyła Nacori mówić trochę po angielsku, który to język poznała dzięki ranczerowi. Opowiedziała jej także o ślicznym domu, w którym mieszkała z ojcem Nacori, ale ostrzegała ją, że w tamtym świecie półkrwi Indiankę czeka jedynie złamane serce.

Zanim Nacori doszła do wieku dwudziestu dwóch lat była dwa razy mężatką i dwa razy owdowiała. Marzyła, aby poznać świat

białych ludzi. Pod osłoną ciemności gorącej, letniej nocy wymknęła się z obozu. Na nieszczęście natknęła się na trzech Apaczów Mescalero. Zabrali ją do obozu w górach Chisos. Ich wysoki, chudy wódz o ohydnie brzydkiej twarzy, którego nazywano Językiem Węża, przyjrzał się uważnie ładniutkiej kobiecie o jasnej karnacji i zarządził, by zaprowadzono ją do jego wigwamu.

Zignorowano wszystkie protesty i wrzaski Nacori. Została wepchnięta do mrocznego wigwamu wodza Język Węża. Przerażona, obróciła się i rozejrzała w poszukiwaniu mężczyzny, który przyszedł za nią.

Ohydny wódz Mescalerów stał tak blisko, że czuła ciepło jego ciała. Był taki wstrętny ze swymi oczami podobnymi do czarnych paciorków, ogromnym, bulwiastym nosem i szerokimi, groteskowymi ustami, z których od czasu do czasu wysuwał się niewiarygodnie długi język. Temu językowi zawdzięczał swe imię.

Nacori zdrętwiała. W ciszy słyhać było tylko szelest upuszczanych na ziemię spodni z jeleniej skóry. W ciągu kilku sekund znalazł się przed nią, nagi od pasa w dół, z przerażającą twarzą ukrytą pod równie przerażającą, diabelską maską.

Była to ohydna konstrukcja ozdobiona rogami jelenia pomalowanymi na czerwono, długim, skórzanym językiem i okrutnymi zębiskami, a także potwornymi marmurkowymi oczami ze szparami do patrzenia.

Nacori, zdrętwiała ze strachu wrzasnęła, gdy wódz rozdarł jej ubranie ze skóry sarny. Walczyła przez chwilę, ale udało jej się tylko go rozgniewać. Przewrócił Nacori na posłanie ze skór. Sam zaraz znalazł się na niej.

Na pierwsze dotknięcie mokrego, długiego jęzora na piersi Nacori dostała torsji z obrzydzenia. Ale to był jedynie początek długiego, gorącego popołudnia. W dokładnie zamkniętym, mrocznym wigwamie wódz przybrany w diabelską maskę powoli i metodycznie wylizal każdy cal jej wijącego się ciała.

A kiedy nie zostało już ani jedno nietknięte miejsce, obrócił się na plecy i rozkazał jej usiąść na sobie okrakiem. Nacori zrobiłaby wszystko, byle zakończyć ten koszmar. Usiadła, poruszyła biodrami i niemal natychmiast usłyszała jego okrzyk satysfakcji.

Skwapliwie zsunęła się z ciała wodza i uniosła na kolana, gdy chwycił ją znowu:

- Zostaniesz tu ze mną. Będiesz moją kobietą - powiedział w języku Apaczów, a kiedy z przerażeniem potrząsnęła głową, wyciągnął ostry nóż, przyłożył jej do gardła i powtórzył:

- Będiesz moją kobietą.

Od tego dnia Nacori została kobietą wodza Język Węża. Była bardzo dobrze pilnowana. Wszyscy wiedzieli, że wódz ceni sobie tę kobietę za urodę i jasną skórę. Kiedyś już schwycił białą o okrągłych kształtach i czcił tak bardzo, że mówiło się, iż miłością zamęczył ją na śmierć. Przez rok spędzony z wodzem biała kobieta chudła i mizerniała, tak że nie zdziwiło nikogo, iż wkrótce umarła.

Nacori była silniejsza. Nie schudła. Nie rozchorowała się. Nie umarła, chociaż wielokrotnie marzyła o śmierci. Nie pozwoliła jednak, by wódz dowiedział się o tym, co czuła. Już po kilku tygodniach udawała sprytnie, że jest do szaleństwa zakochana w ohydny m zboczeńcu.

Zmusiła się, by okazywać niezmienną czułość mężczyźnie, którego ciało stanowiło wzór męskiej doskonałości, lecz twarz była odrażająca. Udawała, że nie może przeżyć chwili z dala od niego. Snuła się za wodzem jak wierny pies, wlepiając rozkochane oczy w potworną twarz. Zamknięta w zaciszu wigwamu pozwalała mu na każdą perwersję, jakby to lubiła. Leżała jęcząc i wzdychając z udanej rozkoszy, gdy godzinami lizał ją tak, jakby nigdy nie miał przestać.

Pozostała z wodzem Język Węża przez osiemnaście miesięcy, zanim wreszcie nadarzyła się okazja do ucieczki. Zagrała swoją rolę tak dobrze, że cała banda była przekonana o jej oddaniu dla wodza. Pewnego pochmurnego styczniowego dnia, po popołudniu spędzonym na rozpieszczaniu kochanka, gdy w końcu zasnął, Nacori wyśliznęła się z jego ramion, szybko się ubrała i nie zatrzymana przez nikogo opuściła obóz.

Serce bilo jej nadzieją i podnieceniem, gdy odcinała więzy najszybszego kuca w całym obozie. Wsiadła na jego grzbiet i odjechała.

Dotarcie do wymarzonego San Francisco zabrało jej ponad dwa miesiące. Było to jedno z niewielu miast, o których istnieniu wiedziała. Natychmiast też pokochała to hałaśliwe, ruchliwe miejsce, a widząc tłumy elegancko ubranych dżentelmenów, przechadzających się drewnianymi chodnikami, postanowiła tak oczarować jakiegoś bogatego kawalera, by błagał ją o rękę.

Już pierwszej nocy spędzonej w tętniącym życiem mieście spotkała człowieka swoich marzeń. Wysoki, przystojny młodzieniec o jasnoniebieskich oczach i lśniących blond włosach wyszedł z knajpy o nazwie El Dorado i niemal wpadł na Nacori.

Posłał jej olśniewający uśmiech. A kiedy grzecznie ujął ją pod ramię i zapytał, czy nie zechciałaby wejść z nim do środka, nie mogła uwierzyć własnemu szczęściu.

- Tak, tak. Bardzo chętnie - usiłowała wymawiać słowa wyraźnie, żeby nie pomyślał, iż całe życie spędziła pośród dzikusów.

Znienawidziła nagle swą sukienkę ze skóry sarny i biorąc go pod ramię, postanowiła, że zbyt długie włosy upnie na czubku głowy w jakiś wytworny sposób.

Wnętrze lokalu oszołomiło Nacori. Znajdowali się w dużym, kwadratowym pomieszczeniu o ścianach pokrytych kosztownymi obrazami, przedstawiającymi nagie kobiety w wymyślnych pozach. Nad ich głowami migotały kryształowe świeczniki. W jednym końcu sali znajdowała się platforma, przybrana wstęgami i girlandami, a na niej orkiestra.

Po drugiej stronie był bar, za nim olbrzymie lustra z rżniętego szkła. Na stolikach dla graczy spoczywały ogromne stosy złotych i srebrnych monet. Za każdym stołem siedział krupier.

Pełna podziwu dla otaczających ją bogactw Nacori przyłgnęła do ramienia wysokiego, jasnowłosego dżentelmena i pozwoliła powieść się w drugi koniec pomieszczenia. Jej towarzysz odsunął kotarę ze szkarłatnego muślinu i wprowadził ją do małego, dyskretnego pokoiku z niską kanapką.

Bez słowa zdjął doskonale skrojony, popielaty surdut i zaczął rozpinać guziki koszuli.

Nacori zamrugnęła oczami.

- Chcesz, żebym była twoją kobietą? - zapytała.

- Tak - odpowiedział z promiennym uśmiechem. Szczęście przeppełniło serce Nacori. Dżentelmen zapomniał dodać, że chce, by została jego kobietą tylko na najbliższy kwadrans.

W pół godziny później, gdy zapinał spodnie, naga Nacori zeskoczyła z kanapki i zawołała:

- Zabierzesz mnie do swojego domu?

- Kochanie - zachichotał. - Jedyńm domem, jaki posiadam, jest zrujnowana hacjenda gdzieś w południowo - wschodnim Teksasie. Jeżeli kiedykolwiek tam wrócę, oczywiście, że cię zabiorę.

Teraz, w pięć miesięcy później, Nacori wiedziała wszystko o dalekim domu swego kochanka. Wypytała go dokładnie, gdy był pijany i w gadatliwym nastroju. Marzyła, że pewnego dnia pojedzie tam z nim i zostanie panią ogromnej posesji, obdarowując go pięknymi, niebieskookimi dziećmi.

Niewielkie prawdopodobieństwo takiego zdarzenia nie mąciło słodkich marzeń Nacori. Podobnie jak to, że jej piękny kochanek miał tak mało pieniędzy, iż musiała sprzedawać się licznym panom odwiedzającym El Dorado, Parker House, Arcade lub Empire, albo którykolwiek inny dom gry na Wybrzeżu.

Nie przeszkadzało jej to. Większość z nich była czysta i ładnie pachniała, i dość łatwo było im dogodzić. Zabawianie co noc innego ani w połowie nie było tak okropne, jak wszystkie te potworne noce spędzone z odpychającym wodzem.

A poza tym pieniądze, które w ten sposób zarabiała, wystarczyły im na mieszkanie w eleganckim pokoju hotelowym z łóżkiem zasłanym czerwoną satyną, a nawet na szyte na miarę ubrania dla jej jasnowłosego kochanka. Zresztą to i tak wkrótce będzie poza nimi.

Nieco wcześniej, tego samego wieczoru, Nacori zabawiała ogromnego, chudego Teksasńczyka i dowiedziała się od niego bardzo podniecających rzeczy. Podzieli się tymi informacjami z kochankiem, skoro tylko pozwoli jej przestać tańczyć.

Wreszcie jej jasnowłose kochanie strzeliło palcami. Nacori znieruchomiała, złana potem i osłabiona.

- Kochany - odezwała się z uśmiechem. - Mam dla ciebie wspaniałe wieści!

- Później - przerwał jej ostro. - Nie widzisz, że nie mam nastroju do rozmów?

Nacori przytaknęła skwapliwie i podeszła bliżej. Miała zamiar objąć go za szyję, ale powstrzymał ją.

- Na kolana - rozkazał. Usłuchała, opadając na dywan pomiędzy jego nogami. Usłyszała pomruk zadowolenia. Oblizwała wyschnięte wargi i przyjęła go w ciepłe, wilgotne usta.

W chwilę później otarła usta przedramieniem i zapytała:

- Czy teraz mogę ci powiedzieć?



- Mów - uśmiechnął się do niej i wplótł palce w jej rozczochrane włosy.

Opowiedziała mu wszystko, czego się dowiedziała. Klient, znający dobrze ludzi i majątki południowo - wschodniego Teksasu opowiadał, że wielkie rancho Orilla znowu prosperuje. Półkrwi Hiszpan poprowadził na nie oddział meksykańskich żołnierzy i wziął je szturmem. Dawno wyschnięte koryto podziemnej rzeki znowu wypełniła woda, było pasie się na pastwiskach porośniętych świeżą trawą.

Mówiła i mówiła, a on słuchał z coraz większym zainteresowaniem.

Nacori czule potarła jego uda.

- Czy pojedziemy tam teraz? Wrócimy na wielką hacjendę i będziemy bogatymi właścicielami ziemskimi? Będę miała ładne sukienki i klejnoty, i wyściełane satyną kołyski dla dzieci? Powiedz!

- Będiesz... co?

- Baron, kochanie moje, czy teraz już pojedziemy do Orilli?

Wyjął palce z jej rozczochranych włosów, zrzucił jej dłonie ze swoich ud. Wsparł stopę na piersi kobiety i odepchnął ją ostro.

- Ja mogę wrócić do Orilli - powiedział, podnosząc się. - A ty? Cóż ty sobie myślisz, że zabiorę do Teksasu półkrwi dziewczynę?

Gorące łzy nabiegły jej do oczu i spłynęły po gładkich, miedzianych policzkach.

- Ja myślałam... co.. co ja teraz zrobię?

Baron Sullivan oparł dłonie na kolanach i pochylił się tak nisko, że jego twarz znalazła się przy policzku Nacori.

- Zawsze przecież możesz wrócić do Języka Węża - poradził.

Tysiąc pięćset mil dalej, w teksaskich górach Chisos, znajdowało się obozowisko małej bandy Apaczów Mescalero.

Było już dobrze po północy. W obozie panowała cisza i spokój.

Wódz Język Węża znajdował się na skraju obozowiska, nad bulgoczącym strumieniem, wyciągnięty w srebrzystym księżycowym świetle obok młodziutkiej, indiańskiej kobiety.

Nie spał i czuł się bardzo nieszczęśliwy.

Kobieta była jedną z najpiękniejszych dziewcząt w obozie, ale nie podobała mu się. Podobnie jak dwie inne, które - kolejno - weszły i wyszły z jego wigwamu wcześniej tego wieczoru.

Kiedy, wciąż niezaspokojony, odesłał ostatnią z nich, jeden z wojowników pokazał mu księżyc w pełni i zaproponował, by wódz wziął kobietę, której do tej pory jeszcze nie miał, na skraju strumienia na łące. Pod księżycem w pełni jej skóra wyda mu się jaśniejsza.

- Tak! - skwapliwie przytaknął wódz. - Której jeszcze nie miałem? Która jest dość piękna?

Wojownik, który poddał mu tak sprytny pomysł przemówił znowu.

- Moja siostra, Sarnie Oczy, uważana jest za miłą dla oka. Będzie zaszczycona, jeśli zdoła ci się dzisiaj przypodobać.

- Obudź Sarnie Oczy i natychmiast przyślij do mnie!

A teraz, leżąc na kocu w plamie jasnego jak światło dnia blasku księżycy, wódz Język Węża był zirytowany. Spędził z Sarnimi Oczami ponad godzinę. Dziewczyna ochoczo zaoferowała swe ciało dla przyjemności wodza i chętnie zrobiła wszystko, czego od niej zażądał.

Była ładną dziewczyną. Jej twarde jak melony piersi i mocne uda były mile dla oka, dotyku i smaku, ale to go nie satysfakcjonowało. Wprawdzie światło księżycy sprawiło, że jej skóra wydawała się kusząco jasna, ale to nie wystarczyło. Wciąż była indiańską kobietą o ciemnej karnacji, ciemnych włosach i unizonym zachowaniu.

Wódz Język Węża nagle przestał lizać palce nóg Sarnich Oczu. Ciężko upuścił jej stopę na koc i rozkazał jej odejść. Zraniona i rozczarowana, pozbierała rozrzuconą odzież i z płaczem pobiegła do swojego wigwamu.

W chwilę później cały obóz rozbudził dźwięk trąbki. Wojownicy chwycili za broń i wybiegli na zewnątrz, kobiety przygarnęły do siebie dzieci i zastygły w oczekiwaniu.

Wódz Język Węża, czarnym konturem odcinający się na tle nieba, odziany był w swoją szatańską maskę i dał w starą trąbkę, skradzioną dawno temu białym żołnierzom. Na jej dźwięk każdy członek plemienia zobowiązany był porzucić wszystko, cokolwiek robił i stawić się przed wodzem.

Język Węża opuścił trąbkę.

Stał na szeroko rozstawionych stopach. Marmurkowe oczy maski lśniły, czerwone rogi wydawały się prawie czarne. Wystawił długi język ponad ozorem maski, co sprawiało wrażenie, jakby był rogatym potworem obdarzonym dwoma językami.

Nagle rzucił trąbkę. Ściągnął diabelską maskę i cisnął nią o ziemię. Założył ręce na plecach i zaczął przechadzać się przed oczekującymi wojownikami. Spacerując opowiadał im, jak bardzo jest niezadowolony. Oznajmił, że będzie tak, dopóki nie otrzyma tego, czego naprawdę pragnie.

Zatrzymał się. Kilkakrotnie wysunął język z szerokich ust. A potem wydał rozkazy:

- Przeprowadźcie mi białą kobietę. Nie obchodzi mnie, skąd ją weźmiecie. Porwicie córkę osadnika. Napadnijcie na dyliżans. Wykradnijcie żonę ranczerowi. Chcę ładnej, białej kobiety o jedwabistych, złotych włosach i skórze białej jak mleko.

Wojownicy spojrzeli po sobie niepewnie, mruczając i przestępując z nogi na nogę.

Głos wodza przerodził się w ostry, świdrujący w uszach wrzask:

- Znajdźcie mi białą kobietę!

## Rozdział 30

Następnego poranka obudziło Amy ciepłe dotknięcie majowego słońca. Powoli otwarła oczy, zastanawiając się, dlaczego tak strasznie boli ją głowa i skąd u niej takie pragnienie. Odrzuciła w tył potargane włosy, uniosła się na łokciu i rozejrzała nieprzytomnie.

Była sama w głównym apartamencie. Leżała naga na łóżku, z którego zdjęto poduszki i całą pościel, dokładnie jak co noc. Tym razem jednak słońce stało wyżej i było dużo gorętsze. Najwidoczniej zasnęła.

Spuściła na dywan długie, smukłe nogi i sięgnęła po srebrny dzbanek, stojący na stoliku nocnym, daremnie szukając szklanki. Wreszcie wzruszyła nagimi ramionami, przechyliła dzbanek i zaczęła pić łąpczywie.

Z westchnieniem podniosła srebrne naczynie i przetoczyła je tam i z powrotem po pulsującym bólem czole. Potem przyłożyła go do piersi i brzucha. Dotknięcie zimnego metalu sprawiło, że zadrżała, szybko chwytając powietrze.

Przypomniała sobie wszystko.

Jej oczy rozszerzyły się przerażeniem, a usta bezgłośnie wyszeptały „nie”. Przyciskając do piersi zimny dzbanek potrząsnęła głową, desperacko usiłując zanegować to, co się stało. Po prostu miała zły sen. Na pewno nie... ona nie... och, mój Boże...

Z rozczochranych włosów Amy wypadła na dywan cienka słomka.

Przypomniała sobie, że czytała w sala i, podnosząc wzrok, ujrzała stojącego w drzwiach El Capitana. Także i to, że przebrała się pospiesznie i pobiegła na zabawę. I to, że wziął ją w ramiona mówiąc, iż tak niewiele zostało czasu, jakby miał wyruszyć nazajutrz.

Drań! Umyślnie pozwolił jej wierzyć, że wraca na pole walki. Że zniknie o świcie i być może nigdy go już nie zobaczy. Wszystko sobie zaplanował! Bezczelny, myślał, że jeśli Amy pozwoli się oszukać, przestanie się bronić i... i...

Napłynęła kolejna fala wspomnień.

Lizanie soli z dłoni El Capitana. Kolejne tańce aż zapomniała, że istnieje ktokolwiek poza nimi. Ona związana z nim... chusteczką do nosa. Ciepło bijące od ognia. Strugi potu. Oboje wychodzą z przyjęcia...

Dygoczącymi dłońmi ustawiła dzbanek z powrotem na stoliku. Mocno ścisnęła drżące kolana i objęła je ramionami. Przymknęła oczy, czując, jak w gardle wzbiera jej szloch bezsilnej rozpacz.

Pod przymkniętymi powiekami ujrzała bezwstydną parę istot ludzkich, nagich, związanych czerwoną jedwabną szarfą, parzących się w sianie na podłodze stajni jak dzikie zwierzęta.

Zduszony jęk wyrwał się z piersi Amy.

Byli zwierzętami. Ona była zwierzęciem. Tam, w ramionach El Capitana - człowieka, który otwarcie nią gardził - stała się bezwstydnym zwierzęciem. Dlaczego? Co się z nią stało? Czy to możliwe, żeby zupełnie straciła rozsądek?

Boże, co ja teraz zrobię? Jestem w pułapce nie kończącego się koszmaru!

Nagle, na stoliku nocnym koło srebrnego dzbanka spostrzegła żółty, starannie zwinięty papier. Natychmiast domyśliła się, co to takiego. Rozkazy dla El Capitana. Rozkazy, których daremnie szukała.

Szybko przeczytała list. Rzeczywiście, El Capitan miał pozostać na miejscu. Amy zapłonęła wściekłością. Pozostawił ten rozkaz, żeby z niej zadrwić.

Znowu zrobił z niej idiotkę! Zademontrował, jak bardzo jest wobec niego bezsilna.

Drżąc z obrzydzenia do samej siebie Amy odłożyła na stół żółty list od Juareza. Podniosła się i nagle przyszło jej do głowy, że musi natychmiast uciekać. Jeżeli on nie chce odjechać, ona będzie musiała to zrobić. Nie zostanie w Orilli ani jednej nocy dłużej.

Pobiegła do garderoby. Potrzebowała kąpieli, ale nie było czasu. Sądząc po kącie padania promieni słonecznych było już koło południa. El Capitan może wrócić lada moment, wejść akurat w chwili, gdy będzie brała kąpiel i...

Ubrała się najszybciej, jak to było możliwe. Ściągnęła z półki torbę i pospiesznie wcisnęła do niej trochę ubrań i dodatkową zmianę bielizny. I wówczas dotarło do niej, że jeśli nie chce wzbudzić podejrzeń, nie może niczego wziąć. Z sercem walącym jak młot wyjrzała do holu. Nie zobaczyła nikogo, wysunęła się więc z pokoju i zbiegła po schodach do pustej jadalni.

Liczyła na to, że Pedrico będzie w kuchni z Magdaleną. Spasowała, widząc ich oboje pijących kawę przy stole. Poczuli się jak niegrzeczne dziecko, które czeka na nagane.

Oni jednak uśmiechnęli się ciepło, a oczy ich wyrażały zupełną aprobatę dla jej zachowania. Być może nie wiedzieli o niczym. Może, podobnie jak inni, bawili się tak doskonale, że nie zauważyli, kiedy Amy i El Capitan wymknęli się do stajni.

- Dzień dobry - powiedziała, ledwie nad sobą panując.

- Senora Amy - Pedrico uprzejmie podniósł się z krzesła.

- Potrzebujesz dziś porządnego śniadania - oświadczyła chichocząc Magdalena i naląła jeszcze jedną filiżankę parującej kawy. Podała ją Amy.

- Zaraz przygotuję ci coś specjalnego.

- Nie jestem głodna - przerwała Amy. Rozejrzała się nerwowo i dodała: - Ja... och, chciałam jechać dziś do miasta.

Wzięła filiżankę z kawą.

Ręce Magdaleny powędrowały na biodra.

- Po co jechać do Sundown? Nie potrzebujemy niczego. Z fiesty pozostało tyle różności, że nie damy rady zjeść wszystkiego.

- Wiem - odparła Amy spokojnie. - Myślałam... że może włożysz trochę resztek do jakiegoś kosza i zawiozę to Macowi i jego rodzinie.

- Potrzebujesz wypoczynku, wyglądasz jakbyś... jakbyś... - Magdalena na sekundę spuściła wzrok i dodała: - Czy na pewno czujesz się na siłach, żeby jechać do miasta?

- Czuję się świetnie - odparła Amy. Odwróciła się do Pedrica i zapytała:

- Podwiesz mnie?

- El Capitan pojechał na spacer - odparł Pedrico z uśmiechem. - Kiedy wróci, zawiozę panią do Sundown.

- Nie! - oświadczyła Amy zirytowana - Ja nie chcę czekać do powrotu El Capitana! Chcę jechać zaraz!

- Ale, senora, po co taki pośpiech? Jeżeli pani chce tylko...

- Jadę do Sundown, Pedrico. Jeżeli mnie nie zawieszysz, pojedę sama!

Pedrico i Magdalena porozumieli się wzrokiem.

- Zawiezie cię, jeżeli tak nalegasz. Zapakuję jedzenie, to potrwa minutkę - powiedziała Magdalena.

W pół godziny po tym, jak Amy i Pedrico opuścili hacjendę, El Capitan powrócił z porannej przejażdżki. Zeskoczył na ziemię i poprowadził Noche do specjalnego corralu, w jednej ręce trzymając wodze, a w drugiej bukiet jaskrawoczerwonych maków.

Zdjął uzdę Noche i wszedł do ciemnej stajni, żeby powiesić ją na haku. Natężając wzrok szedł dalej, kiedy spostrzegł coś leżącego w słomie.

Ostrożnie położył bukiet maków obok siebie, podszedł nieco bliżej i pochylił się. Jego mroczna twarz rozjaśniła się uśmiechem radości, kiedy sięgnął po lśniąca jedwabną szarfę. Szarfę, która została przecięta na pół.

Bawiąc się zniszczoną ozdobą ułożył ją obok siebie na kolanie i potarł lekko. Natychmiast pojawiły się słodkie, erotyczne wizje.

Naga, piękna Amy na kolanach w słomie. Czerwona szarfa wiążąca ich ze sobą, kiedy się kochali.

A potem, wciąż związani czerwoną szarfą, leżeli w sianie dotykając się i całując, aż znowu obudzili w sobie pragnienie. Zaczęli się kochać, tym razem zwróceniu do siebie. Oko w oko. Serce w serce.

Szarfa uciskała, ciągnęła, wreszcie zaczęła zawadzać.

- Przetnij ją - szepnęła Amy zapatrzona w niego, jedwabistymi udami obejmując go w pasie. - Przetnij szarfę, kochanie - uniosła biodra. - Wciąż jesteśmy złączeni.

Wyjął nóż z odrzuconego na bok buta i przeciął szarfę na jej smukłej talii. A potem ona wzięła nóż, wsunęła jego koniec pod mocno wpijający się w ciało czerwony jedwab i przecięła materiał.

Teraz Luiz troskliwie złożył pocięty jedwab. Rozpiął środkowy guzik koszuli i wsunął szarfę za pazuchę. Wyszedł na jasne słońce z oczami błyszczącymi rozbawieniem. Nagle, kiedy mijał stertę piachu, zatrzymał się, strzelił palcami i pospiesznie zawrócił.

Pochylił się i podniósł bukiet maków. Kwiatów, które zebrał dla Amy.

Przechodząc przez wschodnie patio czuł się podekscytowany jak mały chłopiec. Nerwowo zajrzał do holu i odetchnął, nie widząc tam nikogo. Skacząc po dwa stopnie wbiegł na schody. Serce bilo radośnie. Przed rzeźbionymi drzwiami sypialni przeczesał palcami włosy, spojrzął po sobie i podniósł rękę, żeby zapukać.

Nagle zmienił zamiar.

Nacisnął klamkę i cicho wszedł do środka, starannie zamykając za sobą drzwi. Jego oczy powędrowały natychmiast w stronę ogromnego białego łóżka.

Było puste.

Luiz zmarszczył brwi, potem nagle uśmiechnął się. Amy, po nocy, jaką razem spędzili, prawdopodobnie moczy się w wannie. Właściwie nie mógł wyobrazić sobie przyjemniejszego sposobu spędzenia reszty poranka, niż obserwowanie jej w kąpieli.

Zacisnął obie dłonie na bukietach meksykańskich maków i przeszedł przez pokój, cicho wołając ukochaną po imieniu. Kiedy jednak wszedł do łazienki, ujrzał jedynie własną postać, odbijającą się w lustrzanych ścianach. Wanna była pusta.

Nagle zaniepokoił się. Opuścił ramiona, ogarnięty dziwnym przeczuciem, że odeszła. Nerwowo uderzał bukietem po udzie, stojąc nad łóżkiem i wspominając, jak cichutko zakradli się tu o piątej rano, na pół ubrani i roześmiani, marząc jedynie o śnie.

Jego czarne oczy zwężyły się. Luiz pochylił się i podniósł z białego prześcieradła małą słomkę. Rzucił bukiet maków na łóżko i zszedł na dół poszukać Amy.

Był przekonany, że jej tam nie znajdzie.

Amy nie traciła czasu. Skoro tylko Pedrico zatrzymał się przed sklepem Maca, wyskoczyła z powozu na drewniany chodnik i rzuciła:

- Nie musisz wchodzić. To trochę potrwa.

Nie czekając na odpowiedź wbiegła do środka i odetchnęła z ulgą, nie widząc wokół siebie żołnierzy El Capitana. Dostrzegła za ladą Maca i podeszła do niego szybko pytając, czy najstarszy syn wielkiego Irlandczyka, Raul, mógłby oddać jej przysługę.

Mac roześmiał się dobrodusznie.

- Jeżeli pani go dobudzi. Śpi w słońcu za sklepem. Cośmy z jego matką zrobili nie tak jak trzeba? - zaśmiał się znowu, a Amy zawtórowała mu i natychmiast wyszła.

Delikatnie potrząsnęła jedenastoletnim Raulem. Chłopak przetarł oczy pięściami, mrugnął kilkakrotnie, ale słuchał uważnie. Amy kazała mu iść do stajni miejskiej, wynająć najlepszego konia, przypilnować, żeby został osiodłany i przyprowadzić go na tyły sklepu. Wcisnęła mu pieniądze do ręki.



Bosy chłopak ruszył natychmiast i po kilku minutach był z powrotem, prowadząc dość silnego na oko, osiodłanego deresza. Amy, zadowolona, wyjęła z sakiewki złotą monetę i podała Raulowi.

- To będzie twoje, jeśli wyświadcysz mi jeszcze jedną przysługę.

- Si, senora?

- Idź spać.

- Ach, si, si - Raul wcisnął monetę do kieszeni spodenek, zwinął się w słońcu jak kot i przymknął oczy. Po chwili jednak podniósł powieki, obserwując, jak Amy wsiada na deresza i odjeżdża na zachód. Dopiero gdy ucichł tętent kopyt i znikła chmura kurzu wzniecona kopytami deresza, Raul ziewnął, dotknął spoczywającej w kieszeni złotej monety i zasnął z powrotem.

Dwie godziny później Pedrico, zaniepokojony i pełen wyrzutów sumienia, wrócił na rancho. Przejechał przez wysokie białe bramy Orilli, stojąc na koźle i okładając konie batem.

El Capitan w śnieżnobiałej koszuli, jasnoniebieskich mundurowych spodniach i wysokich, lśniących butach już od ponad godziny spacerował nerwowo po zacienionym zachodnim patio. Kiedy dostrzegł na horyzoncie chmurę pyłu, serce podskoczyło mu w piersi.

Ze skrzyżowanymi ramionami czekał na podjeździe. Pedrico gwałtownie wstrzymał konie, aż ich kopyta zaryły się w żwirze. El Capitan wyszedł mu na spotkanie.

- Dios, Capitan! To wszystko moja wina. Nie powinienem był...

- Poruczniku Valdez - spokojnie uciał Luiz. - Proszę opowiedzieć, co się stało.

- Zniknęła! - wykrzyknął Pedrico. - Zawiozłem ją do Sundown wbrew pańskim rozkazom i senora Parnell zniknęła!

Luiz starał się ukryć wewnętrzną burzę.

- Spokojnie, amigo - odezwał się obojętnie. - Opowiedz mi wszystko. Pedrico spełnił jego żądanie. W skupieniu wysłuchał rozkazów El

Capitana, wydanych spokojnym, zrównoważonym głosem:

- Osiodłasz najszybszego konia w Orilli.

- Nie pojedzie pan na Noche? Luiz potrząsnął głową.

- Nie. Apacze nie podkuwają swoich koni, amigo. Noche jest podkuty. Dasz mi mustanga.

- Dios! - Pedrico przeżegnał się pospiesznie.

- Pozbierasz zapasy: koce, dodatkową zmianę ubrania, świece, wodę i broń. Ruszaj!

W kilka minut potem El Capitan zszedł na dół. Nie miał na sobie munduru. Smukłe biodra i nogi opinały mu spodnie z miękkiej skóry jelenka. Koszula z tej samej skóry, ozdobiona frędzlami na piersi i przy szwach rękawów, uwydatniała szerokość jego ramion. Nisko zwieszony pas podtrzymywał pochwę z coltem kaliber 44. Czarne buty zostały zastąpione miękkimi, brązowymi.

Pod szyją miał zawiązaną jasnoniebieską chustę.

Zapłakana, załamująca ręce Magdalena biegła za nim od domu aż do ogrodu. Obejrzał się na nią.

- Zostań tu, Magdaleno - powiedział. - I nie martw się, przywiozę ją z powrotem.

Potężna kobieta nie była w stanie wykrztusić ani słowa. Otarła zaczerwienione oczy brzegiem fartucha i obserwowała, jak odziany w skórę jelenia Luiz kieruje się ku podjazdowi.

- Pojadę z panem - poprosił Pedrico, kiedy kapitan dosiadł wielkiego, silnego kuca.

- Nie, przyjacielu - Luiz spojrzał na pełną bólu twarz druha. - Musisz tu rządzić do mojego powrotu.

- Nie jestem godzien takiego zaufania - zaprotestował Pedrico. Luiz schylił się i chwycił go za ramię.

- Nikt na ziemi nie jest bardziej godzien zaufania niż ty, amigo. I zanim Pedrico zdążył odpowiedzieć Luiz wyprostował się, obrócił konia w miejscu i ruszył kłusem. Pedrico patrzył w ślad za nim.

Czyjaś miękka dłoń spoczęła na jego ramieniu. Obejrzał się i zobaczył Magdalene. Bez słowa objął ją ramieniem i stali tak, przytuleni do siebie.

Spoglądali w ślad za El Capitanem dopóki całkiem nie zniknął im z oczu, a potem weszli do domu.

## Rozdział 31

Amy opuściła Sundown na grzbiecie dropiatego gniadosza. Nie oglądając się okładała konia lejcami, wbijając pięty w jego boki. Nisko pochylona nad końską grzywą galopowała przez nagie pustkowia z sercem bijącym w rytmie uderzających o ziemię kopyt.

Nie zwolniła dopóki spokojne miasteczko nie pozostało daleko w tyle. Dopiero wówczas ściągnęła wodze, zatrzymując dobrze wyszkolonego wierzchowca na szczycie kamiennego wzniesienia o dwie mile na zachód od miasta.

Powoli zatoczyła krąg, zastanawiając się, w którą stronę pojechać. Ostateczny cel wybrała już dawno: Nowy Orlean w Luizjanie. Dotrze pociągiem do Galveston, a tam przesiądzie się na statek rzeczny do Nowego Orleanu. Uda się do ciotki Meg i małej Lindy, i pozostanie tam aż do czasu, gdy okrutny El Capitan i jego żołnierze opuszczą Orillę. Biedna Magdalena oszaleje z niepokoju... trudno, tym zajmę się później.

Rozejrzała się wokół.

Daleko na zachodzie, na granicy meksykańskiej, było Paso del Norte. Na północy rozciągał się łańcuch górski Guadalupe z najwyższym w Teksasie szczytem, jak na ironię nazywanym El Capitan. Amy zadrżała i szybko odwróciła wzrok od jego chłodnego, nagiego wierzchołka. Na wschodzie jest Teksas i Pecos, a na południu góry Davisa i Wielki Zakręt Rio Grande. I Apacze Mescalero.

Westchnęła niezdecydowanie.

Wschód czy zachód? Jeżeli wybierze Paso del Norte, straci sporo cennego czasu na podróż w niewłaściwym kierunku. Ale jeśli pojedzie do tak małego miasteczka jak Pecos, jej obecność może zostać zauważona i zdradzona El Capitanowi, skoro tylko zaczną się poszukiwania. W dzikim przygranicznym Paso del Norte nikt nie zwróci na nią uwagi. Zaraz po przyjeździe będzie też mogła wsiąść do pociągu jadącego na wschód.

Zatoczyła koło, uderzyła konia piętami i znów ruszyła galopem na zachód. Od Paso del Norte dzieliło ją co najmniej sześćdziesiąt mil. Uznała, że jeśli będzie jechała przez cały czas, zatrzymując się tylko na krótkie postoje, żeby napoić konia i pozwolić mu odpocząć, powinna dotrzeć do miasta w dwadzieścia cztery godziny.

Galopowała w nabrzmiałej ciszy popołudnia. Bolały ją plecy, w skroniach pulsowało. Ostre promienie słońca paliły jej jasną cerę, a

pył piekł w oczy, wyciskając łzy. Była głodna, nie jadła od wczorajszego lunchu. Co gorsza, była też spragniona, a nie zabrała ani odrobiny wody. Spienionemu wierzchowcowi także chciało się pić.

Pocieszała w duchu siebie i zmęczonego gniadosza, że jadąc stale na zachód wkrótce dotrą do jakiegoś rancho na dalekich wzgórzach. Albo do studni. Nie ma się czego obawiać.

Jechała więc dalej.

Słońce rozpoczęło powolną wędrówkę w kierunku zachodniego horyzontu, kiedy kątem oka spostrzegła jakiś ruch. Nie zwalniając tempa obejrzała się ku wschodowi.

W pierwszej chwili sądziła, że to tylko szybko poruszający się wir piaskowy. Chmura pyłu rosła jednak i wirując zbliżała się, aż wreszcie wynurzyły się z niej konie. Amy natychmiast ściągnęła wodze, czując już w spieczonym gardle chłodną wodę, którą jeźdźcy na pewno mają w swoich manierkach.

Grupa zbliżyła się i Amy ze zdumienia otworzyła usta. Przez kilka sekund była całkowicie sparaliżowana niedowierzaniem i przerażeniem. Jeźdźcy zdążający w jej kierunku nic byli odziani w buty, poncha i sombrero. Mieli na sobie przepaski biodrowe i mokasyny, i pióra w długich, czarnych włosach!

Apacze!

Miała wrażenie, że serce zamiera jej w piersi. Mózg wzywał pomocy od bezużytecznych rąk i nóg, które nie chciały się poruszyć. Wydawało jej się, że siedzi tak nieruchomo już całą wieczność, podczas gdy wojownicy zbliżają się w szybkim tempie, a jadący na przedzie szeroko otwierając usta wydaje przeraźliwy okrzyk do ataku.

Amy wrzasnęła, uderzyła piętami w boki konia i ruszyła galopem. Pędziła przez pustynię, wbijając obcasy w żebra gniadosza, aż wiatr nawiewał jej spódnicę na twarz. Nie miała odwagi się obejrzeć, ale po głośnym tętencie kopyt i mrozących krew w żyłach wyciach domyślała się, że banda dzikusów dogania ją bardzo szybko.

Spieniony gniadosz przeskakiwał wąskie koryta strumieni i omijał kolczaste krzewy meskitów, które kaleczyły nogi i ramiona Amy. Wreszcie dotarli do szerokiego, płytkiego kanionu, a koń zanurzył się weń wznecając kopytami tumany miękkiego, puszystego kurzu. Dzielny rumak atakował już sąsiednie zbocze, kiedy jeden z dzikusów spiął swego mustanga do skoku na drugą stronę kanionu.

Apacz wyciągnął ramię i chwycił uzdę gniadego, pociągając w dół jego łeb. Koń walczył dalej, przednimi kopytami grzebiąc w piachu i usiłując wydostać się na brzeg. Amy też się nie poddawała. Krzyczała na ciężko pracującego konia, waliła piętami w jego spienione boki i wściekle szarpała lejce, usiłując wyrwać je z mocnych palców mężczyzny.

Stalowe ramię otoczyło jej talię. Amy wrzasnęła na całe gardło, kurczowo trzymając się wodzów. Mimo to została ściągnięta z konia, posadzona na dzikim mustangu i mocno przyciśnięta do spoconej piersi potężnego wojownika. Amy wciąż trzymała wodze swego wierzchowca. Przerażony koń potykał się i rżał wytrzeszczając ślepia, dopóki stalowe ostrze nie przecięło wodzy. Amy pozostały w dłoni dwa bezużyteczne strzępy skóry.

Jej zwycięzca obrócił konia aż uderzyła głową w jego szczękę. Zaczęła więc się w ciasnym uścisku, orząc paznokciami pierś i ramiona wojownika, wymachując nogami i wrzeszcząc, aby natychmiast ją puścić.

Nie uczynił tego.

Bez trudu podtrzymał ją jedną ręką, puszczając konia w szybki, sprężysty bieg. Wkrótce dołączyło do nich z pół tuzina roześmianych, pokrzykujących wojowników. Jechali obok, delectując się widokiem wrzeszczącej i wyrywającej się białej kobiety.

Byli podekscytowani i bardzo zdziwieni, że znaleźli ją samotnie jadącą przez pustynię. Cieszyli się, że ich przerażona jasnowłosa ofiara ma tak jasną skórę. Porozumiewali się skinieniami głowy i szczyrzyli zęby. Mieli szczęście i radośnie pędzili przez zapiaszczone pustkowia ku chłodno błękitnym górcom, wznoszącym się majestatycznie na tle fioletowego wieczornego nieba.

Ich dom znajdował się po drugiej stronie szczytów i właśnie tam zabierali piękną, białą kobietę. Będą galopować, dopóki nie dotrą do odległego górskiego obozu, gdzie ich wódz niecierpliwie oczekuje jasnowłosej kobiety o białej skórze, którą będzie mógł sobie przywłaszczyć.

Wódz Język Węża.

Luiz pojechał prosto do Sundown i sklepu Maca.

Zapewnił stroskanego Irlandczyka, że wszystko w porządku i dokładnie, cierpliwie wypytał jego syna. Kiedy chłopak opowiedział

mu całe zdarzenie, nie wspominając jednak o złotej monecie, Luiz uśmiechnął się.

Podziękował ojcu i synowi, pochylił się i uważnie obejrzał odciski kopyt wynajętego konia, które pozostały na piasku za sklepem. Mały Raul przycupnął obok.

- Senor - odezwał się, pokazując palcem. - Widzi pan to małe „Y” na prawej części każdej podkowy. Kowal Yance umieszcza je na wszystkich podkowach. Czy to pomoże?

- Pomoże, si - odparł Luiz wstając.

Bez słowa skoczył na siodło i odjechał. Łatwo było podążać śladem gniadosza przez nagą, ponurą ziemię. Spiał konia do szybkiego galopu, od czasu do czasu tylko spoglądając w dół, aby sprawdzić, czy Amy raptownie nie zmieniła kierunku.

Wyraźny ślad kopyt prowadził prosto na zachód. Luiz poczuł ulgę, że udała się właśnie tam. Wiedział, że jedzie do Paso del Norte. Obliczył, że Amy ma nad nim przewagę około dwóch godzin, ale wiedział, że i tak ją dogoni. Przełęcz była odległa o sześćdziesiąt mil. Amy nie może zostać w siodle na całą wieczność.

A on mógł.

Nie zsiądzie, dopóki jej nie znajdzie. Wychowany na prerii mustang miał siłę i wytrzymałość, która pozwalała mu godzinami utrzymywać szaloną prędkość. Przy odrobinie szczęścia odnajdzie uciekinierkę przed zachodem słońca.

Szczęki Luiza zacisnęły się, zmrużył oczy. Był bardziej wściekły niż zatroskany. I bardziej na siebie niż na Amy Parnell. Kobieta, którą ścigał poprzez wysuszoną, spieczoną prerię zrobiła z niego idiotę dokładnie tak samo jak przed laty.

Czy on nigdy nie zmądrzeje?

Czy nigdy do niego nie dotrze, że Amy jest po prostu piękną, sprytną kusicielką, której ani trochę na nim nie zależy? Że nawet wczorajszej nocy, kiedy leżała w jego ramionach, nazywała ukochanym i krzyczała w ekstazie, była to jedynie gra obliczona na uspianie jego czujności w nadziei rychłej ucieczki.

Skoro tak bardzo chciała uciec przed nim, może powinien jej na to pozwolić. Może powinien zawrócić. Co za różnica? Co za różnica, czy jest, czy jej nie ma?

Żadna. Amy Parnell była kobietą jak każda inna. Miał ich na tuziny - równie pięknych. I będą jeszcze tuziny innych. Nie musi

spędzać nocy samotnie, nawet, jeśli Amy nie wróci. Egzotyczna tancerka z San Antonio wciąż jeszcze jest w Sundown. Kilka młodych, ładniutkich służących w Orilli przyglądało mu się z zainteresowaniem. A śmiała, bogata Diana Clayton? Wtedy, w La Posada, kiedy pochwalił jej modną suknię, dość jasno dała mu do zrozumienia, że bardzo chętnie z niej wyskoczy.

Po co tłuc się jeszcze jedną milę? Niech pani Parnell jedzie, dokąd jej się podoba. Kogóż to obchodzi? I tak ma, czego chciał. To, po co przyjechał. To, co prawnie należało do niego. Orillę.

Jechał dalej.

Zmrużył oczy od nieznośnego blasku gorącego teksańskiego słońca. Wodze trzymał luźno omotane wokół dłoni, kciuki zatknął za szeroki pas. Ukołysany ciszą i monotonią pustyni, zmęczony po nocy wyczerpującej miłości, przymknął piekące powieki i wygodniej usadowił się w siodle.

Ufając śladowi Amy, który wiódł prosto ku przełęczy, rozluźnił się i po chwili już drzemał.

Słońce zaszło.

Bładoróżowy blask pozostał jeszcze na zachodzie, za odległym łańcuchem Gór Franklina, stanowiących część potężnych południowych Gór Skalistych. Luiz został przywołany do przytomności szarpnięciem, kiedy mustang przeskakiwał niewielki, płytki kanion i jego tylne kopyta osunęły się nieco. Udało mu się pozostać w siodle, ponieważ mocno ścisnął kolanami boki konia, ale był już rozbudzony i czujny.

Mustang skoczył do przodu, przebył kanion i znowu pędził równo, jakby nigdy się nie potknął. Człowiek na jego grzbiecie pospiesznie popatrzył na ziemię i nagle spał konia z oczami rozszerzonymi przerażeniem.

Na pustynnym piasku nie było żadnego śladu.

Amy krzyczała aż do ochrypnięcia. Drapała i kopała, dopóki nie zabrakło jej siły, by podnieść zmęczone ramię czy poruszyć nogą. A kiedy postawny Apacz uniósł ją w ramionach i przycisnął do szerokiej piersi, podniesienie głowy okazało się zbyt wielkim wysiłkiem.

Słońce zaszło i ciemność spowiła pustynię. Nos i usta Amy przyciśnięte były do nagiej piersi bandyty, odór nie mytego ciała był tak silny i wstrętny, że jej żołądek ledwie to wytrzymał. Dusząc się i dławiąc, próbowała coś powiedzieć, dać znać, że źle się czuje. Nie

mogła jednak dobrać z siebie głosu. Łzy trysnęły z jej zaczerwienionych oczu, kiedy nagle porównała Apacza i El Capitana. Pomyślała, że ostatniej nocy tak ochoczo obsypywała pocałunkami nagą, gładką pierś Luiza, rozkoszując się zapachem jego smagłej skóry. Gdyby tak bardzo nie lubiła przebywać w jego ramionach, teraz nie tkwiłaby wśród nocy w objęciach brudnego dzikusa.

Mocno zacisnęła oczy pełne łez. Usiłowała oddychać jak najpłycej, by nie czuć zapachu potu, dymu z ogniska i tłuszczu, którym przesiąkła naga pierś pod jej policzkiem.

Wreszcie Amy poczuła lekki przyptyw siły. Odwróciła głowę i zaczerpnęła orzeźwiającego pustynnego powietrza.

Słońce zaszło już zupełnie. Gwiazdy wypełniły nocne niebo i wielki, biały księżyc wyruszył w swój rejs. Jechali bardzo szybko na południowy wschód i ukształtowanie terenu już ulegało zmianie.

Płaszczyna pustyni ustąpiła miejsca mniej równym, skalistym okolicom, wiodącym do Wielkiego Zakrętu.

Fort Davis był najdalej na południe wysuniętym punktem ogromnego, dzikiego trójkąta Teksasu i Rio Grande, do którego kiedykolwiek dotarła Amy; otoczony rozległymi pustkowiami i z rzadka rozsianymi na nich ranchami. Dopiero poza chłodną, błękitną granicą Davis rozpościerały się poszarpane łańcuchy Gór Santiago, wrzynając się w teren od północnego zachodu po południowy wschód. A za nimi zaczynała się prawdziwa dzicz.

Niewielu białych mężczyzn odważyło się wędrować na południe od Santiagos, w głąb pustyni: piasku i skał. Mówiło się, że są tam kaniony tak szerokie i głębokie, że człowiek, który się w nich zgubi, może błąkać się całe wieki i nie znajdzie wyjścia. Oprócz Indian i bandytów mieszkańcami Wielkiego Zakrętu w Teksasie były lwy górskie, jaguary, dzikie konie i grzechotniki.

Desperację Amy spotęgował fakt, że jej ogromny strażnik pognał konia kamienistą skarpą. Jechali wprost ku Góróm Davisa, a kiedy te dzikusy przewiożą ją przez Wielki Zakręt, będzie po wszystkim.

Amy nie chciała tam umierać. Nikt nigdy nie dowiedziałby się, co się z nią stało. Mała Linda nie będzie miała pojęcia, jaki los spotkał jej matkę. Zbielale kości Amy nigdy nie zostaną odnalezione i nie dotrą do ukochanej Orilli.

Strach i rozpacz dodały jej sił. Odwróciła głowę i krzyknęła do swego prześladowcy:



- Nie! Zabij mnie tutaj, ale nie zabieraj na drugą stronę gór.

Milczący Apacz nawet nie spojrział w dół. Spokojnie prowadził konia wąską, kamienistą ścieżką, jakby nie słyszał jej słów. Wierzchowiec skręcił ostro i wyszedł na wąskie arroyo, kiedy jasny blask księżyca znikł nagle. Zrobiło się zupełnie ciemno. Amy nic nie widziała i miała wrażenie, że zaraz się udusi.

Słyszała jedynie dźwięk spadających kamyczków, strącanych końskimi kopytami, przerażone trzepotanie górskiego strzyżyka. Ogarnęła ją panika. Po raz pierwszy zaczęła rozważać przerażającą możliwość, że Apacze nie porwali jej po to, żeby zabić. Bo jeśli tak, na co czekali?

Opuścili już otwartą pustynię i nie musieli obawiać się napadu. Dlaczego wciąż zwlekali? Było ciemno, wstępowali już na teren tak niebezpieczny, że mogli ją zabić. Nikt nie wszedłby im w drogę. Fort Davis świecił pustkami od pierwszych dni wojny, żołnierze w niebieskich mundurach przestali patrolować okolicę.

Zabierali ją do obozu! Dobry Boże, czyżby zamierzali pozostawić ją przy życiu? Trzymać w niewoli do końca jej dni?

Koń wychynął z ciemności kanionu.

- Proszę - błagała Amy, pocieszona nieco jasnym światłem księżyca. - Nie zabieraj mnie do obozu. Miejsze choć tyle przyzwoitości i zabij mnie po tej stronie gór.

Brak odpowiedzi. Nawet mrugnięcia powieki.

Przerażenie Amy zamieniło się we wściekłość. Podniosła pięść i walnęła milczącego Indianina w żołądek. Wojownik jęknął i wreszcie zwrócił na nią uwagę.

- Zabij mnie, ty cholerny draniu! - krzyknęła Amy. - Słyszysz? Zabij mnie tutaj, teraz! Zabij, zabierz mój skalp i odejź!

Popatrzył na nią bez słowa.

- Chcę być pochowana w domu! - wściekała się Amy. - Na pewno potrafisz to zrozumieć. Kiedy ktoś z waszych zginie w bitwie, nie zostawiacie go na pastwę losu. Proszę... proszę, nie zabierajcie mnie za Wielki Zakręt.

Zamilkła, ale wciąż patrzyła w tępe oczy bez wyrazu w nadziei, że dzikus zrozumie i spełni jej życzenie. Po chwili czekania na odpowiedź, która wydawała się wiecznością, jeszcze raz krzyknęła na Apacza.

Tym razem nastąpiła reakcja.

Zakrył jej usta ogromną, brudną łapą i trzymał jak w imadle. Kciukiem i palcami wczepił się w jej policzki i z ogromną siłą potrząsnął. Zakręciło jej się w głowie; rozgwieżdżone niebo nad głową zafalowało.

Z oddali słyszała burkliwy głos Indianina. Nie rozumiała języka Apaczów, ale ton był groźny.

Pomyślała, że chce ją zabić i była to jej ostatnia myśl. Uspokoiło ją to.

Luiz zawrócił po własnych śladach, przeklinając się za to, że zasnął. W kanionie zsunął się na ziemię, pozostawiając konia ze zwisającymi wodzami. Przykucnął i skrzywił się, studiując powierzchnię piasku.

Brakowało łatwych do rozróżnienia odcisków podkowy. Poderwał się i przebiegł na drugą stronę. Wspiął się na górę i jeszcze raz przykucnął.

Poczuł nagły chłód w okolicy żołądka. Były tu ślady wierzchowca Amy i jeszcze kilku innych koni. Nie podkutych. Zeskoczył do kanionu i przeklinając brak światła, zapalił siarczaną zapalną. Przytrzymał ją nisko przy gruncie, a wówczas zobaczył wszystko z przerażającą jasnością.

Szybko i zwinnie jak kot wyskoczył z kanionu. Chwytał wodze mustanga, położył dłoń na łęku, stopę w strzemieniu i skoczył na siodło. Odwrócił ogiera na południowy wschód i skierował się ku postrzępionym szczytom górskim, zaledwie widocznym ze skraju pogrążonej w mroku pustyni.

Luiz dotknął konia piętami. Ogromny wierzchowiec skoczył w dół piaszczystego kanionu, zwinnie wydostał się na drugą stronę i natychmiast ruszył galopem.

Jeździec sięgnął do rzemienia, który przytrzymał mu włosy na karku. Rozluźnił go szarpnięciem, zerwał i rzucił na ziemię.

Ściągnął z szyi błękitną chustę, zwinął w wąską opaskę i związał wokół głowy. Pochylił się i pozwolił, by włosy opadły mu wokół twarzy.

Kiedy podniósł głowę, nie było już śladu po arystokratycznym Hiszpanie, El Capitanie Luizie Quintano. Przez okrytą zmrokiem pustynię pędził szczupły, odziany w skórę jelenia Indianin o ostro rzeźbionych rysach twarzy, zimnych czarnych oczach i rozwianych kruczonych włosach. Kierował się wprost ku odległym Góróm Davisa.

Ostatniej twierdzy Apaczów Mescalero.

## Rozdział 32

Było południe.

Rozpalone słońce znajdowało się w zenicie. Niszczycielski upał wygonił w cień nawet żmije i jaszczurki. Najlżejszy wietrzyk nie poruszał listkami jałowca.

Na samym środku małej, odległej doliny, wysoko w niedostępnych górach Chisos, pod palącym słońcem południa, stała przywiązana do cedrowego drzewa blada, śmiertelnie przerażona kobieta. Jej kostki i nadgarstki ciasno przymocowano do pnia szerokimi rzemieniami, wystawiając nieszczęsną na pokaz całemu plemieniu Apaczów.

Ostre promienie słońca parzyły twarz i nagie ramiona Amy. Skóra na nadgarstkach, skrępowanych za jej plecami i przywiązanych do pnia, była otarta i poprzecinana, dłonie sztywne i bez czucia. Kostki poranione do żywego mięsa, bosa lewa stopa zdrętwiała zupełnie. Amy miała wrażenie, że w podeszwę wbija się jej tysiące ostrych igiełek, ale nie mogła unieść nogi na tyle, by rozmasować ból.

Wargi miała zupełnie wysuszone i spękane, twarz zaczerwienioną i piekącą od bezpośredniego kontaktu z górskim słońcem. Skronie pulsowały bólem, gardło wyschło tak, że zaledwie mogła przełknąć ślinę. Żołądek protestował przeciwko tłustemu, na pół ugotowanemu mięsu, jakie dano jej w charakterze śniadania.

Od przyjazdu do obozowiska Mescalerów, około południa, stała tak, wystawiona na spojrzenia ciekawskich niczym jakieś cenne, schwytane w pułapkę zwierzę. Kiedy ją przywieziono, całe plemię wybiegło im na spotkanie.

Jej potężny strażnik promieniał dumą i brudną dłonią odgarnął z twarzy Amy potargane, długie włosy, żeby ludzie mogli dobrze się przyjrzeć. Z początku reagowali jedynie przyciszonymi, ciekawskimi pomrukami, potem poważnymi kiwnięciami głowy, wreszcie okrzykami zadowolenia.

W kilka minut potem Amy przywiązano do pnia cedru, a Mescalerowie zaczęli krzątać się i palić ogniska, jakby szykowali się do jakiejś wielkiej uroczystości.

Mężczyźni wymieniali między sobą porozumiewawcze spojrzenia i wskazywali palcami na ledwie widoczny szczyt stojącego nieco na uboczu, między drzewami, krytego skórą wigwamu.

Oczy Amy powędrowały w kierunku, który wskazywały ich palce. Nie rozumiała języka Apaczów, ale czuła, że mówią o niej. Przypuszczała, że wybrali ten odosobniony wigwam na jej więzienie. Jeżeli byłaby to prawda, miała nadzieję, że wkrótce ją tam zabiorą. Po trzech dniach drogi, w ciągu których jej prześladowca ani na chwilę nie spuszczał swej ofiary z oczu, kilka minut choćby pozornej samotności było niewiarygodnie miłą perspektywą.

Nagle szarpnięcie za spódnicę odwróciło uwagę Amy od wigwamu i mężczyzn. Skrzywiła się na widok niskiej, tłustej squaw, która z uśmiechem miętosiła w palcach rąbek niebieskiej bawełnianej sukienki. Amy krzyknęła coś z oburzeniem, kiedy kobieta sięgnęła pod spód i oderwała od brudnej białej halki kawałek koronki.

Tłuste ciało bardzo zadowolonej z siebie Indianki zatrzęsło się ze śmiechu. Odwróciła się i dumnie zamachała w powietrzu swoją zdobyczą.

Gest ten zdawał się być sygnałem dla innych kobiet. Podeszły bliżej, tłocząc się i przepychając. Z przodu pojawiła się wysoka, młoda dziewczyna i spojrzała w oczy Amy z nieukrywaną nienawiścią. Wyciągnęła rękę i szarpnęła za niebieski, bufiasty rękaw aż trzasnęły szwy, a materiał zsunął się z ramienia Amy.

Było południe - początek długiego, gorącego dnia tortur nieszczęsnej Amy. Kobiety śmiały się, popychały ją, dały jej sukienkę i boleśnie ciągnęły za włosy. Godzina za godziną targały, szarpały i dokuczały, aż pozostawiły ją niemal bez ubrania.

Niebieska suknia i szeroka halka zwisały w strzępach, wszystkie guziki zostały oderwane. Obszyta koronkami koszulka była rozdarta przez środek i odsłaniała zagłębienie między piersiami. Resztki sukni i halki odsłaniały nagie nogi i uda.

Godność i skromność Amy równie ucierpiały, a mimo to kobiety dalej szarpały odzienie branki. Była pewna, że nie zostawią jej w spokoju, dopóki nie rozbiorą do naga. Zrozpaczona, wzniosła w niebo nabiegłe krwią oczy i zacisnęła powieki, jakby chcąc w ten sposób odizolować się od kobiet i ostrych promieni słońca.

Dzień dobiegał końca, ale cierpienia Amy nie miały się jeszcze skończyć.

O zachodzie rozchichotana kobieta z długimi czarnymi warkoczami szarpnęła za koronkowy obrąbek pantalonów Amy. Delikatna, szeroka koronka oderwała się od satyny i zsunęła wzdłuż

uda białej kobiety, a potem z szelestem opadła na łydkę i zatrzymała się na związanej kostce.

Squaw wytrzeszczyła oczy, potrząsnęła głową i pociągnęła jeszcze raz. Amy jęknęła rozpaczliwie, gdy sięgnęła po lewą nogawkę jej satynowych pantalonów.

Cienki materiał zaczynał właśnie ustępować, kiedy zabrzmiał męski głos. Squaw natychmiast wypuściła z palców swoją zdobycz i wycofała się, odprowadzana zdumionym i pełnym ulgi spojrzeniem Amy.

Nagle ruchliwy obóz zamarł.

Kobiety zdawały się bezszelestnie roztopiać w powietrzu, pozostawiając Amy na placu boju. Zachodzące krwawo słońce oświetlało jej nagie ramiona i uda.

Spojrzała w ślad za kobietami i ujrzała grupkę ubranych w przepaski biodrowe mężczyzn. Wojownicy szli w jej kierunku.

Oni także milczeli. Kiedy byli już o jakieś dwadzieścia jardów od niej, jednocześnie zatrzymali się i spojrzeli na nią.

Obóz ogarnęła niepokojąca cisza. Dzieci przestały biegać i hałasować. Nawet psy przerwały swe monotonne warczenie.

Zaniepokojona Amy rozejrzała się wokoło. Nie miała pojęcia, co się dzieje, dlaczego kobiety zostawiły ją w spokoju i wszyscy tak nagle ucichli.

Mijały minuty. Całe plemię wyglądało jak skamieniałe. Nagle wojownicy rozstąpili się, tworząc szerokie, długie przejście prowadzące środkiem zgromadzenia aż do ukrytego w drzewach wigwamu.

Wszystkie oczy, nie wyłączając Amy, zwrócone były na to przejście.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. A potem pojawił się wysoki, szczupły, odziany w strój ze skóry jelenia mężczyzna. Zszedł z pagórka, górując ciemnowłosą głową nad resztą plemienia i zbliżył się do środka placu.

Wysoki wódz zatrzymał się. Stał na szeroko rozstawionych nogach i łapczywie wodził wzrokiem po ciele Amy, aż dostała gęsiej skórki.

Był najbrzydszym, najbardziej odpychającym mężczyzną, jakiego zdarzyło jej się widzieć. Małe, paciorkowate oczy były osadzone bardzo blisko siebie. Nos - ogromna, bulwiasta narośl, sterczał na

twarży chudej jak trupia czaszka, a usta stanowiły jedynie wąską, długą szparę jak cięcie nożem. Uśmiechał się złośliwie i wyglądało na to, że zaraz zacznie się ślinić.

Był potworny, a pod pachą trzymał równie potworną maskę. Była to diabelska maska z długimi, ostrymi rogami pomalowanymi na jaskrawoczerwony kolor, z marmurkowymi oczami i długim skórzanym językiem pomiędzy drapieżnymi kłami.

Serce Amy zamarło, gdy wstrętny człowiek ze wstrętną maską skierował się w jej stronę. Szedł powoli przez plac. Sposób, w jaki poruszało się jego długie, szczupłe ciało przypominał ślizganie się lśniących skrętów węża.

Gdy znalazł się przed nią, Amy skrzywiła się i odruchowo starała się cofnąć. Każdy mięsień jej ciała próbował daremnej ucieczki przed nim i jego strasznymi, błyszczącymi oczami. Ich spojrzenie zsunęło się z przerażonej twarzy kobiety, prześlizgnęło się po jej ramionach i znacząco zatrzymało się na wysokości piersi.

Amy skuliła się z przerażeniem, gdy wsunął dłoń pod rozdartą koszulę i boleśnie ścisnął jej nagą, drżącą pierś. Krzyknęła głośno, a on natychmiast opuścił dłoń. Uśmiechnął się szeroko, rozciągając usta od ucha do ucha i wysuwając z nich kilkakrotnie, raz po razie, długi, gadzi język. Pokazał palcem na jej pierś.

Amy zadygotała z obrzydzenia.

Miotła się jak szalona, kiedy odsunął na bok podarte suknie. Bez przerwy wysuwając i chowając ruchliwy język, położył dłoń na jej udzie, usiłując wsunąć ją pod satynowe pantalony. Amy rzucała głową na prawo i lewo, błagając, by ją zostawił w spokoju.

Ręka opadła, ale wódz uśmiechnął się i potrząsnął głową. Powiedział coś, najwyraźniej zwracając się do Amy, która wprawdzie nic rozumiała słów, ale jego zachowanie dość jasno odzwierciedlało ich przerażające znaczenie. Potworny Indianin z diabolicznym grymasem chwycił się za krocze, podrzucił je kilkakrotnie w rozcapierzonej dłoni, wskazał na Amy i znowu na siebie. Kiwał głową i wysuwał język, a małe oczka błyszczały sprośnie.

Poruszył się i Amy konwulsyjnie napała na więzy. Wódz roześmiał się okrutnie i podniósł diabelską maskę, nakładając ją na twarz. Lubieżne oczka migotały między szparami w masce, a długi język pojawiał się co chwila ponad skórzanym ozorem.

Sparaliżowana strachem Amy pojęła jego zamiar. Chciał ją zgwałcić. I zrobi to odziany w tę straszną maskę.

Nagle zamaskowany wódz odwrócił się i podszedł do wojowników. Zaczął im coś tłumaczyć podnieconym głosem, spoglądając na Amy przez ramię. Młoda kobieta natężyła słuch. Nie rozumiała wprawdzie języka Apaczów, ale z gestów i niezbyt częstych wtrętów hiszpańskich domyśliła się, w czym rzecz.

Wódz Język Węża jest bardzo zadowolony z białej kobiety, którą mu przywieźli. Jest ładniejsza od innych, jakie miał do tej pory. Na tyle ładna, że gotów jest poślubić ją i mieć z niej tuzin dzieci.

Wybiera się zatem do swojego wigwamu, żeby umyć pachy i krocze, a potem z najlepszych skór ułoży posłanie dla nowej białej kobiety. Kiedy skończy, wyjdzie, odetnie zdobycz od pnia i zanieś ją do swego wigwamu.

Obscenicznie wystawił język przez otwór maski i pobiegł do namiotu. Na niebie znikwały ostatnie smugi różu. Cisza, spowodowana obecnością wodza, dobiegła końca. Wojownicy klepali się po ramionach, gratulowali sobie i rozkoszowali się perspektywą wspaniałej zabawy przez całą noc.

Odezwały się bębny, dzieci z wrzaskiem goniły się między szałasami. Psy warczały, rozplotkowane, roześmiane kobiety zajęły się przygotowaniem świątecznego posiłku. W plemieniu zapanowała wielka radość. Wreszcie, po długich poszukiwaniach, znaleziono towarzyszkę dla kapryśnego wodza Język Węża. Teraz, kiedy ma już białą kobietę, życie stanie się łatwiejsze.

Ostatnie ślady zorzy znikwały za górami Chisos. Amy błagalnie wzywała przechodzących obok ludzi, by zechcieli jej pomóc. Wiedziała, że w wigwamie potwornego wodza czeka ją los gorszy od śmierci i zalewając się łzami wzywała pomocy.

Nikt nie zwracał na nią uwagi. Indianie wesoło krzatali się wokół swoich zajęć, a strach Amy przerodził się już niemal w histerię. W ostatnim odruchu rozpaczy zawołała małe, nagie dziecko. Dziewczynka zerknęła na nią i ostrożnie podeszła bliżej. Amy poczuła nagły przypływ nadziei.

Wielkookie dziecko stanęło przed nią. Amy stłumiła szloch i szepnęła:

- Rzemień. Rozwiąż rzemień. Za plecami. Rozwiąż mi ręce.



Dziewczynka stała jeszcze przez parę minut, po czym okrążyła drzewo i Amy omal nie wybuchnęła szaloną radością, kiedy poczuła małe paluszki ciągnące za ramię krepujący jej rękę.

- T - tak, tak - zachęcała Amy z twarzą mokrą od łez. - Tak, rozwiąż je i...

Dziecięce rączki nagle zostały oderwane od rzemienia i jakaś rozwścieczona kobieta z wrzaskiem chwyciła małą dziewczynkę unosząc ją ze sobą.

Amy osunęła się po pniu i opuściła głowę z uczuciem kompletnej klęski.

Głośnie zamieszanie zmusiło ją jednak do podniesienia oczu. Przez łzy usiłowała dostrzec, co się dzieje. I w tym samym ułamku sekundy doznała wrażenia, jakby cały świat walił jej się na głowę.

Z mroku wyłonił się zamaskowany wódz i szybkim krokiem zbliżał się ku niej pośród okrzyków i oklasków całego plemienia. Bicie bębnow stało się coraz głośniejsze, wręcz ogłuszające, kiedy mroczna postać w diabelskiej masce zbliżała się do drzewa. Zatrzymał się tuż przed Amy - szczupły, wysmukły symbol niewypowiedzianego zła i niegodziwości.

Amy zaparło dech w piersi. Dławiła się, konwulsyjnie przetykając ślinę. Powietrze ze świstem wydarło się z jej płuc, kiedy wódz płynnym ruchem wyciągnął nóż.

Stal błyszczała groźnie w świetle ogniska i Amy otworzyła usta do krzyku. Zamaskowany wódz podszedł bliżej i przeciął więzy krepujące jej rękę. Zdrętwiałe, osłabione ramiona Amy opadły i młoda kobieta straciła równowagę. Miała już upaść na twarz, kiedy znalazł się przed nią i przytrzymał w pasie płasko ułożoną dłoń.

Nie cofając ręki kucnął, schylił się do jej stóp i przeciął ramię na kostkach. Wstał i wciąż przytrzymując Amy schował nóż.

- Pr... nie... proszę! - szlochała Amy.

Jednym płynnym ruchem uniósł ją w ramionach. Zaczęła krzyczeć, wyrywać się i wic w jego objęciach, ale wysoki mężczyzna w szatańskiej masce spokojnie ruszył w kierunku plamy mroku kryjącej jego wigwam.

Bębny wybijały dziki rytm, wojownicy tańczyli radośnie wokół wysokich ognisk, a ich szczupły, smagły przywódca skłonił zamaskowaną twarz i wniósł do swego wigwamu jęczącą, przerażoną, białoskórą piękność.

Opuszczono zasłonę zamykającą wejście. Bębny zwiększyły tempo. Krzyki białej kobiety były coraz głośniejsze. Indianie spojrzeli po sobie porozumiewawczo i ze śmiechem pokiwali głowami.

Ich wódz, wspaniały Język Węża, miał już swoją rozrywkę. Oni także.

### Rozdział 33

Stał z czarnymi włosami rozwiewanymi przez wiatr, z twarzą skrytą pod nieprzeniknioną maską indiańskiego spokoju. Sponad wysokich kości policzkowych ciemne oczy obserwowały ją z niemal bezosobowym zainteresowaniem.

Okazywał jej - i okazał tej długiej, ciężkiej nocy tak niewiele uczucia, że właściwie mogłaby być zupełnie obcą osobą. Amy jednak trudno było oszukać. Był na nią wściekły. Tak wściekły, że przywołał na pomoc swe niesamowite opanowanie, które nauczyła się już rozpoznawać i nienawidzić.

Stał jak kamienny posąg, podświetlony promieniami wschodzącego słońca i Amy czuła, że w tym wysmukłym ciele czai się z trudem poskramiany gniew. Przybrał obojętny wyraz twarzy, ale Amy wyraźnie wyczuwała jego wewnętrzną walkę z nieprzepartym pragnieniem zadania jej fizycznego cierpienia.

Kiedy indziej, w innych warunkach, zadrżałaby w obliczu tej nieopanowanej męskiej wściekłości. Ale nie dziś. Amy doznała takiej ulgi na widok jego przystojnej, zaciętej twarzy, że zaledwie mogła się oprzeć pragnieniu dotknięcia wysokich kości policzkowych, silnego podbródka i okrutnie zaciśniętych ust.

Stała przed niedostępnym El Capitanem w łąchmanach, rozczochrana, z brudną, zalaną łzami twarzą. Jego lodowate spojrzenie ogrzewało ją, ledwie wstrzymywany gniew krzepił. Nic, cokolwiek powiedziałby czy zrobił, cokolwiek już powiedział, nie było w stanie zmienić oczywistego faktu: że po nią przyjechał.

Tłumiąc w sobie szalone pragnienie, aby uśmiechnąć się do tego dzielnego i jakże wściekłego teraz człowieka, po raz setny przywoływała niezapomnianą chwilę ubiegłej nocy, kiedy po raz pierwszy ujrzała jego twarz.

O zachodzie słońca wódz Język Węża w ohydnej diabelskiej masce przyszedł po nią. Odciął ją od pnia cedru i uniósł do swojego wigwamu, wrzeszczącą i miotającą się.

Nie zwróciła uwagi, że przeszedł przez mroczny wigwam, przeciął powłokę ze zwierzęcych skór, przerzucił sobie Amy przez ramię i opuścił obozowisko.

Pamiętała dokładnie, jak przytrzymał ją w niewygodnej pozycji, jak mięśnie jego barku ugniatały jej żołądek, a czerwony róg maski kaleczył jej nagie plecy. Podskakiwała na jego ramieniu, gdy

zwinnie biegł przez skalisty teren, a mrok ogarniał powoli góry Chisos.

Dotarli do wielkiego ogiera, przywiązanego do krzewu jałowca i Amy natychmiast została postawiona na ziemi. Oszołomiona, przerażona, odwróciła się i chciała ratować życie ucieczką, ale wódz był szybszy. Silnym ramieniem otoczył jej talię i przytrzymał ją na miejscu. Wolną dłonią sięgnął do głowy, zerwał ohydną, diabelską maskę i rzucił na ziemię.

Oszołomiona, zamrugła powiekami.

Spod straszliwej maski wyłoniła się smagła, piękna twarz El Capitana. Amy wpatrywała się w nią nie przestając wrzeszczeć, ledwie wierząc zalanym łzami oczom. Nie miała jednak czasu na zastanowienie się, jak mógł się zdarzyć taki cud.

Zaledwie zdążyła ochłonać, odziany w ubranie z jeleniej skóry El Capitan odwiązał konia, przerzucił wodze przez jego kark i podsadził Amy na siodło.

Skoczył za nią i koń natychmiast ruszył z kopyta. Pędzili pomiędzy wysokimi drzewami i gęstymi krzakami, coraz bardziej oddalając się od dzikiej fety Mescalerów i wodza Język Węża.

Uspokojona nieco Amy odetchnęła i otoczyła go w pasie słabymi, drżącymi ramionami. Przytuliła policzek do szerokiej piersi, przymknęła oczy i przez chwilę napawała się jego czystym, jedynym w swoim rodzaju zapachem.

Przyjechał po nią! Dzięki Bogu! Groteskowy wódz już jej nie zgwałci ani nie zamorduje. Uratował ją nieustraszony wojownik, którego serce wystukiwało silny, spokojny rytm pod jej uchem. Po prostu wszedł do wrogiego obozu i wyniósł ją!

Jego zapach, dotknięcie i siła zaatakowały zmysły Amy. Położyła dłoń na piersi Luiza i delikatnie wsunęła brudne palce w sznurowane rozcięcie jego koszuli. Ostrożnie rozchyliła miękki materiał i uśmiechnęła się na widok złotego łańcucha. Niepewnie zań pociągnęła i wyjęła zza koszuli Luiza lśniący Kamień Słoneczny.

Przycisnęła chłodny metal do spieczonych, spękanych ust z cichym westchnieniem wdzięczności. Przez chwilę pozostała tak, z jedną ręką wokół talii El Capitana, drugą ściskając Kamień Słoneczny.

Oddzielona od świata zewnętrznego aurą mocy emanującej z mężczyzny i z medalionu poczuła nagle, jak jej spięte do bólu, znużone ciało rozluźnia się powoli, a przedziwne uczucie błogości

zajmuje miejsce otepiałego strachu, który towarzyszył jej przez ostatnie cztery doby.

Dźwięk bębnow oddalał się, łuna ognisk obozowych na nocnym niebie znikła. Zza ich pleców nie dochodził odgłos kopyt końskich, nie słysząc było mrozących krew w żyłach okrzyków bojowych Apaczów.

Amy była przekonana, że niebezpieczeństwo zniknęło. Jakimś cudem udało im się uciec. Teraz opuszczą góry i wrócą do Orilli. Ziewnęła, odetchnęła głęboko i podniosła znużoną głowę z piersi Luiza.

- Gdzie się zatrzymamy na noc? - zawołała, podnosząc głos, żeby przekrzyczeć wiatr. - Umieram ze zmęczenia!

Czarne oczy na moment zatrzymały się na jej twarzy i Amy wydawało się, że zwięzły się niedostrzegalnie. Nie odezwał się jednak. Amy odczekała chwilę w nadziei, że przemówi, wreszcie spróbowała znowu:

- Proszę, zatrzymajmy się. Już nie mogę dłużej...

Nie odezwał się, nie oderwał wzroku od zdradzieckiej dróżki przed nimi.

- Jestem zbyt zmęczona, żeby jechać dalej - wyjaśniła Amy. - Jesteśmy teraz bezpieczni, więc...

Tym razem Luiz przemówił.

- Nie jesteśmy bezpieczni - przerwał. - Pojedziesz tak daleko, jak ja ci każę.

Był to jedynie przedsmak tego, czym stanie się długa podróż do domu. Amy była jednak zbyt zmęczona i czuła zbyt wielką ulgę, aby dyskutować. Skinęła jedynie głową i przytuliła policzek do jego piersi. Może ma rację. Może powinni jeszcze bardziej oddalić się od obozowiska Mescalerów, zanim zatrzymają się na popas.

Nie skarżyła się więc, gdy wieczór zmienił się w noc, a noc w poranek, kiedy górskie powietrze zaczęło kąsać chłodem, a oni ciągle jechali. Nie usiłowała też nawiązać rozmowy. Mocno rzeźbione rysy twarzy Luiza, oświetlane od czasu do czasu przez pojawiające się i znikające światło księżyca, uwydatniał jeszcze lodowaty, nieprzenikniony wyraz twarzy, który nie zachęcał do pogawędek.

Intuicja podpowiadała Amy, że najlepiej zostawić go w spokoju. Droga do domu jest długa; nie może aż do jej końca być tak milczący.

Świt.

W wysokim, starannie wybranym kanionie, o dobrze ukrytym wąskim wylocie i potężnych kamiennych ścianach, Amy stanęła wreszcie na chwiejnych nogach. Stanęła twarzą w twarz z gniewnym, potężnym mężczyzną, który przez całą noc nie odezwał się do niej.

Rozsiodłany koń skubał spokojnie trawę w załamaniu skały. Amy była całkowicie wykończona i pragnęła jedynie położyć się i zasnąć. Podejrzewała jednak, że El Capitan spodziewa się przeprosin za to, że wszystkich tak przestraszyła.

Przestępując z jednej brudnej, bosej stopy na drugą i pocierając paskudnie poparzoną słońcem twarz, Amy oblizała spierzchnięte wargi i powiedziała:

- Przepraszam za to, co zrobiłam. Dziękuję ci, że przyjechałeś za mną i... uratowałeś mi życie...

Jedyną odpowiedzią był szybki, przeczący ruch ciemnowłosej głowy.

Amy poczuła, że powinna powiedzieć coś więcej.

- Wódz był podłym, zdeprawowanym człowiekiem, a ja... ja... - zadrżała i objęła się ramionami. - Dzięki Bogu zdążyłeś przyjechać, zanim ta bestia mnie skrzywdziła. Zabiłeś go?

- Nie - przemówił w końcu. - Nie zabijam braci.

- Nie za... - spojrzała na niego, jakby podejrzewała, że zwariował. - Ale on chciał...

- Musisz pojąć Apaczów, moich czerwonych braci - rzekł spokojnym, konwersacyjnym tonem. - Są wciąż prymitywni jak dzieci - wzruszył szerokimi ramionami. - Nieznośne dzieci.

Podbródek Amy wysunął się nieco.

- Nieznośne dzieci? Jak możesz stawać w ich obronie? To brudni, dzicy, krwiożerczy Ind...

- Indianie? To chciałaś powiedzieć?

- J - ja nie miałam na myśli... każdego...

- Uczucia, jakie ty i twoja rodzina żywicie do mojej rasy nie są dla mnie żadną tajemnicą.

- To nieprawda. Ja nigdy... Mój tato bardzo szanował... A poza tym ty nie jesteś... Jesteś...

- Kundlem? Mieszkańcem? Czy to nie pogarsza sprawy?

- Nie. Ty jesteś...

- Twoja opinia o mnie nie jest teraz ważna - przerwał. Przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu, wreszcie powiedział:

- Zrobisz wszystko, co ci każę, aż do naszego powrotu do Orilli - miesiąc na jego policzku drgnął. - Potem do diabła z tobą i z tym, co zrobisz!

- Słuchaj, rozumiem, że jesteś na mnie wściekły, ale...

- Wściekły? - jego głos był jak cięcie noża. - Powiniennem dokończyć robotę tam, gdzie Apacze ją zostawili. Zgwałcić cię i torturować osobiście.

Pochylił się nad nią, torsem przesłaniając szybko teraz wschodzące słońce.

Amy zadrżała, ale pozostała na miejscu. Była osłabiona przeżyciami, a przy tym miała dość wyniosłych min i chłodu tego człowieka.

- No to na co czekasz, do diabła? - zmrużyła zaczerwienione oczy i ruchem głowy odrzuciła z twarzy potargane włosy. - Jestem zupełnie bezbronna. Ledwie trzymam się na nogach, zmęczona i słaba. Nie będę się bronić, więc śmiało. Dokończ, proszę! Torturuj mnie, zgwałć, zabij! Czego tylko sobie życzysz, El Capitan!

Ten wybuch zaskoczył go zupełnie.

- Uspokój się. Nie mam zamiaru...

- Nie? Ależ dlaczego? Łupy należą do zwycięzcy! Wykradłeś mnie wodzowi. Czy nie dlatego, że chcesz ode mnie tego samego co on?

- Dość tego - uciał, kładąc kres rozmowie. Odszedł na bok, kręcąc ciemnowłosą głową.

Przykucnął przy rozłożonych na trawie jukach, rozwinął swój bagaż i wydobyl z niego parę miękkich spodni z sarniej skóry i wciągana przez głowę koszulę z niebieskiej bawełny. Przerzucił je sobie przez ramię i wstał.

- Za tamtym załomem jest płytki potoczek - pokazał kierunek ruchem głowy. - Około pięćdziesięciu stóp niżej, na dnie kanionu. Będę stał na straży, dopóki nie skończysz kąpieli. Potem ubierzesz się w to - podał Amy spodnie i bluzę.

Zawahała się, po czym wyrwała mu ubranie z ręki.

- Nie przypuszczam, żebyś miał mydło - stwierdziła znużonym głosem.

Luiz bez słowa wydobyl małą kostkę białego mydła i Amy z trudem powstrzymała się od westchnienia rozkoszy. Poczula się nagie tak lepka i brudna, że zaledwie mogła doczekać chwili, kiedy zbiegnie

do strumienia, zerwie z siebie łachmany i zmyje czterodniową warstwę potu i kurzu.

Podczas gdy Amy kąpała się, Luiz siedział u wąskiego wylotu kanionu, wsparty plecami o gładką, wysoką ścianę, z naładowanym winchesterem na kolanach. Czujne oczy poruszały się bez przerwy, obserwując nierówny teren w oczekiwaniu na jakąkolwiek oznakę zbliżania się Apaczów.

Po upływie pół godziny zaczął się niepokoić.

I właśnie w tym momencie Amy wyłoniła się z zagłębienia terenu, przez który płynął strumień. Okrążyła strzelistą skałę i zjawiała się w całej okazałości. Luiz wbrew sobie zagapił się jak zakochany młokos.

Umyła włosy, które złocistym bogactwem wilgotnych jeszcze kosmyków spływały jej na plecy, chwytając światło słońca. Twarz lśniła czystością, błękitne jak niebo oczy miały ciepły, rozmarzony wyraz.

Koszula, którą miała na sobie - jego własna - w tym samym odcieniu błękitu co jej senne oczy - lepiała się do świeżo umytej skóry, podkreślając krągłość piersi i stwardniałe z zimna sutki.

Spodnie ze skóry sarny ciasno przylegały do jej strzelistych bioder i zgrabnych pośladków, ale były o wiele za długie. Podwinęła je powyżej bosych, posiniaczonych kostek. Stała z jednym kolaniem lekko zgiętym i odchylonym na zewnątrz. Rzemyk, ściągający spodnie od kroku po pas, zwisał z jej płaskiego brzucha aż pomiędzy smukłe, długie uda.

Przyglądała mu się, mrużąc oczy od promieni ledwie wzeszłego słońca. Ziewnęła sennie i zapytała:

- Czy teraz już możemy iść spać? Serce podskoczyło w piersi Luiza.

- Pewnie - odparł obojętnie.

Pozostał w niezmienionej pozycji, ze strzelbą na kolanach i oczami utkwionymi w Amy. Nigdy dotąd nie wyglądała tak ponętnie, a jednocześnie tak słodko i niewinnie. Wychudzone, znużone ciało Luiza zareagowało natychmiast. Krew wypełniła jego podbrzusze, uciskając boleśnie. Ciepło rozprzestrzeniało się wzwyż, atakując wszystkie części ciała.

Serce waliło mu jak młotem, zaledwie był w stanie oddychać, twarz płonęła żywym ogniem. O ile ta fizyczna reakcja była dla niego



bardzo niezręczna, o tyle rozumiał ją doskonale. Żądza, po prostu czysta żądza. Amy była piękna, a on pożałował jej ciała tak, jak pożałowałby go każdy zdrowy mężczyzna.

Doznawał jednak przy okazji zupełnie innego uczucia, które żenowało go o wiele bardziej niż namiętność, jaka się w nim obudziła. Uczucia o wiele bardziej niebezpiecznego i tak mu obcego, że nie rozpoznawał go w pełni, choć go przerażało.

Potrafił zrozumieć i kontrolować głód seksualny. Jakże jednak przerażające było silne pragnienie, by czule objąć tę smukłą, spaloną słońcem i złotowłosą kobietę, otoczyć ją ramionami i zawsze chronić od zła - nawet od niego samego.

Zareagował jak każdy przestraszony samiec od czasów Adama. Nie usprawiedliwionym gniewem. Gniewem, który natychmiast obrócił się przeciwko Amy, jakby to była jej wina.

- No i dlaczego tak stoisz? - rzucił przez zaciśnięte wargi. - Podobno byłaś zmęczona.

- Jestem trochę zmęczona - odparła, leniwie unosząc ramiona i smukłymi palcami przeczesując długie, mokre włosy. Potrząsnęła głową. Nagle pochyliła się i impulsywnie przerzuciła włosy nad głową, aż spłynęły niemal do ziemi.

Nieświadoma, że ogniste czarne oczy wciąż jeszcze wpatrują się w nią, nie dbając zresztą o to, pozostała w tej pozycji przez chwilę, opierając dłonie na trawie, wyginając się jak kot.

Ta nieświadomie prowokująca gimnastyka jeszcze bardziej rozwścieczyła zdenerwowanego już El Capitana. Doprowadziła go do szału. Był pewien, że to przedstawienie jest specjalnie dla niego i postanowił, że Amy nie dowie się nigdy, jak bardzo skutecznie zadziałało.

- Lepiej idź do kanionu, rozłóż koc i prześpij się - rzucił najobojętniej, jak to było możliwe.

Amy podniosła głowę. Twarz miała zaczerwienioną od nabiegłej krwi. Jej włosy jak złota grzywa rozsypały się w nieładzie wokół ramion i błyszczały w słońcu. Przechyliła głowę i podeszła bliżej. Przykucnęła dokładnie przed nim i uderzała go po ramieniu długim rzemieniem spodni.

- A ty? - zapytała ziewając.

- Nie martw się o mnie.

- Ależ muszę. Na pewno...

- Wynoś się spać - przerwał. - Rób, co mówię.

Nie miała najmniejszego zamiaru. Siedziała na gołych piętach i wpatrywała się w jego nieruchomą, mroczną twarz.

W oczach El Capitana pojawił się ponury, gniewny wyraz. Siedział z winchesterem na kolanach, trzymając strzelbę nieco za mocno. Wyglądał jednak inaczej niż w napadach czystego gniewu, których nieraz bywała świadkiem. Tym razem było tam coś jeszcze, domieszka... czego? Cierpienia? Lęku? Żalu?

- Czy... czy coś nie w porządku? - zapytała miękko.

Z ciałem i twarzą ogarniętymi palącym żarem, i dziwacznie zachowującym się sercem odpowiedział chłodno:

- Ależ nie, pani Parnell. Nic a nic.

## Rozdział 34

Amy poruszyła się, otworzyła oczy i zaczęła się zastanawiać, która godzina. Ciasny, spadzisty kanion był pogrążony w cieniu, ale wysoko w górze widać było wąską, jasną wstęgę błękitnego nieba. Obróciła głowę. El Capitana nie było.

Na krótką chwilę wpadła w panikę. Usiadła szybko i rozejrzała się. Otworzyła usta, żeby go zawołać, ale zamknęła je zaraz nie wydając dźwięku. Głos poniósłby się wzdłuż kanionu i odbił echem od jego ścian. Nie miała ochoty ściągać na siebie uwagi patrolu Apaczów.

Wstała, zeszła z koca i ruszyła na poszukiwanie towarzysza. Za zakrętem natrafiła stopą na ostry, spiczasty kamień i skrzywiła się w milczeniu. Ostrożnie pokulała dalej, starannie wybierając drogę pomiędzy kamieniami, piaskiem, żwirem i splątanymi krzakami.

Stanęła jak wryta, widząc El Capitana siedzącego dokładnie w tym samym miejscu i w tej samej pozycji, w jakiej pozostawiła go kilka godzin temu. Zaczęła się zastanawiać, czy nie przesiedział ich ze strzelbą na kolanach i czujnym spojrzeniem, trzymając straż.

Podeszła bezszelestnie, a mimo to ciemnowłosa głowa obróciła się, spoglądając wprost na nią. Natychmiast odstawił strzelbę, opierając ją o tylną ścianę i wstał. Dopiero teraz Amy zauważyła, że jego ozdobiona frędzlami koszula z jeleniej skóry ma obcięte rękawy. Na nagich do barków opalonych ramionach pulsowały twarde muskuły.

- Było ci za gorąco - zauważyła Amy, wskazując na koszulę. Nie wiedziała, dlaczego ta nic nie znacząca uwaga tak go dotknęła.

Szedł ku niej z dziwną miną, jakby go obraził. Jego muskularna, smagła sylwetka była tak imponująca, że Amy mimowolnie cofnęła się i znowu natrafiła piętą na ostry kamień.

- Auuu - wymamrotała, nie spuszczając czujnych oczu z jego twarzy, i cofała się dalej.

- Nie ruszaj się - polecił i przyklęknął przed nią na jedno kolano. Wydobył zza pasa parę wysokich mokasynów i, przerzucając jeden przez ramię, sięgnął po prawą stopę Amy. Młoda kobieta przytrzymała się go, żeby nie upaść, a on tymczasem wsparł sobie jej stopę na kolanie i uważnie oglądał, przebiegając palcami po miękkiej podeszwie.

Amy miała wrażliwe stopy. Parsknęła śmiechem, usiłując się wyrwać. Przytrzymał ją za kostkę i podniósł oczy.

- Śmieję się trochę głośniej - burknął. - I na tyle długo, żeby Apacze przyszedli pośmiać się razem z tobą.

Śmiech uwiązał jej w gardle.

- Przepraszam.

- Podciągnij spodnie, żebyś mógł założyć ci mokasyny. Skinęła głową.

- Zrobiłeś dla mnie mokasyny z rękawów koszuli.

- Do Orilli daleko. Na bosaka nie zajdziesz.

- Nie. Ja... dziękuję ci. To bardzo miło, że pomyślałeś.

Nie odpowiedział. Wsunął miękki mokasyn na jej stopę i zasznurował poniżej kolana. Zrobił to samo z drugą nogą, po czym naciągnął spodnie na to zaimprovizowane obuwie i wstał.

- Zaczynaj zbierać bagaże - polecił. - Nie widziałem od rana ani śladu Apaczów, a jest już koło południa. Przy odrobinie szczęścia przed zapadnięciem nocy powinniśmy wy dostać się z Chisos.

- Spałeś?

Odwrócił się i odszedł na bok.

- Będę spał dzisiejszej nocy - rzucił przez ramię. Podbiegła do niego i położyła dłoń na jego nagim barku.

- Nie możesz żyć bez snu.

Chłodnym spojrzeniem omiół jej bladą dłoń spoczywającą na jego ciemnej skórze i Amy cofnęła ją z uczuciem winy.

- Mogę żyć bez snu - odparł. - Mogę żyć bez jedzenia. Mogę żyć bez wody, jeśli zajdzie taka potrzeba - urwał, a jego oczy przybrały wygląd czarnego lodu. - I mogę żyć bez ciebie, pani Parnell.

Podparła się dłońmi pod boki.

- A kto mówi, że nie? Jedź sobie beze mnie! Po prostu zostaw mnie tu i...

- Pakuj rzeczy!

Była prawie szósta po południu.

Amy i Luiz, jadący na jednym koniu, właśnie opuszczali góry Chisos. Amy siedziała z tyłu, obejmując w pasie swego towarzysza. Przez całą drogę z kanionu nie odzywali się do siebie.

Młoda kobieta czuła coraz większe osłabienie i cieszyła ją nadejście nocy. Z ulgą przyjęła fakt, że przejechali przez całe Chisos, nie spotykając ani jednego Apacza.

Nie zdawała sobie sprawy z własnego napięcia i zdenerwowania aż do chwili, gdy zaczęła się rozluźniać. Czowała, że niebezpieczeństwo minęło i z westchnieniem oparła policzek o sztywno wyprostowane plecy El Capitana, przymykając piekące oczy.

Zapadła w lekką drzemkę, kiedy cichy, trzepoczący dźwięk zmusił ją do otwarcia oczu. Uniosła głowę z pleców Luiza i zobaczyła dwa sępy, które przysiadły na drzewie tuż przed nimi, rozkładając ogromne skrzydła. Amy wstrząsnął dreszcz.

To był znak. Wiedziała o tym. Ciągle jeszcze nie byli bezpieczni.

- Amy, nie śpisz? - cichy, miękki głos Luiza przestraszył ją nieco.

- Nie - wykrztusiła, nie odrywając oczu od krążących padlinożerców.

Ten zimny, nieprzystępny mężczyzna nazwał ją po imieniu. Dotąd nie mówił do niej w ten sposób. Coś nie jest w porządku.

- Umiesz spać z konia niczego sobie nie łamiąc?

- Co takiego? - zdziwiła się, czując, że krew krzepnie jej w żyłach.

- Mamy towarzystwo - odparł spokojnie.

Obejrzała się. Zmrużyła oczy, ale z początku niczego nie dostrzegła. A potem o jakieś sto jardów za nimi ukazała się grupka Apaczów.

- Naliczyłem dziewięciu - odezwał się Luiz.

- Więc dlaczego jedziemy tak powoli? - zawołała głosem łamiącym się z przerażenia. - Pogoń konia do galopu i już nas tu nie ma!

- Jeszcze nie - odpowiedział bez cienia pośpiechu w głosie. - A teraz słuchaj uważnie i zrób dokładnie to, co ci każę. Będziemy jechali z tą samą prędkością. Pozwólmy im się zbliżyć. Tymczasem odepnij juki od siodła. Sięgnij pod moją koszulę, wyjmij rewolwer z pasa i włóż go do juków. Przewieś sobie manierkę przez ramię. Ale najpierw wyciągnij winchester z pochwy przy siodle i podaj mi go.

Uśluchała bez wahania i natychmiast zabrała się do roboty. Wiedziała, że musi wykonać jego plan bez dyskusji.

- Widzisz ten początkowy łańcuch Gór Santiago, wznoszący się z doliny dokładnie przed nami?

Amy bez słowa skinęła głową.

- Amy?

- Tak. Widzę go.

- Kiedy okrążymy pierwszą z nich i znikniemy z oczu Apaczom, rozluźnij ciało, aż stanie się kompletnie bezwładne i zsuń się z konia. Jak tylko dotkniesz gruntu, wstawaj i biegnij pod górę. Możesz to zrobić?

- Tak. Ale co z tobą?

- Będę sumiennie odciągał Apaczów od ciebie.

- Luiz, nie! Nie pozwolę ci na to. Zostaję z tobą.

- Nie dyskutuj! - w jego głosie zabrzmiał gniew. - Do roboty. Zrób wszystko, co ci kazałem, ale po drodze cały czas trzymaj się jedną ręką. Mam zamiar poprosić naszego rumaka, żeby trochę przyspieszył kroku.

Jedno dotknięcie obcasami boków konia spowodowało, że zwierzę z zadziwiającą szybkością zerwało się do ręcznego galopu. Grupka wyjących wściekle Apaczów pędziła o milę z tyłu. Luiz nie obawiał się, że zaczną strzelać. Jeszcze nie teraz.

Dostali rozkaz przyrowadzenia białej kobiety całej i zdrowej. Nie będą ryzykowali zabłąkanej kuli, która mogłaby zranić Amy. Dlatego Luiz kazał jej jechać z tyłu.

Amy tymczasem dokonywała cudów zręczności na grzbiecie pędzącego mustanga. Udało jej się zawinąć colt w koc, zrolować na powrót cały bagaż i przewiesić manierkę przez pierś. Podała Luizowi winchester.

Była gotowa.

Drzewa umykały w tył z oszałamiającą prędkością. Wiatr drażnił jej oczy, serce biło mocno i niespokojnie. Wiedziała, że za chwilę El Capitan każe jej spaść z galopującego konia i...

- Teraz, Amy, dziewczynko... - odezwał się Luiz i Amy posłusznie zsunęła się z rozpędzonego mustanga, wprost na porośniętą trawą ziemię. Spadła na łokieć. Ból jak wstrząs elektryczny szarpnął jej ramieniem i Amy upuściła pakunek.

Poderwała go drugą ręką i skoczyła na nogi. W ochronnych mokasynach szybko wspinała się w gęstych zaroślach. Niskie, liściaste gałęzie smagały jej twarz, ostre ciernie i igły chłostały jej ramiona i nogi. Nie rezygnowała jednak.

Nie zatrzymała się, dopóki nie wspięła się dość wysoko po zboczu. Gdy wreszcie zabrakło jej tchu, a płuca paliły żywym ogniem, kiedy nogi odmówiły posłuszeństwa, opadła na ziemię.

Poniżej słyszała łomot kopyt koni Apaczów. Plan Luiza powiódł się! Apacze nie mieli pojęcia, że Amy już z nim nie jedzie.

Znużonym gestem rzuciła ciężki pakunek na ziemię i zaczęła przetrząsać go w poszukiwaniu rewolweru. Podniosła broń drżącą ręką. Był dla niej zbyt ciężki i musiała trzymać go oburącz, by nie trząśł się.

Dysząc ciężko, przycupnęła w cieniu i uniosła rewolwer w obronnym geście. Podskoczyła, kiedy usłyszała pierwsze strzały. Świst kul odbijających się od skały sprawił, że rzuciła się płasko na ziemię i przywarła do niej całym ciałem. Podpierając się łokciami, z bronią wycelowaną w dół zbocza, leżała i szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w prześwit pomiędzy drzewami.

Strzały nie milkły - przerażające i szybkie - ale przycichły w miarę, jak Apacze oddalali się od niej. Na razie była bezpieczna, ale co z Luizem? Czy udało mu się umknąć przed tą wściekłą zaporą kul? Może został trafiony, nawet ciężko ranny? Może umierał? Może już nie żył?

Nie, powtarzała sobie. Gdyby go trafili, strzelanina ustałaby. Uciekł im. Był doświadczonym jeźdźcem i strzelcem. Albo im ucieknie, albo ich pozabija!

Mijały długie minuty.

Strzelanina ucichła wreszcie i lęk Amy się spotęgował. Czy Apacze zabili Luiza, a teraz przeczesywali las w jej poszukiwaniu? Przewróciła się na plecy i usiadła.

Minęła godzina. Panowała kompletna cisza, przerywana jedynie odległym nawoływaniem górskiego drozda i poszczekiwaniami kojota. Zapadał zmierzch.

Amy wyczekiwała. Słońce dawno już zaszło, powietrze ochłodziło się, a jej porośnięte drzewami schronienie stało się nieprzyjemnie ciemne.

Powtarzała sobie, że powinna zachować spokój. El Capitan wie, co robi. Jest sprytny i pomysłowy. I na pewno żyje. Uciekł Apaczom i wkrótce po nią wróci. Amy musi tylko pozostać w ukryciu i czekać. Wkrótce wyjedzie z mroku na swoim mustangu i wszystko będzie dobrze.

Księżyc wstał wysoko nad drzewami, ale jego srebrzyste światło nie mogło przeniknąć gęstego baldachimu z gałęzi jałowca i sosen pinon. Amy, mrugając oczami, siedziała w gęstej ciemności. Ręka

zdrętwiała jej od zbyt kurczowego ściskania rewolweru, każdy mięsień był napięty jak struna.

Zabili go, krzyczał jej sparaliżowany strachem mózg. Nie mógł ich zgubić, nie dał rady ich prześcignąć. Dogonili go, ściągnęli z konia, zabili i oskalpowali. A teraz leży pewnie w świetle księżyca, martwy, z szeroko otwartymi, wpatrzonymi w niebo oczami.

Amy straciła kontrolę nad własną wyobraźnią, zaczęła dygotać ze strachu i rozpacz. El Capitan nie żyje. I znowu to ona ponosi winę. Jest sama, góra aż roi się od Apaczów. W każdej chwili mogą ją znaleźć, zgwałcić, oskalpować, poderżnąć jej gardło od ucha do ucha i... i...

Cichutki odgłos łamanej gałązki sprawił, że Amy poderwała się z przerażeniem. Gorączkowo wytrzeszczała oczy, ale w ciemności niewiele mogła zobaczyć.

Rewolwer zadygotał w jej rękach. Nie była w stanie utrzymać go prosto lodowatymi, trzęsącymi się dłońmi. Wyprostowała ramiona, ale nie miała pojęcia, w którą stronę skierować broń. Serce biło jej tak szybko, że ledwie mogła oddychać.

Na pół oszalała ze strachu nateżyła słuch i skuliła się spazmatycznie, gdy pod stopą intruza zaszeleścił suchy listek. Jednym skrzyśnięciem ciała zwróciła się w stronę, z której dobiegł dźwięk. Zaciśnęła palec na spuście i skierowała broń w nieprzeniknioną ciemność, oczekując pojawienia się napastnika.

Gdzieś z tyłu jakaś dłoń spadła na jej usta, zaciskając je mocno. Poczowała, że stalowe ramię oplata ją, przyciskając do muskularnej, twardej piersi i unieruchamiając jej własne ręce. Pistolet zwiśł beużytecznie.

- Amy, to ja, Luiz. Przepraszam, że cię przestraszyłem, ale nie mogłem pozwolić, żebyś krzyknęła - usłyszała cichy głos.

Znów przysunął wargi do jej ucha, tak że Amy czuła ich ciepło.

- Kiedy zabiorę rękę, ani słowa.

Amy skinęła głową, przymykając oczy z ulgą.

Luiz usunął dłoń z jej ust, wyjął ciężki colt z jej palców, a kiedy odwróciła się i zarzuciła mu ramiona na szyję, przytulił ją mocno.

Kiedy się uspokoiła, polecił, by zachowywała się jak najciszej. Usłuchała, ale nie zgodziła się odejść. Rozejrzał się uważnie, mrużąc oczy i obejmując Amy ramieniem. Wreszcie szepnął:



- Na wprost ciebie, dokładnie o osiem stóp od miejsca, w którym stoimy, znajduje się ogromne drzewo. Podejdź do niego, a kiedy już tam będziesz, odwróć się plecami do pnia i odsuń o dwie stopy.

Amy posłusznie skierowała się w stronę drzewa, wyciągając przed siebie dłonie jak ślepiec. Wreszcie jej palce natrafiły na szorstką korę. Obróciła się, przesunęła się o dwie stopy w stronę Luiza i czekała.

Po chwili, która Amy zdawała się wiecznością, zjawił się koło niej i miękko położył dłoń na jej ramieniu. Zmusił ją, by usiadła na miękkiej kępie trawy i sam także opadł na ziemię tuż za jej plecami. Oparł się o pień drzewa, otaczając Amy kolanami.

I znów jego wargi dotykały jej ucha.

- Jestem tutaj - wyszeptał. - Jesteś bezpieczna. Myślisz, że uda ci się odpocząć w tej pozycji? - a kiedy skinęła głową dodał: - Więc oprzyj się o mnie i odpoczywaj.

Amy nie trzeba było tego powtarzać dwa razy. Na tej wysokości noce wciąż były zimne, a wiatr zdawał się przenikać jej ciało na wskroś. Potrzebowała ciepła jego ciała, chętnie wtuliła się w nie, opierając plecy o szeroką pierś. Podwinęła kolana i złożyła głowę na szyi Luiza.

Odetchnęła z wdzięcznością, kiedy poczuła jego ciepło; ze zdziwieniem stwierdziła, że grzeje ją nie tylko jego ciało. Wyglądało na to, że okazuje jej wyjątkowo dużo zrozumienia i czułości. Czyżby zaczął tajać? Może to wspólne doświadczenie - ich dwoje przeciwko Apaczom i przyrodzie - nareszcie odarło go z powłoki chłodu, stąpiło dawną urazę.

Wyciągnęła dłoń i położyła na jego policzku, dając mu znak, żeby się ku niej pochylił.

- Twój plan okazał się znakomity. Jesteś taki sprytny, taki zaradny... - wyszeptała mu do ucha.

Opuściła dłoń i Luiz podniósł głowę nie udzielając żadnej odpowiedzi. A kiedy w pół godziny później usnęła w jego ramionach, siedział zupełnie rozbudzony, marząc jedynie o tym, by jej włosy nie pachniały tak słodko. Aby nie obróciła twarzy tak, że jej ciepły, wilgotny oddech owiewał jego szyję. I żeby nie czuł się tak zadowolony, że nazwała go sprytnym i zaradnym.

Z wycelowaną bronią, obserwując las, przygotowywał się duchowo na przyjęcie niebezpieczeństwa. Nie tego, które czało się w

mroku, lecz tego, które spało słodko wtulone w jego pierś. Nie chce, nie potrzebuje jej aprobaty, powtarzał sobie w myśli.

Cień sardonicznego uśmiešku pojawił się na jego wargach. Ciekawe, czy wciąż będzie uważała go za sprytnego i zaradnego, kiedy rano oznajmi jej, że nie mają już wierzchowca?

Będą musieli pieszo wracać do Orilli.

## Rozdział 35

- Co zrobiłeś?

- Wypuściłem mustanga.

Głos Amy zabrzmiał histerycznie.

- Życie ci niemiłe?

- Przeciwnie - odparł Luiz spokojnym, niewzruszonym głosem. - Bardzo chcę żyć. Właśnie dlatego to zrobiłem.

Był wczesny poranek. Stali naprzeciw siebie, po obu stronach niskiego krzewu jałowca, tuż u stóp góry. O świcie Luiz delikatnie obudził Amy i w ciągu kilku minut zebrali swoje bagaże.

- Idziemy - polecił miękko i ruszył w dół poprzez gęste zarośla.

- Tak jest - odparła Amy idąc za nim. - Gdzie zostawiłeś konia?

- Nie zostawiłem go.

Amy zatrzymała się gwałtownie.

- Chyba nie okulał?

- Nie - Luiz nie przerwał marszu.

Amy podbiegła do niego, chwytając go za ramię i przytrzymując w miejscu.

- Co zrobiłeś z koniem?

Luiz odparł, że go wypuścił.

- Nie chcesz umrzeć, więc wypuszczasz konia? Wybacz, jeśli wydaję ci się cokolwiek zakłopotana, ale nie ma wiele sensu w tym, co mówisz - zauważyła Amy.

Luiz zarzucił sobie na plecy zrolowany pakunek wyjaśniając, że nie miał innego wyjścia. Apacze byli coraz bliżej, nie był w stanie im uciec. Zaczęli strzelać. Udało mu się jedynie okrążyć podnóże góry i zniknąć na moment z pola widzenia.

Poza zasięgiem ich wzroku okręcił wodze wokół łęku, raz jeszcze dźgnął piętami boki konia i zeskoczył na ziemię. Podczas gdy dzielny koń kontynuował drogę wokół góry, Luiz wślizgnął się w bezpieczne miejsce między drzewami. Apacze jechali za koniem, przekonani, że jeździec wciąż jeszcze znajduje się w siodle. Zanim spostrzegli pomyłkę, było już za późno.

- Przepraszam za tę niedogodność - kończył Luiz - ale musiałem to zrobić.

Amy skinęła głową.

- Tak, rozumiem dlaczego... ale jak dostaniemy się do domu?

- Piechotą? - podsunął niewinnie.

- Piechotę?! - powtórzyła wytrzeszczając na niego oczy. - Piechotę? Czy wiesz, jak daleko jest stąd do Orilli?

- W linii prostej siedemdziesiąt mil. Przez góry co najmniej sto.

- I ja mam przejść te sto mil?

- Może wolisz pozostać tutaj?

- Nie dam rady dojść tak daleko! Nikt nie da rady!

- Nie masz racji, pani Parnell. Ja mogę. Robiłem to już wcześniej. Nieraz - odwrócił się. - Ruszamy?

Amy spojrzała na niego, ale nie odpowiedziała. Nie ruszyła się z miejsca. Patrzyła, jak odchodzi jak gdyby nigdy nic. Miała wielką ochotę rozwalić mu głowę. Szedł szybko, dzieląca ich odległość zwiększała się z każdą chwilą. Właściwie straciła go z oczu, kiedy tylko dotarł do dna doliny i skrył się za wysoką, oświetloną słońcem iglicą skalną.

Amy stała nieruchomo przez kilka sekund. I nagle rzuciła się biegiem, uchylając się przed niskimi konarami drzew. Rozpęd rzucił ją w dół stromego zbocza, a kiedy jej obute w mokasyny stopy natrafiły na płaski grunt, zaczęła wołać Luiza.

- Zaczekaj! - krzyczała. - Idę. Zaczekaj na mnie. Proszę!

Odpowiedzi nie było. Dobry Boże, odszedł i zostawił ją! Co teraz będzie? Sama nigdy nie znajdzie wyjścia z tych gór!

Zdyszana dotarła do wysmukłej iglicy, gdzie znikł jej z oczu. Okrążyła granitowy monolit, wykrzykując jego imię.

- Luiz, nie zostawiaj mnie! Zaczekaj, mogę iść. Mogę i... - słowa uwięzły jej w gardle, stanęła jak wryta.

O sześć stóp od niej, oparty o gładką granitową skarpe stał El Capitan. Obnażone ramiona skrzyżował na piersi, stopa w mokasynie spoczywała płasko na kamiennym występie. Ciemnowłosa głowa zwrócona była w jej stronę, długa, biała blizna w blasku porannego słońca miała różowawy odcień.

Amy odetchnęła z ulgą, uśmiechnęła się i podbiegła do niego.

- Mogę iść pieszo, jeśli ty możesz - wyszeptała z nadzieją w głosie.

Luiz oderwał się od kamiennej ściany, wyprostował jasnoniebieską opaskę na czole.

- Chodźmy.

To był trudny, długi poranek dla Amy.

Postanowiła nie skarżyć się i szła za swym milczącym kompanem wzdłuż nie istniejącego traktu, który przecinał najbardziej dziką ziemię w całym Teksasie. Słońce wznosiło się wysoko na bezchmurnym niebie, upał zaczynał być nieznośny, a Amy uparcie zmagła się ze zdradzieckimi zboczami, nerwowo zerkając w głąb rozpadlin, ale zachowując swe lęki dla siebie.

Bez słowa skargi przemierzała głębokie, piaszczyste wąwozy, z których wychodziła z mokasynami pełnymi drobnego piasku, ocierającego podeszwy i wciskającego się między palce. Ostrożnie wybierała drogę pośród grubego, raniącego stopy żwiru. Milczeniem pomijała zadrapania ostrych kolców kaktusów, które darły jej spodnie. Nie skarżyła się, gdy włosy zaczepiały o gałęzie, boleśnie szarpiąc skórę głowy. Ze stoickim spokojem odganiała końskie muchy, rojące się wokół jej twarzy, karku i ramion.

Nie prosiła o łyk wody nawet wówczas, kiedy jej gardło było suche aż do bólu.

Koło południa zauważyła ze zdumieniem, że towarzyszący jej mężczyzna, któremu tylko z trudem dotrzymywała kroku, nie wydaje się zmęczony ani spragniony.

Z furią rozgniotła krwiożerczego insekta na swoim przedramieniu i spojrzała na El Capitana, wyprzedzającego ją o dobre dwadzieścia stóp. Ciężki pakunek na plecach zdawał się w ogóle mu nie ciążyć. Szedł wyprostowany, z ramionami zwisającymi swobodnie wzdłuż boków. Mięśnie jego obleczonych w jelenią skórę pośladków kurczyły się i rozkurczały z absolutną precyzją, kiedy krok za krokiem posuwał się w górę z wdziękiem olbrzymiego kota.

Nagle zatrzymał się i obejrzał, jakby poczuł na sobie jej wzrok. Stojąc wysoko na poszarpanym skalnym zboczu przyglądał się nadchodzącej kobiecie.

Jej twarz, zaczerwieniona od słońca i ciągłego wysiłku, lśniła od potu. Długie włosy spadały w poplątanej masie na oczy i lepiły się do policzków i karku. Gorączkowo odpędzała muchę, która zaatakowała błyszczącą wilgocią szyję. Ostre osty czepiały się jej skórzanych spodni; najwyraźniej kulą na lewą nogę.

- W porządku? - zapytał, kiedy go dogoniła.

Amy musiała przełknąć dwa lub trzy razy, żeby zwilżyć śliną wyschnięte gardło.

- Wspaniale - odparła, dumnie odrzucając włosy z czoła i oczu. -  
A ty?

Luiz wydawał się zachowywać beztrosko, ale w istocie nie przeoczył niczego. Wiedział, że dawno przekroczyła granice swych możliwości, ale była zbyt dumna, żeby się do tego przyznać. Podziwiał ją za to - wbrew sobie, a nawet z pewną irytacją.

- A ja jestem trochę zmęczony.

Zrobił krok do przodu, wyciągnął rękę i bez trudu chwycił Amy w ramiona. Była zbyt słaba, by protestować. Zachwycona, że nie musi stać na osłabionych, pokaleczonych nogach z westchnieniem wsparła głowę na jego ramieniu.

Luiz zaniósł ją pod strome zbocze, aż do niewielkiego krateru na północnym stoku, o jakieś sto stóp od szczytu. Wsunął się w cień, postawił Amy na nogi i oznajmił bezceremonialnie:

- Pozostaniemy tutaj przez resztę dnia.

- Nie musisz tego dla mnie robić - zaprotestowała, chwiejąc się na nogach. - Mogę zaraz ruszać dalej.

- A ja nie - odparł, ściągając ciężki pakunek.

Odkorkował manierkę i podał Amy. Chwyciła ją skwapliwie i podniosła do ust. Patrzyła zdumiona, gdy wziął naczynie z jej rąk i gdy zamknął je nie wypijając ani kropli.

- Nie jesteś spragniony? - zapytała marszcząc czoło.

- Nie bardzo - skłamał.

Niechętnie przyznałby się, że ich zapasy wody kurczą się niebezpiecznie szybko, a ponieważ maj jest najbardziej suchym miesiącem w okolicy Wielkiego Zakrętu, mogą wędrować wiele mil, zanim znów trafią na strumyk.

Amy potrząsnęła głową i opadła na kamienne podłoże. Drapiąc miejsce na karku po ukąszeniu jakiegoś owada beczynnianie przyglądała się, jak Luiz starannie rozkłada koc tuż przy wejściu do jaskini. Wypakowuje z zawiniątka różne przedmioty i układa je na kocu.

Drgnęła zaskoczona, kiedy odezwał się cicho, miękko:

- A teraz chodź tu, pani Parnell.

Kucał przy otworze wejściowym, a słońce oświetlało go od tyłu, więc nie mogła dostrzec jego twarzy. Jaka karę chciał jej wymierzyć? Teraz, kiedy na dobre umknęli diabelskim Apaczom i był z nią sam na sam w tym cieniście zagłębieniu, czy nie zamierza zamienić się w

diabła? Czy przypadkiem nie ma ochoty na tę jedyną w swoim rodzaju formę kary, którą lubił nade wszystko?

- Powiedziałem, żebyś tu podeszła - jego głos wypełniał całe pomieszczenie, odbijając się echem od kamiennych ścian.

- Nie, nie podejść - odparła spokojnie, choć czuła dziwny ucisk w piersi.

Przykucnięty, z łokciami na udach, blokował jej jedyną możliwą drogę ucieczki. Wypełniał całe pole jej widzenia. Górował nad nią jak drapieżne zwierzę nad swą ofiarą. Jego oczy lśniły w mroku niczym ślepiec bestii.

- Przyjdiesz. Przyjdiesz do mnie - odezwał się słodkim jak miód głosem. - No, chodź. Czekam.

Skuszona tą aurą niebezpiecznej męskości wahała się jeszcze przez jedną, krótką chwilę. W małej jaskini zrobiło się cicho i duszno. Tak duszno, że ledwie mogła oddychać. Podniosła dłoń do ściśniętego gardła.

- Powiedziałem, żebyś tu przyszła - aksamitny głos przerwał ciszę i Amy głośno wciągnęła powietrze.

Podniosła się i ruszyła ku niemu, przygotowana na to, że zerwie z niej ubranie i rzuci ją na koc.

Czołgając się na czworakach w jego stronę, zatrzymała się w odległości dwóch stóp. Z oczami badawczo wbitymi w nieprzeniknioną maskę, którą przybrał, nerwowo przysiadła na piętach.

Luiz poruszył się nareszcie. Wyciągnął do niej ramię. Oblizwała wargi i nerwowo położyła dłoń na jego wyciągniętej ręce. Silne palce zacisnęły się wokół jej palców. Ciało Amy przeszyły dreszcze.

Spojrzała w te straszne oczy, czując ich ciepło i moc. Czekwała.

## Rozdział 36

Amy czekała. Zrezygnowana. Rozgorączkowana.

Czekała, aż El Capitan władczo weźmie ją w ramiona i przycisnie do muskularnej piersi. Czekała, aż zmysłowe, okrutne wargi nakryją jej drżące, lodowate usta. Czekała, aż silne dłonie zedrą ubranie z jej drżącego ciała.

Czekała na karę.

Na rozkosz.

Czarne oczy Luiza błyszczały w półmroku. - Pomogę ci - powiedział miękko.

Amy zadrżała. Dokładnie wiedząc, jakiego rodzaju pomoc ma na myśli, bezradnie skinęła głową w niezdecydowanej kapitulacji.

I po raz kolejny doszła do wniosku, że ten mężczyzna, który posiadał tak nieodparty, zwierzęcy urok, na zawsze pozostanie zaskakującym paradoksem.

Nie pociągnął jej brutalnie w objęcia; nie zaczął jej całować i odzierać z ubrania. Zamiast tego, zajął się nią tak czule i delikatnie, jak kochający ojciec mógłby opiekować się uwielbianym, choć nieznośnym dzieckiem.

Ostrożnie posadził ją na rozłożonym kocu. Wsparta na sztywnych ramionach, z nogami wyciągniętymi przed siebie obserwowała spod zmrużonych rzęs tę chodzącą zagadkę, jaką był dla niej El Capitan.

On tymczasem zajął się wyciąganiem rzepów i kolców kaktusa, które utkwily w jej spodniach. W kilka sekund później musiała mocno zagryźć wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem, kiedy zdjął jej mokasyny i zaczął najdokładniej, jak mógł bez kropli wody, oczyszczać stopy Amy z drobnego żwiru i piasku.

Miała niewiarygodne łaskotki i pomimo jego chmurnych, pełnych wyrzutu spojrzeń śmiała się na całe gardło, kiedy usuwał piasek spomiędzy jej palców najpierw rękami, a potem dmuchając.

Kiedy obie jej stopy były już czyste, sięgnął po manierkę. Spośród równiutko poukładanych przedmiotów wybrał czystą białą chusteczkę. Zwilżył ją kilkoma kroplami drogocennej wody i podał Amy.

Śmiech zamarł na ustach młodej kobiety, kiedy wilgotna chusteczka dotknęła jej rozchylonych warg. Luiz bardzo starannie umył jej zaczerwienioną, zakurzoną twarz, miękko przesuwając' delikatny materiał po policzkach, nosie i podbródku. Przycisnął go do



wilgotnych włosów nad czołem Amy, zsunął sklezione na skroniach kosmyki, wymył jej małe uszy.

Opuścił chusteczkę na szyję kobiety, by zmyć z niej kurz i brud. Potem sięgnął aż do rozcięcia brudnej koszuli, przecierając chłodną szmatką jej ramiona, kark i dekolot.

Wreszcie cofnął chusteczkę.

- Podaj mi ręce - rozkazał.

Amy posłusznie podała prawą dłoń, a on umył ją od palców aż powyżej łokcia, sięgając pod rękaw koszuli. To samo zrobił z jej lewą ręką.

Kiedy skończył, odrzucił chusteczkę i sięgnął po mały słoiczek maści. Otworzył go i nabrał zawartości na koniec palca.

Zajął się teraz poszukiwaniem śladów po ukąszeniach owadów. Ze skupieniem obejrzał całą odkrytą powierzchnię jej ciała - a także część zakrytej - i szybko posmarował tłustą, ciepłą maścią nawet najmniejszą czerwoną plamkę.

Amy była zaskoczona szybkością, z jaką znikło dokuczliwe pieczenie i swędzenie. Lekki, delikatny dotyk pokrytego maścią palca przynosił jej natychmiastową ulgę.

- Ummm, jak cudownie - wymruczała z wdzięcznością. - Ta maść jest wspaniała. Co to takiego?

- Iztac - patli - odpowiedział Luiz nie podnosząc wzroku. - To starodawne lekarstwo Azteków wyrabiane z egzotycznych roślin.

- Rozumiem - odparła, w zamyśleniu studiując jego twarz. Wreszcie spytała, zaintrygowana: - Skąd ją wzięłeś?

Jego twarz nie zmieniła wyrazu.

- Jestem Aztekiem - oznajmił, a jego czarne oczy rozbłyły nagle. - Czyżbyś o tym zapomniała?

- Nie. Nie zapomniałam. Ale nie...

- Nigdy nie dyskutuj z ticitl - pełne wargi nagle rozchyliły się w lekkim uśmiechu. - Lekarzem.

- Nie, oczywiście. Ale ciekawa jestem, skąd...

- Gotowe - przerwał, wytarł palce i zamknął słoik z maścią.

Amy poczuła, że nie ma sensu dalej go wypytywać. Ciekawość jednak pozostała. Skąd on wziął starodawne lekarstwo Azteków, zrobione z roślin, o których nigdy nie słyszała.

Luiz wyciągnął teraz gruby grzebień, obszedł ją wokół i usiadł za jej plecami. Przytrzymał ją nogami i przez następne pół godziny delikatnie rozczesywał jej splątane włosy.

- Odchył trochę głowę - polecił na koniec. Usłuchała go, a on zebrał wszystkie lśniące loki razem na

czubku i zręcznie splótł je w długi, gruby warkocz, który spadł Amy aż na plecy. Wziął biały rzemyk i starannie obwiązał nim koniec warkocza.

- Teraz lepiej? - zapytał, przysuwając swoją twarz do twarzy Amy.

Odwróciła się ku niemu.

- O wiele lepiej, dziękuję - odparła z uśmiechem. - Gdzie nauczyłeś się splatać kobiece warkocze?

Odpowiedział lekkim pociągnięciem za złociste włosy i wzruszeniem szerokich ramion. Ale nawet, kiedy wstał i powędrował w stronę wylotu jaskini, Amy nie przestała się zastanawiać.

Był zbyt zręczny w zajęciach, które jej właśnie zademonstrował. O wiele za dobrze splatał kobiece włosy i posługiwał się grzebieniem.

Gdzieś z zakamarków jej umysłu wypełził niepokojący obraz, który pojawiał się w jej snach. Widok El Capitana i Diany Clayton, uśmiechniętych, wchodzących do hotelu La Posada. Co zaszło między nimi tamtego dnia? Co może wciąż się między nimi dzieje?

Odrzuciła te myśli. Jakże to teraz miało znaczenie?

- Odpocznij lepiej, dopóki możesz - głos Luiza przerwał jej rozmyślenia.

- Tak - odparła. Przerzuciła warkocz przez ramię i wyciągnęła się na kocu. - Ty też powinieneś odpocząć.

- Odpocznę - mruknął, nie ruszając się od wejścia do jaskini. Przecheszywał wzrokiem otaczające ich wzgórza i szeroką dolinę poniżej. - Odpocznę, kiedy będę pewien, że Mescalerowie nie wpadli na nasz trop.

- Mmm - mruknęła Amy, podkładając dłonie pod głowę. Przymknęła oczy, jej oddech wyrównał się; usnęła. W jakiś czas potem ocknęła się na moment i przez półuchylone powieki widziała Luiza wciąż stojącego nieruchomo u wejścia do jaskini.

Samotny, odcinający się czarnym konturem na tle nieba, wydawał się jak wykuty z lśniącego kamienia. Klasyczny męski profil, kruczoczarne włosy, wspaniała sylwetka. Był jak dzieło sztuki.

Długie, cudowne minuty przyglądała mu się oczarowana jego dziką, męską urodą, w oczekiwaniu na najlżejszy ruch, który udowodniłby jej, że ma przed sobą istotę z krwi i kości, a nie martwą i zimną rzeźbę.

Nieznaczne mrugnięcie jego długich, ciemnych rzęs uspokoiło ją. Uśmiechnęła się, przymknęła oczy i znów zasnęła.

Ciemnowłosa głowa Luiza zwróciła się w jej stronę.

Wiedział, że go obserwowała. Teraz to on patrzył na nią. Patrzył tak długo, dopóki nie upewnił się, że jest pogrążona w głębokim śnie. Usatysfakcjonowany, sięgnął za głowę, do kołnierza koszuli, i jednym ruchem ściągnął ją z siebie.

Cichutko podszedł do koca. Ukląkł, wyjął zza pasa colt i położył obok siebie, po czym nachylił się nad Amy, delikatnie unióśł jej głowę i wsunął pod nią zwiniętą koszulę. Amy lekko westchnęła przez sen, obróciła się na bok i rozchyliła usta, ukazując równe, białe zęby.

Luiz uśmiechnął się machinalnie, po czym zreflektował się i zmarszczył brwi. Wyciągnął się obok niej, podłożył jedną rękę pod głowę, a drugą ułożył na nagim brzuchu. Obolałe mięśnie powoli zaczęły się odprężać. Był tak zmęczony, że mógłby przespać całą wieczność, ale wiedział, że musi czuwać. Muszą dotrzeć do Terlingua Creek przed zapadnięciem nocy, albo zostaną bez kropli wody.

Ustawił swój wewnętrzny zegar na czwartą po południu, przymknął zmęczone oczy i odetchnął głęboko.

Spali, śmiertelnie znużeni, a tymczasem ranek zamienił się w popołudnie, rozżarzone słońce przesunęło się po bezchmurnym niebie, oświetlając wnętrze jaskini.

El Capitan przewidział to i odpowiednio rozłożył koc. Uśpiona para pozostała w chłodnym, głębokim cieniu, a mimo to w gorące, ciche popołudnie Luiz się ocknął. Przyczyną tego nie było słońce i gorące, suche powietrze ani zagrożenie ze strony Apaczów.

Była nią Amy.

Śnił o niej. Śnił, że jej jasne włosy sięgały ziemi. Że leżeli na chmurze niosącej ich ku niebu. Amy była naga, ale jej włosy zasłaniały całą jej urodę. A potem on splótł je w długi warkocz, by móc podziwiać wdzięki ukochanej.

Pozwoliła mu patrzeć na swe ciało i żartobliwie łaskotała go warkoczem, oplatając nim jego usta, pierś i brzuch, aż pożądanie odebrało mu siły.

Ale kiedy sięgnął po nią, uśmiechnęła się dziwnie i szybko owinęła długi, złoty warkocz wokół jego szyi, dusząc go i śmiejąc mu się w twarz. Bezduszny śmiech był ostatnim dźwiękiem, jaki dotarł do niego, zanim pogrążył się w ciemności.

Sen był tak realistyczny, że Luiz czuł, jak jego serce tłucze się w piersi. Obrócił głowę i ujrzał Amy, śpiącą obok z twarzą anioła i złocistym warkoczem opadającym na pierś.

Wyglądała słodko, ale były to jedynie pozory. W rzeczywistości była najbardziej niebezpieczną kobietą, jaką znał i budziła w nim lęk. Niebaczenie pozwolił usnąć swą czujność w chwili, gdy wynosił ją z obozowiska Mescalerów.

Zachodziła mu za skórę.

Znowu.

Jeśli do tego dopuści, może winić jedynie siebie. Niech więc obejmuje jasnymi ramionami i udami jego ciało, byle nie zapanowała nad jego sercem.

Nagły impuls, by zadać jej ból był tak silny, że sam się go przestraszył. Zaciśnął pięści. W tym właśnie momencie Amy ocknęła się i ujrzała nad sobą parę mrocznych, okrutnych oczu. Zaniepokojona, uniosła się na łokciu:

- Czy coś się stało?

Ciemna twarz El Capitana drgnęła lekko. Odwrócił oczy, usiadł.

- Czas ruszać - powiedział. - Przed zmrokiem musimy być w Terlingua Creek.

Amy nie miała pojęcia, co spowodowało tak raptowną zmianę jego zachowania. Wiedziała tylko, że troskliwy, delikatny towarzysz, który wyleczył ją z ukąszeń owadów i splótnął włosy pozostał w sklepionym, wysokogórkim kraterze.

Gniewny mężczyzna, maszerujący przed nią, milczał od chwili opuszczenia jaskini. Teraz, kiedy słońce zaszło za góry i rzadkie, suche powietrze zaczęło się oziębiać, Amy umierała z ciekawości, jak daleko jeszcze do strumienia. Nie miała odwagi zapytać. A on nie zamierzał nic powiedzieć.

Zapadł zmierzch, zanim dotarli do Terlingua. Widok czystej, chłodnej wody przywołał uśmiech na twarzy Amy, ale nie kapitana. On dąsał się dalej i unikał jej, a kiedy powiedziała:

- Wiem, że będzie zimno, ale mam ochotę na kąpiel - wzruszył ramionami, jakby nie obchodziły go jej poczynania.

Cóż, wspaniale. Ona nie przejmuje się tym, że jego nie obchodzi. Do diabła z nim. Na pewno nie był to ktoś, z czyją opinią należałoby się liczyć. Wykrzywiła się za sztywno wyprostowanymi plecami Luiza, rozwinęła koc, przerzuciła go przez ramię i skierowała się ku zakrętowi strumienia.

Lodowata woda zapała jej dech w piersi. Podpłynęła do brzegu i wyszła, drżąc jak liść, kiedy nocny wietrzyk owiał jej mokre ciało.

Porwała koc i owinęła się nim. Stała tak przez chwilę, szczękając zębami i dygocząc na całym ciele. Wiedziała, że powinna się ubrać, ale była tak zmarznięta, że nie mogła się ruszyć.

Nagle ujrzała słaby odbłask światła padający z za zakrętu, za którym Luiz rozkładał obozowisko. Skostniała twarz Amy rozjaśnił uśmiech. Rozpalił ogień. Będzie mogła się rozgrzać, zanim włoży ubranie. Pospiesznie zebrała rzeczy i skierowała się w stronę światła.

Minęła zakręt, zobaczyła Luiza i przystanęła, żeby jej nie dostrzegł. Nagi do pasa, przycupnął przy ognisku, dorzucając opału. Odblask płomieni tańczył na jego nagiej skórze.

Luiz wyczuł jej obecność i podniósł się.

Amy uśmiechnęła się nieśmiało w nadziei, że zastała go w nieco lepszym humorze.

- Woda była lodowata - oznajmiła swobodnie, podchodząc bliżej.  
- Omal nie zamarzłam.

Natychmiast pojęła, że jeżeli w jego humorze zaszła jakakolwiek zmiana, to wyłącznie na gorsze. Zmierzył ją lodowatym i pogardliwym spojrzeniem, a w całym jego zachowaniu znać było tłumioną wściekłość.

Przyglądał się jej z rosnącą złością. Wyglądało na to, że Amy uwielbia go dręczyć. Pod kocem była, oczywiście, zupełnie naga. Najwidoczniej doskonale zdawała sobie sprawę z jego słabych punktów, z tego, że nie był w stanie znieść jej nagości bez pożądania, bez pragnienia, bez potrzeby kochania się z nią.

Niech ją piekło pochłonie!

Nie da jej tej przewagi. Potrafi opanować swoje uczucia - i pragnienia - jak każdy żywy człowiek. Jeśli o niego chodzi, Amy może tańczyć nago wokół ogniska. Nie tknie jej nawet.

Nie dziś.

Nigdy więcej.

## Rozdział 37

Spojrzenie Luiza spod zmrużonych powiek było o wiele chłodniejsze niż woda, która przyprawiła ją o drzenie. Na jego czole pojedyncza żyłka pulsowała gwałtownie, a cała ich sieć pokrywała jego smagłe ramiona jak gruby relief.

Zwisające wzdłuż ciała dłonie zacisnął w pięści i Amy z zaskoczeniem stwierdziła, że rzeczywiście miałby ochotę ją uderzyć. Instynktownie cofnęła się o kilka kroków.

- Pójdę nad strumień i ubiorę się - oznajmiła.

- Możesz zostać tam, gdzie jesteś - stwierdził obojętnie. - Odwróć się.

Okręcił się na pięcie i Amy, nie spuszczać z niego czujnego wzroku, pospiesznie założyła ubranie. Luiz mocno zacisnął powieki i gniewnie zgrzytnął zębami, wbijając krótkie paznokcie w skórę dłoni. Z trudem nakazał swemu ciału spokój.

Po długiej jak wieczność chwili Amy oznajmiła, że jest już ubrana. Luiz odetchnął i zwrócił się ku niej.

- Idę się wykąpać - powiedział szybko, nie patrząc na nią.

Lodowata woda koła jego napięte ciało. Pływał tam i z powrotem tak długo, aż zabrakło mu tchu, omdlały mięśnie, ale opuściło go rozszalałe gorąco.

Orzeźwiony i znów przytomny, ubrał się szybko i wrócił do obozowiska. Usiedli po obu stronach ogniska i w milczeniu zjedli kolację składającą się z fasoli, mięsa i chleba. A potem zasnęli obok siebie, udając, że nie dostrzegają się nawzajem.

Późnym porankiem następnego dnia, po przebyciu nie kończących się łąk i pól kaktusowych, dotarli wreszcie do pierwszych wzniesień Gór Santiago. Nie rozmawiali ze sobą od rana, a napięcie między nimi narastało.

Umysłny chłód Luiza wzbudził podobną reakcję Amy. Najwidoczniej pragnął tylko, by zeszła mu z oczu. Cóż, da mu do zrozumienia, że podziela jego uczucia.

Słońce było już wysoko i mocno prażyło, kiedy zaczęli przedzierać się przez skaliste podnóża gór. I wtedy dopiero przyszedł prawdziwe kłopoty. Luiz zwinnie wspinał się po nierównym terenie i nie zamierzał okazać jej ani litości, ani pomocy.

Amy nie prosiła o nic, usiłując jedynie dotrzymać mu kroku. Wiedziała, że Luiz tylko na to czeka. No to poczeka sobie, aż piekło

zamarznie. Przebrnie przez ten nieprzyjazny kraj na własnych nogach nawet, jeśli to miałyby ją zabić.

Udawała, że nie widzi, kiedy zatrzymywał się na występie powyżej i spokojnie oglądał się na nią. Zignorowała go, kiedy ułożył się na półce skalnej udając, że ucina sobie drzemkę. Nie dbała o wymowne ostrzeżenia, że zostawi ją, jeśli za nim nie nadaży.

Kiedy jednak poczuła, że w płucach brakuje jej tchu, a nogi stają się zbyt słabe, by pokonać choćby jeszcze jedno wzniesienie, krzyknęła za nim:

- Zostaję. Możesz iść beze mnie!

Osunęła się na ziemię, oparła o gładką skałę i przymknęła oczy. Usłyszała, jak biegnie ku niej, strącając po drodze drobne kamyki.

Mimo że miała opuszczone powieki, wyczuła doskonale, kiedy nad nią stanął. Była zdecydowana nie otwierać oczu, choć wiedziała, że jest zagniewany.

Rzeczywiście stał nad nią. Stopy w mokasynach rozstawił po obu stronach jej bioder, ręce opuścił wzdłuż ciała. Kiedy odchyliła głowę i otworzyła oczy, jej wzrok znalazł się dokładnie na wysokości jego podbrzusza.

Kucnął, a ona dalej gapiała się bezradnie. Otoczył ją zgiętymi i szeroko rozstawionymi kolanami, wprawiając ją w wyraźne zakłopotanie.

Odwróciła oczy z poczuciem winy, skrepowana tym bezczelnym eksponowaniem męskości. A kiedy wsparł ręce po obu stronach jej głowy, poczuła irytację na przelotny widok czarnych włosów pod jego pachami.

- Dusisz mnie, do cholery! Cofnij się! - krzyknęła wściekła i zażenowana.

- Dopiero wtedy, kiedy zgodzisz się wrócić na szlak.

- Nie zgodzę się na nic - odparła, wytrzymując jego spojrzenie.

- Możemy tak pozostać aż ustąpisz.

- Nie - odparła. - Nie sądzę.

- Tak - zapewnił ją. - Dokładnie tak.

- Nie sądzę - powtórzyła pewnym siebie tonem, wiedząc, że żaden człowiek nie wytrzyma długo w tej niewygodnej pozycji.

- Zapewniam cię, że tak - odpowiedział chłodno.

- Zobaczymy - stwierdziła przekornie.

- To ty zobaczysz - poprawił ją i pozostał w tej samej pozycji. Tak rozpoczęło się szalone współzawodnictwo, które trwało przez następną godzinę. Miała wielką ochotę potrząść oko, ale jej ręce spoczywały na udach, a ledwie cal nad nimi tkwiły twarde pośladki El Capitana. Nie odważyła się zaryzykować dotknięcia go, więc cierpiała w milczeniu.

El Capitan Luiz Quintano pozostał nieruchomy, jakby było mu bardzo wygodnie kucać w takiej pozycji, z szeroko rozstawionymi kolanami i ramionami wspartymi o skałę.

Wreszcie Amy skapitulowała.

- Jeżeli łaskawie zechcesz zejść ze mnie, spróbuję iść.

Wczesnym popołudniem dotarli do Przesmyku Persimmon, jednej z dwóch niewielkich szczyb w postrzępionym łańcuchu Gór Santiago. Luiz szedł przodem i wprowadził ich w szeroki wylot. Około stu metrów dalej zatrzymał się tak raptownie, że idąca z opuszczoną głową Amy wpadła na niego.

Poderwała się zaskoczona.

- Chcesz mnie przerazić na śmierć?

- Cicho bądź - położył palec na ustach.

- Co się dzieje?

- Nie ruszaj się - odparł.

Opadł na kolana, schylił się i przyłożył ucho do skalistego podłoża. Wreszcie wstał, ujął ją za łokieć i podprowadził do nierównej ściany kanionu. Serce Amy zamarło.

- Apacze? - szepnęła niespokojnie, drepcząc pospiesznie po nierównym podłożu z luźnego żwiru i większych kamyków.

- Apacz. Jest sam - odparł. - Słyszałem tylko jednego konia. Wygląda na to, że rozesłali zwiadowców i jeden z nich wpadł na nasz ślad.

Ukryli się za wysokim, wystającym załomem piaskowca. Luiz wepchnął Amy w wąską szparę pomiędzy nim a ścianą przesmyku. Ściągnął bagaż z pleców i rzucił go w ślad za nią. Wydobył winchester i odszedł na bok, ostrzegając towarzyszkę, żeby nie ważyła się wysunąć nawet koniuszka nosa.

Wdrapał się na skarpę piaskowca. Był teraz dobrze ukryty, a jednocześnie mógł obserwować wejście do kanionu. Wkrótce potem Amy usłyszała zbliżający się tętent końskich kopyt. Jeszcze głębiej



wcisnęła się w swą kryjówkę, skuliła ramiona, włożyła dłonie pomiędzy kolana i mocno zamknęła oczy.

Nagle Luiz zsunął się ze zbocza. Bez słowa chwycił ją za rękę i wyszarpnął z ukrycia, po czym sięgnął po bagaż.

- Widzieli nas? Nadchodzą? - zapytała szeptem.

- Nie ma żadnych Apaczów - odparł, podając jej winchester i grzebiąc w jukach w poszukiwaniu zwoju liny. - Koń. Dziki koń - prawie się uśmiechnął, dodając: - Jednak pojedziemy do Orilli. Chodź.

- Nie bądź śmieszny. Nie uda ci się schwytać dzikiego konia

- stwierdziła sceptycznie, podążając za nim.

- Uda mi się, jeśli tylko będziesz cicho.

- A nawet, jeśli ci się uda, to co z tego? - zapytała, zniżając głos.

- Jest przecież dziki, nie da się na nim jeździć.

Nie odpowiedział. Ominęli wysoki blok, za którym byli ukryci i zawrócili do głównego korytarza przesmyku. Luiz rozejrzał się i spostrzegł płaski kamień, dość duży, aby zmieścili się na nim oboje. Wziął Amy za ramię, popchnął w kierunku głazu, po czym podsadził ją na górę, o jakieś pięć stóp nad ziemią i sam wdrapał się za nią. Poleciał jej położyć się płasko na brzuchu.

Sam także wyciągnął się obok; po paru sekundach ukazał się koń. Była to gniada, dropiata klacz, wielka jak ogier i na oko tak samo silna. Obfita grzywa kaskadą spływała z jej smukłej szyi, długi ogon zamiatał kamienisty grunt.

Klacz zwęszyła ich i natychmiast przystanęła. Amy, która z daleka obserwowała lśniącego rumaka, zaledwie wierzyła własnym uszom, kiedy Luiz stulił wargi i cicho zagwizdał.

Zwierzę położyło uszy po sobie. Luiz gwizdnął jeszcze raz i zerknął na Amy, kiedy zaciekawiona klacz podreptała w ich kierunku. Zbliżyła się, nerwowo rzucając głową, a Luiz zaczął przemawiać do niej cichym, kuszącym głosem.

Zaintrygowana, ale przestraszona klacz zatrzymała się w bezpiecznej odległości od kamienia. Rozdęła chrapy i zarżała, potrząsając grzywą i drżąc z podniecenia na całym ciele.

Amy leżała całkiem nieruchomo, a Luiz nie przestawał przemawiać do płochliwego stworzenia cichym, zachęcającym głosem. Nerwowy koń stał wciąż w tym samym miejscu i nie chciał zrobić ani kroku dalej. Luiz nucił, uspokajał, kusił...

Klacz jednak nie chciała się ruszyć. Mocno zaparta kopytami w ziemię, parskała i prychała słuchając jego głosu. Wreszcie zwierzę postąpiło krok naprzód, tuląc uszy, z czujnie rozszerzonymi oczami.

- Doskonale, maleńka - pochwalił ją Luiz. - Chodź do mnie. Nic ci nie zrobię. No, chodź. Pozwól mi się popieścić. Jestem zupełnie nieszkodliwy, śliczna panienko.

Amy z podziwem obserwowała, jak płochliwa klacz podeszła do wzywającego ją człowieka, jakby rozumiała każde słowo. Wahala się wprawdzie, ale była wyraźnie zaintrygowana. Podskakując zbliżyła się, ale niepewnie przystanęła w odległości trzydziestu stóp.

Z szybkością, która zaskoczyła zarówno Amy, jak i klacz, Luiz poderwał się na nogi, zamachnął w powietrzu pętlą lassa i rzucił. Przerażona klacz odskoczyła na bok, wkładając łeb w sam środek pętli. Kiedy zrozumiała, że została pochwycona, oszalała ze strachu.

Luiz zeskoczył z kamienia i podszedł do zwierzęcia, zwijając luz lassa wokół łokcia. Koń stanął dęba i zarżał, przewracając oczami i drżąc na całym ciele.

Amy uklękła, obserwując, jak wprawny jeździec uspokaja przerażone zwierzę. W ciągu kilku minut Luiz zebrał cały luz lassa i znalazł się przy karku klaczy, obejmując ją ramieniem i poklepując. Z ustami przy jej stulonym uchu szeptał, że jest najpiękniejszym, najdumniejszym stworzeniem i że na pewno, na pewno jej nie skrzywdzi.

Bardzo potrzebowali wierzchowca, który mógłby zawieźć ich do domu, ale Amy mimowolnie pragnęła, aby klacz nie dała się zwieść pieścotliwym słowom i delikatnym dłoniom Luiza. Pragnęła, żeby pokazała El Capitanowi jego właściwe miejsce. Niech tylko spróbuje jej dosiąść! Znajdzie się na kamienistym podłożu, zanim zdąży opuścić się na jej grzbiet! A piękna, nieposkromiona klacz wybiegnie z kanionu, pozostawiając go za sobą. Nawet się nie obejrzy!

Amy wstrzymała oddech, kiedy Luiz uchwycił gęstą grzywę klaczy, przerzucił nogę przez jej grzbiet i usiadł.

Zwierzęciu wyraźnie się to nie spodobało. Bryknęło ostro, zarżało i zaczęło wyprawiać najdziksze harce.

Człowiek pozostał na grzbiecie, długimi nogami obejmując drgające boki, czepiając się rękami liny i grzywy, nie pozwalając, aby dama go zrzuciła.

- Nie - wyszeptała Amy bezgłośnie. - Nie... Nie pozwól, żeby on ci to zrobił. Czy nie widzisz, że gotów jest na wszystko, byle cię uczynić swoją własnością, byle nagiąć cię do swej woli...

Ujarzmianie klaczy zajęło Luizowi zaskakująco mało czasu. Po niecałych piętnastu minutach od chwili, gdy znalazł się na jej grzbiecie, zwierzę uspokoiło się. Luiz zatoczył wielki krąg, ucząc klacz, jak ma odpowiadać na pociągnięcia sznura i ucisk kolan, chwając i udowadniając, że naprawdę nie ma zamiaru jej skrzywdzić.

Wreszcie, kiedy uspokoiła się zupełnie - należała do niego. Podjechał do płaskiego kamienia, na którym czekała Amy. Lekkim dotknięciem kolana ustawił wierzchowca bokiem do głazu.

Siedział tak i spoglądał na Amy wyczekująco, z jedną ręką na sznurze, drugą spoczywającą na udzie. Młoda kobieta milczała.

- Pojedziesz ze mną, czy wolisz iść do Orilli na piechotę? - zapytał, a ton jego głosu nie pozostawił wątpliwości, że pozwoli jej iść pieszo, jeśli zacznie sprawiać kłopoty.

Niechętnie skinęła głową, nienawidząc Luiza za tę niezłomną pewność siebie, głupią klacz, że tak łatwo uległa jego urokowi, a sobie, że potrzebowała ich obojga.

- Mogę jechać - powiedziała.

- Ze mną?

- Z tobą.

Słowa ledwie zdążyły przejść jej przez gardło, a on już wyciągnął rękę. Posłuszna klacz spokojnie machała ogonem, kiedy sadzał Amy przed sobą i zakładał bagaż na plecy. Obrócił konia w miejscu i cała trójka powędrowała przez Przesmyk Persimmon.

Jeżeli Luiz spodziewał się ze strony Amy jakiegokolwiek komentarza na temat szybkości, z jaką schwytał i ujeździł dziką klacz, zawiódł się srodze. Milczała, powstrzymując się od wszelkich uwag.

Chłopięca, wrażliwa część duszy kapitana oczekiwała, że zaimponuje Amy. Mogłaby przynajmniej pochwalić jego doświadczenie i umiejętność obchodzenia się z końmi.

Jej całkowite milczenie zabolalo go. Powiedział sobie, że jak zwykle wychodzi z niej uparta dziwka. Como siempre. Jak zwykle. Nieważne. Jeżeli on sam zechce, i tak będzie należała do niego i to całkowicie. Jeżeli tylko zechce. A kiedy ją opuści, będzie go błagać na klęczkach, żeby został.

Cień uśmiechu przemknął po jego wargach, kiedy pomyślał z ufnością: okiełznam cię, pani Parnell, tak jak okiełznałem tę wspaniałą klacz.

Tym razem to Amy odczytała jego myśli.

- Nigdy - poinformowała go lodowatym tonem, aż podskoczył zaskoczony. - Mroźna zima ogarnie piekło w dniu, w którym mnie okiełznasz, El Capitan!

## Rozdział 38

Było źle, a potem jeszcze gorzej.

Nikt tak jak Amy Parnell nie potrafił rozgniewać El Capitana i dlatego bał się jej śmiertelnie. I był jeszcze bardziej wściekły.

Z kolei wściekłość El Capitana sprawiała, że Amy bała się jego. A to, że się go bała, doprowadzało ją do szału.

Tak więc klacz niosła na grzbiecie dwoje wściekłych i wystraszonych ludzi. Kierując się na północ, minęła wysokościenny kanion Przesmyku Persimmon, a żadne nie odezwało się ani słowem, choć myśli krążące po ich głowach były identyczne.

Luiz zacisnął szczęki, spojrzenie zwężonych oczu wbił w drogę przed sobą i poprzysiągł sobie, że już nigdy w życiu nie tknie tej złotowłosej wiedźmy.

Amy wystawiła podbródek, zacisnęła usta i obiecała sobie solennie, że już nigdy w życiu nie pozwoli się dotknąć temu czarnowłosemu bękartowi.

Jechali w milczeniu. O zachodzie słońca rozłożyli się na płaskim brzegu kotliny. Trzydzieści stóp niżej, na jej dnie, ze źródelka tryskała zimna, czysta woda. Ale Amy i Luiz nie ufali sobie wzajemnie - nie na tyle, żeby rozebrać się do kąpieli.

Spędzili bezsenną noc, żadne nie miało siły zmrużyć oka. Chmury co chwila zasnuwały księżyc, otulając mrokiem ich twarde łoża. Zerwał się wiatr i wył żałobnie wśród kamiennych iglic i szczelin kanionów, upiornie szeleszcząc w mroku gęstym chaparralem.

Następnego dnia przebyli spory odcinek drogi. Kiedy nad górami wstawał świt, pospiesznie ruszyli na szlak. W południe pozostawili za sobą Góry Santiago, zatrzymali się i posilili szybko nad małym dopływem Alamito Creek, zdrzemnęli w cieniu topoli i znowu podjęli wędrówkę.

Słońce zachodziło już, kiedy dotarli do wysokich, różowych palisad otaczających Fort Davis. W odległości pięćdziesięciu jardów Luiz zatrzymał klacz. Amy, spoglądając na ruiny świetnego niegdyś fortu, przemówiła po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin.

- Panie mój, co tu...

- Twoi kumple - dobiegł zza jej ramienia głos El Capitana. - Mescalerowie spalili fort, kiedy żołnierze opuścili go podczas wojny.

Amy potrząsnęła głową i westchnęła lekko.

- Myślałam, że kiedy tu dotrzemy, znajdziemy bezpieczne i wygodne schronienie.

Luiz lekko popędził konia.

- Może się uda - mruknął. - Wygląda na to, że przeoczyli jedną z kwater oficerskich - wskazał palcem na północny zachód.

Amy spojrzała w tamtym kierunku. U stóp potężnego głazu, raptownie wznoszącego się z płaskiego dna kanionu, pośród ruin fortu, stał budynek. Dach ganku był zawalony, okna wybite, ale dla niej był to teraz pałac.

Jedyny pokój zasypał gruz, stół rozbito w drzazgi, odłamki szkła zaścielały drewnianą podłogę, ale przy jednej ze ścian stały wąskie koje z materacami. Luiz rzucił na jedną z nich swój bagaż i szybko odgarnął śmieci. Oznajmił Amy, że gdyby chciała się wykąpać, to w pobliżu fortu wąskim kanionem płynie strumień znany z czystej wody.

Amy odparła wyniośle, że doskonale wie, co to jest Limpia wraz z jej kryształową wodą, ale nie ma ochoty na kąpiel. Jediną odpowiedzią było wzruszenie ramion w drodze do wyjścia.

- Dokąd idziesz? - zapytała.

- Do Limpii, umyć się.

- Robi się ciemno.

- Nie boję się ciemności - odparł, wychodząc na zewnątrz.

- Ja też nie - zapewniła go Amy i rzuciła się na jedną z pryczy, krzyżując ręce na piersi. Zmierzch zapadał powoli nad milczącym, upiornie cichym fortem. Z zewnątrz słyszała jedynie rżenie klaczy i miękkie słowa El Capitana. Potem zapanowało milczenie.

Siedziała samotnie w pogrążonej w mroku kwaterze, czując ogarniające ją napięcie i zdenerwowanie. Oczywiście, że nie bała się ciemności. Nigdy, nawet, kiedy była dzieckiem. Tu jednak, w tym odległym, samotnym forcie nie czuła się bezpieczna. Apacze już tutaj byli. A jeśli powrócą?

Amy siedziała na pryczy tak długo, jak była w stanie, starając się uspokoić. Przypomniła sobie, że oddalili się od Chisos i obozu Języka Węża o dziesiątki mil.

Wspomnienie ohydneho wodza sprawiło, że wyskoczyła z łóżka, przebiegła przez pokój i wypadła na zewnątrz. Gasnący dzień dawał jeszcze tyle światła, że mogła odnaleźć drogę do Limpii i Luiza. Chciała go zawołać, ale zrezygnowała. Gdyby Indianie krążyli w pobliżu, lepiej ich nie alarmować.

Dotarła do szemrzącego strumyka i ruszyła wzdłuż jego brzegu w kierunku, z którego dochodziły odgłosy rozchlapywanej wody. Przystanęła na chwilę, gdy zza zakrętu dobiegło parskanie konia. Zaskoczona, podeszła bliżej i usłyszała głęboki, męski śmiech.

Zagryzła dolną wargę i z zaciekawieniem, na paluszkach, okrążyła załom. Minęła topolę i stanęła jak wryta.

Nie wierzyła własnym oczom. Ostatnie promienie słońca padały na roześmianego mężczyznę i parsającego konia, zanurzonych w wodzie pośrodku strumienia i pluskających się jak bez troskie dzieci. Potrząsając głową przyglądała się, jak Luiz chwycił długi ogon klaczy, a ta wesoło popłynęła naprzód, holując go za sobą.

Nagle wypuścił ogon z ręki i zniknął pod wodą. Amy, uważnie obserwująca tę scenę, zaniepokoiła się, kiedy sekundy mijały, a on się nie wynurzał. Klacz też była niespokojna. Potrząsała głową, oglądała się za siebie, najwidoczniej zastanawiając się, co stało się z jej nowym towarzyszem zabaw.

Nagle Luiz wystrzelił z wody, tnąc ramionami fale tuż przed nosem zaskoczonej klaczy. Zanurkował, przepłynął pod jej brzuchem, a potem wypłynął z przodu. Zdezorientowana klacz parsknęła przez chwilę, dopóki nie zarzucił ramion na jej gładką, śliską szyję i nie wybuchnął śmiechem.

Dziwna para bawiła się tak przez kilka minut i Amy zorientowała się, że uśmiecha się do siebie na ich widok. Uśmiech znikł jednak, kiedy Luiz podpłynął do brzegu i wyszedł z wody.

Zupełnie nagi.

Posłuszna klacz wyszła ze strumienia w ślad za swoim panem i przez następne kilka minut stali oboje, koń i człowiek, w zapadającym zmierzchu, strząsając z lśniących ciał resztki wody.

Nagie ciało mężczyzny przykuwało uwagę Amy. Chciała odwrócić się i uciec, ale obawiała się, że szybkim ruchem może zwrócić na siebie jego uwagę. Była więc zmuszona stać i patrzeć, jak podnosi ramiona i odgarnia z twarzy kucze włosy.

A kiedy rozkazał klaczy przynieść sobie ubranie, Amy nie czekała, żeby zobaczyć, czy zwierzę usłucha. Najciszej jak mogła odwróciła się i usunęła, czekając, aż znajdzie się za załomem skały, żeby uciec. Pędząc przez gęstniejący mrok, dotarła do zrujnowanego fortu, minęła opuszczony plac apelowy i wpadła do kwatery oficerskiej.

Wskoczyła na pierwszą z brzegu pryczę, pospiesznie nakryła się kocem i zamknęła oczy.

Jej serce wciąż jeszcze mocno biło z wysiłku, gdy wszedł El Capitan. Zatrzymał się w progu. Amy przypuszczała, że patrzy na nią zastanawiając się, czy śpi. Kiedy się poruszył, w duchu westchnęła z ulgą. Szedł do swojej pryczy po drugiej stronie pokoju. Nie przyłapał jej.

Luiz podszedł do posłania, ale się nie położył. Wyjął colt z za pasa i położył go na ławce. Patrząc na Amy wycierał mokrą pierś skórzaną koszulą bez rękawów.

A potem cicho przemknął przez pokój, pochylił się i uderzył ją lekko w ramię. Poderwała się z szeroko otwartymi oczami, by znaleźć się nos w nos z El Capitanem. Stał nad nią jak zwierzę gotowe do skoku, a jego ciemne oczy lśniły w mroku.

- Nie lubię, kiedy mnie szpiegują - powiedział spokojnym, niskim głosem.

Przerażona, rzuciła nerwowo:

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Ależ wiesz - zaprzeczył uprzejmie i dodał: - Jeżeli tak bardzo chcesz mnie obejrzeć nagiego, po prostu ci to umożliwię... - sięgnął do rzemieni spodni.

- Nie! - wrzasnęła. - Tylko nie próbuj mi tu zdejmować spodni!

- Aha, to znaczy, że chcesz, żebym zdjął twoje spodnie, pani Parnell?

- Trzymaj się ode mnie z daleka - syknęła głośno.

- Z przyjemnością - odparował.

Kolejny dzień był równie długi jak poprzednie, spędzony w napiętym milczeniu. Zjechali z chłodnych Gór Davisa i minęli trawiaste łąki. O zachodzie słońca zatrzymali się na wysokim płaskowyżu i stanęli przed nagą pustynią, która rozciągała się w dole.

Uświadomili sobie, że będą w domu jutro o zachodzie słońca. Jeszcze jeden dzień wymuszonego przebywania razem i skończy się to raz na zawsze.

Śpieszyli się do Orilli, wiedzieli, że droga przez pustynię będzie ciężka, toteż jechali jeszcze długo po zapadnięciu nocy. Mozolnie, utrzymując jednostajny krok konia, zbliżali się do domu.

Następny dzień był dokładnie tak nieprzyjemny, jak się tego spodziewali. Przed południem pustynia przypominała już rozżarzony



piec, suche, nieruchome powietrze było tak gorące, że wydawało im się, iż oddychają ogniem. Luiz wiedział jednak, jak się zachować. Około dziesiątej znalazł kryjówkę, w której mogli przeczekać najgorętszą część dnia.

Kiedy ponownie ruszyli w drogę około drugiej, słońce wciąż paliło niemiłosiernie. Oni jednak zdecydowani byli dotrzeć do Orilli choćby nocą. Przejechali zaledwie milę, kiedy na północnym horyzoncie pojawiła się chmura pyłu. Luiz ściągnął wodze i zmrużył oczy.

Ze skłębionego pyłu wynurzył się wojskowy patrol. Żołnierze pędzili w ich kierunku, a ich postacie drżały w zawirowaniach powietrza jak gigantyczny miraż. Na czele, jako przywódca akcji ratunkowej, jechał jednooki Pedrico Valdez.

Okrzykom radości nie było końca. Zanim Amy doszła do siebie, siedziała już za młodym żołnierzem, dosiadającym stalowoszarego ogiera. Mocno uczepiona pasa jeźdźca obejrzała się i dostrzegła El Capitana na rudym wałachu. Dzielna kasztanka dreptała za nimi.

Amy szybko odwróciła głowę. Wreszcie uwolniła się od niego. Koniec długich godzin spędzonych na koniu w jego ramionach. Dość już bezsennych nocy, kiedy leżała koło niego w ciemności. Jej ucieczka w jakiś sposób udała się.

W ciągu kilku ostatnich dni kapitan dał jasno do zrozumienia, że już jej nie pożąda. Doskonale! Dziś będzie spała sama we własnym łóżku, z sześcioma poduszkami, pod jedwabną kapą i puchową kołdrą. I nie będzie musiała się martwić, czy drzwi są zaryglowane.

O zachodzie słońca Amy dostrzegła w oddali wysokie bramy Orilli na tle lawendowego nieba, a na wzgórzu migotały światła starej hacjendy w hiszpańskim stylu.

Magdalena, ocierając łzy spływające po jej brązowych policzkach, zamknęła Amy w żelaznym uścisku i szlochając dziękowała Wszechmogącemu, że jej dziecko wróciło do domu całe i zdrowe.

Po obfitym posiłku, którego ledwie tknęła, Amy bez dyskusji pozwoliła zapędzić się na górę do gorącej kąpieli. Ziewając przełknęła ostatni łyk kawy, przeciągnęła się, raz jeszcze uściskała Magdalenę i wyszła z jadalni.

Tuż po odejściu Amy do sieni wszedł odświeżony kąpielą El Capitan. Zobaczył światła w jadalni, usłyszał głosy i doszedł do wniosku, że Amy je kolację.

Była to okazja, żeby wziąć czyste ubranie nie zwracając się do niej o pozwolenie. Pożyczone białe spodnie pasowały na jego smukłe biodra i długie nogi, ale koszula była za mała. Na stopach miał podarte mokasyny, które nosił już od tygodnia.

Wbiegł na schody i cicho zakradł się do głównego apartamentu. Pokój był pusty, samotna lampa oświetlała przygotowane do spania łóżko. Luiz zdjął z nóg mokasyny i skierował się do łazienki.

Zdjął zbyt ciasną koszulę, położył ją i sięgnął po świeżą, kiedy jakiś ruch ściągnął jego uwagę. Obrócił się na pięcie.

Amy stała w przejściu między łazienką a garderobą. Złociste włosy miała spięte na czubku głowy, ciało owinięte ogromnym ręcznikiem. Niebieskie oczy płonęły.

Luiz miał już przeprosić za najście, powiedzieć, że gdyby wiedział o jej obecności w pokoju, nigdy nie wszedłby tutaj. Że bardzo przeprasza i że to się nigdy nie powtórzy.

Amy nie dała mu tej szansy. Wyrzuty sumienia szybko przerodziły się w gniew, kiedy, wyciągając fałszywe wnioski z jego obecności, krzyknęła:

- Gdybyś miał choć odrobinę przyzwoitości, nie przyszedłbyś tutaj!

Sprowokowany, odparł:

- Gdybyś miała choć odrobinę uczciwości, przyznałabyś, że chciałaś, żebym przyszedł.

## Rozdział 39

- Wynoś się, do diabła! - krzyknęła zapalczywie. - Nie chcę cię tutaj! Nigdy cię nie chciałam!

Lodowate, czarne oczy błysnęły drapieźnie, kiedy zbliżał się do niej.

- Kłamiesz, pani Parnell.

Amy cofnęła się, obronnym gestem przyciskając do siebie okrywający ją ręcznik.

- Nie kłamię! - cofnęła się z garderoby do wykładanej lustrami łazienki. - Wynoś się stąd, do cholery!

- Jeszcze nie teraz. Jeszcze nie.

Amy zorientowała się, że niechcący rozdrażniła go. Spróbowała innej taktyki:

- Przestraszyłeś mnie. Proszę, odejdz. Przecież tak naprawdę wcale mnie nie pragniesz...

- Masz rację - odparł, zręcznie zamykając ją w pułapce swych ramion. - Ale ty mnie pragniesz, pani Parnell.

Nie wierzyła własnym uszom. Czy on zupełnie zwariował?

- Co za potworne zarozumiałstwo - syknęła wściekle. - Czy naprawdę wierzysz, że każda kobieta...

- Nie każda kobieta - uciał. Wyciągnął dłoń i długimi, brązowymi palcami ujął brzeg okrywającego ją ręcznika. - Ale ty mnie pragniesz.

- Chciałbyś! - Wbiła paznokcie w natarczywą dłoń.

Luiz nie przejął się jej atakiem. Szarpnął ręcznik, obserwując, jak się rozchyła. Amy chwyciła go gorączkowo, ale on był szybszy.

Rozpostarł ręcznik, ujmując jej nagość w ramy białego materiału. Jego oczy błyszczały niebezpiecznie. Przyciągnął ją do siebie.

Amy uderzyła go najmocniej jak mogła z ramionami uwięzionymi wewnątrz ręcznika.

- Ach, pani Parnell - odezwał się miękkiem, uwodzicielskim głosem. - Myślisz, że walczysz ze mną, ale w istocie walczysz ze sobą.

Poczuł, jak jej długie paznokcie zostawiają krwawiący ślad na jego policzku, ale nie przestawał mówić tym samym, spokojnym tonem:

- Nie martw się, koteczku. Dostaniesz wszystko, czego pragniesz. Czego potrzebujesz.

- Nie chcę cię - wrzasnęła Amy. - Nie potrzebuję cię!

- Naprawdę tak uważasz?

- Tak.

Potrząsnął ciemnowłosą głową.

- Będiesz wyła z rozkoszy, pani Parnell.

Nie miała czasu na ostrzeżenia ani na zastanowienie się. Przyciągnął ją do siebie, pochylił głowę i objął wargami jej otwarte usta. Rozpoczął się długi, natarczywy pocałunek, a drzemiący ogień zmysłowości, wciąż płonący między nimi, zbudził się do życia. Pocałunek był przenikający, wściekły, zaborczy. Amy dzielnie walczyła z nagim pożądaniem, które nagle obudziło się w niej, ale gorące wargi Luiza i jego ruchliwy język wyssały z niej wszystkie siły do walki, i wreszcie znieruchomiała w jego ramionach.

Płomienny, brutalny pocałunek trwał, aż jej piersi nabrzmiały. Kamień Słoneczny pomiędzy nimi wgniatał się w jej jasną skórę.

Nie przerywając pocałunku, Luiz opuścił ręcznik tak, że otulał już tylko jej biodra. Amy nie walczyła z nim, choć miała już wolne ramiona, nie objęła go także. Ręce zwisały jej bezwładnie po bokach. Wreszcie wargi Luiza oderwały się od niej, choć pozostały w odległości zaledwie cala.

- Nie chcę... - odezwała się pogardliwie.

Zamknął jej usta kolejnym pocałunkiem. Chwycił ręcznik i przyciągnął jej biodra do swoich. Naciskając i zwalniając przytulał Amy do siebie, po czym cofnął się i odepchnął ją.

Całował ją łakomie; stojąc w wykładanej lustrami łazience wiódł Amy w erotyczny, rytmiczny taniec. Wyczuł, że spodobał jej się ten zwariowany wstęp i ciągnął go dalej, ale już bez ręcznika.

Wypuścił go z rąk na podłogę, wokół bosych stóp Amy. Objął dłońmi jej krągłe pośladki i, nie gubiąc rytmu, znów przyciągnął ją do siebie. Poprzez napiętą tkaninę białych spodni czuł jej słodkie gorąco i przytulił ją jeszcze mocniej, ocierając szorstki materiał o jej wrażliwe ciało.

A jednak, skoro tylko podniósł usta, Amy wymruczała:

- Nie... nie potrzebuję cię...

Puścił ją. Przesunął dłońmi po mokrych, szczupłych plecach i chwycił Amy pod pachy. W wyprostowanych ramionach trzymał ją przed sobą, zawieszoną bez tchu w powietrzu.

- Nie! - wygięła się do tyłu. Jej palce tańczyły niespokojnie na nagich ramionach Luiza, bosa stopy kulily się w okolicy jego kolan.

- Puść mnie... proszę - szepnęła miękko.

- Dobrze - odparł, przyciągając ją do siebie i muskając pocałunkiem jej nagi brzuch. - Dobrze, puszcze cię.

Wciąż trzymając swą ofiarę wysoko w powietrzu wyszedł z lustrzanej łazienki, wkroczył do sypialni i skierował się wprost do łóżka. Przyklęknął na jedno kolano i złożył Amy na kremowym jedwabiu.

Znów wziął w posiadanie jej usta, całując je agresywnie i głęboko. W tym samym czasie, nie przerywając pocałunku, ściągnął z łóżka pościel, puszysty wałek i wszystkie obrzeżone koronkami poduszki.

Podniósł głowę i spojrzał w oczy Amy, która jęknęła słabym głosem:

- Nie rób tego, kapitanie. Odejdź teraz.

- Za chwilę - odparł i dodał: - Zdejmij mi z szyi Kamień Słoneczny. Nie chcę cię zranić.

Amy nie wykonała najmniejszego gestu. Luiz pochylił się nad nią, lekko chwycił ostrymi, białymi zębami jej miękką dolną wargę i mruknął:

- Skoro tak, będziemy kochać się z tobą obaj, Pani Parnell, ja i Kamień Słoneczny.

Zaczął całować jej usta, szyję, ramiona, muskając ją długimi, czarnymi włosami, a złoty medalion zaczął zsuwać się po jej żebrach.

- Nie chcę - wymamrotała, usiłując się podnieść, ale jego kolano wgniatało ją w materac.

Obsypywał pocałunkami jej ramiona, okrążając po kolei każdą z pełnych, jędrnych piersi, wreszcie odnalazł wargami twardy sutek i zaczął go ssać.

Amy zamknęła oczy i powoli uniosła dłoń. Zanim jednak zdążyła dotknąć palcami ciemnych włosów Luiza, on powędrował dalej.

W dół.

Całował teraz jej płaski brzuch. Amy jęknęła, częściowo z rozkoszy, a częściowo dlatego, że ciężki Kamień Słoneczny zsunął się pomiędzy jej rozchylone uda.

Szokujące umiejscowienie medalionu nie było przypadkowe.

Dotarło to do niej, kiedy Luiz podniósł głowę, spojrzał jej w oczy i unióśł lśniący klejnot do ust. Następnie przesunął go na ciężkim łańcuchu, aż spoczął na pokrytych bliznami plecach.

Nie spuszczać czarnych źrenic z jej oczu, rzekł:

- Moje usta będą jeszcze przyjemniejsze.

- Nie pozwolę ci - zaprotestowała Amy, przeczuwając jego zamiar.

Musnął wargami jej biodro.

- Nie prosiłem o twoje pozwolenie - zauważył.

Chwycił ją za rękę i podniósł do pozycji siedzącej. Zsunął się z łóżka, klękając pomiędzy jej udami.

- Nie... Nigdy... Ja...

Patrzyła, jak opuścił głowę i zaczął ją umyślnie dręczyć. Dotknął wargami wewnętrznej strony lewego kolana, ucałował je i leniwie ciągnął pocałunki aż do ciepłego wnętrza jej uda. Podniósł głowę i rozkazał:

- Pocałuj mnie.

Wiedział, że ma nad nią władzę, kiedy Amy skwapliwie ujęła w dłonie jego smagłą twarz i pocałowała go namiętnie, gorąco, mocno wciskając mu w usta jedwabisty język. Oderwał się od niej, przysiadł znowu na piętach i musnął ustami jej prawe kolano. I tak jak poprzednio, powoli, drażniąc muskał, lizał i całował wnętrze jej uda.

Plecy Amy wygięły się w łuk, oddech stał się szybki i urywany. Piersi nabrzmiały do bólu, brzuch przebiegały mimowolne skurcze.

Cierpiała tak, jak tylko on potrafił to sprawić. Przeszywał ją ból, którego nie знаła, dopóki nie nauczył jej, co to znaczy nieokiełznana żądza. Pragnęła, by te silne wargi ukołysły jej ból i pragnienie.

Luiz nie zaprzestawał wyrafinowanej pieśczoćy. Wreszcie wyczuł, że Amy nie wytrzyma dłużej, podniósł głowę i spojrzał w jej zamglone niebieskie oczy.

- Proszę... - szepnęła. - Całuj mnie. Całuj mnie.

- Tak, tak... - westchnęła, wplatając palce w ciemne włosy. Gorączkowo przyciągnęła go do siebie, wyrzucając biodra do przodu i czując nieomylnie oznaki zbliżającej się fali szaleństwa.

Dłonie Luiza znalazły się pod nią, ujmując jej pośladki. Uniósł ją, głębiej zanurzając w niej smagłą twarz. Napawał się nią.

I wtedy przyszło spełnienie tak głębokie, tak przerażająco intensywne, że łzy histerycznej rozkoszy spływały jej po policzkach. Amy zaczęła krzyczeć, niepompna, że może ją usłyszeć ktoś jeszcze.

Nadeszła wreszcie ostatnia eksplozja żaru. Krzyknęła i zadygotała od jej siły. Luiz nie oderwał od niej ust tak długo, aż konwulsyjnie zaciśnięte w jego włosach dłonie otworzyły się.

Dopiero wtedy uniósł głowę, musnął wargami jej nagi brzuch i wstał delikatnie układając ją na materacu.

Przesunął złoty medalion z powrotem na pierś. Obserwował ją.

Leżała bezwładna i oszołomiona, z półprzymkniętymi powiekami i włosami rozrzuconymi wokół głowy jak jedwabisty wachlarz. Zgięła smukłe ramię, otwarta dłoń spoczywała obok jej pełnej słodyczy twarzy.

Uśmiechnął się. Była zupełnie nasycona. Zupełnie uległa. Zupełnie poskromiona. Mógł teraz odejść i zostawić ją, żeby przemyślała wszystko i przyznała wreszcie, że miał rację.

Pragnęła go. Tak jak zawsze. Mógł sprawić, że będzie go pragnęła, kiedy tylko zechce.

Tak, zostawi ją zanim się zorientuje, jak bardzo jest mu potrzebna, jak bardzo jej pożąda.

- Idę - oznajmił niedbale i cofnął się powoli, żeby jej uświadomić, jak jest zimny i spokojny.

- Nie teraz - odparła Amy i jej senność ulotniła się nagle. - Jeszcze nie teraz.

Podbiegła do niego.

- Nie możesz teraz odejść. Nie teraz, kiedy tak bardzo mnie pragniesz, kapitanie.

- Pragnę cię? - Luiz potrząsnął głową i obojętnie wzruszył ramionami. Uśmiechając się z butą dodał: - Nie, kochanie. Mylisz się. Wcale cię nie pragnę.

- Kłamiesz, kapitanie - uśmiech Amy był równie butny jak uśmiech Luiza. - Pragniesz mnie. Potrzebujesz mnie.

- Nie - zaprzeczył, z trudem przełykając ślinę. - Ja... Słowa uwięzły mu w gardle, gdy Amy, nie zwracając uwagi na jego zaprzeczenia, okrywała pocałunkami smagłą skórę jego piersi.

Przesuwając palcami wzdłuż uwięzionego świadectwa jego pożądania, spojrzała wprost w oczy Luiza:

- A więc co to jest, kapitanie? Zadrzał mimo woli.

- Nie... Dla...

- Dla ciebie?

Pociągnęła go w stronę łóżka, nie wypuszczając go z ramion, nie odrywając ust od jego nagiej piersi. Kiedy wreszcie jego nogi dotknęły krawędzi łoża, Amy popchnęła go lekko.

Luiz upadł na plecy, a ona błyskawicznie usiadła na nim.

- Będiesz wył z rozkoszy, kapitanie.

Pochyliła się, całując jego usta, podbródek, szyję, a Luiz, choć bardzo się starał, nie miał siły jej odepchnąć.

- Zdejmij medalion, kapitanie, nie chcę cię zranić - rozkazała. Luiz potrząsnął głową.

- Nie? - upewniła się. - Więc oboje będziemy kochać się z tobą, kapitanie: ja i Kamień Słoneczny.

- Miałaś już swoją porcję zabawy, pani Parnell. Daj sobie spokój.

- Ale ty jeszcze nie miałaś swojej, kapitanie.

Ujęła w dłoń złoty dysk i łańcuch. Przerzuciła je przez jego głowę i szybko zawiesiła sobie na szyi. Błyszczący klejnot zawisł kusząco pomiędzy jej pełnymi, nagimi piersiami.

Spadł na pierś Luiza, kiedy pochyliła się nad nim, wodząc ustami i językiem po jego żebrach i brzuchu. Westchnął raptownie, kiedy jej drobne dłonie sięgnęły do zapięcia spodni.

Zręcznie zsunęła materiał z jego bioder.

Usadowiona na jego muskularnych udach pochyliła się tak, aby zwisający z jej szyi złoty dysk dotykał i przesuwiał się po jego ciele.

- Nie... - wymamrotał, ale Amy nie słuchała. Jej język igrał po płaskim brzuchu Luiza. Ujęła w dłoń Kamień Słoneczny i umiejętnie gładziła nim rozpulsowane ciało.

Oddech Luiza zaczął przypominać szloch, przeplatany cichymi jękami. Amy uniosła Kamień Słoneczny, ucałowała go i przerzuciła sobie na plecy.

- Moje usta będą jeszcze przyjemniejsze - zapowiedziała.

- Nie... Nigdy przedtem... Nie pozwolę ci.

Amy zsunęła się z łóżka. Luiz usiadł natychmiast, potrząsając głową.

- Nie pytałam ciebie o pozwolenie - zauważyła - Patrz na mnie, kapitanie. Patrz, kiedy cię będę kochała w ten sposób.

- Nie, do cholery...

Ale patrzył, jak jej złocista główka pochyliła się, rozpoczynając słodką torturę.

Uniosła głowę i rozkazała:



- Pocałuj mnie.

Luiz jęknął bezradnie, ujął w dłonie jej twarz i zaczął ją całować gorąco, namiętnie. Amy oderwała się od jego ust i przyklękła znowu.

Wkrótce jego oddech stał się chrapliwy, a mięśnie ud zaczęły drgać konwulsyjnie.

- Proszę... całuj mnie... - wychrypiał.

Naga pierś Luiza drgała, serce waliło jak oszalałe, zaciśnięte ręce zaczęły drżeć, kiedy obdarzała go najdelikatniejszymi pocałunkami. Poczowała własną moc, górującą nad nim, gdy wyszeptała:

- Powiedz mi prawdę, kapitanie. Czy rzeczywiście mnie pragniesz?

- Jezu, tak! - jęknął desperacko. - Amy... Amy...

Ponowiła pieszczotę powoli, miłośniczo. Luiz, patrząc, czuł, jak żar ogarniający jego ciało wymyka się spod kontroli.

- Tak, tak... - westchnął, wplatając palce w jasne, jedwabiste włosy. Przyciągnął ją gorączkowo, szerzej rozsuwając uda, unosząc w górę spazmatycznie drgające biodra i czując jak nieuchronnie zbliża się spełnienie.

Amy czuła to także i poprowadziła go jeszcze głębiej, obiecując sobie, że ofiaruje mu ekstazę, jakiej dotąd nie zaznał.

Luiz poczuł, że już tylko sekundy dzielą go od eksplozji i usiłował odepchnąć Amy. Daremnie. Pozostała z nim aż do końca i nie miała najmniejszej wątpliwości, że nigdy przedtem nie przeżył nic podobnego.

Bóg Słońce zadrżał.

## Rozdział 40

Tak trwała ich gorąca, namiętna przygoda. Przystojny kapitan o kamiennej twarzy przypominał swej jasnowłosej piękności, że niezależnie od płomienia, jaki pożerał ich zmysły, jak słodkie i szaleńcze przeżywali chwile, łączy ich jedynie bliskość fizyczna. Nigdy nic się nie dotrze do jego serca.

Amy była równie nieugięta. Nieustraszenie spoglądała w hipnotyczne, czarne oczy i twierdziła, że choć posiadał jej ciało, nigdy nie dotrze do duszy.

A mimo to cierpiała jak nigdy dotąd. Własna osoba, bardziej jeszcze niż ten twardy, nieprzystępny mężczyzna, napawała ją odrazą. Z poczuciem winy przeżywała chwile rozkoszy w jego ramionach. Gorące, oszalamiające noce niewiele miały wspólnego z młodzieńczą miłością, którą niegdyś przeżyli.

Wówczas oboje byli niewinni i razem uczyli się siebie. Byli niezręczni, niezgrabni i niedoświadczeni w sztuce dawania i otrzymywania rozkoszy.

Ten mężczyzna o stalowych rysach był inny. El Capitan, wyjątkowo zręczny kochanek, potrafił doprowadzić ją do ekstazy na przeróżne sposoby. Nakłaniał ją do robienia rzeczy, których nigdy nie zdarzyło jej się robić z mężem. Przekonała się, nie bez poczucia winy i radości zarazem, że nie czuje zażenowania ani wstrętu. Chłoneła najbardziej niewiarygodne rozkosze każdego najbardziej szokującego wyznania cielesnego głodu, któremu oboje folgowali tak chętnie.

A mimo to powtarzała sobie bez przerwy, jak bardzo nienawidzi okrutnego kapitana. Nienawidzi dzielić z nim łóżko, gdyż to, co tam robili, było niewybaczalnym grzechem. Nienawidzi lubieżnicy, jaką z niej uczynił. Nienawidzi parnych nocy, podczas których tak bezwstydnie się zachowywała.

Istniało jednak coś, czego Amy nienawidziła bardziej niż nocy z Luizem. Były to noce bez niego. El Capitan był mistrzem w zadawaniu rozkoszy i bólu, a przy tym potrafił zawsze utrzymać ją w niepewności. Wyczuwał, kiedy potrzebowała go najbardziej, jakby potrafił zajrzeć w głąb jej storturowanej duszy.

I właśnie wtedy odsuwał się od niej.

W długie, gorące, bezsenne noce, kiedy pragnęła go i potrzebowała najbardziej, Luiz nie przychodził do jej pokoju.

Wiedząc, że Amy wygląda i czeka, przechadzał się po hacjendzie z cygarem w ustach.

W inne noce przychodził do sypialni. Rozbierał się i nago zasypiał u jej boku, przeciągając się i wzdychając tak, by rozbudzić jej pragnienie.

I nie dotknąć jej.

Czuł, jak bardzo cierpi, płonie z tęsknoty za jego ciałem. A kiedy spodziewała się tego najmniej, kiedy gorączka w jej krwi ostygła nieco, władczo chwycił ją w ramiona i raz jeszcze przenosił do miłosnego raj.

Jednej z takich właśnie nocy El Capitan wstał nagle z łóżka i rozkazał:

- Zostań tu, gdzie jesteś. Zaraz wracam.

Wyszedł z pokoju, a kiedy powrócił, niósł przed sobą stos dużych pudeł. Postawił go przed Amy, która, oparta o kolumnę, spojrzała na niego pytająco.

- Dla ciebie - oznajmił, kładąc jedno z pudełek na jej nagich kolanach.

Ciekawska jak dziecko Amy uniosła pokrywę, rozsunęła fałdy bibułki i wyjęła najpiękniejszą wieczorową suknię.

Uszyta była z migotliwej tafty koloru szampana, obcisły gorset miał głęboki dekolt, obramowany równymi fałdami. Linie talii lekko podniesiono - to najmodniejszy fason - a spódnica, nieco węższa niż zwykle, zebrana była z tyłu.

Amy nie potrafiła ukryć radości. Jej błękitne oczy lśniły podziwem.

- Nigdy nie widziałam nic równie pięknego - wyszeptała

- bardziej do siebie niż do El Capitana. - To było... nie potrafię sobie przypomnieć ostatniej nowej sukni...

- Wstań i przymierz - zachęcił ją. Amy natychmiast wyskoczyła z łóżka.

- Chyba będę potrzebować gorsetu, koszuli i halki i...

- Dziś wieczorem nie musisz mieć pod nią zupełnie nic. Wziął ją za ramię, przełożył suknię przez jej głowę i opuścił w dół.

Zręcznie zapiał obcisły stanik i rozkazał:

- Obróć się.

Amy obróciła się posłusznie, z zachwytem opuszczając ręce na taftową spódnice.

- Pasuje doskonale - wyszeptała z płonącymi radością oczami.

- Jakby szyto ją specjalnie dla mnie.

- Uszyto ją specjalnie dla ciebie - oznajmił.

- Tak? Ale skąd...?

- Pewnego popołudnia w Sundown spotkałem twoją przyjaciółkę, Dianę Clayton. Była ładnie ubrana, tak, jak chciałbym widzieć ciebie. Podała mi nazwisko swego krawca w San Antonio. Wysłałem jednego z moich ludzi z wymiarami i zamówieniem na tuzin sukienek.

- Więc ty i Diana w hotelu jedynie... - palnęła Amy, zapominając na chwilę, na czym naprawdę polegają ich wzajemne stosunki.

- A cóż by innego? - zapytał i najwyraźniej dostrzegła w jego oczach cień zadowolenia, kiedy domyślił się, że jest zazdrosna.

- A skąd wiesz, że byłem w hotelu z panną Clayton?

- Ach... nieważne. Czy mogę zobaczyć inne? - zapytała, odsuwając się od niego i podnosząc pokrywkę drugiego pudełka.

Wspaniałe brzoskwiniowe jedwab, śmiała pozioma linia dekoltu. Za nią suknia z jasnoblękitnej lamy, z szerokimi rękawami i wycięciem w kształcie litery „v”, obrzeżonym pajęczą koronką. Kreacja z żółtej satyny, bez dekoltu, z długim rękawem i obcisłym gorsetem, za to z tyłu z wycięciem do pasa.

Luiz stał, wsparty muskularnym ramieniem o kolumnienkę. Ze zmrużonymi powiekami przyglądał się, jak Amy z podnieceniem oglądała nowe sukienki. Przyszło mu do głowy, że jest tak rozbrajająco, nieskończenie kobieca, iż nawet nie próbuje ukryć radości.

Bosa, w taftowej sukni barwy szampana, z rozczochranymi jasnymi włosami wyglądała jak dziecko. Jak rozgorączkowana dziewczynka, która właśnie przyszła zobaczyć, co święty Mikołaj pozostawił dla niej pod choinką.

Serce ścisnęło mu się boleśnie. Pamiętał aż za dobrze czasy, kiedy była podlotkiem. Dziewuszkę z mysimi ogonkami, zadającą setki pytań, ciekawą jego zdania na każdy temat...

Amy chwyciła żółtą satynę.

- Chyba teraz przymierzę tę, co o tym sądzisz? Podniosła na niego pytający wzrok i przez sekundę był znów

Tonatiuhem, dwunastoletnim chłopcem uwielbianym przez jedenastoletnią, jasnowłosą dziewczynkę. Mięsień drgnął na jego policzku. Potrząsnął głową.

Wzrok jego padł na jej dekolt, piersi koloru kości słoniowej w wycięciu sukni. Nie była dzieckiem, on także nie. Wyjął z jej dłoni suknię i rzucił na bok.

- Przymierzysz je jutro - powiedział, podchodząc. Dotknął dłonią jej nagiego ramienia, przesunął niżej i objął pełną pierś. Nagle uwolnił ją i szybko zdjął spodnie. Nagi, pochylił się nad nią, ucałował w usta i szepnął:

- Chodź.

- Musisz mnie rozpiąć - odparła.

- Nie - uśmiechnął się. - Zostań w sukni.

- Pognieciemy ją!

Usiadł na łóżku, przyciągnął Amy do siebie, uniósł przód szerokiej spódnicy aż do pasa i posadził ją sobie na kolanach. Tafta szeleściła, kiedy w nią wchodził. Amy widząc, że gniotą jej piękną nową suknię, zmarszczyła brwi.

Nie na długo.

Po kilku minutach miękki szelest tafty zmieszał się z cichymi jękami rozkoszy i Amy doszła do wniosku, że kochanie się w drogiej wieczorowej sukni jest wspaniałą, dekadencją zabawą.

Najdziwniejszy ze związków ciągnął się przez całe gorące teksańskie lato. Każdego długiego dnia - w obecności wojska i służby - zachowywali się jak obcy sobie ludzie. Każdego wieczora przebierali się do kolacji; Amy w jedną z nowych sukien, El Capitan w mundur. Siedzieli naprzeciw siebie po dwóch końcach długiego stołu, coraz bardziej napięci i nerwowi.

A kiedy przychodziła duszna noc, wybuchali żarem namiętności, pewni i przekonani o tym, że wraz z chętnym ciałem nie ofiarują sobie serca.

Luiiz zachowywał się tak, jakby Amy nic dla niego nie znaczyła. Jednak coraz bardziej zależało mu na niej. A im bardziej mu zależało, tym chłodniej się do niej odnosił. Jego zachowanie spotykało się zresztą z podobnie lodowatą reakcją Amy.

Jedynie w jego łóżku reagowała inaczej. Po każdej niezapomnianej nocy była pewna, że nim pogardza.

Aż do pewnego upalnego, sierpniowego dnia, kiedy na żwirowym podjeździe Orilli pojawił się samotny, blady jeździec.

## Rozdział 41

Była to najgorętsza pora dnia.

Stara hacjenda tonęła w ciszy. Służba spała w swych pomieszczeniach. Czas sjesty w Orilli. Jedyłą osobą nie pogrążoną we śnie była Amy.

Upał nie pozwalał jej zasnąć. Pomimo zamkniętych okiennic i zasuniętych stor w zacienionej sypialni panował dławiący upał. Nie przeszkadzało jej to przez pierwszą część sjesty, którą wraz z El Capitanem spędzili na kochaniu się.

Teraz stała na kamiennym ganku, podlewając więdnące krzewy oleandra.

Ujrzała chmurę pyłu na horyzoncie i odstawiła konewkę. Zaciekawiona, zeszła z ganku i uniosła dłoń, żeby osłonić oczy przed blaskiem słońca, gdy obserwowała zbliżającego się do hacjendy samotnego jeźdźca.

Wyjechał wprost z rozżarzonej pustyni, zatrzymał konia na skraju podwórza, zsiadł i przez dłuższą chwilę stał, przyglądając się hacjendzie w zamyśleniu. A potem ściągnął z głowy kapelusz i dłoń Amy bezwiednie powędrowała do serca.

Wysoki, smukły mężczyzna szedł ku niej. Słońce rozświetlało jego jasne włosy, uśmiech na twarzy był jak zwykle sztuczny.

- Baron - wyszeptała.

Samolubny, podły brat, którego nie widziała od lat, zbliżał się teraz alejką, a jej jedyna myśl skierowana była ku Luizowi Quintano, śpiącemu w sypialni na górze. Co będzie, jeśli się obudzi? Co się stanie, kiedy Baron dowie się o jego obecności?

- Baron - wyszeptała, odzyskując mowę. - Nie wierzę.

Wyszła mu naprzeciw, żeby go powitać, ale jej umysł pracował gorączkowo.

- Powinieneś był nas uprzedzić - powiedziała.

Baron wszedł na ganek. Wyglądał staro, jak na swoje czterdzieści jeden lat. Przystojna niegdyś twarz była nalana i blada, bystre oczy otepiały z pijaństwa i rozpusty. Znoszone ubranie, pomięte i brudne, było zbyt duże na wychudzone ciało tego pedantycznego niegdyś człowieka.

Jednak uśmiech, obliczony na podbicie najzimniejszych nawet serc, był na miejscu, jak zawsze promienny.

- Cieszysz się z mego widoku, co, siostrzyczko? - wyciągnął rękę, ale Amy odsunęła się na bok.

- Musisz być zmęczony, Baronie - powiedziała gestykulując nerwowo. - Siądź tu, w cieniu, a ja przyniosę ci coś zimnego do picia.

Baron uniósł w górę jasną brew.

- Po co mam zostawać w tym upale, kiedy mogę wejść do środka, gdzie jest chłodno - podszedł do niej. - Hej, chyba pójdę na górę i wezmę kąpiel.

- Czekaj! - zawołała Amy, zastawiając mu drogę. - Ja... czy nie moglibyśmy przez chwilę porozmawiać i dopiero potem...

- A to co znowu? - uśmiechnął się jeszcze szerzej i potrząsnął głową. - Nigdy nie miałaś mi zbyt wiele do powiedzenia. Skąd ta siostrzana serdeczność?

Wyciągnął dłoń i dotknął jasnego loku, spoczywającego na ramieniu Amy.

- Hej, Amy, czyżbyś znalazła sobie drugiego ognistego ogiera, żeby grzał cię w łóżku, podczas gdy biedny Doug wraz z Maksymilianem bawi się w wojnę w Meksyku?

- Nie. Skądże. Nie bądź...

- Założę się, że właśnie o to chodzi - przerwał. - Na pewno masz tam jakiegoś Juana lub Carlosa. Nadal puszczasz się z vaqueros?

- Przestań, Baron! Nie mów do mnie w ten sposób!

- Idę do środka - oznajmił niedbale.

Przerażona Amy zakręciła się w miejscu i wbiegła za nim, usiłując uporządkować myśli.

Kiedy jednak Baron zatrzymał się u wejścia i nie zrobił już ani kroku dalej, Amy spojrzała najpierw na niego, a potem na to, co go zatrzymało.

U szczytu schodów stał obnażony do pasa Luiz Quintano. W dłoni trzymał colt kaliber 44. Na widok nienawiści w jego ciemnych oczach Amy krzyknęła instynktownie:

- Boże drogi, nie! Luiz, to mój brat!

Wstrzymując oddech patrzyła, jak smagłe ramię wolno opada. W tej samej chwili rozległ się strzał i na ciemnej piersi Luiza rozkwitła czerwona plama krwi. Amy wydała okrzyk przerażenia, ale zanim zdążyła się ruszyć, padł drugi strzał.

Jak we śnie obejrzała się, by zobaczyć osuwającego się na podłogę Barona Sullivana z rewolwerem w dłoni.

Magdalena, z pełną nienawiści twarzą, powoli wystąpiła naprzód, w zaciśniętych palcach wciąż trzymając dymiącą broń. Amy stała jak wryta, a meksykańska służąca, która w życiu nie skrzywdziła nawet muchy, szła w stronę umierającego mężczyzny.

Jego niebieskie oczy zamglily się bólem i zaskoczeniem.

- Magdalena, kochanie... Dlaczego...? - wyszeptał Baron, przyciskając ręce do brzucha.

- Kochałam cię kiedyś całym sercem - odparła. - Potem zabiłeś moje maleństwo, moją Rosę. Teraz ja zabijam ciebie.

Powoli uniosła dłoń.

- Nie!

Pedrico szarpnął drzwi, wbiegł do środka i wyrwał pistolet z dłoni Magdaleny, która ze szlochom osunęła się w jego ramiona.

Przeżrana Amy spojrzała na konającego Barona. Patrzyła, jak jej brat wydawał ostatnie tchnienie. Nie podeszła do niego. Nie wybuchnęła płaczem. Poczowała jedynie przelotny cień smutku.

- Luiz - wrzasnęła przeraźliwie i wbiegła na schody.

Z czołem ściągniętym troską, osłabła ze zmęczenia, Amy Sullivan Parnell siedziała przy łóżu kapitana Luiza Quintano, nie dopuszczając doń nikogo innego.

Od tragedii minęły trzy dni.

W godzinę po strzelaninie doktor Gonzales przyjechał z Sundown, żeby wydobyć kulę z piersi Luiza. Przez następne czterdzieści osiem godzin ważyły się losy rannego. Wreszcie dziś, o poranku, kiedy słońce wstało, zapowiadając kolejny upalny dzień, czarne oczy Luiza otworzyły się i chory poprosił o wodę.

Słońce chyliło się ku zachodowi, a Amy siedziała w półmroku, studiując smagłą twarz spoczywającą na kremowych poduszkach. Wysokie kości policzkowe zdawały się bardziej wystające, jakby już stracił na wadze.

Amy pochyliła się, odkrywając zabandażowaną pierś chorego. Zsunęła kremowe prześcieradło aż do pasa Luiza. Miętko położyła dłoń na nagim brzuchu. Jeżeli nie zacznie przyjmować pokarmu, straci resztki sił.

Smutno potrząsnęła głową. Nakryła go z powrotem i na paluszkach wyszła z pokoju. Zbiegła po schodach, zapominając o własnym zmęczeniu.

W kuchni natknęła się na Magdalene.



Meksykańska służąca siedziała przy stole ze złożonymi dłońmi. Na widok wbiegającej Amy uniosła siwiejącą głowę. Po raz pierwszy od katastrofy obie kobiety znalazły się sam na sam. Łzy pojawiły się w oczach Magdaleny i spłynęły po jej obfitych policzkach.

- Zabiłam twojego brata - odezwała się, wstając. - Odejdę z Orilli. Wyjadę jutro.

- To twój dom, chcę, żebyś została - odparła Amy szczerze. Rozłożyła szeroko zmęczone ramiona i podeszła bliżej, żeby pocieszyć starą przyjaciółkę.

- Czy kiedykolwiek mi wybaczysz? - szlochała Magdalena.

- Nie ma nic do wybaczenia - pocieszała ją Amy. - Zapomnij o tym.

- Dios, jesteś dobra - szepnęła Magdalena z wdzięcznością i odsunęła się, żeby otrzeć oczy fartuchem.

- Nieprawda - Amy przełknęła własne łzy. - Potrzebuję twojej pomocy. El Capitan musi coś zjeść i to jak najszybciej, bo inaczej...

- Przygotowałam już dla niego mocny rosół z wołowiny. Grzeje się na piecu.

- Mam zamiar go obudzić i nakarmić, choćby siłą - dokończyła Amy.

Magdalena skinęła głową.

- Doktor Gonzales powiedział, że Luiz ma szczęście. Kula utkwiała tak blisko serca. Będzie dobrze, prawda? - zapytała.

- Nie wiem. Martwię się, Mag. Dziś po południu doktor stwierdził, że Luiz nie przychodzi do siebie tak szybko, jak powinien. Jego organizm nie walczy. Jakby mu nie zależało na życiu.

- Zrób tak, żeby zaczęło mu zależeć - odparła Magdalena, pospiesznie nalewając do garnuszka parujący bulion.

Tego samego wieczoru Amy zmusiła Luiza do przełknięcia kilku łyżek pożywnego bulionu. Ten ciepły, ludzki odruch wniósł w ich wzajemne stosunki nowe wartości.

Właśnie podczas rekonwalescencji Luiza gwałtowność ustąpiła miejsca łagodności. Żądzę zastąpiła miłość. Zemstę - żal.

Przez długie dwa tygodnie Amy oddalała się od niego jedynie na krótkie chwile. Opiekowała się nim, nie dopuszczając do pomocy ani Pedrica, ani Magdaleny. Karmiła go, kąpała, goliła, zmieniała opatrunki. Była łagodna, cierpliwa i pogodna.

Luiz był zresztą wzorowym pacjentem. Martwił się o jej zdrowie. Usiłował ją namówić do odpoczynku. Dziękował za każdą, najdrobniejszą nawet przysługę.

Pewnego popołudnia Amy ujrzała ból w jego oczach. Nigdy się nie skarżył. A ona nie mogła znieść jego cierpienia. Doktor zostawił laudanum, ale nie mogła przekonać Luiza, żeby je zażył. Dodała zatem kilka kropli do gorącej herbaty.

Po kilku minutach zasnął i przespał całe gorące, długie popołudnie. Amy, usadowiona w fotelu przy łóżku, przyglądała mu się jak matka czuwająca nad jedynym dzieckiem.

Poczuła nagle ucisk w piersi. Był piękny, taki piękny. Zwróconą ku niej twarz szpeciła jedynie długa blizna na policzku. Wyglądał jak niewinny chłopiec. Jak ten niewinny chłopiec, którego przed laty uwielbiała.

Poczuła nagłą potrzebę dotknięcia go. Zsunęła się z fotela i uklękła obok łóżka. Ostrożnie zdjęła z jego piersi kremowe prześcieradło i delikatnie, żeby nie urazić zabandażowanej rany, objęła go, kładąc policzek na obandażowanym ramieniu.

Z lekkim westchnieniem położyła dłonie na jego nagich żebrach, przymknęła oczy i szepnęła:

- Mój kochany, tak mi przykro, tak bardzo przykro. Wszystko, co ci się przytrafiło, jest moją winą.

Jej wargi, przytulone do smagłej, gładkiej skóry wyszeptały bezgłośnie jego imię i powtórzyły je kilkakrotnie. Było to jego imię, nie imię El Capitana. Nie imię Luiza. Jego prawdziwe imię, jedyne, które dla niej istniało.

Tonatiuh.

- Tonatiuh, mój Tonatiuh - powtarzała. - Tonatiuh, Tonatiuh, Tonatiuh. - Moja jedyna miłość. Moja miłość, mój Tonatiuh, Tonatiuh, Tona...

Urwała nagle, gdy na jej głowie spoczęła jego dłoń. Wstrzymała oddech, kiedy długie, zwinne palce wplotły się w jej włosy. Bała się poruszyć, przemówić, bała się mieć nadzieję.

Podniosła wreszcie głowę i ujrzała te cudowne, czarne oczy tonące we łzach. Jej ciałem wstrząsnął nagły szloch.

- Nie płacz, kochanie - wyszeptał. - Pocałuj mnie. Pocałuj mnie, Amy. Pocałuj na powitanie swego Tonatiuha.

## Rozdział 42

- Ukochany - nie była w stanie powiedzieć nic więcej.

Ich wargi spotkały się w pierwszym czułym pocałunku od czasów młodości. Luiz powoli, miłośniczo scalał z twarzy Amy słone krople.

Nowy strumień łez spłynął po jej zarumienionych policzkach.

- Zraniłam cię tak mocno. Wybacz mi.

- To ja błagam o wybaczenie. To ja byłem okrutny, cierpiełaś przeze mnie i nigdy sobie tego nie daruję.

Zacząli mówić jednocześnie, zapewniając siebie wzajemnie, że wszystko już zostało wybaczone. Urywane, pospieszne zdania podkreślali zbawczymi, gorącymi pocałunkami, otwierając przed sobą zamknięte dotąd serca. Były wyjaśnienia, przeprosiny, chętnie dawane i gorąco przyjmowane, miłość wyznawana i odwzajemniana. Ich szczerze łzy zmyły ostatnie gorzkie ślady niezrozumienia i nieufności.

Wreszcie Amy oparła głowę na piersi Luiza i westchnęła z ulgą.

- Proszę, ukochany, opowiedz mi o nocy, kiedy moi bracia wywieźli cię z Orilli - poprosiła. - Jak przeżyłeś? Kto uratował ci życie?

Luiz uśmiechnął się i musnął ustami jej czoło.

- Kamień Słoneczny - odpowiedział.

Amy ani przez chwilę nie wątpiła w jego słowa. Jeżeli jej ukochany Tonatiuh powiedział, że uratował go Kamień Słoneczny, to tak właśnie było.

- Mów dalej.

- Baron i Lucas zostawili mnie na pewną śmierć na pustyni północnego Meksyku - zaczął Luiz - Była prawie północ. Baron z nienawiścią rzucił we mnie Kamieniem Słonecznym, który upadł obok. Jego jasność przyciągała mnie jak magnes. Podczołgałem się doń wiedząc jedynie, że muszę go dosięgnąć, chwycić w dłonie.

Udało mi się. Dokładnie pamiętam własne palce zaciśnięte wokół złotego dysku. Następną rzeczą, jaką sobie przypominam, była wysoka podziemna jaskinia pełna dziwnych wapiennych formacji. Pierwszym dźwiękiem, jaki usłyszałem, było delikatne dzwonięcie. Niewiele widziałem, mgła zasnuwała mi oczy, aż nagle ujrzałem moją piękną matkę, ostatnią księżniczkę Azteków, która siedziała obok mnie.

Miała na sobie cudowną szatę ze szkarłatnego jedwabiu, obszytą wokół szyi i szerokich rękawów złotymi, maleńkimi dzwoneczkami.

To one wydawały ów delikatny dźwięk. Położyła dłoń na moim policzku.

I wtedy bogini Xochiquetzal przemówiła miękkim głosem:

- Tonatiuh, mój jedyny synu, jesteś w komnacie zwanej El Pavika. To tu przez całe stulecia odbywały się ważne rytuały. Jednym z nich była próba dzielności młodzieńców pozostawionych samotnie w ciemności.

Uśmiechnęła się, unosząc dłoń, by odsunąć z twarzy długie, czarne włosy.

- Ty, mój synu, mój Tonatiuhu, wytrzymałeś próbę o wiele cięższą niż ciemność - uśmiech znikł z jej twarzy, oczy stały się lodowate, kiedy powiedziała: - Bicz białego człowieka.

I natychmiast uśmiech wrócił na jej oblicze.

- Bogowie mówią mi, że nie wydałeś z siebie nawet jęku.

Luiz umilkł nagle, wspominając tamten dzień. Amy objęła go mocno i zaglądając mu w oczy wyznała, że jest z niego równie dumna jak bogini Xochiquetzal. Przysięgła, że tak długo będzie całować blizny po pejczu, aż zupełnie zetrze je kochającymi wargami.

Ciemne oczy Luiza rozblęły, twarde rysy twarzy złagodniały, ukazał w uśmiechu równe, białe zęby. Wydawał się taki młody i bez troski.

- Kobieto - odezwał się wreszcie, spoglądając na miękkie, pełne wargi Amy. - Znam tysiąc innych, lepszych miejsc dla twoich ust.

- Jesteś bezwstydnym - zaśmiała się i miękko wtuliła w jego pierś, opierając głowę na splecionych dłoniach tak, by móc na niego patrzeć.

- Opowiedz mi więcej. Chcę znać każdą minutę każdego dnia i nocy, kiedy byłeś z dala ode mnie.

Luiz opowiedział jej o tym, jak spędził dwa lata na dworze swojej matki, jak następnie wyjechał za granicę, by poznać swą hiszpańską spuściznę. Postanowił niczego nie ukrywać. Wyznał, jak zabił jej brata, Lucasa, w Paso del Norte. Sąd orzekł, iż była to samoobrona. Blizna na policzku pochodziła od noża Lucasa.

Spojrzał w jej oczy i nie ujrzał w nich zdumienia ani nagany. Po prostu skinęła głową.

Wyjaśniali sobie wszystko, co jeszcze mogłoby ich zadziwić lub zakłopotać. Amy zachowała tylko jeden sekret, ale gdyby zapytał, odpowiedziałyby zgodnie z prawdą.

Pocałowali się z westchnieniem i pograżyli w spokojnym milczeniu.

- Tonatiuh? - Amy przemówiła pierwsza.

- Co, kochanie?

- Doug Crawford myśli, że wciąż czekam na niego.

- Wiem - odparł łagodnie Luiz i po chwili dodał z nutą smutku: - Urodziliśmy się pod niedobrą gwiazdą, droga Amy - przytulił ją mocniej. - Odnalazłem cię jedynie po to, aby znów cię stracić.

- Kocham cię - odparła. - Zawsze cię kochałam. Co teraz poczniemy?

Objęła go mocno i wsparła głowę na jego piersi.

- Chciałbym cię poprosić, żebyśmy odeszli i zapomnieli, że na świecie istnieje ktokolwiek poza nami. Znalezlibyśmy miejsce, w którym nikt nas nie zna i rozpoczęlibyśmy nowe życie. Poznałaś mnie już i wiesz...

- Zawsze cię znałam, Tonatiuh - szepnęła z nagłą czułością, sięgając myślą do czasów tak drogich im obojgu.

- Tak, znasz mnie. A zatem wiesz, co musimy uczynić. Mam zobowiązania: jestem oficerem armii wyzwoleńczej Juareza i muszę poprowadzić moich ludzi do walki - zawiesił głos, czekając aż Amy przemówi, ale kiedy milczała, ciągnął dalej: - Ty również masz zobowiązania. Twoja mała córeczka nigdy nie zrozumiałaby, dlaczego jej matka uciekła z mieszkańcem. Doug Crawford przeżył już wystarczająco dużo. Będzie dobrym mężem i ojcem.

Amy znowu rozplakała się i smutno spojrzała mu w oczy.

- A co z nami? Z tobą i ze mną?

Luiz z trudem przełknął ślinę.

- Straciliśmy tak wiele czasu. Skończmy z tym. Dopóki tu jestem, kochajmy się, jakbyśmy mieli pozostać ze sobą na zawsze - uśmiechnął się. - I pozostaniemy razem, ukochana. Wiele lat temu powiedziałem ci, że jesteś moim tomali. Moim przeznaczeniem. Moim losem. Będiesz częścią mnie, dopóki nie wydam ostatniego tchnienia.

- To tylko słowa. To mi nie wystarczy, Tonatiuh. Chcę ciebie. Kocham cię i nie dbam o innych. Tylko ty... tylko ty...

Ale, kiedy wypowiadała te słowa, Amy wiedziała, że nie ma już nadziei. Miłość, choćby największa, nie zmienia wszystkiego. Nie zatrze przeszłości i tego, co wydarzyło się od tamtego czasu.

Żadne z nich nie wspomniało już o rozstaniu.

Udawali, że szczęście, które przeżywają wspólnie, trwać będzie zawsze. Spędzali razem każdą chwilę nocy i dnia. Były to cudowne, słoneczne, niezapomniane godziny.

Magdalena wiedziała o tym i czujnie strzegła tak potrzebnego im odosobnienia. Upominała całą służbę, by nie przeszkadzała zakochanym.

Kiedy pewnego wieczoru siedziała na wschodnim patio, oddychając świeżym powiewem wiatru, podniosła oczy i uśmiechnęła się na widok Pedrica, który zbliżył się i zapytał, czy może jej towarzyszyć.

Rozmawiali o parze' zakochanych na górze i to właśnie Pedrico powiedział:

- Zaslugują na chwilę szczęścia.

- Tak - odparła Magdalena. - Czy wiedziałeś...?

- Że byli kochankami wtedy, przed laty? Tak. Wiem o tym. A Linda, czy to jego córka?

- Tak - potwierdziła. - Amy nigdy mi tego nie powiedziała, ale jestem kobietą, a kobiety wiedzą.

Pedrico skinął głową, bębniąc palcami po drewnianej poręczy fotela. Odruchowo odchrząknął.

- Magdaleno?

- Tak?

- Może Luiz i Amy nie są jedynymi, którzy zasłużyli na odrobinę szczęścia.

Magdalena spojrzała na niego zdumiona. Nerwowo pogładził cienki wąs.

- Miałem samotne życie. Ty chyba też. Czy sądzisz... to jest: czy mogłabyś zaczekać na mnie, Magdaleno? Kiedy skończą się te zamieszki, powrócę. Orilla jest jedynym domem, jaki kiedykolwiek miałem.

Zaskoczona i mile polechtana Magdalena odruchowo poprawiła siwiejące włosy.

- Będę tutaj - powiedziała z niemal dziewczęcym uśmiechem. - I będę czekać.

Pod opieką pięknej pielęgniarki Luiz szybko wrócił do zdrowia. Udawał jednak, że wciąż nie odzyskał sił. Zbyt wielką przyjemność sprawiał mu fakt, że Amy zajmuje się nim z takim oddaniem.

Gorącego, wrześniowego popołudnia nad pustynią rozpętała się rzadka o tej porze burza. Gromy waliły z hukiem, błyskawice rozświetlały niebo, a strugi deszczu chłostały wysokie okna sypialni.

Wewnątrz siedział Luiz oparty o kolumnę łóżka i uśmiechał się łobuzersko, podczas gdy Amy myła go namydloną gąbką. Żartowali i śmiali się, aż Luiz odchylił głowę do tyłu i z zadowoleniem wciągnął głęboko powietrze.

- Kocham zapach deszczu na pustyni - mruknął. - Mam wtedy ochotę na... na... Amy, co się stało, kochanie?

Amy podniosła na niego oczy, w których błyszczały ogromne łzy. Rzuciła namydloną gąbkę do porcelanowej miski z wodą, wzięła ręcznik i otuliła nim lśniąca wilgocią pierś Luiza.

Musi mu powiedzieć. Nie może już dłużej trzymać tego w tajemnicy. To nie w porządku wobec niego.

- Linda jest twoją córką, Tonatiuh. Jest twoja. Twoje czarne oczy, wspaniała karnacja, twoja dzika uroda.

- Co, kochanie? Czy to znaczy, że...

Amy z wysiłkiem skinęła głową.

- Kiedy Baron i Lucas wyrzucili cię z Orilli, nosiłam twoje dziecko. Dlatego wyszłam za mąż za Tylera Parnella. Nie wiedziałam, co mam zrobić.

- Oczywiście, że nie wiedziałaś, najdroższa. Sama byłaś prawie dzieckiem. Boże drogi... Amy, Amy...

Wyciągnął do niej rękę.

- Zaczekaj - powiedziała. - Jest coś, co powinieneś mieć.

Wstała i podeszła do wysokiego mahoniowego biurka. Wyjęła z niego porcelanowe pudełko z pozytywką, podniosła wieczko i przy cichym dźwięku melodyjki wzięła delikatny, maleńki medalion.

Podawała mu go na wyciągniętej dłoni.

- Otwórz go, Tonatiuh - poprosiła.

Ostrożnie nacisnął sprężynkę i zapatrzył się w fotografię przedziwnie pięknej dziewczynki.

- Czy to...

- Tak. To nasza córka, Linda. Chcę, żebyś to zatrzymał.

Amy otoczyła szyję Luiza cienutkim złotym łańcuszkiem i zapięła zameczek. Medalion spoczął w zagłębieniu jego szyi. Luiz natychmiast zdjął Kamień Słoneczny i zawiesił go na szyi Amy, umieszczając złoty dysk na jej dekolcie. Objął ją ramionami.



- Nasza córka jest niemal tak piękna jak ty, moja ukochana - jasna błyskawica oświetliła na chwilę jego zasepioną twarz. - Stałem się przyczyną tylu twoich nieszczęść. Kocham cię, Amy. Zawsze będę cię kochał.

Przytulił ją jeszcze mocniej.

- Najdroższa, dziś dostałem rozkazy. Wymarsz jutro o świcie.

- Więc musisz zabrać Kamień Słoneczny - odparła, unosząc głowę. - Z nim będziesz bezpieczny w boju.

- Nie - zatrzymał jej dłoń. - Niech zostanie przy tobie. Jest częścią mnie.

Nie powiedział jej, jak mało zależy mu na własnym bezpieczeństwie, jeśli nie może jej mieć.

- Jeżeli przestanie padać, czy o zachodzie słońca pojedziesz ze mną do Puesta del Sol?

Amy skinęła głową i ucałowała jego nagą pierś, niezdolna wykrztusić słowa.

I tej nocy, kiedy niebo oczyściło się z chmur, a miliardy gwiazd migotały w ciemności jak brylantowe wisiory, dosiedli czarnego ogiera i pojechali nad rzekę. Tam, w srebrzystym świetle księżyca, kochali się po raz ostatni, a ich miłość miała w sobie coś rytualnego.

Leżeli spleceni, aż Luiz uniósł się na rękach, by raz jeszcze spojrzeć na Amy. Z błyszczącymi miłością oczami wyszeptał:

- Nie zobaczymy się już nigdy, ale będziesz ze mną, a ja będę z tobą.

- Tak, mój jedyny, ukochany - odpowiedziała. - Mój najdroższy Tonatiuh...

O świcie następnego poranka El Capitan Luiz Quintano stał obok swego niespokojnego wierzchowca i rozmawiał z gotowymi do wymarszu żołnierzami. Odwrócił się plecami do hacjendy, dłonie założył do tyłu, nogami mocno wparł się w ziemię.

Skończył mówić, przerzucił wodze przez szyję ogiera i zamierzał skoczyć na siodło, kiedy zatrzymał się nagle i obejrzał. Szła ku niemu.

Nie zważając na obecność żołnierzy i służby, Amy przebiegła przez zroszoną trawę i zakurzone podwórze. Ściskając w dłoni zawieszony na jej szyi Kamień Słoneczny, podeszła do Luiza.

Spojrzał na nią, starając się zapamiętać każdy rys jej cudownej twarzy. Nie odezwał się. Amy także milczała. Otoczył ją ramieniem i

przyciągnął do siebie. Ich pożegnalny uścisk był krótki, ale zawierał wszystkie nie wypowiedziane słowa.

## Rozdział 43

El Capitan i jego oddział zniknęli z pola widzenia. Amy odwróciła się z westchnieniem i weszła do hacjendy.

Dom wydawał się tak pusty, że poczuła się zagubiona. Spacerowała bez celu po opustoszałych pokojach, nasłuchując głębokiego głosu, którego miała nie usłyszeć już nigdy, rozglądając się za smagłą twarzą, która na zawsze zniknęła z jej życia.

Gorący, letni dzień dobiegł wreszcie końca i księżyc w pełni wstał nad pustynią. Amy weszła na górę do swego apartamentu. Oparła się o drzwi, błędząc oczami po ogromnym, pustym pokoju.

Nie pozostało nic, co wskazywałoby na niedawną obecność mężczyzny. Na mahoniowym blacie biurka i w szufladach komody nie pozostał ani jeden guzik z masy perłowej. Na oparciu krzesła nie wisały niedbale rzucone spodnie. Znikł pas z pistoletami, zapięty wokół kolumnienki łóżka.

Amy weszła do garderoby. To samo. Nie ma błękitnego munduru. Zniknęły lśniące czarne buty i śnieżnobiałe koszule.

Apatycznie przygotowywała się do snu. Czysta, biała koszula nocna leżała na łóżku jak co wieczór. Z nagłym uśmiechem Amy zrobiła to, co zawsze robił El Capitan: rzuciła ją na bok i zaczęła się rozbierać.

Naga, z Kamieniem Słonecznym na szyi wsunęła się do kremowej, jedwabnej pościeli i zgasila lampę. Westchnęła, prostując smukłe nogi; podciągnęła kołdrę aż pod brodę. Powtarzała sobie, jak cudownie jest spać na poduszkach i puchowym wałku.

A potem rozplakała się, ponieważ chętnie oddałaby to wszystko, gdyby mogła resztę nocy swego życia spędzić w ramionach El Capitana.

Późnym popołudniem, przez sklepioną bramę Orilli przejechał Doug Crawford na czele małego oddziału kawalerii Maksymiliana.

Magdalena pierwsza ujrzała konnych. Zawołała Amy, która wybiegła natychmiast, wyteżając wzrok. Jeździec na czele oddziału miał płomiennorude włosy, które lśniły w promieniach letniego słońca.

- Mój Boże... Doug... - wyszeptała. - To Doug. Wrócił do domu.

Machinalnie rozpięła stanik sukni i wsunęła do środka Kamień Słoneczny. Zaczerpnęła tchu, uniosła spódnicę i pobiegła na spotkanie człowieka, który obdarzył ją zaufaniem i miłością.

Doug Crawford zsunął się z siodła, chwycił Amy w ramiona i okręcił w powietrzu.

- Najdroższa, zapomniałem już niemal, jaka jesteś śliczna - powiedział, stawiając ją na ziemi.

- Miło cię widzieć, Doug - wyszeptała Amy.

Doug Crawford miał łagodną, pocziwą naturę. Mówił cicho, z ledwie wyczuwalnym południowym akcentem. Kiedy patrzył na Amy, szczery, miły uśmiech dodawał rysom jego twarzy miękkości.

Dopiero, kiedy wraz z Magdaleną zajęła się podawaniem spragnionym żołnierzom zimnej lemoniady, Doug zdołał zatrzymać ją na chwilę w kuchni:

- Kochanie, przyjechałem tylko na kilka godzin. Ruszamy stąd, żeby dołączyć do większej grupy koło Chihuahua City.

Amy wstrzymała oddech. Chihuahua City! Właśnie tam zdążył oddział Luiza.

- Czy nie możesz zostać przynajmniej na noc?

Nagle przyciągnął ją do siebie.

- Amy, Amy, wiesz, jak bardzo chciałbym - powiedział i objął ją jeszcze mocniej.

Ogarnęły ją wyrzuty sumienia.

- Doug, muszę ci coś powiedzieć - wyszeptała z oczami pełnymi łez.

Odsunęła się, żeby spojrzeć mu w oczy. Doug Crawford uśmiechnął się.

- Najdroższa, chcę, żebyś powiedziała mi tylko jedno: że będziesz tu na mnie czekać.

Łzy spłynęły po policzkach Amy.

- Będę czekać - szepnęła. - I postaram się być dla ciebie dobrą żoną, Doug.

- Najdroższa, jesteś uosobieniem tego, co chciałbym poślubić. Z uśmiechem objął ją znowu.

- Moi ludzie narzekali, że taki ze mnie zakochany głupiec, iż gotów byłem przejechać całą tę drogę tylko po to, żeby po raz ostatni ujrzeć twoją śliczną twarzyczkę.

O zachodzie słońca Doug Crawford wraz ze swym oddziałem opuścił Orillę. Jeszcze długo po ich odjeździe Amy stała w półmroku, modląc się w duchu do Boga o wybaczenie grzechów i o to, by czuwał nad obydwojma mężczyznami, których kochała.

Następne dni były dla Amy długie i bolesne. Wiadomości z Meksyku dochodziły wolno, aż wreszcie do Sundown dotarła plotka, iż wojska Juareza przegrupowały się w oczekiwaniu na atak Francuzów. Zakończyło się to krwawym oblężeniem. Chihuahua City upadło, ale zanim to się stało, obie strony poniosły ciężkie straty.

Amy mogła jedynie krążyć po pokojach i czekać. Magdalena rozumiała ją doskonale. Ona także czekała. Aż wreszcie, pewnego wrześnieowego poranka, obie kobiety usłyszały tętent kopyt na żwirze podjazdu. Wybiegły na zewnątrz i, trzymając się za ręce, oczekiwały jeźdźca.

- Pedrico! - krzyknęła Magdalena i rzuciła się na jego spotkanie.

Amy pozostała na miejscu, patrząc, jak padają sobie w objęcia.

Dopiero gdy podeszli do niej, niezdolna do wypowiedzenia słowa, podniosła na przybysza niespokojne, pytające spojrzenie. Ujął ją za rękę.

- Przykro mi, senora Amy. Kapitan Douglas G. Crawford został zabity podczas ostatniego szturm. Zginął jak bohater.

Amy zachwiała się, ale nie upadła.

- A Luiz? - zapytała niemal szeptem.

- Zaginiony - odparł Pedrico. - El Capitan zginął.

Amy pobladła jak ściana i Magdalena musiała objąć ramieniem jej szczupłą talię.

- Wielu zostało zabitych - pospiesznie dodał Pedrico. - Ale jeszcze więcej wzięto do niewoli. Czekamy, mamy nadzieję, wierzymy, że...

- Tak, oczywiście - westchnęła Amy bez przekonania. - Pozostaje mieć nadzieję. A teraz wybaczcie mi...

- Senora - zawołał za nią.

Sięgnął za pazuchę zakurzonej i brudnej kurtki i wydobyl zamszową torbę w kształcie koperty.

- Zanim El Capitan ruszył w bój, prosił, żeby to pani oddać, gdyby... gdyby...

Wewnątrz koperty znajdował się testament Luiza, napisany na kilka godzin przed bitwą. Był bogatym człowiekiem, posiadającym bezcenne skarby swej azteckiej matki i doskonałe inwestycje kastylijskich kuzynów. Wszystko pozostawił Amy, z wyjątkiem małego skrawka Orilli, który, jeśli Amy się zgodzi, miałby posiadać

Pedrico Valdez. Był to teren na południowo - zachodnim krańcu Ziemi Słońca.

Pedrico był zbyt wzruszony, by przemówić.

Amy lekko dotknęła dłonią twarzy Meksykanina.

- Przykro mi tylko, że sama o tym nie pomyślałam, Pedrico.

- Gracias, senora.

Amy zwróciła się do Magdaleny:

- Mag, proszę, niech dziewczęta spakują moje bagaże. Jadę do Nowego Orleanu po Lindę.

W dwa dni później Pedrico i Magdalena stali na prywatnej stacji i żegnali się z Amy.

- Nie martw się. Kiedy tylko dojadę do Galveston, wsiadę na parowiec - tłumaczyła zachmurzonej Magdalenie. - Przepłynę zatokę, a w Nowym Orleanie już będą na mnie czekać: cioteczka Meg i Linda.

- Przyrzeknij, że jak najprędzej wrócicie z Lindą do domu - poprosiła Magdalena.

- Oczywiście. Na mnie już czas - uśmiechnęła się Amy.

Przyjęła pomocną dłoń konduktora i weszła do wagonu.

Kiedy lokomotywa nabrała szybkości i pociąg znikł na horyzoncie, Pedrico odwrócił się i powiedział:

- Magdaleno, nie jest to może najbardziej romantyczne miejsce na oświadczyzny, ale czy wyświadczysz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną?

Krępa, siwiejąca kobieta spojrzała na smukłego, srebrnowłosego mężczyznę.

- Ach, Pedrico, czy jesteś pewien, że właśnie tego pragniesz? - zapytała. - Jesteś teraz bogatym człowiekiem, właścicielem ziemskim. Możesz znaleźć sobie prawdziwą damę.

Jedyne oko Pedrica zabłysło. Ujął jej dłoń i podniósł do ust.

- Droga Magdaleno, dla mnie zawsze byłaś prawdziwą damą.

## Rozdział 44

Amy stała przy relingu bocznokołowca „Kreolska Dama” i obserwowała zbliżający się na jej spotkanie, ruchliwy brzeg Nowego Orleanu. Na molo zgromadziło się dużo ludzi. Uśmiechnięty czarny chłopak, siedzący okrakiem na wysokim stosie bel bawełny, wesoło przygrywał na banjo. Ludzie klaskali i tupali nogami do taktu.

Młoda kobieta uważnie przyglądała się tłumowi uśmiechniętych twarzy na dole. Wreszcie dostrzegła swą ciemnoką córeczkę, która podskakiwała na drewnianym pomoście. Zaczęła wołać i machać rękami. W różowej bawełnianej sukience, z ciemnymi włosami rozsypanymi na szczupłych ramionach Linda wyglądała o wiele dorodniej, jakby od czasu wyjazdu z Orilli urosła co najmniej o stopę.

Posyłając jej całusy spojrzała na towarzyszącą Lindzie elegancką kobietę i boleśnie westchnęła. Zaledwie rozpoznała ukochaną cioteczkę Meg. Meg zawsze była szczupła i blada, ale kobieta, której dłoń spoczywała na ramieniu Lindy, przypominała szkielet. Włosy pod małym, modnym słomkowym kapeluszem, które tak długo pozostawały bladozłote, teraz stały się srebrzyste.

To nic nie znaczy, powtarzała sobie Amy. Ostatecznie od czasu, kiedy ostatni raz widziała ukochaną ciotkę, minęło kilka lat. Meg Sullivan postarzała się po prostu, tak samo jak ona.

„Kreolska Dama” z wdziękiem zbliżała się do brzegu, gwizdząc wściekle. Wkrótce Amy biegła już po wąskim trapie wprost w wyciągnięte ramiona uszczęśliwionej dziewczynki.

Jechały obramowanymi zielenią bulwarami miasta, mówiąc jednocześnie. Zanim powóz dotarł do domu ciotki Meg, był prawie wieczór. Po śmierci starej Stelli, Meg nigdy nie zatrudniła nowej służącej, więc zdjęła kapelusz i oświadczyła, że przygotowuje posiłek. Amy z córką miały czekać w salonie.

- Chwileczkę - Amy ujęła ją za ramię. - Ciociu Meg, wyglądasz na zmęczoną. Ja zajmę się kolacją. Nauczyłam się gotować...

- Nonsens - odparła panna Sullivan z ciepłym uśmiechem i mrugnęła do Lindy. - Obie z Lindą planowałyśmy ten obiad od tygodnia.

Amy niechętnie pozwoliła ciotce na przygotowanie kolacji. Siedziała w przytulnym salonie i wysłuchiwała relacji córki z pełnego przygód lata, jakie mała tu spędziła.

Później, kiedy Linda była już w łóżku, Meg usiadła z Amy przy filiżance mocnej herbaty.

- Amy, kochanie, wyglądasz piękniej niż kiedykolwiek w życiu - zauważyła, przyglądając się młodej kobiecie.

- Och, daj spokój, ciociu.

- To prawda. Ileż to już czasu? Trzy lata minęły od twojej ostatniej wizyty - Meg w zamyśleniu wpatrywała się w twarz Amy.

- Zawsze byłaś ładną dziewczyną, ale teraz... to coś... - zaśmiała się lekko i dodała: - Wyglądasz zupełnie jak kobieta, która poznała słodką tajemnicę miłości. Tak się z tego cieszę...

Urwała i podniosła dłoń do piersi.

- Amy, kochanie, co się dzieje?

- Och, ciociu Meg, ja... - Amy potrząsnęła głową.

- Co, dziecino? - Meg szybko odstawiła filiżankę i podeszła do sofy, na której siedziała Amy. - Powiedz, co cię gnębi.

Amy wyznała jej całą prawdę. Opowiedziała o lecie, które spędziła z Luizem Quintano, o swojej miłości do niego, o tym, że zawsze go kochała. O okropnym poczuciu winy, jakie czuła z powodu Douga Crawforda.

Ku jej wielkiej uldze - surowa ciotka nie zganiała jej ani nie pouczała. Objęła ją tylko smukłym ramieniem i pocieszała, szepcząc kojące słowa, które Amy tak pragnęła usłyszeć.

- Tak mi wstyd - szlochała Amy.

- Nie trzeba, kochanie. Nie ma nic wstydliwego w prawdziwej miłości.

Gdy Amy zrzuciła już z serca wszystkie troski, Meg Sullivan ucałowała ją w rozpalony policzek.

- Co byś powiedziała, gdyby stara ciotka przyszła cię utulić, jak wtedy, gdy byłaś w wieku Lindy?

Razem weszły na piętro i Meg delikatnie obmyła napuchniętą od łez twarz Amy, pomogła jej włożyć koszulę nocną. Śmiertelnie znużona młoda kobieta wsunęła się do miękkiego, czystego łóżka, a Meg okryła ją obszytą koronką kołdrą.

- Śpij dobrze, dziecko - szepnęła, siadając na brzegu łóżka.

- Jestem tu, żeby nad tobą czuwać.

Amy westchnęła ciężko i zapadła w sen z takim samym poczuciem bezpieczeństwa, jak za dziecięcych lat.



Rano obudziła się wraz ze słońcem. Po chwili dezorientacji sięgnęła po szlafrok i po cichutku zeszła na dół. Zrobi niespodziankę ciotce i Lindzie, przygotowując wspaniałe śniadanie.

Kiedy jednak dotarła do kuchni, zastała w niej Meg. Stara kobieta stała przy oknie, nalewając na łyżeczkę bursztynowe lekarstwo z dużej butelki. Amy poczuła ukłucie niepokoju, kiedy w milczeniu obserwowała, jak drobna, delikatna ciotka wypija trzy takie porcje.

Nie odezwała się, ale starsza kobieta wyczuła jej obecność. Odwróciła się powoli i spojrzała na Amy.

- Co to, ciociu Meg? - Amy podeszła do niej.

- Doktor Wise mówi, że to bardzo rzadka tropikalna choroba krwi. Jest na to jakaś długa kliniczna nazwa, ale ja nie potrafię...

- Czy to poważne?

Meg Sullivan odetchnęła głęboko.

- Śmiertelne - uśmiechnęła się blado. - Cieszę się, że mogę cię zobaczyć po raz ostatni.

- Dobry Boże! - wykrzyknęła Amy, czując łzy napływające jej do oczu. Podbiegła do ciotki, objęła ją za szczupłe ramiona i zawołała.

- Natychmiast musimy znaleźć, innego lekarza.

- Kochanie, konsultowaliśmy się ze specjalistami z dziedziny hematologii. Wszyscy doszli do tego samego wniosku. Obawiam się, że musimy pogodzić się z faktem, iż pozostało mi już tylko kilka tygodni życia.

- A zatem razem będziemy się z tym godzić - orzekła zdecydowanie Amy. - Przyjedziesz do Orilli, tam, gdzie twoje miejsce i...

- Nie - odparła Meg i delikatnie uwolniła się z objęć bratanicy. Spojrzała na swoje krzewy magnoliowe. - Nie mogę tego zrobić, Amy.

- Oczywiście, że możesz. Nie chcesz być razem ze swoją rodziną? Z Lindą? Ze mną?

- Chciałabym, ale to niemożliwe - wyszeptała Meg z oczami pełnymi łez.

- Dlaczego? Nie rozumiem. Nigdy nie mogłam zrozumieć, czemu zawsze odmawiałaś przyjazdu do Orilli nawet z wizytą. Prosiłam tatkę, żeby cię namówił, ale nigdy tego nie zrobił. Czy aż tak nienawidzisz Teksasu? A może rancho? Czy dlatego wyjechałaś, żeby nigdy nie powrócić?

- Dobry Boże, tak sądzisz? - zapytała Meg Sullivan.

- Nie wiem, co myśleć - szczerze odparła Amy. Meg ujęła ją za rękę i przycisnęła do policzka.

- Amy, Amy... - wyszeptała. - Nie jesteś jedyną osobą winną zdrady. Walter Sullivan jest winien. Ja jestem winna.

- Ty? Nie wierzę - Amy była zaskoczona. Meg Sullivan spojrzała w ukochaną twarz.

- Opuściłam wtedy, przed laty Teksas dlatego, że byłam w ciąży - oznajmiła.

Amy bez słowa patrzyła w osłupieniu na chorą kobietę, która oznajmiła jej spokojnie, że nie jest jej ciotką, lecz matką. Nie wyszła za ojca Amy, ponieważ był już żonaty. Przystojny, liczący się w towarzystwie mężczyzna z San Antonio spędził w Sundown kilka dni, podczas gdy jego żona wojażowała po Europie. Był wytworny, elegancki i Meg zakochała się w nim bez pamięci.

Spędzili kilka krótkich romantycznych chwil w rozmaitych kryjówkach, a w tydzień po jego wyjeździe do San Antonio dziewczyna zorientowała się, że nosi owoc ich miłości. Jej brat, Walter, natychmiast wysłał ją i swoją żonę, Mary, do Nowego Orleanu. Wszystkim w Sundown powiedział, że Mary oczekuje dziecka i zamierza urodzić je w Nowym Orleanie.

- I w ten sposób - kończyła Meg - zaledwie skończyłaś kilka tygodni życia, Mary Sullivan zabrała cię do Teksasu. Wraz z Walterem Sullivanem wychowali cię jak własną córkę. Uznaliśmy, że będzie najlepiej, jeśli nigdy nie wrócę do Orilli. Obawialiśmy się, że ktoś mógłby dostrzec zaskakujące podobieństwo i odgadnąć prawdę.

- Boże mój - szepnęła Amy współczująco. - Ileż ty się wycierpiałaś, mamó.

Meg Sullivan uśmiechnęła się przez łzy.

- Przez całe życie marzyłam, żebyś mnie tak nazwała.

- Mamó, mamó, mamó - słodko zanuciła Amy i mocno objęła ramionami szlochającą kobietę. - Posłuchaj mnie, mamó: wracasz do Orilli i nic mnie nie obchodzi, jeśli nawet całe miasto odkryje, że jesteś moją matką!

Meg Sullivan odsunęła się i z macierzyńską dumą objęła spojrzeniem młodą, silną kobietę.

- Chciałabym spędzić resztę moich dni w ukochanym Teksasie.

Cała trójka powróciła do Orilli w pierwszym tygodniu października. Na południowym wschodzie Teksasu wciąż jeszcze było ciepło i sucho.

Jednak wraz z nadejściem jesieni dni stawały się coraz krótsze. Tak, jak coraz krótszy stawał się czas Meg Sullivan.

Amy postanowiła, że ostatnie dni jej matki upłyną tak pogodnie i cudownie, jak pierwsze dni jesieni. Nie rozstawały się ani na chwilę. Spędzały długie godziny na rozmowach, snuły wspomnienia szczęśliwych czasów, zwierzały się sobie z sekretów i szalonych marzeń, śmiejąc się często jak bez troskie nastolatki.

Jeździły po zakupy, gotowały, chodziły na długie spacery, odbywały konne przejażdżki. Wstawały wczesnie, późno kładły się spać. Robiły wszystko, na co miały ochotę.

Cudowne, ciepłe dni jesieni upływały powoli, a Pedrico i Magdalena zaczęli planować wesele. Ustalili już datę ślubu. Jasnyniebieskie oczy niezmiennie romantycznej Meg błyszczą jak gwiazdy, kiedy planowała listopadową fetę. Nie dożyła jej.

Na tydzień przed wielkim dniem Margaret Sullivan odeszła na zawsze. Umarła spokojnie w ramionach kochającej córki.

Amy przekonała Pedrico i Magdalene, że jej matka życzyłaby sobie, aby nie zmieniali daty ślubu. Zrezygnowano jedynie ze wspaniałego przyjęcia. Po cichym ślubie, przed wyjazdem na krótki miesiąc miodowy, Magdalena mocno uściskała Amy.

- Nie chcę wyjeżdżać i zostawiać cię samej - zatroskała się.

- Nie jestem sama. Mam Lindę. Musisz jechać - rozkazała jej Amy.

Nowożeńcy wyjechali, a następnego dnia piękna, ciepła pogoda skończyła się nagle. Poranki stały się mgliste, a wieczory tak zimne, że w Orilli trzeba było palić w kominku.

Po śmierci matki Amy głęboko odczuwała samotność, ale też i dziwny, wewnętrzny spokój. Spędziły razem kilka niezapomnianych tygodni. Podobnie, jak kilka niezapomnianych tygodni przeżyła z Tonatiuhem. Było to więcej, niż niejeden człowiek mógłby oczekiwać od życia.

Chłodnego, szarego dnia pod koniec listopada Amy ogarnęła melancholia. Pojechała samotnie do Puesta del Sol, gdzie przed laty po raz pierwszy kochali się z Tonatiuhem.

I gdzie kochali się po raz ostatni.

Usiadła na gładkim brzegu rzeki, pod ciężkim, ponurym niebem. Objęła ramionami kolana, w zamyśleniu spoglądając na zimną, gładką jak lustro wodę.

Nagle zerwał się lodowaty, jesienny wiatr z północy i zmaścił spokojną powierzchnię rzeki. Zatańczył w jasnych lokach wokół jej twarzy. Zadrzała. Ogarnęło ją dziwne uczucie.

Wiatr ucichł. Ciemne, ciężkie chmury popłynęły dalej. Zabłysło oślepiająco jasne słońce, oblewając wszystko złocistymi promieniami.

Serce Amy zabiło mocniej, oddech stał się urywany.

Powoli uniosła pełne nadziei spojrzenie.

Na skale stał Indianin.

Nagi w słońcu.

## OD AUTORA

Nigdy nie było prywatnej stacji kolejowej w Sundown w Teksasie. Nie było też samego Sundown.

Większość czytelników uświadamia sobie zapewne, że kolej dotarła do tej oddalonej części Ameryki o wiele później, pod koniec dziewiętnastego wieku. Ot, małe odstępstwo dla dobra opowieści.

Ale czyż posiadanie prywatnej stacji kolejowej nie byłoby romantyczne?

NAN RYAN